

**GRAHAM MASTERTON**

# **STRAŻNICY PIEKŁA**

**Z ANGIELSKIEGO PRZEŁOŻYŁ ZBIGNIEW A. KRÓLICKI**  
**TYTUŁ ORYGINAŁU: THE DOORKEEPERS**

*Były Drzwi, do których klucza nie znalazłem:  
Była Zasłona, za którą zajrzeć nie zdołałem.*

Edward Fitzgerald, *The Rubáyát of Omar Khayyam*

*Sześcioro drzwi ma London Town, me dziecię,  
Sześcioro drzwi w Londynie też znajdziecie.  
Lecz któż to wie, w którą patrzą stronę?  
I któż to wie, kędy szczerze są zwrócone?*

Stara dziecinna rymowanka

## ROZDZIAŁ 1

Julia wystukała: „Czekam na odpowiedź, F.G. Mordant” — i wyciągnęła list z maszyny do pisania. Włożyła go do czerwonej teczki listów czekających na podpis pana Mordanta i wrzuciła różową oraz żółtą kopię do stojącego pudełka. Kalkę schowała do drugiej szuflady od góry.

Była siedemnasta trzydzieści dwie i biuro rozjaśniło się ostatnimi promieniami słońca koloru marmolady. Julia założyła futerał na maszynę do pisania, nie wiedząc, że robi to ostatni raz i że nigdy już nie zobaczy zachodu słońca, chowającego się za dachami stojących naprzeciw fabryk.

Do pokoju zajrzała Alexandra i zamrugła oczami za szklami upodabniających ją do sowy okularów.

— Jeszcze nie skończyłaś? David zaproponował, że podwiezie nas do Hammersmith.

— David? Och, to wspaniale! Zaczekaj minutkę, dobrze? Muszę zanieść te listy panu Mordantowi.

— Wiesz co, powinnaś mu wreszcie coś powiedzieć. Zawsze zatrzymuje cię po godzinach.

Julia zbyła ją prychnięciem. Nie mogła zacząć narzekać, zwłaszcza jeśli chciała utrzymać tę posadę. Alexandra mówiła jej, że bardzo rzadko się zdarzało, by któraś z sekretarek pana Mordanta przetrwała dłużej niż sześć miesięcy. Niektóre z nich odchodziły już po tygodniu.

Otworzyła dębową szafkę na akta. Po wewnętrznej stronie drzwiczek było zamocowane lustro, przed którym pospiesznie przyczesła włosy. Wepchnęła koniuszek języka pod górną wargę. Nie była pewna, czy nie robi jej się tam pleśniawka.

Była bardzo ładną dziewczyną, trochę pulchną, o twarzyczce w kształcie serca, która sprawiała, że nie wyglądała na swoje dwadzieścia trzy lata. Miała krótkie jasne włosy, grzywkę i duże brązowe oczy. Mieszkała w Anglii już dziesięć miesięcy. Prawie zupełnie straciła ślady kalifornijskiej opalenizny i nabyła kostiumik z angielskiej wełny, lecz jej akcent prawie się nie zmienił. Wszyscy w Wheatstone Electrics nazywali ją „Yankee Doodle”. Amerykanie byli tu rzadkością — oczywiście nie licząc filmów — i jej znajomi mogli bez końca słuchać opowieści o takich luksusach jak zmywarki i supermarkety.

Poszła pustym, wyłożonym linoleum korytarzem do gabinetu szefa. W całym budynku słyszała trzask zamykanych drzwi, ludzi mówiących „dobranoc” i zbiegających po schodach. Drzwi do pokoju pana Mordanta były uchylone, lecz mimo to zapukała. Siedział za biurkiem, rozmawiając przez telefon i machinalnie rozciągając palcami aptekarskie gumki.

— No cóż, przykro mi, Ronaldzie, ale będziesz musiał zrezygnować z tego pomysłu, rozumiesz? — mówił, starannie wymawiając słowa, jak spiker BBC. — Jeśli nie dostanę od ciebie tych izolatorów do końca miesiąca, zacznę szukać nowego dostawcy. Nie, Ronaldzie, mało mnie obchodzi, od jak dawna robimy interesy. Liczy się dzień dzisiejszy.

Z trzaskiem odłożył słuchawkę i powiedział:

— Idiota. Nie potrafiłby zorganizować nawet wyścigu chruśczy. — Potem spojrzał na Julię i obdarzył ją niespodziewanym uśmiechem. — No, Julio, co tam masz dla mnie?

Frank Mordant był przystojny w wyzywający, nieco wy—brylantynowany sposób. Miał wyraziste rysy i prosty cienki nos oraz przenikliwe jak u jastrzębia, niebieskie oczy. Ciemnoblonde włosy zaczesywał do góry i nosił cienki, starannie przystrzyżony wąsik. Zawsze miał na sobie nienagannie

odprasowany, szary trzyczęściowy garnitur i wykrochmalone koszule z mankietami oraz odpinanym kołnierzykiem. Ponieważ w biurach Wheatstone było ciepło, pod koniec dnia zawsze lekko załatywał potem.

Julia położyła na biurku teczkę z listami do podpisu. Odkręcił wieczne pióro, ale zanim otworzył teczkę, wyciągnął się w fotelu.

— Jak długo u mnie pracujesz, Julio?

— W następną środę będzie dziesięć miesięcy. Rozpoczęłam pracę jedenastego maja.

— Ależ ten czas leci! Pozwól, że coś ci powiem, Julio. Szczerze mówiąc, nigdy nie miałem równie dobrej sekretarki jak ty. Nawet z... no, stamtąd, skąd ty przybyłaś.

— Dziękuję — odparła. — Czy mógłby pan podpisać te listy? Znajomi mają odwiedzić mnie do domu.

Frank Mordant otworzył teczkę i pokręcił nosem na widok znajdujących się w niej listów.

— Chyba nie wszystkie są takie pilne? Oprócz tego sprawozdania dla Ministerstwa Lotnictwa, prawda? Skoro tak pilnie jest im potrzebne, możemy posłać im je do Whitehall taksówką. .

— Cóż, jeśli nie ma pan nic przeciwko temu, panie Mordant...

Zakręcił wieczne pióro.

— Oczywiście, że nie mam nic przeciwko temu. Posłuchaj, może zamiast jechać do miasta z przyjaciółmi, pozwolisz, żebym ja cię odwiózł? Jadę w tym kierunku. Chętnie z tobą pogawędzę.

Julia nie wyobrażała sobie niczego mniej zachęcającego niż perspektywa jazdy do Hammersmith z panem Mordantem, zwłaszcza że podkochiwała się w Davidzie, a nie widziała go i nie rozmawiała z nim od wtorku. Jednak pan Mordant był jej szefem i trudno było mu odmówić.

— Ja, hm...

— Doskonale! A więc jesteśmy umówieni! Może pójdziesz po płaszcz i za pięć minut spotkamy się przy wyjściu?

Alexandra czekała na nią w jej pokoju.

— Pospiesz się, Julio! Spóźnimy się! Wybieramy się do Corner House na herbatę i ciastka z kremem!

— Przykro mi — powiedziała Julia. — Skorzystam z zaproszenia innym razem. Darth Vader chce odwiedzić mnie do domu.

— Kto?

— Pan Mordant. Mówi, że ma ochotę na pogawędkę.

— O, Boże. Biedactwo! Nie mogłabyś zasłabnąć? Może wetkniesz sobie dwa palce do ust i udasz, że jest ci niedobrze?

— Chciałabym.

— No cóż. *C'est la vie*. Możesz dołączyć do nas w Corner House później.

— Spróbuję. A jeśli nie, zobaczymy się jutro, dobrze?

— W porządku — odparła Alexandra. — Tylko uważaj. Wiesz, co mówią o podwożeniu przez obcych, a nie znalazłabyś bardziej obcej istoty niż Frank Mordant, no nie?

Czekał na nią w ponurym sześciokątnym lobby, ze słabo podświetlonym zegarem, wypolerowaną marmurową posadzką i odlanym z brązu posągami bogini Elektry. Miał na sobie kapelusz oraz długi czarny płaszcz i właśnie zapinał samochodowe rękawiczki z czarnej skóry.

— Dobranoc, Sheilo! — zawołała Julia do recepcjonistki, dziewczyny o kręconych rudych włosach i piskliwym, głupkowskim śmiechu. Hol rozbrzmiewał krokami wychodzących do domu pracowników Wheatstone.

Frank Mordant obdarzył Julię krzywym uśmiechem.

— Wyglądasz... wspaniale — powiedział, z aprobatą spoglądając na ciemnobrązowy płaszcz z kapturem, który kupiła sobie u Bloomingdale'a, przylatując z Los Angeles. — Podejrzewam, że nie powinienem pytać, gdzie go nabyłaś.

Przeszli przez drzwi w stylu art deco, wykonane z mosiądzu i szkła. Słońce zaszło i chociaż niebo było jeszcze jasne, lutowe powietrze przejmowało chłodem. Z ich ust unosiła się para, gdy przeszli przez podjazd do długiego granatowego armstronga–siddeleya, należącego do Franka Mordanta.

Otworzył przed nią drzwi od strony pasażera i Julia weszła do wyłożonego czarną skórą wnętrza. Pachniało w nim dymem cygar i olejem. Frank Mordant usiadł obok niej, przekręcił kluczyk i nacisnął przycisk zapłonu.

— A więc, Julio, jak widzisz swoją przyszłość? — zapytał, włączając się do ożywionego ruchu panującego w godzinie szczytu na Great West Road. — Nie zawsze będziesz sekretarką, prawda?

— Prawdę mówiąc, miałam nadzieję, że znajdę pracę w telewizji.

— W telewizji? — zapytał z wyraźnym zdumieniem.

— A co w tym złego?

— No cóż, jeśli mam być całkiem szczerą, to nie ma tam zbyt wielu miejsc pracy dla kobiet. Chyba że chcesz po całych dniach siedzieć przy taśmie, podłączając kable. Zawsze mogę porozmawiać z Billem Harveyem z naszej fabryki w Bristolu.

— Mówiłam o programach telewizyjnych, nie o odbiornikach.

— Och, rozumiem — mruknął i zastanawiał się przez chwilę. Potem powiedział: — A więc to tak, chciałabyś rozwinąć skrzydła. Żegnaj, Wheatstone, witaj, sławo i fortuna?

— Proszę mnie źle nie zrozumieć. Doskonale pracuje mi się w Wheatstone, naprawdę. Tutaj zdołałam się pozbierać.

— No tak. Dobrze. Miło mi to słyszeć. Nie chciałbym, żebyś była... no wiesz. Przygnębiona.

Zatrzymali się na czerwonym świetle i Mordant zabębnił palcami po kierownicy.

— Tutaj czy tam? — zapytał Julię.

— Och, oczywiście, że tam. Co macie tutaj? Czarno—białe, siedmiocalowe ekrany i mniej niż trzy czwarte miliona widzów w całym kraju. Tam przerywa się emisję serialu, jeśli przyciągnie uwagę zaledwie tylu widzów.

— Pewnie masz rację — odparł Frank Mordant. Ruszył i wyprzedził zatłoczony piętrowy autobus. — Mimo to... wiele przemawia za tym, żeby tu zostać, prawda? Wiedząc to, co wiesz, znacznie łatwiej wybiłabyś się tutaj w telewizji. Mając takie... umiejętności. Weźmy na przykład mnie. Zawsze miałem zaledwie dostateczny z fizyki, a teraz jestem dyrektorem działu sprzedaży drugiej pod względem wielkości firmy elektrycznej w Anglii. Zarabiam cztery tysiące funtów rocznie. Plus premie.

Wlekli się z prędkością pięciu lub dziesięciu kilometrów na godzinę w sznurze samochodów zmierzających do obwodnicy Chiswick. Sytuację pogorszył jeszcze stojący na zewnętrznym pasie mały austin, którego kierowca zdjął marynarkę i rozpaczliwie kręcił korbą. Nad nimi jak świetliki roily się na wieczornym niebie autożyra, pomrukując silnikami i przenosząc tuziny bogatych biznesmenów do domów w Windsorze, Lightwater czy Sunbury-on-Thames.

— Posłuchaj — powiedział Frank Mordant — może zatrzymamy się na szybkiego drinka? Jest tu po drodze przyjemny mały lokal.

— Naprawdę, panie Mordant, muszę wracać...

— Daj spokój, jeden drink ci nie zaszkodzi! Zasłużyłaś na to po tym wszystkim, co dzisiaj zrobiłaś. Tyle listów. Wiem, że uważasz mnie za wyzyskiwacza, ale twoje starania nie pozostają niezauważone.

Julia nie miała ochoty, jednak nie mogła odrzucić tej propozycji. Już raz odmówiła, kiedy Frank Mordant zaproponował jej wspólne wyjście na obiad, a on potraktował to jak osobistą zniewagę i zatrzymał ją w pracy aż do szóstej.

— Dobrze — zgodziła się. — Ale tylko jeden drink.

— To tutaj.

Skierował armstronga-siddeleya w boczną uliczkę i z trudem wcisnął się za zardzewiałego wolselleya. Na rogu znajdował się mały wiktoriański pub, „The Oswald Mosley”, o ścianach pomalowanych na kremowo i liliowych boazeriach. Frank Mordant wprowadził Julię przez drzwi z rżniętego szkła. W barze powietrze było gęste od dymu, lecz poza grającym na automacie dziobatym młodzieńcem w zielonej tweedowej marynarce jedynym gościem był starszy mężczyzna o czerwonej jak burak twarzy ze smutnym bulterierem, leżącym u jego nóg.

Za mahoniową ladą pojawił się właściciel lokalu z papierosem przyklejonym do dolnej wargi i jednym zmrużonym okiem, w które leciał mu dym.

— Jak zwykle, panie Mordant? — zapytał, sięgając po butelkę whisky Glenlivet.

— Oczywiście, Normanie. A co dla ciebie, Julio?

— Och, jakiś napój bezalkoholowy. Może sok pomarańczowy.

Na półce za barem migotał telewizor. Dźwięk był ściszony, ale Julia widziała, co się dzieje. Hordy ludzi w sarongach obalały bariery i paliły brytyjskie flagi. Znów kłopoty w Birmie.

Usiedli przy stoliczku z marmurowym blatem i Frank Mordant wznosił toast:

— Na zdrowie.

Julia upiła łyk ciepłego soku pomarańczowego z koncentratu i spróbowała się uśmiechnąć. Frank Mordant rozejrzał się wokół.

— Wiesz, to niezłe miejsce, szczególnie kiedy się trochę ożywi. Powinnaś zajrzeć tu w dzień wyścigów. Norman przygotowuje niezłe dania. Kanapki, pasztet. Takie rzeczy. Nazywam to moją tajną główną kwaterą.

Julia pokręciła głową na znak, że nie rozumie.

— Każdy z nas ma takie miejsce, no nie? Ty też na pewno je masz, nawet jeśli to tylko komoda.

— Jasne, trzymam kilka rzeczy w szufladzie. Na przykład walkmana i mnóstwo zdjęć.

Frank Mordant skinął głową. Wyjął paczkę papierosów .Capstan i wytrząsnął jednego na blat stołu.

— Wcale nie tęsknię, wiesz. Życie tutaj było dla mnie zbyt dobre.

— Nie tęskni pan za nikim i niczym?

— Och, tak. Możesz mi wierzyć lub nie, ale byłem kiedyś żonaty. Ze śliczną dziewczyną, Daphne, którą spotkałem w Brighton. Mieliśmy córkę, jednak była sparaliżowana i musieliśmy oddać ją do zakładu. Potem miałem kłopoty w interesach. Zajmowałem się samochodami.

Zapalił papierosa i wydmuchnął nosem długie smugi dymu.

— Była też głupia historia z inną kobietą. W końcu pomyślałem: czemu nie? Trzeba zacząć jeszcze raz. Zacząć wszystko od nowa, jeśli rozumiesz, o czym mówię.

Julia dobrze wiedziała, o czym mówił. Ją też przywiodła tutaj szansa rozpoczęcia wszystkiego od nowa. Była w połowie studiów na wydziale produkcji telewizyjnej uniwersytetu Santa Cruz, kiedy zakochała się w Rexie Pittmanie i nadal nie mogła bez drżenia słuchać *Orinoco Flow* Enyi. Puścili tę melodię, kiedy kochali się po raz pierwszy: czterdziestoosmioletni zawodowy scenarzysta telewizyjny i oczarowana nim dwudziestojednoletnia studentka. „Ilekcóż usłyszysz tę piosenkę, będziesz wspominać tę noc” — powiedział jej wtedy. Jednak tutaj, rzecz jasna, nikt nawet nie słyszał o Enyi.

Wszystko źle się skończyło. Nessa, neurotyczna żona Rexa, dowiedziała się o rywalce i przeszła przez szklane drzwi domu rodziców Julii. Rex opuścił Nessę i zabrał Julię na tydzień do Baja. Pływali, rozmawiali, żeglowali, pili tequilę i kochali się. W końcu jednak musieli wracać, a wtedy dowiedzieli się, że Nessa ciężko poparzyła trzyletniego syna Rexa, Jamesa, oblewając go

wrzącą wodą. Chłopczyk umarł dwa tygodnie później, w straszliwych bólach.

Dlatego Julia znalazła się tutaj. A przynajmniej głównie dlatego. Chciała rozpocząć życie od nowa tam, gdzie nikt i nic nie zdoła jej osiągnąć.

Frank Mordant dopił whisky i ruchem głowy wskazał jej szklaneczkę.

— Jeszcze jeden?

— Nie, dziękuję. Naprawdę muszę już wracać do domu.

— Jak wygląda twoje mieszkanie?

— Hm, szczerze mówiąc, jest o wiele za duże dla jednej osoby. I o wiele za drogie. Moja gospodyni właśnie podniosła mi czynsz do dwóch funtów siedemnastu szylingów i sześciu pensów tygodniowo.

— O rany. To sporo, prawda?

— Tak, owszem. Tylko że nie wiem, czy jeszcze kiedyś wezmę współlokatorkę. Lubiłam Mary, ale wciąż wydawało mi się, że muszę się pilnować. Miałam wrażenie, że ona mnie o coś podejrzewa... choć nigdy nie wiedziałam, o co.

— Mam tu mieszkanie — rzucił niedbale Frank Mordant, wydychając dym i ruchem głowy wskazując sufit.

— Ma pan tutaj mieszkanie? Tutaj, nad pubem?

— Zgadza się. Mam je już od pięciu lat. To moja tajna główna kwatery. Salonik, sypialnia, łazienka. Sądzę, że agent sprzedaży nieruchomości nazwałby je przytulnym gniazdkiem, ale ostatnio rzadko go używam, więc właściwie nie jest mi potrzebne. — Urwał, wydmuchnął trochę dymu, a potem powiedział: — No wiesz, zastanawiałem się... Może ty chciałabyś je przejąć.

— A co z panem?

Frank Mordant wzruszył ramionami.

— Jak mówię, rzadko tam teraz bywam. Tylko kiedy ogarnie mnie nostalgia. Mam tam trochę rzeczy, ale możesz ich używać. Kolorowy telewizor z magnetowidem, wieża stereo i sterta płytek kompaktowych. Lubisz Abbę? Kiedyś uwielbiałem Abbę. *Dig it, the dancing queen...* To były dni. Och, jest jeszcze zamrażarka. Niezbyt duża, ale są w niej paluszki rybne, pizza oraz kilka porcji kurczaka po pakistańsku.

Julia nie zdołała powstrzymać uśmiechu.

— Myślałam, że się pan tu zaaklimatyzował. No wie pan, ten akcent i sposób ubierania się.

— Och, zaaklimatyzowałem się. Jednak sama wiesz, jak to bywa. Jeśli chcesz być szczęśliwy, musisz zapomnieć o pewnych rzeczach i po jakimś czasie zaczniesz myśleć, że może wcale się nie wydarzyły. To mieszkanie na górze... ma mi przypominać, że jednak nie śnię.

Wstał i poklepał się po kieszeniach, szukając kluczy.

— Może zajdziesz tam i rzucisz okiem? Widok jest o niebo lepszy niż z Lavender Hill, a policzyłbym ci jeden funt piętnaście szylingów tygodniowo.

— Sama nie wiem... — wahała się Julia. — Mam już trochę znajomych na Lavender Hill.

— Nonsens, znajomych można znaleźć wszędzie. Taka dziewczyna jak ty zawsze ich znajdzie. Nie zaszkodzi rzucić okiem, prawda?

Julia zerknęła na właściciela lokalu. Wycierał kufle i mierzył ją obojętnym, nieruchomym spojrzeniem, z papierosem nadal zwisającym z kącika ust, jakby chciał zapamiętać ją na zawsze.

— No cóż... w porządku — zgodziła się. — Jednak zaraz potem muszę wracać do domu.

Do mieszkania Franka Mordanta wchodziło się przez osobne drzwi z boku pubu. Były pomalowane na różowo i nie miały numeru, tylko małą kołatkę z brązu w kształcie głowy uśmiechniętego chochlika. Frank Mordant zastukał nią i wyjaśnił:

— To kornwalijski duszek. Ma przynosić szczęście.

W środku była wilgotna mata z włókna kokosowego, a potem zaczynały się strome schody. Frank Mordant zapalił światło i oświadczył:

— Te schody to doskonałe ćwiczenie. Kilka razy dziennie wejdiesz i zejdziesz, i nie musisz uprawiać joggingu.

— Ja nie biegam, już nie. Ludzie za bardzo się gapili.

— Rozumiem. Tutaj... Uważaj na najwyższy stopień, jest obluzowany.

Na szczycie schodów był mały, wytapetowany na brązowo podest i dwoje drzwi. Na ścianie między nimi wisiała przekrzywiona, pofałdowana od wilgoci reprodukcja „Chinki” Damiena Hirsta, a emaliowana tabliczka na jednych z nich głosiła: „Najmniejszy pokój”.

Frank Mordant otworzył drugie drzwi i ruszył pierwszy wąskim korytarzem. Na lewo była mała kuchnia z gazowym bojlerem i wbudowanymi szafkami z cytrynowozielonego plastiku. Nie ulegało wątpliwości, że właściciel rzadko korzystał z tego mieszkania: panował tu kwaśny zaduch zamkniętego pomieszczenia i wszystkie suszone zioła przyprawowe w szklanych pojemniczkach wiszących na ścianie zupełnie pożółkły.

— Naprawdę potrzeba tu kobiecej ręki — mruknął Mordant.

Salonik był zadziwiająco duży i jasny, wysoki, ze ścianami pomalowanymi na biało i jasnoszarym dywanem, niezbyt drogim, ale prawie nowym. Stała tam kanapa pokryta czarną bawełnianą tapicerką oraz duży brązowy fotel z lat trzydziestych. Jeden kąt pokoju zajmował wielki telewizor oraz odtwarzacz i stos oznaczonych naklejkami kaset wideo. A także kamera wideo, zamocowana na statywie.

— Wystarczy kilka obrazów na ścianach — podsunął Frank Mordant. — Miękkie poduszki, takie rzeczy. Mogłoby tu być całkiem przytulnie.

Okno było zasłonięte zwykłą papierową żaluzją. Julia podeszła do niego i próbowała ją podnieść, lecz zasłona była przymocowana do ramy pineškami. Odchyliła brzeg i wyjrzała na zewnątrz. Okno wychodziło na Chiswick High Road, nadal zatłoczoną autobusami, motocyklistami i samochodami.

— Chcesz zobaczyć sypialnię? — zapytał Frank Mordant. — Chyba ci się spodoba. Niedawno była remontowana. We wrześniu.

Otworzył drzwi do sypialni. Była dostatecznie duża, by pomieścić podwójne łóżko nakryte różową włóczkową kapą, szafę i krzesło z obitym skórą siedzeniem. Ściany były pomalowane na bładoniebiesko. Nad łóżkiem wisiało lustro z zatkniętymi za nie dwiema pocztówkami, a na poduszce leżał zmaltretowany pajacyk.

— Hm... — mruknęła Julia. Mieszkanie nie było tak ponure, jak się spodziewała. Frank Mordant miał rację: jeden czy dwa kolorowe obrazki nadałyby temu miejscu znacznie miłszy wygląd, a tę zabójczo czarną kanapę mogłaby nakryć narzutą w słoneczniki, którą kupiła w Habitat. Mieszkając tutaj zaoszczędziłaby ponad funta tygodniowo i prawie tyle samo na przejazdach autobusem.

Wróciła do saloniku. Zastała tam Franka Mordanta bawiącego się kamerą wideo. Obrócił się na pięcie jak ekspedient w domu towarowym i zatarł ręce.

— I co o tym sądzisz? Naprawdę zaciszne mieszkanie, prawda?

— Nie bywa tu zbyt głośno z powodu lokalu na dole?

Frank Mordant potrzęsnał głową.

— Nie będę cię oszukiwał, jest trochę hałasu w porze zamykania. Trzask drzwiczek samochodów, wszyscy się żegnają, takie rzeczy. Jednak to nie trwa długo. A tu jest cała tajemnica... — Przyklęknął i uniósł róg dywanu. — Wykładzina, podwójna, prawie całkowicie dźwiękochłonna. Kazałem ją położyć, żeby słuchać muzyki tak głośno, jak mi się podoba. Mogłabyś krzyknąć tu, ile sił w płucach, i nikt by cię nie usłyszał.



Julia ponownie rozejrzała się wokół.

— Interesujące. Muszę to przemyśleć, jeśli można.

— Oczywiście. Zastanawiaj się, jak długo chcesz. Jednak zanim stąd wyjdiesz, może powinnaś zobaczyć jeszcze coś.

Wszedł do kuchni. Nie wiedziała, czy ma iść za nim czy nie, więc zaczęła. Ponownie odchyliła brzeg rolety i spojrzała na ulicę. Była ruchliwsza niż Lavender Hill, lecz stłumiony szum ulicznego ruchu wcale jej nie przeszkadzał.

— Czy wiesz, którym autobusem... — zaczęła i nagle uświadomiła sobie, że Frank Mordant stoi tuż za nią. Nie słyszała go, nawet nie wyczuła, jak się zbliżał.

Bez słowa przytknął do jej nosa i ust grubą białą szmatę, przypominającą tetrową pieluchę. Poczula ostry, chemiczny zapach, od którego zaczęło wiercić ją w nosie i zapiekły oczy. W panice otworzyła usta i wciągnęła tę woń w płuca. Zachwiała się, usiłowała walczyć i zdołała złapać go za zegarek. Jednak Frank Mordant mocno przyciskał szmatę do jej twarzy i gdy Julia próbowała się wyrwać, pokój nagle stanął dęba i podłoga poleciała ku niej jak czarne, zatraskujące się cicho drzwi.

## ROZDZIAŁ 2

Obudziło ją ostre, rażące światło. Powoli otworzyła oczy, lecz blask był tak oślepiający, że znów je zamknęła. Bolała ją głowa, a w ustach czuła ostry, kwaśny smak. Była zziębnięta i słaba, jakby miała grypę, i czuła, że coś szorstkiego otacza jej szyję.

— Ach, ocknęłaś się — usłyszała głos Franka Mordanta. — Witaj z powrotem w krainie żywych.

Ponownie otworzyła oczy. Leżała na kłującym wełnianym kocu na podłodze, a Frank Mordant spoglądał na nią z uśmiechem. Jeszcze ktoś też na nią patrzył — opalony mężczyzna o zupełnie białych włosach.

— Tym razem przyprowadziłeś nam prawdziwą piękność — powiedział opalony. — Świetnie się spisałeś.

Frank Mordant przyklęknął obok Julii i pomógł jej usiąść. Zrobiło jej się niedobrze, podłoga powoli wznosiła się i opadała, jak pokład promu. Opuściła głowę między kolana i dopiero wtedy zauważyła, że jest naga.

Podniosła głowę, oszołomiona i zaskoczona. Frank Mordant nadal uśmiechał się do niej, jakby był to tylko jakiś niewinny żart.

— Co zrobiliście? Co ze mną wyprawiacie? — wymamrotała.

Zasłaniając piersi ramieniem, próbowała wstać, ale straciła równowagę i upadła na bok. Kiedy upadła, szorstkie coś wokół jej szyi prawie ją udusiło, więc sięgnęła ręką, żeby to zdjąć. Nie zdołała jednak. Był to gruby sznur, zawiązany w pętlę i otaczający jej szyję.

Ponownie spróbowała wstać i tym razem udało jej się uklęknąć.

— Co się dzieje? — jęknęła. — Co chcecie mi zrobić?

Frank Mordant chwycił za luźny koniec sznura i pociągnął. Pętla natychmiast zacisnęła się na szyi Julii. Dziewczyna spojrzała w górę i zobaczyła, że linka przechodzi przez duży hak zamocowany na środku sufitu.

Z niedowierzaniem spojrzała na Franka Mordanta. Poza nim i opalonym białowłosym w pokoju znajdowali się jeszcze trzej mężczyźni, stojący w kącie obok telewizora. Wszyscy byli w średnim wieku i byli elegancko ubrani. Śniady, spokojny mężczyzna z haczykowatym nosem. Krepy o kędzierzawej siwej czuprynie. Mały okularnik, prawdopodobnie Taj lub Malaj.

W pokoju ustawiono trzy reflektory, których światła padały prosto na Julię. Kamerę wraz ze statywem wyjęto z kąta i również skierowano na nią. W powietrzu unosił się zapach rozgrzanych żarówek, alkoholu i wyczekiwania. „Czekam na odpowiedź, F.G. Mordant”.

Julia już całkiem oprzytomniała i teraz z rosnącym przerażeniem spoglądała na tych wszystkich mężczyzn, reflektory i kamerę wideo. Czuła się niemal absurdalnie słaba i zupełnie bezbronna oraz tak wystraszona, że trzęsły jej się wargi i nie była w stanie mówić.

Frank Mordant i opalony mężczyzna wzięli ją za ręce i próbowali postawić na nogi. Natychmiast ugięły się pod nią kolana, lecz Frank Mordant napiął linę, która zacisnęła się na jej szyi, zmuszając dziewczynę do pozostania na nogach.

— Zadusisz mnie — wykrztusiła. — Proszę, nie duś mnie. Nie znoszę, jak coś ściska mi szyję.

— Cóż, jest tylko jeden sposób, żebyś przestała się dusić — uśmiechnął się Frank Mordant. — Musisz poluzować sznur. Hej, Tun — zwrócił się do mężczyzny o wyglądzie Malaja. — Proszę, zrób nam tę grzeczność i podaj tę drabinkę.

Malaj przyniósł drewnianą drabinkę ze stopniami zamiast szczebli i postawił ją przed Julią.

Przystanął na moment i przyjrzał się jej uważnie przez błyszczące okulary. W jego ciemnobrazowych oczach malowało się głębokie zaciekawienie, jakby oglądał jakiś eksponat w muzeum historii naturalnej. Popatrzył dziewczynie w oczy, a potem na jej nagie ciało. Frank Mordant znów szarpnął za linę.

— Jeśli wejdiesz na tę drabinę, Julio, sznur się rozluźni. Im wyżej wejdiesz, tym będzie luźniejszy.

— Nie możecie tego robić — zaprotestowała. — Nie możecie!

— A kto nam zabroni?

— Prawo! To napaść!

Frank Mordant zastanowił się, a potem powiedział:

— Tak, masz rację. To napaść. Chyba jednak nie sądzisz, że prawo ci pomoże?

— Puście mnie! — wrzasnęła. — Jesteście chorzy! Kompletnie stuknięci! Jeśli zaraz mnie nie uwolnicie...

— To co? — spytał Frank Mordant i uśmiechnął się leniwie, widząc, że przypomniła sobie o dźwiękoszczelnej wykładzinie.

— Puście mnie — jęknęła. — Proszę, wypuście mnie. Nikomu nie powiem o tym, co się tu stało.

Frank Mordant znów szarpnął sznur. Podniosła rękę i spróbowała rozluźnić pętlę, lecz była zbyt mocno zaciśnięta.

— Proszę, nie róbcie tego. Proszę, uwolnijcie mnie. Zrobię wszystko, co zechcecie. Proszę.

— Już robisz to, co chcę. No, czemu nie wejdiesz na drabinę i nie poluzujesz sznura?

Jeszcze mocniej pociągnął za linę i Julia mimo woli krzyknęła. Pociągnął znów i poczuła, że się dusi. Uniosła prawą nogę, znalazła pierwszy stopień i stanęła na nim. Potem lewą stopą namacała drugi. Sznur rozluźnił się i zdołała ściągnąć trzy hausty powietrza.

— Panie Mordant, nie wiem, czemu pan to robi...

— Moja droga, nie musisz wiedzieć. Masz tylko odegrać swoją rolę.

— Czy coś panu zrobiłam? Rozgniewałam pana czymś? Jeśli tak, to przepraszam. Naprawdę bardzo mi przykro i przysięgam na Boga, że jakoś to panu wynagrodzę.

Frank Mordant spojrział na nią tymi swoimi jastrzębimi, niebieskimi oczami i przez chwilę wydawało jej się, że dostrzegła w nich błysk współczucia.

— Panie Mordant, jeśli zrobiłam coś złego, cokolwiek, to naprawię to. Zostawiłam w kraju rodzinę, która będzie się o mnie martwić. Matkę i brata. Mojego brata. To dobrzy ludzie, panie Mordant. Niech pan robi, co pan chce, ale niech pan nie przysparza im cierpień.

Opalony białowłosy mężczyzna odwrócił się do pozostałych i z drwiącym niedowierzaniem rozłożył ręce.

— Dlaczego one zawsze to robią? Dlaczego zawsze odwołują się do sentymentów? Pomyślałbyś, że będą szaleć, miotać się i wierzgać, no nie? Chcę powiedzieć, że ja bym tak robił, gdyby ktoś tak ze mną postępował.

Malaj, nie odrywając oczu od Julii, odparł z leciutkim uśmiechem:

— To dlatego, że boisz się śmierci, Roy. Wiesz, co cię czeka na tamtym świecie.

Julia uświadomiła sobie, że się pomyliła. To, co dostrzegła w oczach Franka Mordanta, wcale nie było współczuciem. Był to tylko drapieżny błysk, jak u szykującego się do ataku węża. Owinął sznur wokół ręki, likwidując luz, jaki Julia uzyskała, wchodząc na drabinę.

— Nie — wycharczała. — Proszę, nie...

Śniadoskóry mężczyzna z haczykowatym nosem niecierpliwie zerknął na zegarek. Przerazona Julia stwierdziła, że jest znudzony. Tak ją to przeraziło, że łzy napłynęły jej do oczu. Była naga, okropnie upokorzona, a on się nudził.

— Puśćcie mnie! — wrzasnęła. — Nie zniosę tego dłużej! Puśćcie mnie!

Frank Mordant mocno szarpnął linę.

— Nie zniesiesz tego dłużej? Więc wejdź na następny stopień. No już! Tylko w ten sposób poluzujesz sznur!

Usiłowała potrząsnąć przecząco głową, ale on znów pociągnął za linę i tym razem zobaczyła wszystkie gwiazdy. Weszła na następny stopień, a potem na kolejny i teraz tylko jeden dzielił ją od szczytu.

— Nie ujdzie wam to na sucho — szepnęła. — Przysięgam Bogu, że nie ujdzie wam to na sucho.

Frank Mordant znów pociągnął linę.

— Chciałaś być w telewizji, prawda? — zapytał. W jego głosie nie było sarkazmu ani triumfu. Po prostu był zadowolony. — Chciałaś być sławna? No cóż, wierz mi lub nie, ale twoje życzenie niedługo się spełni. Będą cię oglądać tysiące zaciekawionych widzów, przez wiele lat! Kto wie, może ten film przejdzie nawet do telewizyjnej klasyki!

Weszła na ostatni stopień drabinki. Jej głowa znajdowała się w odległości zaledwie dziesięciu centymetrów od sufitu, lecz sznur był napięty jak struna. Frank Mordant uklęknął, zdjął czarne nakrycie z kanapy i przywiązał do niej koniec sznura. Zrobił to tak zręcznie, że Julia nabrała pewności, iż robił to już przedtem.

Przez chwilę wszyscy stali nieruchomo: Julia na szczycie drabiny i czterej obserwujący ją mężczyźni. Pętla na jej szyi była zaciśnięta tak mocno, że dziewczyna ledwie mogła przełknąć ślinę i oddychała z ostrym, głośnym świstem. Podniosła obie ręce i chwyciła sznur, obawiając się, że Frank Mordant zabierze jej drabinę.

— Zobaczą to na całym świecie, Julio. W Niemczech... Niemcy uwielbiają takie rzeczy, chociaż nie przyznają się do tego. W Holandii, gdzie są tak liberalni, zawsze mamy doskonałe wyniki sprzedaży. Japonia... Cóż, wiesz, jacy są Japończycy. Zapłaciliby, żeby zobaczyć rozdeptanego ślimaka. I oczywiście w Ameryce. To największy rynek. Może ktoś cię rozpozna, nie wiadomo. Tak czy inaczej, Julio, będziesz nieśmiertelna.

— Proszę... — błagała.

Potem nie mogła już dłużej wytrzymać i zmoczyła się. Frank Mordant cofnął się, ale nic nie powiedział.

Julia próbowała myśleć o matce i ojcu. Usiłowała przywołać obraz ich twarzy, choćby po to, żeby się z nimi pożegnać. Starła się myśleć o bracie. Przywołać widok domu, werandy i psów wybiegających jej na spotkanie. Jednak widziała tylko sufit mieszkania Franka Mordanta. I myślała tylko o tym, że się dusi.

— Proszę, nie róbcie tego. Proszę.

Frank Mordant podszedł do niej i wyrwał spod niej drabinkę. Podkurczyła palce, usiłując ją przytrzymać, a kiedy zrozumiała, że ją zabrał, zaczęła rozpaczliwie pedałować nogami w powietrzu.

— Aaahh... — wycharczała. Trzymała się liny, ale ramiona już zaczynały ją boleć i była bliska hysterii. Wydawało jej się, że błyskawicznie traci siły, nie była w stanie dłużej zaciskać palców na sznurze. Jej dłonie ześlizgnęły się o centymetr. Zdołała utrzymać się jeszcze przez kilka sekund, a potem znów się zsunęła. Pętla tak mocno zacisnęła się na jej szyi, że nie mogła już wydobyć z siebie głosu. Gdyby tylko mogła podnieść się kilka centymetrów. Gdyby udało jej się chwycić hak. Jednak wiedziała, że nie zdoła. Wiedziała, że dusi się powoli i w żaden sposób nie zdoła się uratować.

Frank Mordant i jego kompani stali nieruchomo, wpatrując się w nią szeroko otwartymi oczami, z twarzami wykrzywionymi nieskrywaną żądzą, bardziej podobni do gargulców niż do

ludzi. Śniadoskóry raz po raz oblizywał wargi. Już nie był znudzony. Malaj włożył rękę do kieszeni spodni i poruszał nią rytmicznie. Na twarzy rumianego mężczyzny pojawiły się błyszczące krople potu.

Tylko Frank Mordant pozostał nieporuszony, obserwując, jak dziewczyna powoli obraca się na sznurze, wymachując nogami w powietrzu.

Prawa dłoń Julii ześlizgnęła się z liny nad jej głową. Próbowwała znów ją unieść, ale nie miała siły. Niemal natychmiast jej lewa dłoń ześlizgnęła się o centymetr, a potem jeszcze o jeden. Nie mogła już utrzymać się dłużej i nawet nie zamierzała próbować. W myślach powiedziała: „Boże, przebacz” — i puściła sznur.

Opadła w dół, zakołysała się i poczuła, jak pętla miażdży jej krtań. Myślała, że umrze od razu, jednak tak się nie stało. Oczy wyszły jej z orbit, a język jak czerwony ślimak wysunął się z ust.

Potrzebowała powietrza. Potrzebowała powietrza. Gwałtownie zakołysała się, wymachując rękami, jakby próbowała latać. Bez końca kręciła się w kółko i nie mogła się zatrzymać, i wciąż nie mogła oddychać. Nie mogła oddychać.

O Boże, pomóż mi, czy nigdy nie umrę...?

Ujrzała wirujące, oślepiające światła. Twarz Franka Mordanta kręciła się wokół niej. Podjęła jeszcze jedną rozpaczliwą próbę poderwania się do góry, aby złagodzić bolesny ucisk pętli — w oczach obserwujących ją mężczyzn wyglądało to tak, jakby szarpała się na niewidzialnej żyłce.

Przestała walczyć. Wszystko zalała fala czerwieni, która przeszła w czern.

Poczuła, że odpływa, i zdziwiła się, że naprawdę czuje, jak umiera, że naprawdę zdaje sobie sprawę z tego, że jej życie się kończy.

Jej ostatnią myślą było wspomnienie stokrotki, którą próbowała zerwać, kiedy miała zaledwie dwa latka. Widziała ją zupełnie wyraźnie, tuż przed sobą. Sięgnęła po nią, lecz zanim zdążyła jej dotknąć, płatki uleciały i na zawsze zniknęły w ciemności.

## ROZDZIAŁ 3

Josh miał niespodziewanie pracowity ranek. Po tym, jak w zeszłym miesiącu wyleczył utuczonego pekińczyka pani Delorme z ataków hysterii, wieść o jego umiejętnościach najwyraźniej rozeszła się od Mili Valley po Corte Madera i Sausalito, a nawet w samym mieście.

Na werandzie przed kuchnią jego domku czekało pięcioro ludzi z pięcioma psami i kotami, kobieta z ptasią klatką nakrytą kawałkiem materiału i chłopczyk z czymś w kartonowym pudełku. Był upalny, duszny dzień i jedna z klientek wachlowała syjamskiego kota egzemplarzem „National Enquirer”.

Josh zajmował się właśnie smutnym czarnym labradorem imieniem Valentino, który tracił wzrok. Valentino siedział na kuchennym stole, a jego pani głaskała go, drapała i nieustannie podkarmiła pralinkami. Była niską, krągłą kobietą o tłustych stalowosiwych włosach, upiętych w kok. Nosiła ogromne kolczyki, obszerne czerwono-żółte szorty i sandały na grubej podeszwie.

— Naprawdę nie powinna pani karmić go czekoladkami — zauważył Josh. — Czekolada odwadnia psy. Poza tym całkowicie niszczy jego system wartości. Jeśli przez cały czas dostaje słodczyce za samo siedzenie w miejscu, to skąd będzie wiedział, kiedy zrobi coś dobrego?

— On jest taki jak ja. Dokładnie taki sam jak ja. Oboje potrzebujemy nieustannej pociechy.

— Rozumiem — kiwnął głową Josh. Nie spierał się. On również uważał, że psy są jak ludzie. Właściwie uważał, że wszystkie zwierzęta są jak ludzie, i to było jedną z tajemnic jego sukcesu. W przeciwieństwie do większości weterynarzy rozumiał, że wszystkie zwierzęta oczekują od życia zabawy, snu i pożywienia oraz sporadycznych aktów nieodpowiedzialnej aktywności seksualnej.

Zajrzał Valentinowi w ślepią przez oftalmoskop. Nie znalazł żadnych śladów katarakty ani innej choroby oczu. Pies po prostu zdradzał objawy podeszłego wieku.

— Na czym polega problem? — zapytał Josh.

— Często wpada na różne rzeczy. No wie pan, na krzesła. Drzwi. I już nie cieszy go oglądanie telewizji.

— No cóż, to tak samo jak mnie. Jednak z jego oczami nie dzieje się nic złego, tylko stał się dalekowidzem, jak większość z nas na starość.

— Będą mu potrzebne okulary?

— Teoretycznie tak. Na razie jednak nie robią okularów dla psów.

— A powinni. Nie uważa pan, że powinni?

Josh pocieszająco poklepał Valentina.

— Ma pani rację. Powinni. Tylko że trudno byłoby skłonić psa, żeby czytał litery z tablicy. Mimo to może pani pomóc Valentinowi. Mogłaby pani spróbować z nim ćwiczeń metodą Batesa i zobaczyć, czy poprawi mu się wzrok.

— Co mam robić?

— Cóż, doktor Bates był nowojorskim okulistą, który wymyślił szereg rozmaitych ćwiczeń pozwalających lepiej widzieć bez okularów. Na przykład przemywanie oczu ciepłą i zimną wodą każdego ranka czy zakrywanie ich rękami dwa razy dziennie na dziesięć minut, żeby trochę odpoczęły, °raz jak najczęstsze mruganie. Mogłaby pani pomóc Valen—tinowi robić te wszystkie rzeczy. I oczywiście nie powinna Pani pozwalać mu oglądać telewizji przy zgaszonym świetle.

W wielkim żółtym notatniku pospiesznie opisał siedem ćwiczeń wchodzących w skład metody Batesa.

— Jeśli za parę tygodni jego stan się nie polepszy, proszę znów go przyprowadzić —

powiedział.

Właścicielka podniosła Valentina ze stołu i postawiła na podłodze. Pies natychmiast zobaczył się w opartym o ścianę starym lustrze w pozłacanych ramach i odskoczył, przestraszony.

— I niech pani spróbuje częściej go wyprowadzać — zaproponował Josh. — To pomoże, jeśli zmienia się odległość przedmiotów, na których ogniskuje się wzrok. W jednej chwili latarnia, w następnej ulica. Latarnia, ulica. Ulica, latarnia. W ten sposób poprawia się akomodacja.

Nie dodał, że jego pani również sprawia wrażenie, jakby gwałtownie potrzebowała takich ćwiczeń.

Otworzył kuchenne drzwi i wypuścił do ogrodu Valentina wraz z jego właścicielką. Z ławki natychmiast podniósł się wysoki mężczyzna w szortach koloru khaki i zaczął ciągnąć przez werandę warczącego bulteriera, który zostawiał ślady pazurów w deskach podłogi.

— Czy ten pies gryzie? — zapytał Josh.

— Tak, proszę pana — odparł dumnie właściciel. — Wszystko, od nogi mleczarza po rurę wydechową cadillaca. Kiedyś faceci z firmy telefonicznej kopali rów na ulicy, a on przegryzł łopatę.

— W porządku, niech go pan wprowadzi. Tylko proszę nie zdejmować mu kagańca.

— Hm, to będzie raczej trudne. Przyprowadziłem go z powodu ropnia na języku.

W tym momencie na ulicy przed domem, tuż za białym ogrodzeniem, zatrzymał się radiowóz. Wsiadł z niego ciemnowłosy zastępca szeryfa i podszedł do frontowych drzwi, obchodząc narożnik domu, przy którym rosły bugenwille. Josh usłyszał dzwonek i trzaśnięcie drzwi, gdy Nancy poszła otworzyć. Zawahał się, zaciekawiony, lecz wtedy bulterier zaczął kłapać zębami, warczeć i kręcić się w kółko za własnym ogonem, więc musiał zabrać psa do kuchni.

— Strasznie się ślini — powiedział właściciel, kiedy Josh postawił psisko na stole. — Mnie to nie przeszkadza, ale żona narzeka, że musi po nim sprzątać.

— Czy zauważył pan jakąś zmianę w jego sposobie poruszania się? — zapytał Josh.

— Raczej nie. Stawia nogę przed nogą, jak zawsze.

— Siad — rozkazał Josh, ale bulterier tylko na niego warknął. — Siad, do licha — powtórzył i obiema rękami nacisnął zad psa.

— On rzadko siada — oświadczył właściciel. — A przynajmniej nie wtedy, kiedy się mu każe.

Josh pokazał psu palec. Bulterier warknął i potrząsnął łbem, aż kropelki śliny poleciały na wszystkie strony. Josh przysuwał palec coraz bliżej psiego nosa, aż wreszcie bardzo delikatnie stuknął nim w czubek głowy bulteriera.

— Teraz usiądziesz — powiedział spokojnie. — Będziesz łagodny, grzeczny i przestaniesz warczeć.

Bulterier spojrzał na niego szeroko otwartymi ślepiami, a potem zaskowytał żałośnie i posłusznie usiadł.

— Jak pan to zrobił? — zapytał ze zdumieniem właściciel. — Ja mógłbym połamać kij na jego grzbiecie i nie posłuchałby.

— To alternatywne podejście do psów. Wykorzystuje się wrodzoną głupotę zwierzęcia — wyjaśnił Josh.

Już miał zdjąć bulterierowi kaganiec, kiedy do kuchni weszła Nancy. Swoje długie czarne włosy związała niebieską opaską. Miała na sobie jedną z kraciastych koszul Josha oraz wąskie spodnie z białego płótna żaglowego.

— Josh, przepraszam, że przeszkadzam, ale jakiś gliniarz chce się z tobą widzieć.

— Tak, widziałem go. Jezu, raz przejedziesz na czerwonym świetle i nie dadzą ci spokoju.

— Nie o to chodzi — odparła Nancy. — Chciał wiedzieć, czy masz siostrę o imieniu Julia.

— Julia? Czemu chce to wiedzieć? — Josh odwrócił się do właściciela bulteriera i rzekł: — Przepraszę pana na chwilkę, dobrze? Może tymczasem zdejmie pan psu kaganiec.

Właściciel bulteriera spojrział na niego jak na wariata.

— Hej, daj pan spokój! Przecież to pan jest lekarzem od zwierząt.

Josh wszedł do długiego i niskiego saloniku z meblami nakrytymi kilimami Nawajów oraz olejnymi obrazami zwierząt na pomalowanych na biało ścianach. Świnie, koguty, krowy, psy i znowu świnie. Zastępca szeryfa stał nieswój przy oknie, w idealnie uprasowanym garniturze, z kapeluszem w ręku.

— Pan Joshua Winward? — zapytał.

— Zgadza się. Czy coś się stało?

— Przykro mi, proszę pana. Obawiam się, że przynoszę naprawdę złe wieści. Chce pan usiąść albo co?

— Nie — odparł Josh. — Proszę mówić. Tata, pomyślał. Jego serce nie wytrzymało.

— No cóż, proszę pana, mieliśmy telefon z Londynu w Anglii. Pana siostra wczoraj została znaleziona martwa.

— Moja siostra? — powtórzył Josh. — Jak to „znaleziona martwa”?

Zastępca szeryfa zajrzał do swojego notesu.

— O piątej trzydzięci czasu londyńskiego patrol policji rzecznej wyłowił jej ciało z Tamizy w pobliżu miejsca zwanego Kew — powiedział.

Josh wymacał za sobą oparcie starego kolonialnego bujanego fotela i niezgrabnie usiadł. Julia? Nie mógł uwierzyć w to, co mówił policjant. Już od prawie roku nie miał od siostry żadnych wiadomości, ale wiedział, dlaczego uciekła do Anglii. Pisywał do niej od czasu do czasu, przekazując ostatnie plotki z Mili Valley, jednak właściwie nie spodziewał się żadnej odpowiedzi, dopóki nie będzie gotowa. Spojrzął na drugą stronę pokoju, gdzie nadal wisiało jej zdjęcie oprawione w drewniane ramki — uśmiechała się, jakby wszystko było w porządku. Wydawało się niewiarygodne, że może nie żyć.

— Czy oni wiedzą... — zaczął, ale musiał odchrząknąć. — Czy oni wiedzą, jak się to stało?

Zastępca szeryfa potrząsnął głową.

— Nawet jeśli tak, to nie powiedzieli. Przekazali mi tylko, że zostanie przeprowadzona sekcja zwłok i jeżeli wykaże coś istotnego, to dalsze informacje prześlą mi pocztą elektroniczną.

— Jak umarła? Wpadła do wody, została wepchnięta czy co?

— Nie wyjaśnili, proszę pana. Przykro mi.

— Hm... czy jest ktoś, do kogo mógłbym zadzwonić? Z kim pan rozmawiał?

Policjant zapisał nazwisko i wydarł kartkę z notesu.

— Proszę. Detektyw sierżant Paul, New Scotland Yard. Jest tu też numer telefonu.

Josh wziął karteczkę i podziękował.

— Gdybyśmy mogli jeszcze coś zrobić, proszę bez wahania dzwonić do biura szeryfa — dodał zastępca szeryfa. — Nazywam się Rudy Goralnik.

Został jeszcze przez moment, lecz kiedy Josh nie odezwał się, zmieszany policjant wymamrotał słowa pożegnania i odszedł. Nancy zamknęła za nim drzwi i wróciła do salonu. Josh spojrzął na nią.

— Nie żyje — szepnął. — Znaleźli ją w rzece.

Nancy uklękła przed nim i objęła go ramionami.

— Och, Josh. Tak mi przykro. Nie wiem, co powiedzieć.

— Angielska policja nie poinformowała ich, jak się to stało. Ale przecież nie skoczyła z mostu, prawda? Chyba nie próbowała się zabić? Wiem, że była przygnębiona i w ogóle, ale była bardzo silna, bardzo odporna. Nie odebrałyby sobie życia, nigdy. Ułożyłyby je sobie na nowo.



— Powiem twoim pacjentom, co się stało — zaproponowała Nancy. — Dziś już nie możesz przyjmować zwierząt.

Josh wyprostował się.

— Nie, nie, zrobię to sam. Przyszli z daleka.

Wrócił do kuchni, a Nancy tuż za nim. Człowiek z bulterierem nawet nie próbował zdjąć psu kagańca i czekał na Josha z lekko zmieszaną i zarazem wyzywającą miną.

— Przykro mi, proszę pana — rzekł Josh. — Będzie pan musiał przyjść innym razem.

— Posłuchaj pan, to, że jestem właścicielem tego psa, wcale nie świadczy, że umiem się z nim obchodzić, no nie? Myśli pan, że chcę, żeby odgryzł mi palce? Gram na gitarze hawajskiej.

Josh poklepał go po ramieniu.

— Nie ma sprawy. Proszę umówić się na inny termin, dobrze? Dzisiaj przychodzi jest zamknięta. — Wszedł na werandę i powiedział to samo pozostałym klientom. — Przepraszam — usłyszał swój głos — ale dotknęła nas rodzinna tragedia.

Urwał i nagle nie zdołał powstrzymać łez.

— Właśnie powiedziano mi, że moja siostra nie żyje — dodał po chwili.

Wszyscy podeszli do niego, by uścisnąć mu dłoń i wymamrotać kondolencje. Wkrótce na werandzie pozostał tylko chłopczyk.

— Przykro mi, mały — powtórzył Josh. — Dziś nie mogę już zajmować się zwierzętami.

Chłopczyk spojrział na niego z wyraźnym przygnębieniem. Josh zawahał się, a potem podszedł i rzekł:

— No dobrze, pokaż mi go.

Zdjął wieczko pudełka i zobaczył leżącego w środku świerszcza z jedną nogą.

— Chciałem tylko zapytać, czy mógłby pan przyszyć mu drugą nogę — powiedział chłopiec.

— Znalazłem ją, niech pan patrzy.

Pokazał starannie złożoną chusteczkę higieniczną. Josh pochylił się i czubkiem palca delikatnie trącił świerszcza. Owad upadł na bok.

— Przykro mi, mały — mruknął Josh. — Czasem nic już nie da się zrobić.

Zadzwoił pod numer, który dostał od zastępcy szeryfa. Powiedziano mu, że detektyw sierżant Paul już jest po służbie, ale może zadzwonić rano, około dziewiątej. A zatem o północy, według czasu pacyficznego. Josh przejrzał swój wytarty, nieuporządkowany notatnik z telefonami i znalazł ostatni londyński adres Julii — Agencja Pośrednictwa Pracy „Złota Róża” przy Earls Court. Zadzwonił tam, lecz zgłosiła się tylko mówiąca przez nos automatyczna sekretarka. Nie mógł zrobić nic więcej aż do wieczora, kiedy nad Londynem wzejdzie słońce i wszyscy wrócą do pracy. Weszła Nancy.

— Może kawy? — zapytała, obejmując go i całując.

— Myślę, że lepszy byłby Jack Daniels. Wiesz, co będę musiał zrobić, prawda? Muszę zadzwonić do rodziców.

— W porządku. Jack Daniels.

Tuliła się do niego jeszcze przez chwilę, a on przyjmował to z wdzięcznością, gdyż w tym momencie bardzo potrzebował jej siły. Zawsze była silna, co było jedną z cech, które tak bardzo go w niej pociągały. Jej zmarły ojciec był norweskim marynarzem floty handlowej, a matka pełnej krwi Indianką z plemienia Modoków. Nancy odziedziczyła po nich zdumiewające połączenie wystających kości policzkowych, ciemnej skóry i niebieskich oczu. A także wewnętrzną siłę i niewzruszone poczucie własnej wartości, które Josh podziwiał, chociaż czasami prowadziło do sporów. Kiedy w nocy leżał w łóżku, nie miał żadnych wątpliwości, kto przy nim śpi.

Nancy spała bardzo cicho, tak cicho, że nigdy nie słyszał jej oddechu i czasem budził ją, żeby upewnić się, że nie umarła. To zawsze ją irytowało, bo on sam chrapał jak całe zoo i nie mogła potem zasnąć. Jednak Josh od dziecka był hałaśliwy, nieporządny i niezorganizowany. Starał się poprawić. Usiłował być systematyczny. Z reguły jednak, zanim posprzątał po sobie, już zajmował się czymś nowym.

Był wysoki, jak jego ojciec Jack. Prawdę mówiąc, był tak do niego podobny, że matka zawsze nazywała go „Jack”. Miał osiemdziesiąt dwa na bosaka, chudzielec o ciemno-blond włosach, które wyglądały, jakby dopadł go Edward Nożycoręki. Miał pociągłą, przystojną twarz i piwne oczy, ale jako jedyny w rodzinie odziedziczył wydatny nos pradziadka. Odziedziczył po nim również niezwykle umiejętność obchodzenia się ze zwierzętami. Pradziadek przez długie lata pracował dla Barnuma & Baileya, zanim w końcu przyjechał do San Francisco i otworzył sklep zoologiczny na Folsom Street — „Winward’s World of Waggery”.

Josh jako dziecko kurował zgniecione ślimaki i karmił zakraplaczem porzucone pisklęta. Zawsze chciał zostać weterynarzem. Miał jednak tak nieortodoksyjne podejście do medycyny zwierzęcej, że on i California State Veterinary College rozstali się za obopólną zgodą. W college’u stosował zmienne pole elektromagnetyczne do poprawiania stanu zdrowia oraz podwyższania inteligencji kotów i uczył psy medytacji.

Przełknął łyk whisky, a potem wystukał numer rodziców w Santa Barbara. Telefon dzwonił bez końca i Josh wyobrażał sobie ojca mówiącego „A któż to, do diabła?”, niechętnie gramolącego się z leżaka i wchodzącego do domu. Wyobrażał sobie, jak człapie przez pomalowany na niebiesko przedpokój i podnosi słuchawkę. I rzeczywiście, po chwili usłyszał jego głos:

- Rezydencja Winwardów... Co tam znowu?
- Tato, tu Josh.
- Josh? Hej, jak to? Myślałem, że nie żyjesz.
- Tato, posłuchaj... Stało się coś strasznego.

Dokładnie o północy zadzwonił do detektywa sierżanta Paula. Zdrowy rozsądek mówił mu, że powinien dać mu kilka minut na dotarcie do biurka, ale nie mógł dłużej czekać. Mimo to ktoś natychmiast odebrał telefon i kobiecy głos warknął:

- Dochodzeniówka.
- Halo? Dzwonię ze Stanów Zjednoczonych. Chciałbym rozmawiać z detektywem sierżantem Paulem.
- To ja.
- Ach tak. Przepraszam, spodziewałem się...
- Wiem. Spodziewał się pan mężczyzny. To zrozumiałe. Zapewne dzwoni pan w sprawie Julii Winward.
- Zgadza się. Nazywam się Josh Winward i jestem jej bratem.
- No cóż, mam nadzieję, że przyjmie pan nasze kondolencje, panie Winward. Niewątpliwie to dla pana bardzo przykra wiadomość.
- Rzeczywiście, to był dla mnie wstrząs. Czy wiecie, jak się to stało? Moja siostra pojechała do Anglii, żeby dojechać do siebie po nieszczęśliwym romansie, ale nie była typem samobójczyni. Chyba że wydarzyło się coś, o czym nie wie nikt z naszej rodziny.
- To nie było samobójstwo, panie Winward.
- Jak to? Czy to oznacza, że ktoś ją wepchnął do rzeki?
- Ktoś ją wrzucił do Tamizy, proszę pana. Jeszcze nie mamy wyników sekcji, ale nie ma żadnych wątpliwości, że nie żyła, zanim znalazła się w rzece.

— Jesteście tego pewni?

— Całkowicie, proszę pana. Tak.

— Chcecie powiedzieć, że nie miała wody w płucach? Przepraszam, może oglądałem zbyt wiele kronik kryminalnych.

— Nie miała wody w płucach, proszę pana. — Policjantka zamilkła, po czym dodała: — Przynajmniej o ile nam wiadomo.

— Chce pani powiedzieć, że nie wiecie na pewno, czy w jej płucach była woda?

— Na razie nie. Ale ciało pańskiej siostry było uszkodzone.

— Uszkodzone...?

— Chyba należałoby raczej powiedzieć „okaleczone”. Naprawdę nie mogę więcej powiedzieć przez telefon. Jednak rozpoczęliśmy szeroko zakrojone śledztwo i pragnę pana zapewnić, że robimy wszystko, co w naszej mocy, aby znaleźć osobę lub osoby odpowiedzialne za śmierć pana siostry.

Josh musiał zrobić trzy głębokie wdechy. Czuł się tak, jakby jakiś ogromny ciężar uciskał mu pierś. Detektyw sierżant Paul zapytała:

— Jest pan tam jeszcze, panie Winward?

— Tak, jestem. Po prostu trochę mnie to... zaskoczyło.

— Przykro mi, proszę pana. Jednak nie mogę ukrywać, że chodzi o brutalne morderstwo. Ktokolwiek tego dokonał, jest niezwykle niebezpiecznym osobnikiem i sprawa pańskiej siostry ma absolutny priorytet. Czy ma pan konto pocztowe w Internecie?

— Tak, mam.

— W takim razie mogę przesłać panu kopie kilku artykułów prasowych. Jeśli tylko nie sądzi pan, że będą dla pana zbyt denerwujące.

— Nie, nie, skądże. Proszę to zrobić. W tej chwili... cóż, jeszcze nie może mi się to zmieścić w głowie.

— Chciałabym także zadać panu kilka pytań. Całe mnóstwo pytań.

— Proszę strzelać. Zrobię wszystko, żeby pani pomóc. Wszystko.

— Cóż, najpierw wyślę panu te artykuły. Mam tu na tacy dwa lub trzy. Może zadzwonię do pana za parę godzin?

— Jasne, bardzo proszę.

Odłożył słuchawkę. Pojawiła się Nancy w białym szalu narzuconym na ramiona. W dzień było ciepło, lecz teraz zapadła jedna z tych mglistych nadmorskich nocy, kiedy temperatura gwałtownie spada, i okna wyglądały tak, jakby roily się za nimi duchy marynarzy, którzy utonęli dawno temu.

— Powinieneś się przespać — powiedziała Nancy.

— Nie dziś wieczór — odparł Josh. — Najpierw muszę się dowiedzieć, co przydarzyło się Julii.

Przeczytali artykuły po dwa i trzy razy. Śmierć Julii była na pierwszej stronie „London Evening Standard”: OFIARA ROZPRUWACZA ZNALEZIONA W TAMIZIE. Większość tamtejszych gazet umieściła tę wiadomość na drugich stronach i we wszystkich podawano, że było to już siódme takie morderstwo w ciągu niecałych trzech lat.

W „Daily Telegraph” napisano, że „policja usilnie próbuje odwieść media od pochopnego wniosku, iż jest to dzieło seryjnego mordercy. Główny inspektor Kenneth Bulstrode przypomniał, że żadna z tych siedmiu kobiet nie została zamordowana w dokładnie taki sam sposób i nie wszystkie z nich doznały tak rozległych okaleczeń jak Julia Winward. Niektóre ofiary straciły tylko oczy lub wątroby, podczas gdy Julia Winward została, mówiąc bez ogródek,

„wypatroszona”.

Wypatroszona, pomyślał Josh. Nie mógł sobie tego wyobrazić. Nie chciał sobie tego wyobrażać.

Julia została zidentyfikowana zupełnie przypadkowo. Na prawym ramieniu miała wytatuowaną małą stokrotkę i pracownik salonu tatuażu w Soho rozpoznał obrazek pokazany w ITT News.

Łzy napływały Joshowi do oczu, kiedy czytał o tej stokrotce. Z jakiegoś powodu zawsze był to ulubiony kwiat Julii, która powiedziała mu, że symbolizuje „coś, czego nie możesz osiągnąć, jeszcze nie, ale może kiedyś zdołasz”.

Skończył czytać artykuł i ziewnął. Nancy mocno spała na podłodze, oddychając prawie bezgłośnie. Sięgnął po na pół opróżnioną szklaneczkę Jacka Danielsa i wtedy zadzwonił telefon.

— Pan Winward? Tu Paul. Otrzymał pan wycinki prasowe?

— Tak, dziękuję. Przeczytałem je.

— Nie ma pan nic przeciwko temu, żebym zadała kilka pytań przez telefon? To nie powinno potrwać dłużej niż godzinę.

— Mam lepszy pomysł. Dlaczego nie zada mi ich pani osobiście?

— Słucham...?

— Chcę powiedzieć, że zamierzam przylecieć do Londynu pierwszym samolotem, w którym będą wolne miejsca. Moja młodsza siostra nie żyje, pani detektyw. Nie zostawię jej ciała w obcym kraju, gdzie nikt się nią nie zajmie.

Zapadła cisza, a potem detektyw Paul powiedziała:

— W porządku. Rozumiem. Gdy tylko zarezerwuje pan bilet, niech pan do mnie zadzwoni i poda mi numer lotu. Ktoś przyjedzie po pana na lotnisko.

Josh odłożył słuchawkę i lekko potrząsnął Nancy.

— Co jest? — wymamrotała, mrugając oczami. — Trzęsienie ziemi?

— Pakuj się — powiedział. — Lecimy do Londynu.

## ROZDZIAŁ 4

Detektyw sierżant Paul czekała na nich na lotnisku Heathrow, gdy przechodzili przez odprawę paszportową. Trzymała tekturową tabliczkę z napisem „Winward”. Ku zaskoczeniu Josha okazała się filigranową Azjatką w eleganckim czarnym kostiumie i bluzce z brązowego jedwabiu, o włosach ciasno upiętych na czubku głowy. Była bardzo ładna i bardzo delikatna.

— Pan Winward? Jestem Indira Paul. Tak się cieszę, że zechciał pan przylecieć. Może pan nam ogromnie pomóc.

— Zrobię wszystko, co w mojej mocy — zapewnił ją Josh. Miał zatkany nos i zabrakło mu chusteczek.

Detektyw Paul zaprowadziła ich na parking dla krótko stojących pojazdów, gdzie upchali bagaże w jej mondeo. Josh przez pomyłkę o mało nie usiadł za kierownicą i musiał obejść samochód, żeby wsiąść z drugiej strony.

— Przepraszam. Zapomniałem, że wy tu jeździcie po lewej stronie.

Był ciepły, słoneczny dzień, prawie tak upalny jak w San Francisco. Kiedy jechali M4 do zachodniego Londynu, Josh widział różowo kwitnące wiśnie, zieleniące się krzewy i słońce odbite w oknach tysięcy podmiejskich domków i fabryk. Nad nimi rozpościerało się idealnie błękitne niebo, po którym jak flota Nelsona sunęły białe cumulusy.

— Wie pani, myślałem, że w Londynie zawsze pada.

— Czasem przestaje — odparła detektyw Paul. — I właśnie ostatnio mamy suszę. Dlatego znaleziono pańską siostrę... poziom wody w rzece opadł i ciało osiadło na płyciźnie. W przeciwnym razie woda mogłaby zanieść je znacznie dalej, może nawet do morza.

— Kto ją znalazł?

— Jacyś wędkarze szukający w mule robaków, w miejscu zwanym Strand-on-the-Green. Sądzymy jednak, że została wrzucona do wody znacznie dalej w dół rzeki.

— W dół...?

— Tamiza przybiera podczas przyptywu aż po Teddington Lock. Patolog ocenia, że ciało przebywało w wodzie około pięciu do sześciu godzin, co oznacza, że znalazło się w rzece tuż przed północą. W tym czasie zaczynał się przyptyw, który zaniósł zwłoki w górę rzeki. Wyliczyliśmy, jak daleko mógł je przenieść, zanim zaczął się odpływ. Uważamy, że zapewne została wrzucona do wody gdzieś między Southwark Bridge i London Bridge.

— Rozumiem — mruknął Josh, chociaż nie miał pojęcia, gdzie znajdują się te miejsca.

Siedząca z tyłu Nancy wyciągnęła rękę i dotknęła jego ramienia, żeby go pocieszyć. Poranne słońce migotało w samochodzie, gdy jechali po długiej estakadzie z wiktoriańskimi wieżami kościelnymi po jednej i błyszczącymi szklą biurowcami po drugiej stronie. Potem zjechali na trzypasmową ruchliwą ulicę z rzędami kamienic, hoteli i sklepów.

Josh jeszcze nigdy nie był w Anglii, ale nie wyobrażał sobie, że Londyn okaże się tak obcym miejscem. Budynki nie były wysokie, lecz ponure i masywne. Samochody były hałaśliwe i jeździły potwornie szybko, a chodnikami wędrowały tłumy ludzi. Słynne londyńskie czerwone autobusy nie sunęły majestatycznie przed siebie, jak to zawsze pokazują na filmach, lecz pędziły ulicami, wykastując chmury spalin, tak samo jak czarne taksówki. Detektyw Paul minęła Hyde Park Corner, gdzie sześć pasm ruchu rozchodziło się w dwanaście różnych stron, a gdy o mało nie zderzyła się z białą furgonetką malarzy i skręciła w Grosvenor Place, Josh zdołał tylko wykrztusić:

— Jezu!

W końcu dotarli do biura detektyw Paul w topornym, wzniesionym w latach sześćdziesiątych biurowcu New Scotland Yardu. Swoją wielką i zagraconą pokój z widokiem na sąsiedni budynek detektyw Paul dzieliła z czterema innymi policjantami. Wciąż dzwoniły telefony, ludzie wchodzili i wychodzili, a w odległym kącie jakiś detektyw marszczył brwi przed komputerem, jakby nie mógł zrozumieć, co to takiego.

— Może filiżankę kawy? — zaproponowała Indira Paul.

— Macie bezkofeinową? — spytała Nancy.

— Niestety nie. Mamy czarną i białą, z cukrem lub bez. Albo herbatę. Albo supę ogonową.

Poprzestali na dwóch colach. Usiedli obok otworu kanału klimatyzacyjnego, z którego buchał niemiłosierny żar. Słońce świeciło przez brudne szyby i raziło ich w oczy. Detektyw Paul usiadła za biurkiem i otworzyła teczkę zawierającą protokoły przesłuchań i fotografie.

— Zdaje pan sobie sprawę z tego, że skoro już pan tu jest, będę musiała pana poprosić o zidentyfikowanie ciała? — zapytała Josha.

— Tak, oczywiście. Spodziewałem się tego.

— Mam tu kilka fotografii. Może mógłby pan na nie spojrzeć i potwierdzić, że to ona.

Josh przełknął ślinę, a Nancy wyciągnęła rękę i położyła mu na ramieniu.

— W porządku — powiedział. Nagle zaschło mu w ustach.

Detektyw Paul podała mu jedno zdjęcie, a potem następne. Na pierwszym, obejmującym głowę od karku wzwyż, Julia leżała na bladezielonym tle, z otwartymi oczami, mokrymi rozczochranymi włosami i nabrzmiałą bladą twarzą. A więc to prawda, co powiadano, że duch po śmierci opuszcza ciało. To wyglądało jak Julia, lecz Julii po prostu już tam nie było.

Drugie zdjęcie ukazywało prawe ramię i małą wytatuowaną stokrotkę.

— To ona — stwierdził Josh. — To Julia. Jednak nigdy przedtem nie widziałem tego tatuażu.

— Cóż, jak już powiedziałam, właśnie dzięki niemu ją zidentyfikowano. Artysta od tatuażu zadzwonił do nas i powiedział, że przypomina sobie młodą Amerykankę, która zażyczyła sobie czegoś takiego. Najwyraźniej była bardzo rozmowna. Powiedziała mu, że dopiero co przybyła do Anglii, gdzie chce rozpocząć nowe życie. Usiłowała znaleźć pracę opiekunki do dziecka lub kogoś takiego, ale nie miała pozwolenia na pracę. Artysta skontaktował ją ze swoją dziewczyną, która знаła biuro pośrednictwa, nie zadające zbyt wielu pytań o pochodzenie i kwalifikacje.

— Czy to była Agencja Pośrednictwa Pracy „Złota Róża”? — zapytał Josh. — To ostatni telefon kontaktowy, jaki podała mi Julia.

— Zgadza się. Znaleźli jej pracę u rodziny z Arabii Saudyjskiej w Holland Park, miała opiekować się dwójką małych dzieci, ale wygląda na to, że niezbyt spodobało jej się to zajęcie. Pani domu traktowała ją jak niewolnicę. Kiedyś zbudziła ją o drugiej w nocy, żeby sprzątnęła kocie wymiociny. Co gorsza, pan domu wciąż robił jej awanse i rozchyłał przed nią szlafrok. Tak więc po trzech tygodniach odeszła.

— I co zrobiła?

Detektyw Paul pozbierała zdjęcia.

— Miałam nadzieję, że pan mi to powie. Nie kontaktowała się z wami?

— Nie odezwała się ani słowem. Kilkakrotnie dzwoniłem do biura pośrednictwa, ale powiedziano mi, że oni też nie mieli od niej znaku życia. Zakładałem, że znów skontaktuje się z nami, kiedy będzie gotowa. Nie zwróciła się do tej agencji, szukając nowej posady?

— Nie. Zawiadomiła ich telefonicznie, że rezygnuje z pracy u tej rodziny z Arabii Saudyjskiej, i wtedy rozmawiali z nią po raz ostatni. Nawet nie odebrała pensji, a oni nie wiedzieli, dokąd mają przesłać pieniądze.

— Nie znali jej adresu?

Detektyw Paul potrzęsnęła głową.

— Powiedziała im, że czasowo zatrzymała się w hotelu „Paragon” przy Earls Court. To bardzo tani hotelik, piętnaście funtów za noc, popularny wśród plecakowych turystów. Jednak nie mieszkała tam. Recepcja zawsze zatrzymuje paszporty gości... no wie pan, żeby nie uciekli nie płacąc. Od roku nie przebywała u nich żadna samotna Amerykanka.

— I nikt inny nie wie, gdzie mogła być?

Detektyw Paul przecząco pokręciła głową.

— Nikt. Jednak rozesłaliśmy jej zdjęcia do mediów i próbujemy załatwić, by w „Crimewatch” odczytano komunikat z prośbą o wszelkie informacje. To program telewizji BBC, w którym zwracamy się do widzów, prosząc o pomoc w rozwiązaniu różnych spraw kryminalnych. Zazwyczaj z pozytywnym skutkiem.

— Proszę — rzekł Josh, wyjmując z kieszeni płaszcz kopertę. — Przywiozłem kilka jej zdjęć, może się przydadzą. Większość zrobiono tuż przed jej wyjazdem do Anglii.

Detektyw Paul przejrzała fotografie i wybrała dwie.

— Mogę je pożyczyć? Na pewno je zwrócimy.

— Jasne. — Josh zabrał pozostałe fotki i popatrzył na zdjęcie Julii stojącej przed księgarnią w Mili Valley. Osłaniała oczy dłonią przed rażącym słońcem. Potrząsnął głową i zapytał: — Jak mogła tak zniknąć, nie zostawiając najmniejszego śladu?

— Ludzie robią to codziennie, panie Winward. W Londynie mieszka osiem milionów ludzi i nietrudno wśród nich zniknąć, szczególnie jeśli ktoś sobie tego życzy.

Zjedli lunch w pubie „The Frog & Waistcoat”, na tyłach Victoria Station. Lokal był zadymiony, hałaśliwy i wypełniony tłumem urzędników oraz znużonych podróżnych z nadmierną ilością wypchanych bagaży.

Josh zamówił pasztet pasterski i kufel piwa Young, a Nancy lasagnę jarzynową i szklanę wody Perrier. Zdołali znaleźć miejsce w kącie obok drzwi do toalety i wcisnąć walizki pod stolik.

— Mam wrażenie, że znalazłem się w powieści Dickensa — mruknął Josh. Wszyscy wokół rozmawiali bardzo głośno, ale nie mógł zrozumieć ani słowa. Zawsze sądził, że Anglicy mówią taką samą angielszczyzną jak na filmach, zwięzłą i precyzyjną, a tymczasem słyszał bełkotliwy potok wymowy i nie wiedział, gdzie kończy się jedno słowo i zaczyna drugie. Kiedy zamówił pasztet, barman zapytał go powtórnie, czy chce pasztet.

— Tak, pasztet.

— Pasztet z czego?

— Przepraszam, nie rozumiem.

— Zwyczajny pasztet, wyborowy, z Guinessem czy jaki? Niewiele brakowało, by zaczął porozumiewać się na migi, ale kiedy dziewczyna za ladą zapytała, czy Nancy chce przybranie, stwierdził, że nawet język znaków im nie pomoże. Pomyślał, że pewnie bezwiednie naruszyli jakieś niepisane reguły określające obowiązujący w pubie strój.

— Chyba to była pomyłka — powiedział, dziobiąc widelcem pasztet.

— Jeśli uważasz, że to była pomyłka, to powinieneś spróbować tej lasagny.

— Nie, mówię o przyjeździe tutaj. Policja nic nie wie.

— Och, daj spokój, Josh. Musisz dać im czas. To cud, że w ogóle dowiedzieli się, kim była.

— Pewnie masz rację. Tylko gdzie, do diabła, Julia podziwiała się przez dziesięć ostatnich miesięcy? Powinna zostawić adres, pod który przekazywano by korespondencję.

— Jeśli powiedziała w biurze pośrednictwa pracy, że zatrzymała się w „Paragon” przy Earls Court, to musiała przynajmniej znać ten hotel, nawet jeśli w nim nie zamieszkała. Może powinniśmy rozejrzeć się po Earls Court i sprawdzić, czy nie znajdziemy kogoś, kto ją pamięta.

— Nie sądzisz, że robi to policja?

— Jestem pewna, że tak. Ale chyba nie zaszkodzi, jeśli i my spróbujemy.

Josh ostrożnie spróbował pasztetu.

— Niesamowite — mruknął po chwili. — Nie smakuje mi, ale mam ochotę na więcej. — Po krótkim milczeniu dodał: — Jak myślisz, co to jest „przybranie”?

Nancy zignorowała to pytanie i powiedziała:

— Moglibyśmy powielić powiększenie jednego z tych zdjęć Julii i porozklejać je na słupach. No wiesz, z napisem: „Czy ktoś widział tę dziewczynę?”.

Josh skinął głową.

— To dobry pomysł. — Odsunął talerz i otworzył przewodnik po Londynie. — Zdaje się, że jesteśmy tutaj, prawda? Earls Court jest tu, zaledwie trzy przystanki metra dalej. Jeśli znajdziemy tam jakiś hotel...

Pojechali metrem na Earls Court. Josh jeszcze nigdy nie jechał metrem i uznał, że jest jak pociąg-widmo: z ciemnością za oknami i ponurym stukotem kół. Wyjechali w przyćmiony blask Earls Court Road, gdzie chodniki były zatłoczone młodymi ludźmi czekającymi nie wiadomo na co — Azjatami, Australijczykami i francuskimi studentami oraz starszyskami pchającymi wózki na zakupy. W powietrzu unosił się ostry zapach hamburgerów z cebulą.

Hotel „Paragon” znaleźli dwie ulice dalej, w Barkston Gardens — był to edwardiański budynek z czerwonej cegły, z oblażącą kremową farbą i firankami szarymi jak pajęczyna. W środku był ponury i przegrzany, z wytartą do cna szkarłatną wykładziną. W recepcji siedziała otyła tleniona blondyna w o wiele na nią za ciasnej czarnej garsonce.

— Jeśli szukacie pokoju, moi drodzy, to przykro mi, ale mamy komplet.

— Nie, nie potrzebujemy pokoju. Zastanawialiśmy się, czy czasem nie widziała pani tej dziewczyny — powiedział Josh i podał jej zdjęcie Julii przed księgarnią. — Mniej więcej rok temu, na wiosnę.

Kobieta włożyła okulary do czytania i uważnie obejrzała fotografię.

— Nie — oświadczyła po chwili. — Nie sądzę. No wiecie, oni przychodzą i odchodzą tysiącami, ci młodzi ludzie, a dla mnie wszyscy wyglądają tak samo. Wszyscy czegoś szukają albo przed czymś uciekają.

— Jest pani pewna, że jej pani nie pamięta?

— Naprawdę chciałabym wam pomóc, ale nie potrafię. Przykro mi. Zaginęła, tak?

— Można tak powiedzieć. Nie żyje.

— Och, naprawdę mi przykro. Może to ta dziewczyna, o którą pytała policja? Ta Amerykanka?

— Zgadza się, Julia Winward. To moja siostra. Była moją siostrą.

— Straszna tragedia — wymamrotała kobieta, potrząsając głową. — Taka młoda. No wiecie, oni przychodzą i odchodzą tysiącami, a ja czasem mam ochotę złapać ich, potrząsnąć i zapytać: „Dokąd zmierzacie? Czego szukacie, do licha?”. Mimo to przybywają, rok za rokiem. Są pełni nadziei. Wędrują Bóg wie dokąd, szukają Bóg wie czego.

— Zamierzamy powielić to zdjęcie — powiedziała Nancy. — Moglibyśmy przypiąć tu jedno?

— Och, oczywiście. Proszę bardzo. Ale wiecie, co powinniście zrobić? Zamówcie jedno duże zdjęcie, wielkości plakatu, i stańcie z nim przed stacją metra. Postójcie tam przez cały dzień. Jeśli w ogóle tu była, prędzej czy później ktoś ją rozpozna.

— Dziękuję, jest pani bardzo miła — odparł Josh.

— Nie ma o czym mówić. Ja też kogoś straciłam. Mojego jedynego syna, Terence’a. Pojechał do Indii, jeszcze w czasach Beatlesów. Nie mam pojęcia, czego tam szukał. Wszyscy kończymy z dwójką dzieciaków, obciążoną hipoteką i wysłużonym datsunem, no nie? Nie potrzebujemy



żadnego guru, żeby nam to przepowiedział.

Wyjęła z kieszeni koronkową chusteczkę i otarła nią nos.

— On umarł, ten mój Terence — dodała. — Na żółtaczkę. Taka strata. Zawsze prasowałam mu do szkoły koszulę. Robiłam kanapki. A oni spalili go i wsypali jego prochy do tego cholernego Gangesu.

Znaleźli hotel z widokiem na West Brompton Cemetery, prawdziwy wiktoriański cmentarz z pochylonymi nagrobkami i płaczącymi aniołami. Hotel był siedmiopiętrowym betonowym blokiem z klimatyzacją, niebieskimi dywanami i tłumem zdumionych Japończyków przy recepcji. Równie dobrze mógł znajdować się gdziekolwiek indziej i właśnie czegoś takiego Josh szukał. Kiedy jechali do góry windą, zobaczył swoje odbicie w drzwiach z nierdzewnej stali i pomyślał, że wygląda jak duch. Miał rozczochrane włosy, przekrwione oczy i nos dwa razy większy niż zwykle. Po pierwszym dniu pobytu w Londynie czuł się przygnębiony i znużony. Rozpaczliwie potrzebował zimnego piwa, prysznic i telewizyjnej papki.

Stał pod prysznicem tak długo, aż zaróżowiła mu się skóra, a potem położył się na łóżku w gratisowym szlafroku sieci hoteli Sheridan, oglądając w telewizji Simpsonów i popijając z puszkii piwo Harp. Była czwarta i słońce opadło znacznie niżej. Nancy wyszła z łazienki, wycierając włosy ręcznikiem.

— Nie wiem, jak można przyjechać do Anglii i oglądać Simpsonów. Poza tym ty przecież nienawidzisz tego programu.

— No tak, ale przynajmniej rozumiem, co mówią. Zabrałaś nitkę do czyszczenia zębów?

— Zapomniałam. Musimy kupić.

— W Anglii pewnie w ogóle nie słyszeli o nitkach do czyszczenia zębów. Albo nazywają je zupełnie inaczej, na przykład „spodniami”...

— Nie panikuj. Dopóki mnie nie poznałeś, nigdy nie używałeś nici do czyszczenia zębów.

— Jasne, że używałem. Próbujesz zrobić ze mnie jakiegoś zwierzaka.

— Jesteś zwierzakiem. W znacznie większym stopniu niż jakikolwiek znany mi mężczyzna. Jesteś delikatnym, uczuciowym głupkiem z psychozą maniackalno–depresyjną.

— I w dodatku cię kocham.

Nancy podeszła do okna i rozsunęła firanki, a Josh wygramolił się z łóżka i dołączył do niej. Sześć pięter niżej widzieli rzędy podwórek. Na niektórych znajdowały się szopy, różowo kwitnące drzewa, zardzewiałe wraki samochodów lub sadzawki z rybkami. W oddali, w popołudniowej mgiełce, zobaczyli tysiące kominów, wieżyczek i dachów oraz drzewa. Josh nigdy nie widział miasta, w którym rosłoby tyle drzew. Otworzył przewodnik.

— Mamy tu widok na południowy wschód, w kierunku Fulham — poinformował Nancy.

— Oni wymawiają to „Fullum”. Słyszałam, jak tak mówiła kobieta w recepcji.

— W porządku, Fullum. Za Fullum jest Walham Green, tyle że oni pewnie mówią „Wallum”.

A za Wallum Green płynie Tamiza.

Zamknął przewodnik.

— Nie wiem, czy chcę oglądać Tamizę. Wciąż myślę o pływającej w niej Julii. W górę rzeki. Okaleczonej.

Nadal patrzyli przez okno, gdy w telewizji zaczęły się wiadomości, „...na Środkowym Wschodzie... sześciu Izraelczyków zabitych i dwóch ciężko rannych... Policja przekazała nam dziś nowe zdjęcie zamordowanej kobiety, którą dwa dni temu wyłowiono z Tamizy... Panna Julia Winward, lat dwadzieścia pięć, z San Francisco w Kalifornii, może być siódmą ofiarą seryjnego zabójcy, który okalecza ofiary i wrzuca je do rzeki w pobliżu Southwark Bridge... Jeśli ktoś znał Julię Winward lub widział ją w ciągu ostatnich dwunastu miesięcy, proszony jest o

telefon do New Scotland Yardu, pod specjalny numer...”.

— Widzisz, że robią wszystko, co mogą — powiedziała Nancy, nawijając na palec kosmyk włosów Josha.

— Jasne — odparł. Nie mógł oderwać oczu od fotografii na ekranie telewizora, z której uśmiechała się do niego Julia. Pamiętał ten ranek, kiedy zrobił jej to zdjęcie. Pamiętał go tak dobrze, jakby to było dziś.

Po południu, tuż przed piątą, pod hotel podjechało policyjne metro, by zabrać ich do kostnicy St Thomas Hospital. Samochód był tak mały, że Josh musiał wypróbować trzy sposoby podwijania nóg, zanim wpasował się w przednie siedzenie. Pojechali wzdłuż Embankment i Josh po raz pierwszy zobaczył Tamizę, błyszczącą złościście w popołudniowym słońcu.

Przez chwilę patrzył na nią znad swoich sterczących kolan.

— Jest znacznie szersza, niż sobie wyobrażałem — powiedział do wiozącego ich młodego konstabla. — Myślałem, że będzie bardzo wąska. I brudna.

— Och nie, proszę pana, jest teraz znacznie czystsza niż kiedyś. Nawet niedawno złapano w niej łososia, ale aż w Chelsea Harbor. Chociaż wolałbym w niej nie pływać. Za dużo paskudnych prądów.

Josh pomyślał o „paskudnych prądach”, które uniosły ciało Julii w górę rzeki, jak Ofelię. Potem przejeżdżali wokół Parliament Square i po raz pierwszy ujrzał Westminster Abbey oraz gmachy parlamentu i Big Bena. San Francisco, z jego drewnianymi domami i trolejbusami, zawsze wydawało mu się historyczne, lecz Londyn był historyczny w inny sposób: starszy, mroczniejszy, znacznie bardziej skomplikowany, o wiele bardziej złożony. W jakiś sposób czuł się tu zagrożony — jakby Brytyjczycy wiedzieli coś, o czym on nie miał pojęcia, i nie zamierzali mu powiedzieć, co to takiego.

Przejechali przez Westminster Bridge.

— „Nie masz na ziemi piękniejszego widoku” — zacytował młody konstabl.

— Słucham?

— To William Wordsworth. Tak napisał o tym, co widział z Westminster Bridge.

— Napisał to tutaj?

— Hm, nie. Sądzę, że najpierw wrócił do domu.

Josh obrócił się i spojrzał na konstabla.

— Mogę spytać, jak się pan nazywa?

— Oczywiście, proszę pana. Konstabl Smart.

— No tak — mruknął Josh. — Mogłem się domyślić\*<sup>1</sup>.

Dozorca kostnicy włączył kamerę telewizyjną i Josh nagle zobaczył Julię. Jej twarz była opalizująco szara, jak u wszystkich topielców. Oczy miała otwarte i spoglądała z ekranu monitora prosto na niego.

— Tak — potwierdził. — To ona.

— Dziękuję, panie Winward — powiedziała detektyw Paul i wyprowadziła go z pokoju.

— Czy to wszystko? — zapytał Josh.

— Na razie tak. Jednak zależnie od reakcji widzów w ciągu najbliższych trzydziestu sześciu godzin może poprosimy, aby wystąpił pan w telewizji z apelem do ewentualnych świadków. Nie miałby pan nic przeciwko temu, prawda?

Potrząsnął przecząco głową. Zaczynał już odczuwać skutki różnicy czasów. Podłoga pod nim unosiła się i opadała.

---

1\* *Smart* = spryciarz (przyp. tłum.).

— Wracajmy do hotelu, dobrze? — zaproponowała Nancy. — Myślę, że masz już dość jak na jeden dzień.

Ruszyli długim korytarzem, pachnącym jakimś środkiem odkażającym. Z przeciwnej strony zbliżała się do nich kobieta na wózku inwalidzkim, pchanym przez szpitalnego posługacza w turbanie. Była tak stara, że wydawała się niemal przezroczysta: miała białe włosy, białą skórę i bezbarwne oczy. Kiedy ją mijali, szepnęła:

— Jack.

## ROZDZIAŁ 5

Josh zamarł, a potem powoli odwrócił się i popatrzył na odjeżdżający wózek.

— Co się stało? — spytała Nancy.

— Ta staruszka... właśnie zwróciła się do mnie po imieniu. Powiedziała „Jack”.

— Och, daj spokój, wydawało ci się. Skąd mogłaby znać twoje imię?

— Przysięgam, Nance. Powiedziała „Jack”.

Detektyw Paul niecierpliwie spojrzała na zegarek.

— Przepraszam, ale spóźnię się na spotkanie — oświadczyła. — Może zadzwonię do pana jutro rano.

— Och tak, oczywiście — odparł Josh, nadal patrząc w ślad za staruszką. Posługacz przepchnął fotel przez podwójne wahadłowe drzwi i zniknęli. Josh wahał się przez chwilę, a potem ruszył za nimi.

— Zaczekaj! — krzyknęła Nancy i pobiegła za nim. Indiańska naszywana paciorkami torba objęła się jej o udo.

Josh pchnął podwójne drzwi i na tle okna przy końcu korytarza ujrzał sylwetki kobiety i opiekującego się nią sikh.

— Chwileczkę! — zawołał i pognał za nimi.

— Josh, jesteś stuknięty! — wysapała Nancy, usiłując dotrzymać mu kroku.

Dogonił ich w chwili, gdy sikh już miał otworzyć drzwi z napisem „Rentgenografia — nieupoważnionym wstęp wzbroniony”.

— Przepraszam — wysapał — ale wydaje mi się, że ta pani wymówiła moje imię.

Sikh spojrzał na niego beznamiętnie.

— Ona ma mieć prześwietlenie. Pan wybacz.

Josh pochylił się nad wózkiem i wziął staruszkę za rękę. Jej skóra była cienka i pomarszczona jak bibułka. Obrzuciła go uważnym spojrzeniem i obdarzyła czymś w rodzaju uśmiechu. Była tak stara, że nie dało się dostrzec śladów jej dawnej urody, ale Josh wiedział, że nigdy nie była brzydka.

— Wymówiła pani moje imię. Tam, na korytarzu, powiedziała pani „Jack”.

— Jack jest zręczny, Jack umie biec — szepnęła tak cicho, że ledwie zdołał ją usłyszeć.

— Skąd pani zna moje imię? Tak nazywa mnie tylko matka.

— Wiem, czego szukasz, Jack. Jednak nie znajdziesz tego, wiesz? Chyba że poszukasz tutaj...

Długim, białym jak kreda paznokciem postukała się w czoło.

— Nie rozumiem, o czym pani mówi.

— I nie zrozumiesz. Chyba że będziesz zręczny. Chyba że będziesz szybki.

— Przepraszam pana — przerwał im posługacz. — Ta pani musi jechać na prześwietlenie.

Josh wyprostował się powoli. Może ta staruszka wcale nie wyszeptała jego imienia. Może była zdzieciniała i po prostu powtarzała sobie dziecianną rymowaną z czasów, które jeszcze pamiętała.

— Proszę uważać na siebie — powiedział jej i odwrócił się, by odejść. Ale ona nagle wyciągnęła rękę i złapała go za rękaw.

— Polly, zostaw pana w spokoju — powiedział z uśmiechem posługacz. — Nasza Polly lubi mężczyzn... prawda, Polly?

Jednak staruszka nadal trzymała Josha za rękaw i nie zamierzała puścić. Popatrzyła na niego oczami barwy gotowanego sztokfiszka i syknęła:

— Sześcioro drzwi ma London Town, me dziecię. Sześcioro drzwi w Londynie też znajdziecie. Lecz któż to wie, w którą patrzą stronę? I któż to wie, kędy szczerze są zwrócone?

— Wystarczy, Poiły — przerwał jej posługacz i zanim Josh zdążył zapytać starszkę, o czym mówiła, oboje zniknęli za drzwiami gabinetu.

— Co to było, do licha? — zapytała Nancy. Josh pokręcił głową.

— Nie mam pojęcia. Dla mnie brzmiało to jak dziecinna wyliczanka.

Posługacz-sikh wyszedł z gabinetu, pchając pusty fotel.

— Przepraszam, jeśli Polly pana zdenerwowała. To bardzo stanowcza dama, choć ma już sto jeden lat.

— Sto jeden? Aż tyle?

— W zeszłym tygodniu obchodziła urodziny. Jak na jej wiek, wspaniale się trzyma. Tylko lubi zaczepiać ludzi.

— Czy pan wie, o czym ona mówiła? O jakie sześcioro drzwi w Londynie chodziło?

Posługacz obdarzył go szerokim uśmiechem, ukazując mnóstwo złotych zębów.

— Przykro mi. Nigdy nie słucham, co oni wszyscy mówią. Kiwam głową, mówiąc „tak”, „nie”, „naprawdę” lub „to okropne”. Nie można słuchać ich po całych dniach. Człowiek zupełnie by zgłupiał.

— To mogła być jakaś wyliczanka... „Sześcioro drzwi ma London Town, me dziecię”.

Posługacz wciąż się uśmiechał.

— Wychowałem się w Pendżabie — powiedział. — Po angielsku zacząłem mówić dopiero w wieku siedemnastu lat.

— Rozumiem, dziękuję — mruknął Josh i razem z Nancy wrócił do frontowych drzwi szpitala, gdzie czekał na nich konstabl Smart.

— Wszystko w porządku? — zapytał. — Z powrotem na Earls Court, tak?

— Tak, proszę.

Dochodziła jedenasta i Josh chciał odebrać zdjęcia Julii z laboratorium Kall-Kwik.

Kiedy przedzierał się przez zatłoczone ulice, Nancy spytała:

— Czy tu zawsze jest taki ruch?

— Dziś nie jest tak źle. Przynajmniej nie ma żadnej demonstracji ani debaty w parlamencie. Wtedy naprawdę jest strasznie — odparł konstabl.

Przez chwilę siedział, milcząc i bębniąc palcami o kierownicę, a potem dodał:

— Nie ma jednak powodów do obaw. Niedawno opracowano raport, z którego wynika, iż londyńskie pojazdy poruszają się dziś z taką samą przeciętną szybkością jak w tysiąc osiemset dziewięćdziesiątym ósmym roku.

— Sporo pan wie o Londynie.

— Wiem dużo o wielu rzeczach. To moje hobby: wiedza ogólna. Mam też coś dla pana... czy więcej ludzi ginie podczas katastrof lotniczych, czy w wypadkach z udziałem osiołków?

— Naprawdę nie mam pojęcia.

— W wypadkach z udziałem osiołków. Zdumiewające, prawda? Tak więc, wracając do Stanów, proszę raczej korzystać z samolotu, a nie z osła. Obiecuję, że będziecie mi za to wdzięczni.

Josh z niedowierzaniem spojrzął na Nancy. Zaczynał mieć wrażenie, że bierze udział w przydługim skeczu zespołu Monty Pythona. Nancy musiała odczuwać to podobnie, bo chwyciła jego dłoń i lekko uściśliła.

— Czy słyszał pan kiedyś dziecinną rymowanekę o sześciorgu drzwiach w Londynie? — zapytał Josh konstabla Smarta.

— Tak, proszę pana. Śpiewała mi ją moja niania. „Sześcioro drzwi ma London Town, me

dziecię... Sześcioro drzwi w Londynie też znajdziecie”.

— Czy pan wie, co oznaczają te słowa?

— Nie mam zielonego pojęcia. Przykro mi.

— Wydają się zupełnie bez sensu, prawda? Sześcioro drzwi w mieście Londyn i sześcioro drzwi w Londynie.

— Oczywiście, proszę pana. Chyba że było ich dwanaścioro.

Josh przez chwilę spoglądał przez okno. Właśnie odbili w bok od rzeki i przejeżdżali między ciemnoszarymi fasadami wiktoriańskich domów Fulham. Słońce zaszło i nagle wszystko nabrało niesamowitego wyglądu.

— Jak pan myśli, gdzie mogę znaleźć kogoś, kto wie, co oznacza ten wierszyk?

— Nie potrafię powiedzieć, proszę pana. Ale pewnie jest o tym jakaś książka w bibliotece.

— W porządku, dziękuję.

— Chyba nie uważasz, że to ma jakiś związek z Julią? — zapytała Nancy. — Ta biedna kobieta cierpi na demencję starczą.

— Wiedziała, że mam na imię Jack, a kto o tym wie oprócz ciebie i mojej matki? I wiedziała, że czegoś szukam. Może to nie ma żadnego znaczenia, ale może ma. Być może usiłowała podsunąć mi jakiś ślad.

— Daj spokój, Josh. Chyba nie wierzysz w te parapsychologiczne bzdury.

— Nie, nie wierzę. Jednakże wierzę, że niektórzy ludzie mają bardziej wyczulone zmysły, tak samo jak psy.

— Przecież czytanie komuś w myślach to zupełnie co innego niż wyostrzony węch czy wzrok.

— Wcale nie. W każdym mózgu przebiegają impulsy nerwowe, prawda? Na tym właśnie polega proces myślenia. Te fale są bardzo słabe, w przeciwieństwie do fal radiowych. Gdyby jednak ktoś zdołał je przechwycić, mógłby usłyszeć twoje myśli równie łatwo, jak zwęszyć cię z odległości paru kilometrów.

— To bardzo duże uproszczenie.

— Wiem. Jednak Polly znała moje imię i wiedziała, że czegoś szukam. Jak to wytłumaczysz?

— Josh... — zaczęła Nancy. — To, co przydarzyło się Julii, jest straszne. Mimo to powinieneś zachować rozsądek.

— Tak, no cóż, masz rację. Masz całkowitą rację. Ale nadal chciałbym wiedzieć, co oznacza ten wierszyk. I to „Jack jest zręczny, Jack umie biec”. O co jej chodziło? Dlaczego mam być zręczny? I szybki?

— Dojechaliśmy, proszę pana — wtrącił konstabl, zatrzymując samochód przed ich hotelem. Zaczęło padać i na chodnikach rozlewały się plamy kałuż. — Dobranoc państwu. Detektyw Paul skontaktuje się z panem jutro. Och, jeszcze może dam panu radę... Wiem, że pewnie widział pan wszystkie te filmy w telewizji, w których Amerykanin przybywa do Londynu i rozwiązuje sprawę, z którą nie mogli sobie poradzić biedni angielscy tępawi gliniarze. Ale zespół, który zajmuje się morderstwem pańskiej siostry, jest cholernie dobry. Tak więc nie musi pan bawić się w detektywa-amatora. Proszę się odprężyć, a skoro już pan tu jest, powinien pan podziwiać widoki.

— Czy tak kazano panu powiedzieć?

Konstabl Smart kiwnął głową. Miał różowe policzki i golił tylko dwa wąskie paski po obu stronach podbródka.

— Nie bawić się w detektywa-amatora? — powtórzył Josh. — Przecież to miasto Sherlocka Holmesa!

— Sherlock Holmes był książkowym bohaterem, proszę pana. Natomiast to dzieje się naprawdę. Chodzi o to, że może pan zniszczyć jakiś dowód, nawet nie zdając sobie sprawy z

tego, co pan robi.

— W porządku — mruknął Josh, z trudem gramoląc się z auta. — Zrozumiałem.

Odebrał jednak wraz z Nancy dwieście zdjęć Julii z laboratorium Kall-Kwik, kupili dwa pudełka pinetek i przez dwie następne godziny przyczepiali je do płotów, bram oraz pokrytych szramami szarzielonych pni drzew. Wpadli na pół godziny do Pizza Express, gdzie kawa była znośna, a pizza nawet trochę smaczniejsza od podawanej w Stanach.

— Chcę mieć pewność, że zachowasz rozsądek, Josh — powiedziała Nancy. — Wiem, że bardzo to przeżywasz, ale nie pozwól, by rozpacz doprowadziła cię do szaleństwa.

Josh miał usta pełne ostrej papryki.

— Nie mówy.

— Jeśli coś odkryjemy, powiemy o tym policji, dobrze? Nie spróbujemy sami iść za tym tropem?

Josh przełknął i otarł usta.

— Jeszcze niczego nie odkryliśmy i wątpię, żeby to się zmieniło.

— A gdyby?

— Nawet jeśli tak, to skąd będziemy wiedzieli, czy to coś poważnego? Oni nie posługują się tu angielskim, tylko sarkastycznym. „Wordsworth poszedł do domu, a potem to napisał”. Nic dziwnego, że stracili kolonie.

Zanim skończyli pizzę, przestało padać i Earls Court Road rozjaśniło blade, wyblakłe słońce. Przypięli sobie agrałkami zdjęcia Julii do kurtek i stanęli przy ogrodzeniu przed wejściem na stację metra. „Czy widziałeś tę dziewczynę?”. Zbliżała się godzina szczytu i co chwila kolejny skład wypluwał następną falę pasażerów o ponurych, zmęczonych, zdeterminowanych twarzach, pospiesznie przepychających się do wyjścia i wymachujących parasolami. Ulicą powoli płynęła rzeka ludzi mijających stację, przystających, by kupić w kiosku egzemplarz „Evening Standard”, lub kręcących się wokół, jakby nie mieli co robić i dokąd iść.

Stali tam trzy i pół godziny, aż minęła godzina szczytu i zapaliły się uliczne światła. Oboje byli znużeni, znudzeni i zziębnięci, ale Nancy namówiła Josha, żeby zostać jeszcze chwilę. Chciała, by miał poczucie, że zrobił wszystko, co mógł, żeby dowiedzieć się, co przydarzyło się Julii, chciała też, by wieczorem położył się do łóżka zupełnie wyczerpany i natychmiast zasnął. Nie mogła zapomnieć oglądanej na ekranie monitora szarej twarzy Julii, która wciąż stała jej przed oczami pomimo wszelkich wysiłków, żeby myśleć o czymś innym. Była pewna, że Josh odczuwał to samo, tylko jeszcze dotkliwiej. Pewnie wspominał Julię jako małą dziewczynkę i dorastającą panienkę. Wspominał chwile, które dzielił tylko z siostrą. Teraz już nigdy nie będzie mógł powiedzieć: „A pamiętasz...?”.

Prawie zrezygnowali, gdy ze stacji metra wyszedł czarny kundel z zadartym nosem. Miał dzwoneczki przy obrócce i barani kożuszek. Wydawało się, że jest sam, więc Josh natychmiast włożył dwa palce do ust i zagwizdał. Pies przystanął i spojrzał na niego wybałuszonymi brązowymi ślepiami. Jedno ucho miał oklapnięte, a drugie sterczące.

— Tu! — zawołał Josh. Wskazał palcem na psa, a potem na chodnik obok siebie. Pies badawczo rozejrzał się wokół, jakby pytając tłumów przy wejściu na stację, co ma do licha oznaczać to gwizdanie i wskazywanie. Josh powtórzył gest i pies posłusznie podszedł do niego.

— Siad — rozkazał mu Josh i pies usłuchał. — Nie wiem, co ty sobie myślisz, biegając po mieście bez smyczy, ale tutaj jest straszny ruch. Jeśli spróbujesz przejść przez ulicę w tym kożuszku, możesz skończyć jako tortilla z baraniną.

Nancy pochyliła się i pogłaskała psiaka.

— Cześć, mały! Jest śliczny, prawda? Jak myślisz, jakiej jest rasy?

— Chyba chciałaś raczej zapytać, jakiej nie jest. Nancy wyjęła z kieszeni torebkę z suszonymi morelami i podsunęła jedną pod nos pieska.

— Chcesz trochę zdrowej żywności? Umiesz powiedzieć „proszę”?

Josh wskazał na prawą łapę psa i zachęcająco skinął ręką.

— Podnieś łapę. No właśnie. A teraz zaszczekaj. No już, „hau”.

Pies szczeknął i w tym momencie przez tłum wychodzących ze stacji ludzi przedarła się czarnoskóra dziewczyna w berecie i zawołała:

— Hej! Co robicie! To mój pies!

Podeszła do nich, cała zjeżona, i próbowała otworzyć psu pysk.

— Co mu dajecie? Nie powinniście karmić cudzych psów!

— Daj spokój — mruknęła zmieszana i zakłopotana Nancy. — To był tylko kawałek suszonej moreli.

Dziewczyna wyprostowała się i spojrzała na nich oboje, groźnie marszcząc brwi, co wyglądało niemal zabawnie. Była niska, najwyżej metr sześćdziesiąt, ale miała intrygującą urodę. Josh wyczuwał wokół niej coś dramatycznego, jakiś niewidzialny cyklon samoświadomości, jakby była pogromczynią, a otaczający ją świat jej prywatnym cyrkiem. W beret miała powpinane emaliowane znaczki i błyszczące szklane broszki, a we włosy wplecione kolorowe paciorki. Nosila czarną kurteczkę z aksamitnym kołnierzykiem i bardzo krótką spódniczkę oraz czarne legginsy i buty.

— Suszoną morelę...? — powtórzyła, marszcząc nosek.

— Nancy preferuje zdrową żywność — wyjaśnił Josh. Dziewczyna spojrzała na pieska, który zjadł owoc i oblizywał się, czekając na dokładkę.

— W porządku — oświadczyła. — Ale muszę uważać, rozumiecie? No wiecie, ludzie dają mi różne świństwa, na przykład kawałki kurczaka z zeschniętych kanapek.

— Przykro mi — powiedział Josh. Zdażył się już przekonać, że to bardzo użyteczny zwrot w Anglii. Jeśli ktoś wpadł na kogoś na ulicy, z jakiegoś niewiadomego powodu obaj mówili „przykro mi”.

— W porządku, nic się nie stało — powtórzyła dziewczyna. Pochyliła się, by przypiąć smycz do obroży i robiąc to, zerknęła na zdjęcia Julii przypięte do ich kurtek. — Szukacie jej? — zapytała.

— Zgadza się — odparł Josh. — Ja jestem jej bratem, a to moja przyjaciółka. Usiłujemy znaleźć kogoś, kto ją znał.

— Ja ją znałam.

Josh wytrzeszczył oczy.

— Znałaś ją?

— Tak. Nazywaliśmy ją „Daisy”, z powodu tego tatuażu. Nie mogłam uwierzyć, kiedy się dowiedziałam, że została zamordowana.

— Dlaczego nie zadzwoniłaś na policję?

— Po co? Nie widziałam jej od wieków. Poza tym, sami wiecie...

Wzruszyła ramionami na znak, że nie lubi mieć do czynienia z władzą.

— Rany boskie! — zawołał Josh. — Nawet najmniejsza informacja może okazać się pomocna.

— No cóż... — mruknęła dziewczyna i odwróciła się, najwyraźniej zamierzając jak najszybciej przejść przez ulicę.

— Posłuchaj, czy miałabyś coś przeciwko temu, żebyśmy zadali ci kilka pytań? — zatrzymał ją Josh. — Nie widziałem jej od prawie roku i nikt nie ma pojęcia, gdzie się podziewała.

— Hm... no dobrze — zgodziła się. — Ale nie możemy rozmawiać na ulicy, no nie?



Chodźcie do mnie. Mieszkam tuż za rogiem.

## ROZDZIAŁ 6

Na Earls Court Road było zbyt głośno, żeby można było rozmawiać, lecz gdy tylko skręcili w Trebovir Road, dziewczyna powiedziała:

— Po prostu nie mogłam uwierzyć, że ktoś mógł zrobić Daisy coś takiego. Była skarbem, wiecie. Prawdziwym skarbem.

— Dobrze ją znałaś? — zapytał Josh.

— Mieszkała u mnie przez parę tygodni, po tym, jak odeszła od tych okropnych Arabów. Miała zatrzymać się w jakimś hotelu, ale nie pozwoliłam jej. Była zbyt... jak by to powiedzieć? Wrażliwa — wiecie, co mam na myśli? Nie chciałam, żeby zamieszkała sama w jakimś nędznym hoteliku i podcięła sobie żyły w wannie.

— Myślisz, że mogła popełnić samobójstwo? — spytała Nancy.

Dziewczyna otworzyła dziwaczną czarną torebkę w kształcie zmniejszonej ludzkiej głowy i wyjęła pęk kluczy. Jej pies dreptał przed nimi i zatrzymał się przed schodami ponurej kamienicy z czerwonej cegły.

— Być może, gdyby była sama. Jednak nie była.

Weszli po wyłożonych brązowo-białymi kafelkami schodach i dziewczyna otworzyła frontowe drzwi. Wewnątrz panował nieprzenikniony mrok, dopóki nie zapaliła światła. Hol był zimny i wąski. Stał w nim staromodny rower. Na półokrągłym stoliczku leżała sterta rachunków, materiałów reklamowych i listów. Dziewczyna szybko przejrzała je i wzięła trzy lub cztery.

— Mieszkam na samej górze — oznajmiła. — Na wieży, jak Zła Czarownica z Zachodu. — Kiedy poprowadziła ich po stromych schodach, w połowie drogi pstryknął wyłącznik czasowy i znów otoczyła ich ciemność. — Nie ruszajcie się — ostrzegła dziewczyna. Na podeście znalazła następny kontakt i podjęli przerwana wędrówkę. Za każdymi mijanymi drzwiami słyszeli muzykę, dźwięki telewizorów lub rozmowy.

Dziewczyna otworzyła drzwi do mieszkania. Było to rozległe i przestronne poddasze ze stromym sufitem, oświetlone dziwnym zestawem reflektorów i lamp zrobionych z butelek, muszli i waz z kolorowego szkła. Ściany były pomalowane na szaro i obwieszane setkami amuletów, maskotek oraz obrazków przedstawiających świętych i demony. Po lewej, pod oknem, leżała czarna mata w wielobarwne rybki. Na prawo stał stół i krzesła w rustykalno—meksykańskim stylu, pomalowane na czerwono i złoto. Naprzeciwko, przy drugim oknie, znajdowała się mała kuchnia, z półkami zapchanymi wszelkimi możliwymi przyprawami, ziołami i dodatkami, od aromatycznego soku z kasawy po suszoną masalę. W powietrzu unosił się zapach drzewa sandałowego i karaïbskich potraw.

Pies natychmiast podszedł do swojej miski i zaczął głośno chleptać. Dziewczyna rzuciła torebkę na stół i powiedziała:

— Może filiżankę herbaty? Zawsze zaraz po powrocie do domu piję herbatę.

— Dzięki, świetnie. Ale chyba powinniśmy się przedstawić... Jestem Josh. Josh Winward. A to Nancy.

Dziewczyna wyciągnęła rękę, pobrzękując bransoletkami.

— Ella Tibibnia, a mój pies wabi się Abraxas. To magiczne imię, ale szkoda, że taki z niego świr. Nigdy nie pomyślelibyście, że pies może być świrem, prawda? Ten jest.

Josh nie miał zielonego pojęcia, co rozumiała pod słowem „świr”, jednak zrobił minę w stylu Harrisona Forda, co miało oznaczać, że właściwie się z nią zgadza. Ella napełniła wodą wielki, pokryty niebieską emalią czajnik i postawiła go na gazie.

— Lubicie herbatę z kwiatu głogu? Dobrze robi na bezsenność.

— Jasne, cokolwiek zrobisz.

Josh rozejrzał się po pokoju. Nancy oglądała opalizującą szklaną kulę w ozdobnej wazie z brązu oraz kolekcję paskudnych małych rzeźb, podobnych do figur szachowych i przedstawiających jakieś zakapturzone postacie.

— Kiedy ostatni raz widziałas Julię? — zapytał.

— Mogę podać ci dokładną datę. — Ella podeszła do regału, na którym obok tanich wydań stały oprawione w skórę woluminy, i wyjęła zeszyt z pozaginanymi rogami, opisany kolorowymi długopisami jako „DiArY”. Kartkowała go przez chwilę, a potem powiedziała: — Jest. Dziesiątego maja ubiegłego roku. To była niedziela. Poszliśmy z Abraxasem na poranny spacer do Holland Park. Potem zjadliśmy lunch z Wallym i Kimem w Philbeach Gardens po drugiej stronie ulicy. Daisy była we wspaniałym nastroju, bo właśnie znalazła nową pracę. Prawdę mówiąc, była w aż za dobrym humorze. Przez cały czas mówiła i wymachiwała rękami. Pamiętam, że jeden z moich znajomych pytał, czy czegoś nie wzięła.

— Może była po prostu podekscytowana — podsunęła Nancy.

— Nie, nie, to było coś więcej. Chodziło tylko o skromną posadę sekretarki w jakiejś firmie elektrycznej przy Great West Road, a ona strasznie się tym entuzjasmowała i mówiła, że nie może się doczekać, kiedy rozpocznie pracę. Można by pomyśleć, że trafiło jej się coś niebywałego.

— Nie znam Great West Road — stwierdził Josh. — Czy tym miejscem można się tak podniecać?

— Chyba żartujesz. Tam stoi jedna fabryczka koło drugiej. Nowoczesne zmywarki. Chrupki Smitha.

— Nie zostawiła nowego adresu?

— Powtarzała, że to robi, ale wszyscy trochę posprzecaliśmy się tamtego popołudnia i zapomniałam ją o to poprosić. Jednak... — Ella ponownie podeszła do regału i wyjęła złożoną kartkę, którą trzymała między dwiema książkami. — Kiedy się wyprowadziła, znalazłam ten list pod jej materacem.

Josh rozłożył kartkę i przechylił ją tak, by padało na nią światło najbliższej lampy. Na górze była czarno—biała ilustracja fabryki z lat trzydziestych, z powiewającymi na dachu chorągiewkami i wymalowanym eleganckimi, staroświeckimi literami napisem: Wheatstone Electrics Co. Ltd. Poniżej widniał adres: Great West Road, Brentford, Middlesex oraz numer telefonu EAL 6181.

List był zaadresowany do Julii, na adres Elli — 37 Trebovir Road. Był datowany 6 maja 2000 roku i podpisany przez niejakiego F. G. Mordanta, dyrektora działu sprzedaży. Głosił: „Mamy przyjemność zaproponować pani posadę sekretarki, poczynając od dnia 11 maja, z uposażeniem siedmiu funtów trzynastu szylingów i sześciu pensów tygodniowo. Proszę przybyć na Star Yard, tak jak poprzednio, o ósmej piętnaście”.

— Napisany na ręcznej maszynie do pisania — stwierdził Josh. — Rzadko się dziś takich używa.

— I nieczęsto proponują komuś siedem funtów trzynaście szylingów i sześć pensów tygodniowo — dorzuciła Ella. — To stary system monetarny, używany, zanim Wielka Brytania przeszła na układ dziesiętny, co miało miejsce ponad dwadzieścia pięć lat temu. Nie mówiąc już o tym, że dobra sekretarka dostaje dziś siedem funtów za godzinę, a nie za tydzień pracy.

— Próbowalaś dzwonić pod ten numer?

— Nie ma sensu. Od tysiąc dziewięćset sześćdziesiątego szóstego roku nie ma numerów zaczynających się na EAL. Dzisiaj są wyłącznie cyfrowe. Próbowalam znaleźć nowy numer

przez informację o abonentach, ale nie mieli takiej firmy jak Wheatstone Electrics.

— A Star Yard?

— Sprawdziłam na planie Londynu. To małe przejście dla pieszych prowadzące do Carey Street, w pobliżu Law Courts. W centrum miasta, daleko od Great West Road.

Josh odwrócił kartkę. Ujrzał tam inny adres, napisany niebieskim długopisem. Natychmiast rozpoznał charakter pisma Julii. „53b Kaiser Gardens, Lavender Hill”. Było tam też nazwisko: „Pani Marguerite Marmion”.

Ella wlała wrzącą wodę do dużego brązowego czajnika i powiedziała:

— Uprzedzę twoje pytanie. Nie ma ulicy Kaiser Gardens na Lavender Hill ani nigdzie indziej w Londynie, a w książce telefonicznej nie figuruje żadna pani Marguerite Marmion.

— Jesteś pewna?

— Możesz sam sprawdzić. Być może pani Marguerite Marmion nie ma telefonu albo ma zastrzeżony numer. Jeśli jednak nie ma takiej ulicy...

Nancy wzięła od niego list i dokładnie go obejrzała.

— To naprawdę dziwne, no nie? Chcę powiedzieć, że dziś firmy często wykorzystują stare zdjęcia w nagłówku na papierze firmowym, ale zazwyczaj umieszczają tam też aktualny numer telefonu, faksu i konta poczty elektronicznej, prawda?

Ella wzruszyła ramionami.

— Co za różnica, jeśli nie ma takiej firmy?

— No tak, żadna. Ale jeśli Julia nie podjęła pracy w Wheatstone Electric Company, to dokąd mogła pójść?

— Mój przyjaciel Wally uważa, że zrobiła nam kawał. Znalazła gdzieś stary papier firmowy i skopiowała go.

— Tak sądzisz? — mruknął Josh. — Pomacaj ten nagłówek. Jest tłoczony, a to nie jest tanie. Po co miałyby wydawać pieniądze na jedną kartkę takiego papieru tylko dla żartu? A jeśli to był kawał, to jaki miał cel?

— Może po prostu znalazła jedną kartkę oryginalnego papieru firmowego z lat trzydziestych — podsunęła Ella.

Nancy potarła papier i powąchała go.

— Nie sądzę. W dotyku jest jak nowy. I wygląda na nowy. Nawet pachnie nowością.

Przez chwilę w milczeniu pili herbatę. Josh uznał, że smakuje jak gotowany żywopłot, ale działała dziwnie uspokajająco i przetkał mu się od niej nos. Oddał list Elli i zapytał:

— Próbowaliście zajrzeć na Great West Road i sprawdzić, czy nie ma tam tej fabryki?

— Nie, nie próbowaliśmy. Rozmawialiśmy o tym, ale nie zrobiliśmy tego. No wiesz, wyglądało na to, że Julia chciała zniknąć tak, żeby nikt jej nie znalazł. Doszliśmy do wniosku, że zostawiając nam ten list, chciała nam dać do zrozumienia, że zamierza zacząć nowe życie i nie ma w nim miejsca dla nas. No wiecie, myśleliśmy, że chciała odciąć się od przeszłości. A przynajmniej ludzię się, że to zrobiła.

— Tylko że ktoś ją zamordował, a to nie złudzenie. Musimy się dowiedzieć, gdzie się podziała.

— Nie wiem. Ale chciałabym wam pomóc.

Abraxas podszedł do Josha i trącił go nosem w kolano.

— Ten pies cię lubi — stwierdziła Ella. — To bardzo niezwykle. Zawsze uczyłam go najpierw gryźć, a potem zadawać pytania.

Nancy uśmiechnęła się.

— Josh ma własne podejście do zwierząt, prawda, Josh? Myślę, że rozumie je lepiej niż ludzi. Ma dyplom z behawioryzmu zwierząt.

— Siedem dziesiątych dyplomu — poprawił ją Josh. — Poproszono mnie, żebym ponownie zastanowił się nad moją przyszłością, kiedy przepisałem prozac cierpiącemu na chroniczną depresję kotu. Tak się składa, że moim zdaniem nie ma zbyt dużej różnicy między zwierzętami a ludźmi. Są jednakowo głupi. A jednak to zdumiewające, do czego są zdolne zwierzęta, jeśli je odpowiednio zachęcić. Słyszałaś kiedyś o metodzie Montenotte'a?

— Ja wcale nie uważam, że psy są głupie — powiedziała Ella. — Sądzę, że mają niewiarygodne możliwości.

— Mają, masz całkowitą rację. Tylko że są zbyt leniwe, żeby je wykorzystywać. Ewolucja? Komu to potrzebne, kiedy masz miły ciepły koszyk i tyle żarcia, ile chcesz.

— No, nie wiem. Powinieneś zobaczyć Abraxasa, kiedy organizują seans. Po prostu szaleje, gania po pokoju i szczeka. Wiesz, to przez duchy. Jestem pewna, że Abraxas je widzi.

— Jesteś medium? — spytała Nancy.

— Tak jakby. Trochę przepowiadam przyszłość i rozmawiam z duchami. Nauczyłam się tego od mojej ciotki, która pochodziła z Martyniki. Zajmowała się voodoo, czarną magią i innymi podobnymi sprawami. Nauczyła mnie przepowiadać przyszłość i przywoływać duchy, żeby mogły porozmawiać z ukochanymi osobami, które pozostawiły na tym świecie. Oczywiście trochę sobie na tym dorabiam. Łatwiej mi zapłacić czynsz.

Josh podniósł obie ręce.

— Jestem zdecydowanym sceptykiem. Wierzę, że psy mają znacznie bardziej wyczułone zmysły. Ale duchy? Nie wierzę w nie.

— A co z tą staruszką w szpitalu? — zapytała Nancy.

— W tym nie było niczego nadprzyrodzonego. Wyczuła, o czym myślę, to wszystko. Dostroila się do mojego niepokoju.

Nancy wyjaśniła Elli, co wydarzyło się w szpitalu St Thomas.

— A więc ona nie tylko czytała w twoich myślach, ale próbowała ci coś powiedzieć — oświadczyła Ella.

— Wyrecytowała mi tylko dziecięcą rymowanąkę.

— Właśnie na tym to polega. Duchy zawsze przemawiają w niejasny sposób. Przekazują ci wiadomości, których początkowo nie możesz zrozumieć. Jak urywki usłyszane w radiu. Albo fragmenty jakiejś piosenki. Ile razy natknąłeś się na jakieś dziwne słowo lub wzmiankę o czymś niezwykłym, a potem ciągle to słyszysz przy różnych okazjach? To świat duchów przemawia do ciebie, kieruje i ostrzega w razie potrzeby. Jest znacznie bliżej, niż przypuszczasz, jest połączony z naszym. Nie można stwierdzić, gdzie jeden się kończy, a drugi zaczyna. Czasem masz wrażenie, że ktoś cię dotknął. Nie człowiek, lecz duch.

— Przykro mi — mruknął Josh — ale po prostu w to nie wierzę. Wierzę w istnienie wiatru i fal radiowych. One też są niewidzialne, lecz ich istnienie zostało naukowo dowiedzione.

— Jednak tamta staruszka przekazała ci wiadomość. „Sześcioro drzwi ma London Town, me dziecię. Sześcioro drzwi w Londynie też znajdziecie”. Usiłowała ci coś powiedzieć, naprowadzić na jakiś ślad.

— Może i tak... chociaż nie dam się przekonać, że było w tym coś nadprzyrodzonego. Zamierzam to sprawdzić. Dowiem się, co oznacza ten wierszyk. I pójdę na Great West Road poszukać Wheatstone Electrics Company. Postaram się też znaleźć Kaiser Gardens i tajemniczą panią Marguerite Marmion. Nie wierzę, że to wszystko ma cokolwiek wspólnego z duchami. Przyznaję, że zniknięcie Julii to piekielnie dziwna sprawa, ale z pewnością można je wyjaśnić w zupełnie racjonalny sposób.

— Jaki?

— Nie wiem. Nie jestem naukowcem. Jednak pewnego dnia ktoś taki sposób odkryje i wtedy

wy, wróżki, będziecie musiały schować swoje kryształowe kule do lamusa.

Ella znów naląła im herbaty. Milczała przez chwilę, a potem powiedziała:

— Czy mogę cię o coś zapytać? Jeśli zrobisz to wszystko i nadal nie dowiesz się, gdzie podziała się Julia, czy wrócisz tu i poprosisz, żebym spróbowała ci pomóc?

— A czy ty możesz zrobić coś, czego ja i Nancy nie możemy?

— Jestem bardzo czułym medium, Josh — odparła Ella i postukała się palcem w czoło tak samo jak staruszka w szpitalu. — Jeśli przyniesiesz mi jakiś ślad — nazwisko, miejsce, nawet kawałek ubrania — zrobię co w mojej mocy, żeby dowiedzieć się, co się stało z Julią. Jeżeli mi się uda, nie będzie miało znaczenia, czy wierzysz w duchy czy nie, prawda?

Zamilkła i zasłoniła twarz rękami. Między palcami widać było tylko jej błyszczące brązowe oczy.

— Bardzo lubiłam Daisy. Była twoją siostrą, ale także moją przyjaciółką. Nie podoba mi się myśl, że część jej życia pozostaje tajemnicą.

Powoli odsunęła dłonie, ale nadal wpatrywała się w Josha, jakby chciała przejrzeć jego myśli. Abraxas, który stał przy jego nodze, nagle zadrżał i nawet Josh miał wrażenie, że przez pokój przeleciał zimny podmuch. Spojrzał na Nancy i po wyrazie jej twarzy poznał, że i ona doznała podobnego wrażenia.

— Poczuliście to? — zapytała Ella. — Wiecie, co to było?

Josh pokręcił głową.

— Twój los. Zimny wiatr wiejący przez życie. Zimny podmuch, który nadejdzie może jutro, a może później.

Upiła łyk herbaty, wciąż nie odrywając od niego oczu.

— Lepiej się przed nim osłoń. Dobrze ci radzę.

## ROZDZIAŁ 7

Detektyw sierżant Paul zadzwoniła do nich nazajutrz, o wpół do ósmej rano. Powiedziała, że reakcja na komunikat w telewizji była niezadowolająca. Zadzwoniło tylko siedemdziesiąt osiem osób, które twierdziły, że widziały Julię w ciągu ostatnich dziesięciu miesięcy. Policja już wyeliminowała sześćdziesiąt dwa z tych zgłoszeń, jako zdecydowanie omyłkowe.

— Ale jeszcze jest wcześniej — dodała. — Pokładamy wielkie nadzieje w „Crimewatch”.

Kiedy Josh odłożył słuchawkę, Nancy zapytała:

— Dlaczego nie powiedziałaś jej o Elli, o liście z Wheatstone i wszystkim innym?

Josh wstał z łóżka.

— Nie wiem. Nie sądzę, aby można to było uznać za konkretne dowody. Zaczynam podejrzewać, że przyjaciel Elli miał rację. To był tylko kawał.

— Czytam w tobie jak w otwartej księdze, Joshu Winwardzie. Chcesz sam przeprowadzić śledztwo w sprawie zniknięcia Julii, prawda? No jasne, masz takie kwalifikacje. Odsłużyłeś trzy i pół tygodnia w żandarmerii wojskowej i obejrzałeś wszystkie odcinki Columbo.

— Masz rację — odparł Josh. — Naprawdę chcę się tym zająć. To wymaga wyobraźni. Spojrzenia z innego punktu widzenia. Jeśli zdam się na gliniarzy, nie dostrzegą drzewa w lesie.

— A jeśli sam się tym zajmiesz i niczego się nie dowiesz?

— Wtedy przekażę dowody detektyw Paul.

Nancy przyklękła na skraju łóżka, objęła go ramionami i rozwichrzyła mu czuprynę.

— W porządku... Myślę, że powinieneś się czymś zająć, żeby nie wpaść w rozpacz.

— Niepokoi mnie zagadka Wheatstone Electrics. Ten list nie budzi żadnych zastrzeżeń, a przecież nie mógł być prawdziwy. I jeszcze jedno. Julia miała podjąć pracę jako sekretarka przy Great West Road, a tymczasem jej nowy pracodawca chciał spotkać się z nią kwadrans po ósmej rano w centrum miasta. Odszukałem Star Yard w przewodniku i okazało się, że to spory kawałek od Brentford. A nawet spory kawałek stąd, jeśli tu mieszkała. Dlaczego chciał się z nią spotkać w takim niedogodnym miejscu?

— Nie wiem. Może zjemy teraz śniadanie, co? Potem pójdziemy to sprawdzić.

Josh był ciekaw, jak smakuje tradycyjne angielskie śniadanie, więc je sobie zamówił. Składała się na nie jajecznica na bekonie, kiełbaski, fasola, smażone pomidory i czarny pudding.

— Czarny pudding? — zapytał kelnerkę. — A cóż to takiego?

— Jeśli panu powiem, to pan nie zje.

— Proszę powiedzieć, jakoś to zniosę. Jadałem nawet psy na gorąco\*.

Kiedy powiedziała mu, zostawił pudding na talerzu, na sam koniec. Potem ostrożnie dźgnął go widelcem i skosztował kawałeczek.

— Dobry — orzekł, przeżuwszy dokładnie. — Chcesz spróbować? — zapytał Nancy.

Wzdrygnęła się.

— Nie tknęłabym tego, nawet gdybym umierała z głodu.

— Jako dziecko zdrapywałaś i zjadałaś strupki z kolan. Co za różnica? To po prostu pyszny strup.

Wynajęli samochód w wypożyczalni Hertza w holu hotelu. Dostali czerwonego nissana primere, który był dość ciasny w porównaniu z mustangiem rocznik 1971, jakim Josh jeździł w

\* Gra słów: *hot dog* — gorący pies (przyp. tłum.).

Stanach, ale miał automatyczną skrzynię biegów. W Londynie Josh nie poradziłby sobie z ręcznym zmienianiem biegów.

Najpierw pojechali na Great West Road. Niebo było szare jak wełna i wiatr się wzmagał. Jak powiedziała Ella, przy ulicy stała fabryka za fabryką: Rank Audio, Hoover i Gillette — jedna za drugą. Gdyby nie widoczna z daleka wieża zegarowa, budynek Gillette byłby bardzo podobny do Wheatstone Electrics: białe ściany, równe rzędy drzew — typowy konsumpcjonizm lat trzydziestych. Chociaż dwukrotnie przejechali całą Great West Road, nie znaleźli ani śladu Wheatstone Electrics.

Zaczęło padać i gdy jechali z powrotem do centrum Londynu, Josh był głęboko rozzarowany. Nawet jeśli nigdy nie dowie się, kto zamordował Julię, chciał wiedzieć, gdzie podziewała się przez tak długi czas i jak spędziła dziesięć ostatnich miesięcy życia. Nancy pocieszająco położyła rękę na jego kolanie.

— Ona musiała gdzieś być, Josh. Nikt nie znika bez śladu. Przejechali przez Hammersmith, a potem przez Kensington i Joshowi udało się objechać Hyde Park Corner.

— Tam jest Buckingham Palace! — zawołała Nancy, obracając się w fotelu. — Spójrz, Josh, tam jest Buckingham Palace! I właśnie jest zmiana warty!

— Nie mogę patrzeć, mam zamknięte oczy.

Dotarli do Carey Street, omijając Law Courts. Zaczęło lać. Wypili drinka w starym pubie „Seven Bells”, wciśnięci między hałaśliwych prawników. Potem poszli na koniec ulicy, do Star Yard. Była to niczym nie wyróżniająca się uliczka — wąskie wybrukowane przejście z pociemniałymi od sadzy budynkami po obu stronach i pomalowanym na czarno wiktoriańskim szaletem. Przeszli ją aż do końca, ale nie znaleźli niczego ciekawego, tylko ceglane mury i brudne okna, ze stertami pożółkłych ksiąg prawniczych na parapetach.

W załomie ścian znajdowała się wąska nisza zasypana śmieciami, na które niedawno ktoś zwymiotował, więc Josh zrezygnował z dokładniejszych oględzin. Rozejrzał się wokół. Krople deszczu skapywały mu z czubka nosa.

— Umówił się z Julią tutaj, o ósmej piętnaście rano. Dlaczego?

Nancy pilotowała, gdy przejechali Battersea Bridge i wjechali na Lavender Hill. Josh wyobrażał je sobie jako wzgórze gęsto porośnięte wonną, purpurowo kwitnącą lawendą, a tymczasem okazało się jeszcze jedną ruchliwą płataniną skrzyżowań z mnóstwem sklepów z używanymi samochodami lub meblami i tureckich restauracji.

Udało mu się zaparkować na bocznej uliczce, po czym wrócili na główną ulicę i weszli do księgarenki D. R. Patela. Pachniała hinduskimi przyprawami i słodyczami dla dzieci. Brodaty księgarz balansował na taborecie, układając na najwyższej półce magazyny dla dorosłych — „Asian Babes” oraz „50-Plus & Busty”. Jego żona bacznie przyglądała się temu zza lady.

— Szukamy Kaiser Gardens — powiedział Josh. Żona księgarza nie odezwała się, ale przecząco pokręciła głową.

— Pani Marguerite Marmion, zamieszkałej pod Kaiser Gardens pięćdziesiąt trzy b — dodał Josh.

Kobieta ponownie pokręciła głową.

W tym momencie do środka wszedł jakiś starszy pan w wilgotnym płaszczu i zalanych deszczem okularach, które powiększały jego oczy do rozmiarów ostryg.

— Rzuć mi paczkę tych słodyczy co zawsze — rzekł, szukając w kieszeni drobnych.

— Ci ludzie szukają Kaiser Gardens — powiedziała żona księgarza.

Mężczyzna zamrugął oczami i pociągnął nosem.

— Usiłujemy odszukać panią Marmion, mieszkającą przy Kaiser Gardens pięćdziesiąt trzy b.



Nie możemy znaleźć tej ulicy na mapie.

— Kaiser Gardens? Kaiser, jak Kaiser Bill?

— Pewnie tak.

— Chyba żartujesz, kolego. Na pewno nie szukasz Hitler Avenue? Albo Göring Grove?

— Przepraszam, nie bardzo...

— Ktoś robi cię w konia, kolego. W Londynie nie ma takiej ulicy. Jesteś Jankesem? Ile macie u was ulic noszących imię tego, jak mu tam, Hirohito?

Josh spojrział na Nancy i uniósł brwi.

— Zdaje się, że szukamy wiatru w polu. Przykro mi.

— Przykro mi — powiedziała żona księgarza.

— Bardzo mi przykro — dołączył się księgarz.

Wrócili do hotelu. Nadal lało jak z cebra. Czekala na nich wiadomość od detektyw sierżant Paul. Wyeliminowano wszystkie siedemdziesiąt osiem osób, które zgłosiły się po komunikacie podanym zeszłego wieczoru w telewizji. Nowe zdjęcie Julii ukaże się nie tylko w programie „Crimewatch”, ale także w jutrzejszych porannych gazetach. „Może poprosimy, żeby osobiście wystąpił pan w telewizji przed weekendem”.

Josh zadzwonił do detektyw sierżant Paul, ale nie było jej w biurze. Udało mu się jednak połączyć z jej zastępcą, detektywem konstabłem Widdowsem, który miał głos piętnastolatka.

— Tak, zgadza się, panie Winward. Żadne z doniesień się nie potwierdziło. No cóż, kiedy chodzi o morderstwo, ludzie zawsze usiłują nam pomóc, nawet jeśli nie mają żadnych użytecznych informacji.

— A więc nie wpadliście na żaden ślad?

— Na razie nie. Mamy pełny raport z sekcji zwłok, ale nie dowiedzieliśmy się niczego, czego nie wiedzieliśmy wcześniej. Przyczyną śmierci było uduszenie sznurem. Najwidoczniej zwykłym konopnym, bez dodatku nylonu czy innych syntetyków, co jest dziś dość niezwykle. Oczywiście sprawdzamy sklepy i hurtownie dostarczające sznury. Natychmiast po śmierci ciała zostało wypatroszone, a potem wrzucone do rzeki. Prawie nie ma siniaków, co świadczy, że nie została pobita przed śmiercią, a jej ciało prawdopodobnie przeniesiono w prześcieradle, kapie lub czymś podobnym.

— Nie była...

— Napastowana seksualnie? Nie, proszę pana, nie była. Jakikolwiek był motyw tej zbrodni, nie chodziło o to.

Z jakiegoś powodu Josh pomyślał „dzięki Bogu”, choć oczywiście nie czyniło to Julii ani trochę mniej martwą.

— Nadal nie macie pojęcia, gdzie się podziewała po tym, jak rzuciła pracę u Saudyjczyków?

— Nie, proszę pana. Sprawdziliśmy w urzędzie podatkowym i Ministerstwie Zdrowia. Nie była rejestrowana w ich placówkach. Sprawdziliśmy wszystkie biura pośrednictwa pracy w zachodnim Londynie, ale w księgach żadnego z nich nie figuruje pańska siostra ani nawet dziewczyna, która mogłaby nią być... pod przybranym nazwiskiem. Sprawdziliśmy schroniska, hotele, kliniki i szpitale. A także linie lotnicze, promowe, autobusowe i kolejowe. Pańska siostra miała karty kredytowe American Express oraz Mastercard, ale nie dokonywała nimi żadnych operacji po szóstej trzydziści osiem dziesiątego maja. Wtedy skorzystała z karty American Express, płacąc nią w sklepie Threshera przy Earls Court Road za dwie butelki szampana Lanson, torebkę prażonych orzeszków i Topie. To batonik czekoladowy z orzechami.

Josh ucisnął palcami nasadę nosa.

— Dzięki — odparł. — Sądzę, że robicie wszystko, co w ludzkiej mocy.

— Minęły dopiero trzy dni, proszę pana. I mamy jeszcze „Crimewatch”.

Poszli do Brompton Library. Był to ogromny, posepny budynek z czerwonej cegły, wypełniony zapachem starych książek i ciszą, zakłócaną tylko przez bębniące o szyby krople deszczu. Szukali w komputerowym indeksie Wheatstone Electrics, ale nie było w nim takiej firmy. Na górze znaleźli grubą księgę o historii rozwoju londyńskiego przemysłu podczas boomu lat trzydziestych, z dziesiątkami ilustracji wszystkich okazałych fabryk zbudowanych wzdłuż Great West Road. Była tam wytwórnia chipsów Smitha, fabryka samochodów Hudsona i garaże Henleya, ale żadnej wzmianki o Wheatstone Electrics. Josh nie mógł tego pojąć. Budynek Wheatstone był tak charakterystyczny, że wydawało się niemożliwe, by pominięto go w tak szczegółowym opracowaniu.

Zatrzasnął książkę, a chudzielec po drugiej stronie stołu obrzucił go spojrzeniem, które ogłuszyłoby żółwia. Josh nachylił się do Nancy i szepnął:

— Ella i jej przyjaciele mieli rację. To był żart. Dość niesamowity, muszę przyznać, ale tylko żart. Nigdy nie było żadnej Wheatstone Electrics ani Kaiser Gardens czy Marguerite Marmion. Julia wymyśliła to wszystko i zostawiła list pod materacem, aby mieć pewność, że Ella go znajdzie.

— Tylko w jakim celu? — zapytała Nancy. Miała włosy upięte z tyłu i wyglądała na zmęczoną.

— Nie sędzę, żeby miała w tym jakiś cel. Była przygnębiona, zagubiona... może dlatego to zrobiła. A może zaraziła się angielskim poczuciem humoru. Kaiser Gardens, rany boskie.

— I co teraz?

— Nic więcej nie możemy zrobić. Sprawdziliśmy wszystkie ślady.

— A co z rymowanką tej staruszki?

— Nie sędzę, żeby miała jakiegokolwiek znaczenie. Zdzieciniała babcia, to wszystko. Poruszyło mnie to, bo byłem w szoku po wizycie w kostnicy.

— W jaki sposób zdołała wyczuć twój niepokój?

— Byłem w szoku, prawda? Podświadomie doszukiwałem się jakiegoś wyjaśnienia śmierci Julii.

— Ta staruszka nie mogła znać twojego imienia, a przecież wymówiła je.

— Powtarzała dziecinne rymy i w ten sposób wypowiedziała moje imię. Powtarzała sobie „Jack jest zręczny” akurat wtedy, kiedy ją mijałem. Czysty przypadek.

— Jednak Ella uważa, że to coś oznacza.

— O rany, Ella jest... spirytystką. Wróży z fusów. Rozmawia z umarłymi.

— No nic, sprawdźmy ten wierszyk. Tak z ciekawości. Brytyjska kultura jest naprawdę fascynująca.

— Raczej przygnębiająca. Jest tak stara.

Znaleźli ostatnie wydanie oksfordzkiego słownika dziecinnych rymowanek, ale nie zawierał żadnej wzmianki o drzwiach. Jednak w starszej książce, „Goosey Goosey Gander & Other Rhymes” pióra Jamesa i Sylvii Wilmott, znaleźli na ten temat prawie trzy strony, z niepokojącym, lecz bardzo pięknym rysunkiem Waltera Crane’a, słynnego ilustratora książek dla dzieci.

— Spójrz na to — powiedziała Nancy. — To naprawdę dziwne.

Rysunek przedstawiał wysoki mur z drzwiami na środku. Po jednej stronie było smagane deszczem średniowieczne miasto, z ciemnymi, pochyłymi kamieniczkami oraz brukiem zasypanym słomą. Ulicą nadchodziła grupka sześciu lub siedmiu mężczyzn w wysokich kapeluszach, czarnych pelerynach i zapinanych na sprzączki butach. Wszyscy mieli miecze. A co

najdziwniejsze, ich twarze pod rondami kapeluszy były całkowicie zasłonięte białymi maskami, na których namalowano wytrzeszczone czarne oczy.

Wystraszona matka odciągała dzieci, schodząc z drogi nadchodzącym; czarny kot, jeżąc sierść, umykał do kryjóWKi.

Drzwi w murze były uchylone; przechodził przez nie przystojny młodzieniec o długich kręconych włosach, oglądając się i sprawdzając, jak daleko są uzbrojeni ludzie. Prowadził przed sobą młodą kobietę, zapewne żonę, trzymającą w ramionach dziecko.

Po drugiej stronie drzwi, kontrastując z mrokiem średniowiecznego grodu, w blasku słońca, rozpościerały się lany pszenicy i sady. W oddali, pod wielkim wiązem, stała kryta strzechą chata, z której komina unosił się dym. W pobliżu kilku wieśniaków kosiło pszenicę, a jeden biegł w kierunku drzwi — chciał zamknąć je czy też pomóc przechodzącym?

Był tam jeszcze jeden człowiek, nieproporcjonalnie wysoki, niemal tak duży jak chata. Stał odwrócony plecami, nie pokazując twarzy. Miał na sobie długi płaszcz z wyszytym na nim pentagramem.

— Upiorne — mruknął Josh. Nancy przeczytała wierszyk:

— „Sześcioro drzwi ma London Town, me dziecię. Sześcioro drzwi w Londynie też znajdziecie. Lecz któż to wie, w którą patrzą stronę? I któż to wie, kędy szczerze są zwrócone?”.

Pod wierszykiem był obszerny komentarz: „Aczkolwiek mniej znana od większości dziecięcych rymowanek, jest zapewne jedną z najstarszych i pochodzi z początków siedemnastego wieku. Istnieje kilka różnych interpretacji jej znaczenia, lecz większość historyków zgadza się, że była niezwykle popularna w Londynie po roku 1650, po egzekucji Karola I. Samuel Pepys wzmiankuje o niej w pierwszym tomie swoich dzienników w roku 1659, pisząc: »nawet teraz ten prosty wierszyk nadal budzi dreszcz zgrozy, przywołując żywe wspomnienia Zakapturzonych, spieszących pełnić swe straszne dzieło w imię Wszchemogącego«. W pierwszych latach republiki brytyjskiej tajne stowarzyszenie skrajnych purytanów co noc wysyłało na ulice Londynu grupki ludzi w kapturach, polujących na katolików i członków Kościoła episkopalnego. Ci, którzy nie chcieli wyrzec się swej wiary, byli torturowani lub mordowani. Niektórzy twierdzą, że rymowanka »Sześcioro drzwi« mówi o drzwiach sześciu londyńskich kościołów, w których katolicy mogli schronić się przed Zakapturzonymi. Jednakże to schronienie było tylko czasowe i z nadejściem niedzieli katolicy musieli wyrzec się swej wiary lub wyrzucano ich z powrotem na ulicę. Podobno duchowni w paru kościołach byli bardziej tolerancyjni i pomagali katolikom uciec rzeką do Francji. Stąd pytanie »któż to wie, w którą patrzą stronę?«. Inni badacze sugerują, iż »sześcioro drzwi« wiodło do sekretnych miejsc spotkań katolików, gdzie mogli zbiorowo odprawiać nabożeństwa. Według jeszcze innej interpretacji chodziło o domy gry, w których grano w kości o duże sumy pieniędzy. Pytanie »kędy szczerze są zwrócone?« miało być odzwierciedleniem powszechnie wówczas praktykowanego obciążania kości, by zmniejszyć szansę innych graczy. Najbardziej kontrowersyjna teoria głosi, że »sześcioro drzwi« to sześć miejsc w Londynie, w których można było przejść z okrutnej rzeczywistości purytańskich reform do równoległego świata tolerancji i szczęścia. Podobno lokalizacja tych drzwi była znana tylko nielicznym, zwanym Strażnikami, którzy bardzo się wzbogacili, każąc katolikom płacić ogromne sumy za umożliwienie ucieczki z purytańskiego Londynu. Jednak jest bardzo prawdopodobne, że kiedy nieszczęśnicy zapłacili okup za podróż do innego świata, po prostu ich mordowano i wrzucano ciała do Tamizy, podczas gdy ich przyjaciele naiwnie wierzyli, że zbiegowie wiodą spokojny żywot w jakiejś rajskiej krainie, w której Zakapturzeni nie mogą ich dosięgnąć. Podobno Strażnicy praktykowali okultyzm, gdyż tylko oddając się pewnym rytuałom, można było przejść na drugą stronę. Te rytuały, mające prawdopodobnie druidyczny rodowód, obejmowały również przeskakiwanie

przez zapalone gromnice, co około 1688 roku dało początek innej rymowance: »Jack jest zręczny, Jack umie biec, Jack przeskoczy kilka świec« — przy czym »Jack« w siedemnastowiecznej mowie potocznej oznaczał jakobitę, członka Kościoła rzymskokatolickiego i zwolennika Stuartów”.

— Ciekawa legenda — stwierdziła Nancy. — Przechodzisz przez takie drzwi i już jesteś gdzie indziej!

Josh dotknął ilustracji, czubkiem palca wodząc po zarysie drzwi.

— Taa... Niezwykła, prawda?

Nancy zmrużyła oczy.

— Znam tę twoją minę. Zaledwie przed minutą mówiłeś mi, że staruszka w szpitalu cierpiała na starcze zdziecinnienie. Minutę temu twierdziłeś, że ta rymowanka to tylko zbieg okoliczności.

— Sto do jednego, że tak jest.

— Ale...?

— Nie wiem. Naprawdę nie wiem, co o tym myśleć.

— W mitologii plemion Modoc i Klamath także występuje świat równoległy. Świat bez białych ludzi, w którym nadal możemy łowić ryby i uprawiać ziemię nie nękani przez was, blade twarze.

— Ale nie byłeś tam, prawda? I nie znasz nikogo, kto by tam był?

— Nigdy tam nie byłam, ponieważ w to nie wierzę, a poza tym lubię blade twarze i nigdy nie miałam ochoty łowić ryb ani uprawiać ziemi. No i nie mam pojęcia, jak się tam dostać.

Josh spojrział na ilustrację.

— A gdybyś wiedziała, jak to zrobić?

Nancy chciała coś powiedzieć, ale powstrzymała się. Josh nadal spoglądał na rysunek, więc w końcu zapytała:

— Chyba nie myślisz, że to naprawdę ma coś wspólnego ze zniknięciem Julii?

— Co? Nie, skądże. To tylko dziecinna rymowanka.

— Tylko że?

— Tylko że — jak sama powiedziałaś — Ella uważała, że to ważne. Sądziła, że ta staruszka chciała mi coś powiedzieć.

— Świat równoległy? Prawdziwy świat równoległy? Daj spokój, Josh!

— Jasne, masz rację, masz całkowitą rację. Jestem chyba zmęczony. Nadal odczuwam skutki różnicy czasów. Ponosi mnie wyobraźnia. To bzdura.

— Ale? Ale? Spójrz na siebie, twoja mina wyraźnie mówi „ale”!

— Po prostu przypomniało mi się coś, o czym czytałem kilka tygodni temu w „Chronicie”. W San Diego odbyła się konferencja naukowa poświęcona światom równoległym. Uczestniczyło w niej dwustu największych jajogłowych na świecie. I doszli do wniosku, że prawdopodobieństwo nieistnienia świata równoległego jest tak niewielkie, że właściwie graniczy z niemożliwością. Uznali, że istnieje nieskończona ilość takich światów, gdyż wszechświat jest nieskończonością wyborów, więc muszą istnieć jakieś światy równoległe.

— Tylko gdzie one są? I jak się do nich dostać?

— Skąd mam wiedzieć, do licha? W tysiąc czterysta dziewięćdziesiątym pierwszym roku pewnie tak samo mówiono o Ameryce. Jednak jest taka możliwość, prawda? Julia zniknęła na ponad dziesięć miesięcy i przez cały ten czas nikt jej nie widział i nikt nie wie, gdzie była. Nikt. Pracowała dla jakiejś nieistniejącej firmy i zostawiła nieistniejący adres...

— Oto przemówił wielki sceptyk.

— Nadal jestem sceptykiem. Tylko czy to oznacza, że mam być również ślepy? W porządku, list z firmy Wheatstone mógł być żartem. To najbardziej prawdopodobne wytłumaczenie, chociaż

niezbyt wiarygodne. A jakie są inne możliwości? Może Julia opuściła Londyn. Może nawet wyjechała z Anglii. Albo była przez cały czas w Londynie, ale została porwana i przetrzymywano ją gdzieś w piwnicy. A może jednak...

— Mów dalej — zachęciła go Nancy.

Josh powoli zamknął książkę.

— Może jest jakiś świat równoległy, w którym naprawdę istnieje Wheatstone Electrics i Kaiser Gardens. Może gdzieś tutaj są te drzwi, a Julia odkryła, jak z nich skorzystać, i przeszła przez nie.

Opuścili bibliotekę i zeszli po schodach. Deszcz przestał padać i wilgotne nawierzchnie ulic pod ich nogami lśniły odwróconym odbiciem czarnego nieba i świateł.

— Nawet jeśli te „drzwi” istnieją, to jak Julia je odkryła? — spytała Nancy.

— Nie wiem. Na pewno niełatwo je znaleźć, inaczej wszyscy by się do nich pchali.

— Nie zamierzasz powiedzieć o tym detektyw Paul, prawda?

Josh otworzył drzwi i wszedł do samochodu. Włączył wycieraczki, które zaczęły tam i z powrotem przesuwać po przedniej szybie mandat za nieprzepisowe parkowanie.

— Nie — odparł. — Nie zamierzam mówić o tym detektyw sierżant Paul. Najpierw spróbuję znaleźć kogoś, kto wie więcej o tych sześciorgu drzwiach.

Nancy pocałowała go w policzek, a potem w usta.

— Za co? — spytał.

— Ponieważ zawsze udajesz takiego trzeźwego, racjonalnego faceta, ale w rzeczywistości jesteś szalony, spontaniczny i kierujesz się odruchami jak jeden z twoich psów.

— Hau — powiedział Josh i przez pomyłkę włączył wsteczny bieg, uderzając w zaparkowany z tyłu samochód.

## ROZDZIAŁ 8

Tego wieczoru bez zaproszenia wrócili do Elli, zabierając ze sobą dwie butelki chardonnay. Nie liczyli na to, że Ella naprawdę im pomoże, ale chcieli z kimś o tym porozmawiać, a ona była jedyną osobą, która ich mogła wysłuchać. Josh wiedział, co pomyślałaby o nich detektyw sierżant Paul, gdyby próbowali przedyskutować z nią teorię „sześciorga drzwi”. Jego stary szkolny kolega, Steve Moriarty, który wstąpił do policji San Francisco, wiecznie narzekał na „amatorów Archiwum X”, zamęczających go po każdym przypadku czyjegoś niewyjaśnionego zniknięcia. Na przykład sprawa staruszka, którego sztuczną szczękę znaleziono w muszli klozetowej. Jego żona natychmiast stwierdziła, że został pożarty przez ogromną anakondę ukrywającą się w rurach kanalizacyjnych. Po siedmiu miesiącach znaleziono go całego i zdrowego w Santa Cruz. Po gotowanych przez żonę posiłkach zawsze zbierało mu się na mdłości i kiedy za którymś razem wypadła mu szczeka, opuścił dom i poprzysiągł sobie, że nigdy nie wróci.

Inni utrzymywali, że ich krewni zostali porwani z pokładu jachtu przez eskadrę przelatujących UFO albo przeszli przez lustro i na zawsze zostali uwięzieni po drugiej stronie. Równoległy świat z dziecinnej rymowanki wydawał się równie zwariowanym pomysłem.

Ella nie okazała zdziwienia na ich widok. Miała na głowie czarną chustkę, a w uszach wielkie srebrne kolczyki.

— Wejdźcie — powiedziała. — Właśnie gotuję *sancoche*.

Przybiegł Abraxas i zaczął obskakiwać Josha.

— Leżeć, Abraxas! — zawołała Ella. — Zachowuj się, ty obrzydliwy kundlu!

Pies jednak dalej skakał jak na sprężynach, więc Josh pstryknął palcami i obrzucił go karcącym spojrzeniem. Abraxas natychmiast zaskomlał, zwiesił łeb i potruchtał do swojego koszyka pod zlewem.

— Jak ty to robisz? — spytała Ella, kręcąc głową.

— To specjalna sztuka walki. Nazywają ją wzrokowym karate. Uczą tego w *marines*. Chyba tylko ja jeden wypróbowałem ją na psach.

— Byłeś w *marines*?

Josh spojrział w sufit.

— Krótko — odparł.

— Nie lubi o tym mówić — wyjaśniła Nancy.

— Nie macie nic przeciwko temu, że skończę gotowanie? — zapytała Ella.

Podeszła do kuchenki i podniosła pokrywkę dużego garnka. Po pomieszczeniu rozszedł się zapach mięsa, papryki i warzyw. Josh również podszedł do kuchenki i zajrzał do garnka, w którym bulgotał brązowy wywar.

— *Sancoche* — powiedziała Ella. — To tradycyjna potrawa z Trynidadu, z solonej wieprzowiny i wołowiny, z ignamem i taro, korzeniami kasawy i słodkimi ziemniakami, kremem kokosowym i ostrą papryką.

— To chyba dość pożywne.

— Babcia nauczyła mnie, jak to się przyrządza. Uważała, że ta potrawa przynosi szczęście. Ilekroć gotujesz *sancoche*, jej zapach dociera do świata duchów, przypominając im dobre czasy, kiedy przebywały w żywych ciałach, więc zbierają się, żeby wdychać tę woń.

— Chyba nie spodziewasz się gości? — spytała Nancy. — Możemy przyjść jutro.

— Prawdę mówiąc, czekałam na kogoś... Zostawiłam rozłożone karty, żeby wam pokazać.

— Karty?

Ella zaprowadziła ich do stołu. Na purpurowym aksamicie leżało dwanaście zatłuszczonych, wytartych kart, które otaczały trzynastą. Siedem z nich odwrócono figurami do góry. Każda miała w lewym górnym rogu mały symbol zwyczajnej karty do gry oraz duży obrazek na środku.

— To francuskie karty do wróżenia, *La Sybille*, z Martyniki — wyjaśniła Ella. — Kobiety z mojej rodziny przekazują je sobie od wielu pokoleń. Każda oddaje im trochę własnej mocy, więc są bardzo potężne i mądre. Wy oboje macie tak silną aurę, że rozłożyłam je wczoraj po waszym wyjściu. Chciałam wiedzieć, co się z wami stanie.

— Postanowiłaś mnie nawrócić? — zapytał Josh. Ella zachichotała.

— Nie musisz wierzyć, jeśli nie chcesz. Możesz nie wierzyć w jutro, ale ono i tak nadejdzie.

Podniosła środkową kartę i pokazała im ją. Była to trójka kier, z ilustracją przedstawiającą siedzącą na krześle kobietę w brązowej jedwabnej sukni.

— To ja, *la consultante*, osoba zadająca pytania. A tutaj to także ja — królowa trefl, *une amie sincère*. To oznacza, że jestem waszą przyjaciółką i pomogę wam, cokolwiek się stanie.

Josh podniósł następną kartę, na której mężczyźnie i kobiecie podawano krzesło.

— *La visite* — mruknął. — A więc to karty powiedziały ci, że ktoś przyjdzie. Tylko skąd wiedziałas, że to będziemy my?

— Popatrz na róg karty. Walet kier. Mężczyzna o imieniu Jack\*, szukający czegoś, co jest bliskie jego sercu. To musiałeś być ty.

— Hm, być może. Mama zawsze mówiła do mnie Jack. A co oznaczają pozostałe karty?

— Popatrz na tę — powiedziała Ella, pokazując mu kobietę spoglądającą na odzianego w surdut i napoleoński kapelusz mężczyznę, który kładł przed nią na stół list. — To *révélations importante*, ważne wiadomości. Dzisiejszego wieczoru dowiesz się czegoś, co odmieni całe twoje życie.

— Rozumiem... A co to za grubas z fajką i towarzyszącym mu człowiekiem, który dźwiga na plecach bagaże?

— Dziesiątka karo, podróż. To, czego się dziś dowiesz, sprawi, że wyruszysz w daleką podróż, do miejsca, w którym jeszcze nigdy nie byłeś.

— A czy karty mówią, co się stanie, kiedy tam dotrę?

— Spotkasz dwie osoby. Jedna z nich jest twoim wrogiem... O, popatrz. — Pokazała mu kartkę przedstawiającą mężczyznę zakutanego w czarną opończę, z pałą w ręku czatującego za rogiem. — Ten król treflowy, kimkolwiek się okaże, będzie twoim obrońcą. Ale musisz uważać na tego, *pieges*. — Josh zobaczył mężczyznę siedzącego na polu i łowiącego ptaki w sidła. — To oznacza, że możesz wpaść w pułapkę.

Josh podniósł ostatnią kartę.

— Nie musisz mi mówić, co oznacza...

Obrazek przedstawiał szczerzący zęby szkielet w czarnej pelerynie, trzymający klepsydrę. Dziewiątka pik — śmierć. Ella wyjęła mu kartę z ręki i włożyła do talii.

— Dziewiątka pik nie zawsze oznacza śmierć.

— A co jeszcze? Że kupię klepsydrę do gotowania jajek?

— Może oznaczać żalobę. Pewnie karty wyczuły, że oplakujesz siostrę. Albo ktoś z twojego najbliższego otoczenia próbuje cię oszukać.

— Krótko mówiąc, nie jest to najlepsza karta.

Ella zmierzyła go przeciągłym spojrzeniem.

— I tak w to nie wierzysz, więc niech cię to nie martwi.

---

\* *Jack* — po ang. walet (przyp. tłum.).

— A ta karta, *revelations*... Czego mamy się dowiedzieć dziś wieczorem? Co zmieni całe nasze życie?

— Wróciliście tu, ponieważ chcecie mnie o coś zapytać. Chcecie zapytać mnie o zamki, klucze, drzwi i o to, jak przez nie przejść.

— Skąd wiesz? W tych kartach nie ma niczego takiego.

— Kiedy odkryłam kartę wiadomości, wszystkie klucze w kasetce zaczęły podskakiwać.

— Nie rozumiem...

Ella podeszła do regału i zdjęła z niego powyginane blaszane pudełko. Mocno nim potrząsnęła, a potem postawiła je na stole.

— Tego też nauczyła mnie babcia. Nigdy nie wyrzucaj żadnego klucza. A jeśli jakiś znajdziesz, też go zachowaj. Nigdy nie wiadomo, kiedy natrafisz na zegar, który trzeba nakręcić, albo na drzwi, które zechcesz otworzyć.

Nancy wzięła sobie stołek i przystawiła do stołu. Przyćmione światło lamp podkreślało jej indiańskie rysy: kształtny nos, głęboko osadzone oczy i wystające kości policzkowe. Miała na sobie dzinsy i obszyte frędzlami zamszowe buty oraz naszyjnik ze srebrnymi medalionami i kolorowymi paciorkami. Ten naszyjnik należał podobno do szamana Modoków, Kędzierzawego Doktora, i miał magiczną moc.

Gdy Nancy siadała, medaliony zadźwięczały. Odpowiedział im brzęk dobiegający z metalowej kasetki. Josh spojrzał na Elle.

— Dotychczas zdarzyło się to tylko raz — powiedziała. — Kiedy wróżyłam mężczyźnie, który miał brata w więzieniu i bardzo chciał go stamtąd wydostać.

Medaliony Nancy zabrzęczały ponownie i pudełko znów zagrzechotało, tym razem znacznie energiczniej. Abraxas wystawił nos poza brzeg swojego koszyka, ale nie wyszedł z niego.

— Jesteś gotowy? — zapytała Ella.

— Nie wiem. Zależy na co.

— Na tym polega moc artefaktów, takich jak garnki i patelnie albo klucze. Sam metal jest tylko metalem, czyż nie? Ale kiedy nadajemy mu kształt, uczymy go czegoś, prawda? Można powiedzieć, że metal uczy się, czego od niego chcemy. Garnek wie, że ma służyć do gotowania. Klucz rozumie, że jego przeznaczeniem jest otwieranie drzwi. Dlatego klucze tak hałasują, Josh. Wiedzą, że ich potrzebujesz.

Odsunęła rygiel. Z wnętrza pudełka dobiegł brzęk i chrzęst, jakby próbowała wydostać się stamtąd gromada żywych krabów. Ella zawahała się, a potem otworzyła pokrywkę. Dwadzieścia lub trzydzieści kluczy ze szczękiem wyskoczyło ze środka i przywarło do prawej dłoni Josha, jakby był namagnesowany.

— Jezu! — wykrzyknął. Był to okrzyk zdziwienia, nie bólu.

Podniósł dłoń najeżoną kluczami wszelkich kształtów i rozmiarów: od zegarów, klódek, zamków i szaf grających. Niektóre z nich były tak stare i pociemniałe, że trudno było odgadnąć, co mogły kiedyś otwierać. Josh poruszał ręką, wytrzeszczając oczy ze zdumienia. Kiedy parę razy potrząsnął dłonią, dwa lub trzy klucze spadły na stół, ale natychmiast uniosły się i ponownie przylgnęły do jego ręki. Ella uśmiechnęła się i pokręciła głową.

— Widocznie bardzo chcesz otworzyć te drzwi — oświadczyła. — Te klucze nie przywarły tak silnie nawet do tamtego faceta, który chciał uwolnić brata z więzienia.

Abraxas szczechnął, lecz kiedy Josh spojrzał na niego, pies znów schował łeb do koszyka.

— To ładunek elektrostatyczny, prawda? — powiedział Josh. — Taki trik? Jak te Uriego Gellera?

— Może. I być może zniknięcie Julii też było takim trikiem. Ale nie dowiemy się tego, dopóki nie sprawdzimy, no nie?



— A jak twoim zdaniem mamy to zrobić?

— Robiąc to, po co tu przyszłście. Pytając jedyną osobę, która zna prawdę.

— Mówisz o Julii, tak? — szepnęła Nancy.

Ella wzruszyła ramionami.

— Chcesz urządzić seans? — spytał ostro Josh.

— *Moi?* Och, nie. To ty chcesz urządzić seans. Przyszedłeś do mnie, bo bardzo pragniesz dowiedzieć się, co przydarzyło się Julii, a nie wiesz, do kogo innego mógłbyś się z tym zwrócić. Dlaczego nie przyznasz, że tak bardzo tego pragniesz? Dlaczego nie przyznasz, że gotów jesteś uwierzyć każdemu i we wszystko? Karty powiedziały mi, że przyjdiesz, a klucze wyjaśniły mi dlaczego.

Josh zaczerpnął tchu.

— Dzisiaj poszliśmy do biblioteki i dowiedzieliśmy się znacznie więcej o „sześciorgu drzwiach” — powiedział. — Istnieje kilka teorii na ich temat.

— Jakich?

— Według jednej z nich te drzwi wiodą do równoległego świata — odparła Nancy. — Coś w rodzaju alternatywnej egzystencji, jak Kraina Wiecznych Łowów.

— A więc dlatego przyszłście do mnie, zamiast pójść na policję? Pomyśleliście, że tylko ja mogę wam uwierzyć?

— Tak — przyznał Josh.

— Przypuszczaliście też, że pomogę wam sprawdzić, czym naprawdę są te drzwi i czy mają jakiś związek ze zniknięciem Julii?

— Tak — odparł zirytowany Josh, chociaż wiedział, że Ella prowokuje go, żeby poprosił ją o pomoc. — Jak mam zdjąć te klucze?

Ella poodrywała je od jego ręki i jeden po drugim powrzucała do pudełka, szybko zatrząskując wieczko za każdym z nich.

— Kiedy ta staruszka przemówiła do ciebie w szpitalu, wiedziałeś, że chce ci powiedzieć coś bardzo ważnego, prawda? Oczywiście usiłowałeś znaleźć jakieś racjonalne wyjaśnienie. Czasem jednak racjonalne myślenie bywa niebezpieczne. Często dochodzi do nieszczęść, ponieważ ludzie nie zwracają uwagi na ostrzeżenia. — Oderwała ostatni klucz od kciuka Josha, zamknęła wieczko i przesunęła zasuwkę. — Teraz spróbujemy się dowiedzieć, czy powinieneś zacząć szukać tych „sześciorga drzwi”, czy też po prostu chwytasz się słomki.

— Co mamy robić?

Ella wzięła Josha za rękę. Czuł wszystkie pierścionki na jej palcach: srebrne i złote, wysadzone szlachetnymi kamieniami.

— Przede wszystkim musisz zrozumieć, że to nie jest gra. Skontaktujesz się z Julią w zaświatach. Może usłyszysz jej głos. Być może nawet ją zobaczysz, w takiej czy innej postaci.

— To moja siostra. Nie boję się jej.

— Jedyną rzeczą, jakiej musisz się obawiać, są twoje własne emocje. Łatwo ci mówić, że nie będziesz się bał, ale to kontakt ze zmarłymi, Josh. Z tymi, którzy stracili wszystko: ukochane osoby, przyjaciół, świat, w którym żyli. Najtrudniej uporać się z ich poczuciem żalu. Ze smutkiem. Nawet jeśli zdołamy z nimi porozmawiać, oni odeszli i już nigdy nie wrócą.

Nancy podeszła do Josha i położyła dłoń na jego ramieniu.

— Nie musisz tego robić. Możesz tego potem żałować.

— Muszę się dowiedzieć — odparł Josh. — Poza tym cóż innego mógłbym zrobić? Siedzieć przez cały dzień w tym pokoju hotelowym i czekać na telefon od detektyw sierżant Paul?

— Moglibyśmy wrócić do domu. Josh pokręcił głową.

— Jeszcze nie. Najpierw spróbujmy tego.

- A jeśli się nie uda? Jeżeli w ten sposób nie dowiesz się, co stało się z Julią?  
— Och, dowie się — obiecała Ella. — Gwarantuję. Na sto dziewięćdziesiąt procent.

Wyłączyła wszystkie światła poza jednym — standardową lampą z narzuconym na nią szkarłatnym szalem z ponaszywanymi paciorkami — po czym zapaliła kilka świec o różnych kolorach, pachnących wanilią, mirrą i truskawkami.

Na stole postawiła srebrny talerz pełen soli.

— W Afryce sól jest oznaką głębokiej przyjaźni — wyjaśniła. — Gościom zawsze ofiarowuje się miskę soli. To również dar dla bogów. Oznaka uczucia. A także symbol żałoby. Wielu ludzi uważa, że płaczemy, by rozpuścić całą, przypadkowo wykrystalizowaną w naszym organizmie sól. Chroni nas również od zła. Zawsze powinniście trzymać miseczkę soli przy drzwiach lub każdym innym otworze, przez który może wejść demon. Chodząc w nocy po domu, zawsze powinniście mieć przy sobie garstkę soli. Jeśli ujrzycie czającego się w kącie demona, będziecie mogli sypanąć mu solą w oczy i oślepić go. Dzisiaj użyję soli, aby zachęcić Julię do rozmowy ze mną.

Stała na środku pokoju i podała rękę Joshowi oraz Nancy, każąc im także złączyć ręce. Abraxas spoglądał na nich tęsknie, ale nie próbował do nich dołączyć.

— Jest bardzo grzeczny — zauważył Josh.

— Nie lubi seansów. Przerazają go. Gdyby nie był psem, pewnie zostałby kurczakiem.

— Czy podczas takich seansów nie siadacie wokół stołu? — spytała Nancy.

— To częsta pomyłka. Niemal każde medium ją popełnia. W jaki sposób duch ma się pojawić, jeśli wszyscy siedzą wokół kawałka twardego drewna? Drewno nie jest przewodnikiem, a duchy to czysta energia elektryczna. Równie dobrze można byłoby zrobić telewizor z drewnianym ekranem i oczekiwać, że pojawi się na nim obraz.

— Czy musimy zamknąć oczy? — zapytał Josh.

Ella uśmiechnęła się. Jej skóra lśniła w blasku świec jak polerowany brąz.

— Wystarczy odprężyć się, oddychać powoli i spokojnie. Pomyśl o chwilach, jakie przeżyłeś z Julią, o naprawdę dobrych czasach. Spróbuj wyobrazić sobie jej twarz. Zobaczyć ją najwyraźniej, jak potrafisz. Przypomnij sobie kolor jej oczu, rzęsy, każdy rys jej twarzy. Każdy pieg i kosmyk włosów. Postaraj się wyobrazić sobie, że jest cała i zdrowa, cała i zdrowa, tak jak ty. Jej ciało jest ciepłe, a płuca pracują, wdychając i wydychając powietrze. Oczy ma zamknięte, ale porusza powiekami, ponieważ tylko śpi, Josh. I śni o tobie. Śni o tym, że wraca i rozmawia z tobą, opowiadając ci, gdzie była. Czy widzisz ją? Czujesz teraz jej zapach? Pamiętasz perfumy, jakich zawsze używała?

Stojąca obok Josha Nancy powiedziała nagle:

— Anaïs Anaïs.

— Co? — wymamrotał Josh, czując lekkie mrowienie korzonków wszystkich włosów na głowie.

— Anaïs Anaïs. Julia zawsze używała tych perfum. Nie czujesz ich?

Josh wciągnął powietrze przez nos. Poczł słaby kwiatowy zapach, ale nie był pewny, czy to perfumy Julii.

— Nie wiem... Może to zapach świec.

— Ona jest blisko, Josh — oświadczyła Ella. — Duchy zawsze są blisko, zwłaszcza jeśli niedawno nas opuściły. Ona tęskni za tobą, Josh, tak samo jak ty za nią. Chce z tobą porozmawiać. Pragnie cię dotknąć. Chce ci opowiedzieć, co jej się przydarzyło.

Josh zerknął na Nancy. Zaczynał się obawiać, że popełnili błąd, przychodząc ponownie do Elli. Ta dziewczyna nie mogła przywołać Julii z zaświatów. Jego siostra została powieszona,

okaleczona, a potem wrzucona do Tamizy i nic tego nie zmieni. Ella tylko podsycala jego ból, żeby go wykorzystać. Zastanawiał się, ile od niego zażąda po zakończeniu tego „seansu”.

— Nic — powiedziała Ella.

— O czym mówisz?

— Nic sobie za to nie policzę. Tu chodzi o wiarę, nie o pieniądze.

— Josh zaczerwienił się.

— Jezu! Gdyby mój dyrektor banku tak samo wyczuwał, kiedy myślę o pieniądzach...

— Nie ma sprawy — odparła Ella. — Masz prawo wątpić. Gdyby nikt nie wątpił, wiara nie miałaby żadnej wartości. Pamiętaj tylko o tym, że Julia była nie tylko twoją siostrą. Była także przyjaciółką wielu ludzi... i moją również. A teraz sprowadźmy ją bliżej, dobrze? Poczujmy, jak żyje i oddycha. Zobaczmy jej twarz, tak jak ją pamiętamy. Taką, jaką kochaliśmy.

Wzniosła oczy do góry i tak mocno ścisnęła rękę Josha, że jej długie paznokcie wbiły się w jego dłoń. Zabolało go, ale domyślił się, że zrobiła to celowo, by pomóc mu się skoncentrować.

Milczała przez dłuższy czas, oddychając głęboko, lekko chrapliwie. Płomyki świec pełgały i w kątach, gdzie skośne sklepienie stykało się ze ścianami, płąsały zdeformowane cienie. Na zewnątrz, w mroku nocy, Josh słyszał nieustanny pomruk londyńskiego ruchu i po raz pierwszy od przyjazdu do Anglii poczuł, że jest bardzo daleko od domu.

Ella na moment puściła dłoń Nancy i wzięła szczyptę soli ze srebrnej miseczki. Rzuciła sól na środek pokoju i zaintonowała:

— Trzy anioły ze wschodu przybywały. Jeden przyniósł ogień, drugi przyniósł mróz. Trzeci przyniósł ducha, którego szukamy.

Wzięła następną szczyptę soli i rzuciła ją na płonące świece, które buchnęły jasnoniebieskim płomieniem.

— Zieloną drogą trzy panny wędrowały — ciągnęła. — Jedna niosła chleb. Druga niosła drzewo. Trzecia niosła ducha, którego szukamy.

Ponownie ujęła dłoń Nancy i zamknęła oczy.

— Julio Winward, Julio Winward, Julio Winward. Po trzykroć świece niech przy mnie płoną. Po trzykroć niech serca nasze pękają. *Pchagerav monely, pchagerav tre vody.*

Josh zaczerpnął tchu i tym razem wyraźnie poczuł zapach perfum Julii. Powietrze w pokoju pochłodziło i wszystko stało się dziwnie niewyraźne, jakby wstrząsane niewyczuwalnym trzęsieniem ziemi.

— Julio Winward, Julio Winward, Julio Winward — powtarzała coraz głośniejsze Ella.

Temperatura wciąż opadała i zapach perfum stał się tak silny, że prawie duszący. Nagle usłyszeli trzeszczenie — z początku ciche, a potem coraz wyraźniejsze. Skrzyp — pauza. Skrzyp — pauza. Joshowi przypomniawszy się Julia siedząca na bujaku dziadka, na ganku w Sausalito. Machała bosymi nogami i osłaniała oczy rękami przed zachodzącym słońcem, które zapalało złote błyski w jej jasnych włosach. Skrzyp — pauza. Skrzyp — pauza. Skrzyp — pauza.

Po chwili usłyszeli ciche odgłosy rozpaczliwej samotności. Coś pojawiło się przed nimi w powietrzu. Błady, migoczący kształt, jak obraz widziany w staroświeckim fotoplastykonie. To coś poruszało się gwałtownie, lecz towarzyszące temu poskrzypywanie było równie miarowe jak poprzednio.

Skrzyp — pauza. Skrzyp — pauza.

Ella jeszcze mocniej wbiła paznokcie w dłoń Josha.

— Julio Winward! — zawołała z wyraźnym karaibskim akcentem. — Julio Winward!

Panujące w mieszkaniu napięcie stało się prawie nie do zniesienia. Josh miał wrażenie, że ciśnienie powietrza rośnie równie szybko, jak spada temperatura. Czuł ucisk w uszach. Migoczący przed nimi kształt stawał się coraz wyraźniejszy, aż w końcu Josh uświadomił sobie,

że to dwie nogi — dwie gołe nogi, pedałujące w powietrzu.

— Julia? — szepnął, a potem znacznie głośniejszym głosem zapytał: — Julia?

Postać stopniowo stawała się coraz wyraźniejsza. Josh spoglądał na nią z rosnącą zgrozą.

— Co to takiego? — spytała Nancy. — Josh, powiedz mi, na Boga, co to takiego?

— Zbaw nas — wymamrotała Ella. — W imię Ojca i Syna, i Ducha, amen.

Widzieli ją wyraźnie tylko przez ułamek sekundy, ale to wystarczyło. Naga Julia wisiała na wbitym w sufit haku, szarpiąc rękami pętlę wokół szyi i wierzgając nogami. Powoli kołysała się na boki. Skrzyp — pauza. Skrzyp — pauza. Jej oczy wychodziły z orbit, a język wysunął się z otwartych ust, ale w żaden sposób nie mogła się uwolnić.

## ROZDZIAŁ 9

— Ella! — krzyknął Josh, ale ona była szybsza. Chwyliła pełną garść soli i cisnęła ją w powietrze, w obraz szamoczącej się na haku Julii. Każde ziarnko soli z ostrym trzaskiem rozbłysło małym punkcikiem jasnoniebieskiego światła. Wizja natychmiast znikła, pozostawiając tylko cienką smużkę dymu o gryzącym zapachu. Abraxas wyzywająco warknął, ale nie odważył się wyjść z koszyka.

— Boże, to było przerażające — powiedziała drżącym głosem Nancy. — To było naprawdę przerażające. Mój dziadek też przywoływał duchy. Cienie, niewidzialne palce kreślące słowa na piasku... ale nigdy czegoś takiego.

Przysunęła sobie jedno z krzeseł i usiadła, a Ella oparła się o stół, ocierając chustką czoło i kark.

Josh pozostał na swoim miejscu. Wciąż był zmarznięty, rozkojarzony i miał mdłości, jakby stał na pokładzie arktycznego kutra rybackiego. Próbował sięgnąć po najbliższe stojące krzesło, chcąc się na nim wesprzeć, ale nie mógł ruszyć się z miejsca. Lodowaty pot spływał mu po policzkach za kołnierz i ściekał wzdłuż kręgosłupa. Usiłował złapać kilka głębokich, uspokajających oddechów, ale nie mógł. Ścisnęło go w gardle i wciąż wstrząsały nim mdłości.

— Josh, nic ci nie jest? — spytała Ella.

— Tylko... tylko mnie mdli — wykrztusił.

Nigdy w życiu nie czuł się tak okropnie. Miał wrażenie, że temperatura jego ciała opadła chyba do zera i bolały go wszystkie kości. Obrzydliwie burczało mu w brzuchu, a w ustach miał pełno kwaśnej śliny.

— Chodź — powiedziała Ella, biorąc go za rękę. — Zaprowadzę cię do łazienki.

— To była Julia — szepnęła. — To była Julia, powieszona.

Żołądek zacisnął mu się w pięść i czuł w gardle wielką kulę, która nie chciała opaść w dół. Próbował zrobić choć krok, jednak nie zdołał. Zgiął się nad stołem i nagle usta wypełniło mu coś wielkiego i śliskiego. Jak ostryga, ale dwudziestokrotnie większa. Próbował oddychać, lecz z nosa trysnęła mu żółć. Ta rzecz w jego ustach była tak duża, że obawiał się, iż nie zdoła otworzyć ich dostatecznie szeroko, by ją wypluć. Rozpaczliwie chwytając oddech, wyciągnął ręce do Nancy, wytrzeszczając oczy i zginając się pod wpływem skurczów.

— Ella, wezwij karetkę! — krzyknęła Nancy.

— On musi to wypluć — oświadczyła Ella. — Utkwiło mu w przełyku. Musi to wypluć.

— Dzwon po tę pieprzoną karetkę! On umiera!

— Nie, nie! Musi to wypluć — upierała się Ella.

Nancy podeszła do telefonu i wykręciła 911. Ale usłyszała tylko wysoki, piskliwy ton oraz uprzejmy kobiecy głos, powtarzający: „Nie ma takiego numeru...”.

— Jaki jest numer pogotowia? — zapytała. — Ella, jak mam wezwać karetkę?

Josh tak mocno pochylił się nad stołem, że dotknął czołem aksamitnej narzuty. Oburącz ścisnął brzuch, usiłując opanować skurcze. Z jego ust wydobywał się cichy, zduszony charkot, jakby przygniotły go tony cementu.

— Podaj mi ten numer! — wrzasnęła Nancy.

W tym momencie z ust Josha zaczął wydobywać się tłusty, zakrwawiony balon. Joshowi było tak niedobrze, że miał ochotę wymiotować, ale mógł tylko centymetr po centymetrze wykrztuszać z siebie to coś, co nieskończenie powoli prześlizgiwało się między jego wargami.

— Boże — wymamrotała Nancy. — O Boże, co się z nim dzieje?

Ella pochylała się nad Joshem i roztarła mu plecy.

— No, Josh. Zaraz się tego pozbędziesz — powiedziała.

Josh cały poszarzał, ale wielka śliska gula powoli wypełzała z jego ust. Po chwili cicho upadła na stół, jak monstrualny glut. Zaraz za nią trysnął strumień na pół strawionej pizzy. Josh osunął się na kolana, rozpaczliwie usiłując złapać oddech. Zwrócił resztę lunchu przez nos. Ella przyniosła duże pudełko chusteczek higienicznych i otarła mu twarz.

— Co to? — spytała Nancy, z przerażeniem spoglądając na krwawy pęcherz, leżący na stole.  
— Czy on jest chory? Nie umrze, prawda?

Ella wstała.

— Nie, nie umrze. Ale jeszcze nigdy nie widziałam czegoś takiego. Kiedyś uzyskałam ektoplazmę, niewielką grudkę, która zmieściła się w kieliszku na jajka. I kosmyki włosów. Jednak nigdy nie pojawiła się żywa tkanka.

Josh wyciągnął z pudełka jeszcze kilka chusteczek i wytarł sobie koszulę. Nadal był spocony i drżący, lecz jego twarz odzyskiwała już naturalny kolor i skurcze ustawały. Kiedy jednak spojrzął na to coś, co leżało na stole, znów dostał mdłości.

— Czasem, kiedy wywołujesz duchy, tak bardzo chcą wrócić do rzeczywistego świata, że usiłują się zmaterializować. Wówczas pojawia się ektoplazma. Zazwyczaj jest biała, szara, w kształcie obłoczków, pasm lub smug, przezroczysta jak szyfon — powiedziała Ella.

— A co to takiego? — zapytała ponownie Nancy. — To nie wygląda jak obłoczek, pasmo czy smuga.

— Hm... po szkole chodziłam na kurs dla pielęgniarek i powiedziałabym, że to płuco.

— O mój Boże! Josha?

— Nie, skądże. — Ella wzięła Josha za rękę i pomogła mu wstać. — Gdyby to było jego płuco, już by nie żył. Ono pochodzi z tamtej strony. To wiadomość. — Zamilkła na chwilę, a potem dodała: — Podejrzewam, że to płuco Julii.

— Co takiego? — spytał Josh, ocierając usta. Wciąż czuł smak krwi i tłuszczu, który pokrywał pęcherz. — Jak to możliwe?

— Jej duch jest bardzo silny, Josh. Ona wie, że tu jesteś. Wie, że przyjechałeś do Anglii, żeby ją odszukać. Chce z tobą porozmawiać, nawiązać kontakt. Ale została okaleczona. Nie może pojawić się cała.

— Nie mogę w to uwierzyć — mruknął Josh. — W jaki sposób mogłem sprowadzić tu płuco mojej siostry? Przecież to fizycznie niemożliwe!

— Możliwe, Josh. Takie przypadki zdarzały się już wiele razy. W edwardiańskich czasach żyło medium, niejaka Marthe Beraud, znana pod imieniem Eva C. Potrafiła sprowadzać z zaświatów ludzkie dłonie... z paznokciami i kośćmi, których mogli dotykać badacze. Takich przypadków były tuziny. Niektóre media umiały przenieść ustami całe osoby.

Josh nie mógł oderwać oczu od leżącej na stole kupki tkanki. Odór wymiocin był tak silny, że znów poczuł skurcze żołądka.

— Nie rozumiem, co to oznacza. Ale jeśli Julia usiłuje mi coś przekazać, chciałbym wiedzieć, co to takiego?

— Ona próbuje ci powiedzieć, że nie zazna spokoju, dopóki nie dowiesz się, co ją spotkało. Nie zazna spokoju, dopóki wszystkie jej części ciała nie znajdą się razem i nie zostaną pochowane jak należy.

— Przecież ja nie mam pojęcia, gdzie one są. Właśnie tego próbowałem się dowiedzieć.

— Nie rozumiesz? Płuco to wiadomość.

— No cóż, jeśli nawet tak, to niezbyt przyjazna, prawda? O mało się nie udusiłem.

— Uważam, że powinniśmy zadzwonić do detektyw sierżant Paul — stwierdziła Nancy. —

Ta zabawa w detektywów posunęła się za daleko. Jeśli to płuco naprawdę należy do Julii, to jest ważnym materiałem dowodowym.

— Nie możecie powiedzieć o tym policji — zaprotestowała Ella. — Zwiną was, zanim się obejrzyicie.

— Zwiną?

— Zamkną w domu wariatów. Uznają was za stukniętych. Albo dojdą do wniosku, że mieliście coś wspólnego z tym morderstwem, nawet jeśli w tym czasie nie było was w Anglii. Co zamierzacie im powiedzieć? „Płuco siostry wyszło mi z ust”?

— Jezu, Ella. Ten seans stworzył jeszcze więcej cholernych problemów, a niczego nie rozwiązał.

— Ufasz mi?

— Sam nie wiem... Ufać ci? Nie wierzę nawet w to, że to się dzieje naprawdę.

— Zaufaj mi. Musisz, inaczej się nie uda.

— A co zrobimy z tym płucem? Nie możemy po prostu...

— Zaufaj mi.

— W porządku — mruknął Josh, unosząc obie ręce. — Ufam ci.

— Bez względu na to, co zrobię? Bez względu na to, o co cię poproszę?

Josh zastanawiał się chwilę, ale potem kiwnął głową.

— Nie jestem pewna — wtrąciła Nancy.

— Jeśli to się nie uda, pójdziecie na policję. Widzieliście, co zrobiłam przed chwilą, przywołując obraz Julii. Teraz pokażę wam więcej — powiedziała Ella.

Podeszła do zlewu i wyjęła z szuflady plastikową reklamówkę od Sainsbury’ego. Podniosła płuco i wrzuciła je do torebki. Wyglądało jak gruby, zakrwawiony rogal. Zostawiła je w zlewie, a potem zwinęła serwetę i zaniósła ją do łazienki.

— Naprawdę sądzę, że miesza się w coś, czego nie rozumiemy — stwierdziła Nancy.

Ella wrzuciła płuco do zlewu i puściła wodę.

— Jeśli chcecie zadzwonić na policję, zróbcie to. Jednak popełnicie błąd. Sposób, w jaki pojawiło się to płuco, świadczy o tym, że szczątki twojej siostry nie znajdują się na tym świecie, lecz gdzieś indziej. W jakimś bliskim, ale innym miejscu.

— Chcesz powiedzieć, że istnieje świat równoległy, a to płuco jest tego dowodem?

— A jak myślisz, skąd się wzięło? Chyba nie zjadłeś go na lunch, no nie?

— Powinniśmy zadzwonić na policję — powtórzyła Nancy. — Nie podoba mi się to wszystko.

Ella obrzuciła ją wyzywającym spojrzeniem.

— Oczywiście, możecie iść na policję. Jeśli jednak to zrobicie, nigdy nie zobaczycie tego, co zamierzam wam pokazać. Na zawsze stracie okazję, by odkryć, co przydarzyło się Julii.

Zapadła długa chwila milczenia. W końcu przerwał je Josh:

— Zaszliśmy tak daleko...

— Dobrze — ustąpiła Nancy. — Jeśli tylko nikt z nas nie będzie musiał znów zwracać kawałków ciała Julii.

Ella napełniła wodą miedziany rondel i postawiła go na gazie. Potem wyjęła płuco ze zlewu i położyła je na deseczce do krojenia mięsa. Oстрыm kuchennym nożem odcięła trzy cienkie paski i drobno je pokroiła. Następnie zdjęła z półek kilka szklanych słoiczków z ziołami.

— Chcesz zrobić amulet? — spytała Nancy, podchodząc do niej.

— Jesteś Indianką, więc powinnaś znać się na amuletach.

— Trochę się znam. Mój dziadek robił proszek, który miał uciszać wiatr.

— I uciszał?

— Tak — odparła Nancy. — Może to tylko przypadek, ale tak było.

Kiedy woda zaczęła wrzeć, Ella wrzuciła do rondla kawałeczki płuca wraz z suszonym dzięgielem, koprem, liściem laurowym, piołunem, nagietkiem, rutą i rozmarynem. Zamieszała to wszystko trzykrotnie i pozostawiła na wolnym ogniu. Potem wyjęła czystą białą serwetę i trzy razy uderzyła w nią drewnianą łyżką.

Josh siedział w kącie, pod skośnym sufitem, czując się tak rozbity, jakby wypadł z jadącego samochodu. Zdrowy rozsądek podpowiadał mu, że powinien natychmiast wyjść stąd razem z Nancy i wezwać policję. Jednak obraz wierzgających w powietrzu nóg Julii był zbyt elektryzujący, a szok wywołany wydaleniem jej płuca wyczerpał go nie tylko emocjonalnie, ale i fizycznie. Nancy podeszła, usiadła obok niego i wzięła go za rękę. Po chwili nawet Abraxas wyskoczył z koszyka, przyszedł, obwąchał nogi Josha i zaskomlał uspokajająco.

Zapach unoszący się z naparui Elli przypominał Joshowi zioła rosnące w ogródku jego matki. Zwykła rozcierała je między palcami i dawała do powąchania jemu i Julii.

Ella klękła obok nich na podłodze, drapiąc Abraxasa za uchem.

— Cokolwiek przytrafiło się Julii, zniszczyło nie tylko jej ciało, ale i duszę. Jest wiele takich duchów, które nie wiedzą, co im się zdarzyło ani gdzie są. Dlatego tak usilnie próbują odnaleźć ludzi, których znały w poprzednim życiu... A jeśli im się to uda, bardzo starają się przybrać poprzedni kształt. Zazwyczaj ektoplazma jest nietrwała. Ale London Society for Psychical Research ma buteleczkę z jej wysuszonym strzępem, a jakiś francuski profesor zdołał obciąć lok włosów egipskiej księżniczki przywołanej przez Evę C. Jednak ci, którzy odeszli, odchodzą na zawsze, choćby nie wiem jak bardzo chcieli wrócić.

Wstała i wzięła Josha za rękę.

— Chodź — powiedziała i poprowadziła go do zlewu. Resztki płuca Julii niemal całkowicie zniknęły, poza niewielkim skrawkiem cienkiej błonki, ale nawet ona wydawała się topnieć w oczach.

Ella zgasiła gaz pod rondelkiem i rozlała zawartość do trzech niewielkich szklanek o grubym dnie. Płyn był perłowy i dziwnie opalizujący.

— Chyba nie mamy go wypić? — zapytał Josh.

— Tylko łyk.

— Jezu, to przecież kanibalizm. To przypomina biesiadę ludożerców, gotujących zupę z dziecięcych płuc.

— Nie ma innego sposobu, Josh.

— Ja tego nie zrobię — oznajmiła Nancy.

— Nie ma innego sposobu — powtórzyła Ella. — Julia przesłała wam wiadomość i tylko tak możecie dowiedzieć się jaką.

Wręczyła im szklanki. Były tak gorące, że ledwie mogli je utrzymać. Sama też podniosła trzecią i powiedziała:

— Wypijmy za widoki, jakie może pokazać nam to ciało. Wypijmy za pieśni, jakie może wyśpiewać nam ten duch. Julio Winward, mów do nas. Julio Winward, prowadź nas. Julio Winward, chcemy usłyszeć twój głos.

Josh podniósł szklankę do ust. Ku jego zdziwieniu para zniknęła i szkło lekko ochłodziło. Ella nuciła:

— Julio Winward, otwórz oczy. Julio Winward, daj nam jakiś znak. Julio Winward, Julio Winward, Julio Winward...

Josh znów poczuł wzbierające mdłości, ale przełknął ślinę, zaczerpnął tchu i wypił. Wywar smakował ziołami, głównie rozmarynem, chociaż miał też smak goździków. Nancy zawahała się, ale również wypila, a Ella poszła za jej przykładem.



— Nie sędę, abym kiedykolwiek... — zaczął Josh, ale nagle znalazł się na ruchliwej ulicy, po której mknęły samochody i autobusy, a chmury na niebie przemykały tak szybko, jak na niemym filmie. Słyszał porykiwanie klaksonów i szuranie nóg na trotuarze, ale żadnych ludzkich głosów. Rozejrzał się i próbował odszukać Nancy, lecz wokół byli sami obcy ludzie i żaden z nich nie interesował się niczym poza przepychaniem się przez tłum.

— Gdzie ja jestem? — zapytał niskim, głuchym głosem, jakby przemawiał z wnętrza pustej metalowej cysterny. — Naannceee, gdzie ja jeestem?

Minął kamienną kolumnę ze stojącym na niej smokiem z brązu. Minął kościół. Przed nim na chodniku roilo się od ludzi. Szare garnitury, blade twarze, martwe, nieruchome spojrzenia. Skręcił za róg i poszedł wzdłuż żelaznego ogrodzenia. Dotarł do następnego rogu, a potem jeszcze jednego. Światło zapalało się i gasło, zapalało i gasło. W jednej chwili było słonecznie, a w następnej pochmurnie i zimno.

Szedł wąską uliczką z poczerniałymi od sadzy budynkami po obu stronach. Szurgotanie stóp ucichło i słyszał tylko echo swoich kroków oraz odległy szum ulicznego ruchu. Nie bał się. Właściwie czuł prawie uniesienie, jakby miało mu się przytrafić coś ekscytującego. Już nie martwił się o Nancy. Był przekonany, że zdoła go jakoś odnaleźć. To pewnie tylko sen. Zaraz zbudzi się i zobaczy ją leżącą obok niego.

Szedł wzdłuż muru, aż dotarł do załomu. Była tam wąska nisza, zasypana śmieciami i suchymi liśćmi. Przystanął i zajrzał do niej. Była dość głęboka, jakby kiedyś tworzyła przejście między dwoma budynkami, które zostało zamurowane. Wszedł tam i dotarł do samego końca, gdzie warstwa śmieci i liści była najgrubsza. Po lewej było następne przejście, równie wąskie i głębokie, tak samo zaśmiecone starymi gazetami, opakowaniami po papierosach, liśćmi i suchymi gałązkami. Również wydawało się ślepo zakończone, ale wszedł w nie i znalazł kolejny przesmyk, tym razem po prawej.

Spojrzał w górę. Budynki po obu stronach były bardzo wysokie i miały pomalowane na czarno rynny biegnące wzdłuż pociemniałych cegieł, a na parapetach okien tłoczyły się stada gołębi, które wyglądały na chore. Było tu dziwnie cicho. Nie słyszał ulicznego ruchu. Nie słyszał nawet gołębi. Niebo było szare, nie dało się odgadnąć, jaka to pora dnia ani nawet roku. Powoli szedł naprzód, aż dotarł do kolejnego zakrętu, tym razem w lewo.

Przejście nie było zamurowane. Na jego drugim końcu zobaczył podążających w obie strony ludzi i znów usłyszał uliczny zgiełk. Zaczął posuwać się w tym kierunku, wysoko podnosząc nogi. Zanim dotarł do połowy drogi, u wejścia do niszy pojawiła się wysoka ciemna postać w długim czarnym płaszczu i wysokim kapeluszu. Stała, patrząc na Josha, jakby czekała na niego — jakby od dawna wiedziała, że nadchodzi. Josh nie słyszał werbla, ale miał wrażenie, że powinien.

— Halo? — zawołał.

Jego głos brzmiał słabo i niewyraźnie. Ale postać nie odpowiadała.

Josh podchodził coraz bliżej. Nie wiedział dlaczego, lecz ta dziwna postać bardzo go niepokoiła. Przypomnił sobie, jak był małym chłopcem i szedł do ojca, żeby odebrać karę. Przypomnił sobie czarny płaszcz, który zwykle wisiał w jego pokoju na tyłach domu dziadka, a w nocy przeistaczał się w wampira. Niesłyszalny werbel narastał. Może to krew szumiała mu w uszach?

Kiedy podszedł bliżej, postać przemówiła. Jej głos przypominał szuranie zwłok wleczonych po betonowej posadzce.

— Więc jednak przyszedłeś? Nie masz pojęcia, jak się cieszę.

Josh odwrócił się i spojrzał za siebie, zastanawiając się, czy nie powinien uciec przez ten labirynt — na prawo, w lewo i znów na prawo — z powrotem tam, skąd przyszedł. Był już

jednak zbyt blisko. Sam nie wiedział, kiedy przeszedł sześć ostatnich kroków. Postać położyła mu dłoń na ramieniu i powiedziała:

— Witamy w naszym świecie.

Josh nie mógł zobaczyć twarzy nieznajomego, gdyż oślepiało go szare światło dnia. Dopiero kiedy tamten usunął się na bok, Josh zobaczył, że ma na twarzy kaptur z otworami na oczy. Nad tymi otworami były namalowane dwie wielkie, czarne źrenice, przypominające ślepie demona albo jakiegoś ogromnego drapieżnego owada.

Poczuł przejmujący strach. Miał wrażenie, iż kolana odmówią mu posłuszeństwa.

— Zaufaj mi — powiedziała postać, przysuwając się tak blisko Josha, że prawie dotknęła jego twarzy rondem kapelusza. Po kapturze ujrzął jej prawdziwe oczy, błyszczące i chciwe.

## ROZDZIAŁ 10

— Zaufaj mi — powiedziała Ella i nagle huknął grzmot.

Josh zamrugał powiekami i wytrzeszczył oczy. Wszyscy troje nadal znajdowali się w jej mieszkanku przy Earls Court. Na zewnątrz lało jak z cebra. Okno było lekko uchylone, więc mogli poczuć w powietrzu zapach ozonu i usłyszeć łoskot spływającej rynną wody.

— To jest... nierealne — wymamrotał Josh. Ujął dłoń Nancy i uściśnął ją. Nancy sprawiała wrażenie równie oszołomionej jak on.

— Sądziłeś, że znalazłeś się gdzieś indziej? — zapytała Ella.

— Właśnie. Myślałem, że wróciłem na Star Yard. W to miejsce, gdzie Julia miała spotkać się z tym człowiekiem z Wheatstone Electrics.

— Ja też tam byłam — przyznała Nancy. — Widziałam wszystko tak wyraźnie... Uwierzyłam, że naprawdę tam jestem.

— A ty tego nie widziałaś? — zapytał Josh Ellę.

— Nie... Zostałam tutaj, aby mieć pewność, że oboje wrócicie. Kiedy zażywa się takie wywary, trzeba zachować ostrożność.

— Znalazłem się na Star Yard i przeszedłem przez jakiś wąski zaułek, a potem znalazłem się gdzieś indziej.

— Naprawdę przeszedłeś przez ten zaułek? — spytała Nancy. — Ja nie. Zostałam na Star Yard. Chyba byłam zbyt przestraszona, żeby iść dalej.

— Co to oznacza? — dociekał Josh. — Przeszedłem przez to przejście i napotkałem jakiegoś człowieka w kapturze... Takiego jak ci zakapturzeni mężczyźni na ilustracji z dziecinniej rymowanki.

— W twoich żyłach płynęła krew zmieszana z ektoplazmą Julii i zobaczyłeś to, co Julia chciała ci pokazać — powiedziała Ella. — Wskazała ci, w jaki sposób możesz rozwikłać tajemnicę jej śmierci. Pokazała ci przejście.

— A więc ten zaułek Star Yard to jedno z „sześciorga drzwi”?

— Być może. Z pewnością jest tam przejście, które dokądś wiedzie.

— Ale przecież sprawdzaliśmy je. Nic tam nie ma, tylko mur.

— Potrzebny ci odpowiedni rytuał. Musisz w jakiś sposób dać znać Strażnikom Bram, że chcesz przejść. „Jack jest zręczny, Jack umie biec”. Może wystarczy zapalić świecę.

— A jeśli to tylko dziecinna rymowanka? Jeżeli to przejście nigdzie nie prowadzi?

— Wtedy nie zdołam ci pomóc, Josh. Zrobiłam już wszystko, co mogłam. W świecie duchów nie ma przewodników ani wycieczek typu „Wieczność za pięć dolarów dziennie”. Sam musisz znaleźć w nim drogę.

Kolejny potężny grzmot sprawił, że lampa zadrżała i ozdóbki na niej zabrzęczały. Kilka sekund później deszcz zaczął tak wściekle bębnić o dach za oknem, że wodny pył wpadł do środka i opryskał geranium Elli.

— Masz rację — mruknął Josh. — Bardzo nam pomogłaś, Ello. Teraz jednak chyba będziemy musieli radzić sobie sami. — Wyciągnął z kieszeni portfel i wyjął z niego dwudziestofuntowy banknot. — Posłuchaj... musimy coś ci za to dać. Zazwyczaj nie urządzasz seansów za darmo, prawda?

— Nie chcę od was pieniędzy. Zrobiłam to dla Julii.

— Weź je. Kup coś dla Abraxasa, jeśli nie chcesz nic dla siebie. Jestem pewny, że Julia życzyłaby sobie tego.

— Jeszcze nie wiesz, czego chciałaby Julia. Kiedy się tego dowiesz, wróc do mnie.

— Pomożesz mi wtedy? — spytał Josh.

— Jeśli naprawdę odkryłeś jedne z sześciorga drzwi, to bardzo możliwe, że już nigdy cię nie zobaczę, przynajmniej nie w tym życiu. Postaraj się zapamiętać, że jesteś mi winien dwadzieścia funtów. Może to będzie jeszcze jeden powód, aby tu wrócić. I może wtedy będę mogła ci pomóc.

Nancy chwyciła Josha za ramię.

— Robi się późno... Myślę, że powinniśmy już iść.

— Tak, idźcie i prześpijcie się trochę — powiedziała Ella, całując Josha w policzek.

— Przepraszam, że narobiłem takiego bałaganu.

— To nie twoja wina. Poza tym wymioty łatwiej uprzątnąć niż ektooplazmę.

Wciąż łało, więc Ella pożyczyła im wielki żółty parasol. Odprowadziła ich do frontowych drzwi i ponownie ucałowała na pożegnanie.

— To, co się tam stało, zdarzyło się naprawdę, no nie? — zapytał Josh. — Nie śniło mi się?

Ella błysnęła białkami oczu w mroku przedsiionka.

— To, co ci się u mnie przydarzyło, było najprawdziwszą rzeczą, jaka przytrafiła ci się w życiu, Josh. Przysięgam.

Josh miał opuchnięte gardło i chociaż przed pójściem do łóżka połknął rozpuszczalną aspirynę, nie mógł zasnąć. Kiedy w końcu zdołał się zdrzemnąć, śnił o wędrówkach wąskimi londyńskimi zaułkami, w lewo i w prawo, w lewo i w prawo, ale nigdy nie mógł dotrzeć do końca. W tych snach łał deszcz i Josh musiał brnąć po kolana w mokrych liściach i śmieciach. W pewnej chwili zobaczył coś, co wyglądało jak notatka lub list, więc pochylił się, żeby to podnieść. Okazało się, że to opakowanie po papierosach Players. Upuścił je na ziemię i dalej gramolił się przez śmieci.

Natarczywy głos wciąż powtarzał:

„Zgubiłeś coś, koleś? Zgubiłeś coś, koleś? Powinieneś uważać, koleś. Szukasz kłopotów, jak nic. Powinieneś uważać”.

Próbował odpowiedzieć, lecz wargi zupełnie mu zdrętwiały.

„Powinieneś uważać, koleś — oświadczył głos. — Wpadniesz po uszy, jak nic. Żle skończysz”.

Nancy spała mocno i cicho, jak zawsze. Tuż po siódmej ciepłe słońce zaczęło przeświecać przez rolety i kiedy Josh odsłonił okno, ujrzał bezchmurny poranek w zachodnim Londynie. Cwierkały wróble i na ulicach panował ożywiony ruch. W jednym z ogrodów na dole jakiś mężczyzna w brudnym podkoszulku i szarych spodniach, paląc papierosa, wpatrywał się w grządkę fasoli. Josh usiadł na łóżku obok Nancy i pogładził jej lśniące, rozczochrane włosy. Potem nachylił się i pocałował ją w czoło oraz w czubek nosa.

— Zbudź się — powiedział. — Jest piękny dzień. Otworzyła oczy i uśmiechnęła się do niego.

— Miałam taki przedziwny sen. Wróciłam do domu, do mojej mamy, a tam byli wszyscy moi krewni. Dziadek i babcia, ciotki i wujkowie, siostrzenice i bratankowie, wszyscy.

— Dobrze widywać się z krewniakami w snach. Oszczędza się na biletach lotniczych.

— Inaczej nie mogłabym się z nimi zobaczyć. Moi dziadkowie nie żyją. Trzej z moich wujów także.

— Z jakiej okazji był ten zjazd?

— Nie wiem. Chyba to było jakieś pożegnalne przyjęcie.

— Pożegnanie? Kogo?

— Zdaje się, że mnie, bo wszyscy kolejno podchodzili, całowali mnie w policzki i wręczali mi

drobne prezenty.

Josh nie wiedział dlaczego, ale ten sen Nancy zaniepokoił go. Wziął prysznic i ubierając się, włączył wiadomości telewizyjne. Wybuch samochodu-pułapki zabił w Ulsterze znaną prawniczkę. Unia Europejska zakazała importu produkowanego w Anglii *prosciutto*. Amerykańskie myśliwce zaatakowały Irak i przypadkowo zbombardowały szkołę, zabijając 23 dzieci.

Włożył niebieską koszulę i dżinsy. Nancy założyła prostą sukienkę w kasztanowym kolorze, dopasowaną do niej opaskę oraz sporo wyrabianej przez Modoków biżuterii ze srebra, turkusów i czerwonej emalii. Zeszli do restauracji hotelowej. Stojąca za kontuarem dziewczyna o różowych policzkach spytała Josha, czy chce „angielskie śniadanie”, ale zadowolił się brzoskwiniowym jogurtem. Nadal jeszcze było mu niedobrze na wspomnienie płuca Julii.

— Jesteś bardzo milczący — zauważyła podczas śniadania Nancy, nakrywając jego dłoń swoją ręką.

— Myślę o tej staruszce w szpitalu. Czy myślisz, że przypadkowo powiedziała mi ten wierszyk o sześciorgu drzwiach? Mam wrażenie, że umieszczono ją tam specjalnie.

— Umieszczono? Kto miałby to zrobić i po co?

— Inaczej nie dowiedzielibyśmy się o sześciorgu drzwiach, prawda? To tak, jak w tym wierszu o dwunastu małpach. Mam wrażenie, że ktoś chciał, żebyśmy się o nich dowiedzieli.

— Przecież mogli do nas zadzwonić albo zostawić nam wiadomość. Nie musieli wysyłać stuletniej babci, żeby recytowała nam dziecinne rymowanki.

— Takie rzeczy robili szpiedzy. Na przykład ci z SOE podczas drugiej wojny światowej. Przekazywali wszystkie wiadomości w formie wierszy.

— Ale wojna już dawno się skończyła.

Na drugim końcu sali restauracyjnej był telewizor. Pokazywano właśnie poskręcany wrak vauxhalla irlandzkiej prawniczki.

— Zawsze gdzieś toczy się jakaś wojna — mruknął Josh.

Pojechali do St Thomas Hospital i weszli przez obrotowe drzwi do słonecznej, wyłożonej białymi kafelkami recepcji.

Musieli poczekać, aż kobieta w średnim wieku, w jaskrawo-niebieskim kostiumie, skończy opowiadać jednemu z posługaczy o swoich wakacjach na Kos.

— Te komary! Powinieneś mnie zobaczyć. Spuchłam jak balon.

Josh znacząco odchrząknął. Kiedy recepcjonistka nie zwróciła na to uwagi, chrząknął ponownie. Okręciła się na krześle i spojrzała na niego przez grube jak denka butelek szkła okularów.

— Paskudny kaszel, mój drogi. Do internisty?

— Nie przyszedłem do lekarza. Chcę odwiedzić pacjentkę.

— Oddział?

— Niestety nie wiem, na którym oddziale leży. To bardzo leciwa dama, skończyła sto jeden lat i ma na imię Polly.

— Nie pomogę panu, jeśli nie wie pan, gdzie leży.

— Ile ma tu pani stuletnich staruszek?

— Przykro mi, nie potrafię podać panu ich liczby.

— A więc ile macie tu stuletnich staruszek o imieniu Polly?

— Nie wolno nam ujawniać wieku pacjentów. To niezgodne z przepisami.

— Przecież ja znam jej wiek.

— To niezgodne z przepisami.

— Przepisy dotyczące jej wieku są nieistotne, jeśli już go znam.

— Ale nie wie pan, kim ona jest, prawda? Gdybym to panu powiedziała, to tak, jakbym ujawniła jej wiek.

Zirytowany Josh już chciał wrzasnąć na nią, kiedy zauważył posługacza, który zawoził wtedy Polly na rentgenografie.

— Chwileczkę — powiedział do recepcjonistki i przecisnął się przez tłum pacjentów. Zdołał dogonić posługacza, gdy ten dotarł już do wind. — Momencik! Proszę! — zawołał.

Posługacz obdarzył go szerokim uśmiechem.

— Ta winda długo jedzie. Kiedy nacisnąłem przycisk, jeszcze nie miałem brody. To oczywiście żart — dodał z pedanterią człowieka, opiekującego się starszuskami.

— Polly — przypomniał mu Josh. — Starsza pani, ma sto jeden lat.

Posługacz nadal się uśmiechał, ale patrzył gdzieś w dal.

— Przykro mi — wymamrotał.

— Jak to, przykro panu? Wczoraj rano spotkaliśmy się przed gabinetem rentgenowskim. Pchał pan fotel, na którym siedziała ta starszuszka. Wymówiła moje imię, więc zatrzymałem was i rozmawiałem z nią przez chwilę. Powiedział mi pan, że ona ma na imię Polly i właśnie obchodziła sto pierwsze urodziny.

Posługacz nadal uśmiechał się, ale był to uśmiech bez wyrazu.

— Nie pamięta pan? Przecież to było niecałe dwadzieścia cztery godziny temu.

— Pytaliśmy pana o taką dziecianną wyliczankę — wtrąciła Nancy. — „Sześcioro drzwi ma London Town...”. Nie pamięta pan?

— Przykro mi, proszę pani. Wychowałem się w Pendżabie. Po angielsku zacząłem mówić dopiero w wieku siedemnastu lat.

— Wczoraj też pan tak powiedział.

— Nie sądzę. Chyba wzięliście mnie państwo za kogoś innego.

— To był pan, do licha! Pchał pan fotel z siwowłosą damą o imieniu Polly. Mówił pan, że ona wciąż zaczepia ludzi.

Przyjechała kabina i otworzyły się drzwi. Między nich wepchnął się jakiś mężczyzna z kulami.

— Przepraszam, ale jestem bardzo zajęty — powiedział posługacz. — Proszę wybaczyć.

Josh złapał go za kłapy i gwałtownym szarpnięciem wyciągnął z windy.

— Posłuchaj mnie, przyjacielu. Nie wiem, dlaczego kłamiesz, ale muszę znaleźć tę starszą panią i zamierzam to zrobić. Albo zaraz mnie do niej zaprowadzisz, albo przeciągnę cię przez cały ten szpital, oddział po oddziale, aż ją znajdziemy.

— Wobec tego będę musiał wezwać ochronę.

— No to już, niech pan wzywa — rzucił wyzywająco Josh, chociaż nie miał pojęcia, co by wtedy zrobił.

Posługacz przez długą chwilę spoglądał na niego w milczeniu, a potem oświadczył:

— Będzie dla pana najlepiej, jeśli spokojnie opuści pan szpital. Nie ma tutaj żadnej kobiety o imieniu Polly.

— Co pan opowiada!

— Mówię, że nie ma tu kobiety o imieniu Polly. Wystarczy, że zna pan wierszyk. Teraz proszę mnie puścić. Ktoś może nas zobaczyć.

John puścił kłapy posługacza i powoli rozejrzał się wokół. Sam nie wiedział, czego szuka. Ludzi w kapturach? Zobaczył tylko ludzi w gipsie, w fotelach na kółkach lub utykających na lewą czy prawą nogę. Kiedy się odwrócił, sikha już nie było.

— Coś tu nie gra — powiedział, biorąc Nancy za rękę. — Coś tu jest nie w porządku.

— To wszystko zaczyna mnie przerażać — powiedziała, gdy opuścili szpital i szli z powrotem przez parking. Słońce świeciło oślepiająco, ale był silny wiatr. — To, co zdarzyło się zeszłej nocy, było takie... przytłaczające. A teraz ten posługacz. Łgał w żywe oczy.

Josh otworzył drzwiczki samochodu.

— Chcę wrócić na Star Yard. Oboje widzieliśmy to, prawda? Niemożliwe, aby dwoje ludzi miało takie same halucynacje. Ta wizja musi mieć jakieś znaczenie. Jeśli nic nie znajdziemy, to trudno. Będziemy musieli uznać, że ktoś płata nam figle. Opowiemy detektyw sierżant Paul o wszystkim, co nam się przydarzyło, i zostawimy jej tę sprawę. Obiecuję.

Gdy przejechali obok pałacu Buckingham i ruszyli trzypasmówką przez Constitution Hill, zatrzymała ich kawalkada kawalerzystów w błyszczących srebrem hełmach, lśniących napierśnikach, czerwonych mundurach i z szablami w rękach.

— Zawsze chciałem to zobaczyć — mruknął z goryczą Josh.

Detektyw sierżant Paul zostawiła im wiadomość, żeby zadzwonili do niej. Kiedy Josh zdołał się z nią połączyć, powiedziała krótko i rzeczowo:

— Z „Crimewatch” nic nie wyszło. Otrzymaliśmy zaledwie dwadzieścia siedem telefonów, co jest chyba najgorszym wynikiem w historii tego programu.

— Żadnych tropów?

— Nadal sprawdzamy dwa z nich, ale szczerze mówiąc, nie wyglądają zbyt obiecująco.

— Mówiła pani, że może powinienem osobiście wystąpić w telewizji.

— Cóż, sama nie wiem... Główny inspektor niezbyt lubi ogłaszać takie apele w telewizji, jeśli nie ma nadziei na szybkie rezultaty. Rozumie pan, to kiepska reklama. Zazwyczaj wykorzystujemy telewizję, aby dotrzeć do ludzi, których już znamy. Odwołujemy się do ich sumienia, lepszej natury lub chciwości. W tym przypadku nie wiemy, do czego mielibyśmy apelować, ponieważ nie mamy pojęcia, kim oni są.

— Co chce pani przez to powiedzieć?

— Że nie mamy żadnych punktów zaczepienia.

— A więc utknęliście w martwym punkcie?

— Niezupełnie. Możemy jeszcze poprowadzić śledztwo w kilku innych kierunkach.

— Kierunkach? To mi wygląda na urzędowe określenie siedzenia na tyłku i dłubania palcem w nosie.

— Panie Winward, jest pan Amerykaninem i prawdopodobnie nie wie pan, w jaki sposób prowadzi się dochodzenie w Wielkiej Brytanii. Z zasady robi się to bez rozgłosu. Żadnych pościgów samochodowych, żadnych strzelanin. Tylko monotonna, żmudna policyjna robota.

— Dotychczas dająca tyle co nic.

— Niech się pan nie irytuje, panie Winward. Zapewniam, że robimy wszystko, żeby znaleźć ludzi, którzy byli zamieszani w to morderstwo.

— Proszę powiedzieć mi prawdę. Julia była moją siostrą. Chyba zasługuję na prawdę.

— W porządku. Jeśli jednak zacytuje pan moje słowa, wszystkiego się wyprę. W ciągu dwóch dni przesłuchaliśmy przeszło dwa i pół tysiąca osób. Sprawdziliśmy każdą kamerę telewizyjną w centrum Londynu, co do jednej, oraz wszystkie instalacje telewizyjne w ponad czterystu restauracjach i nocnych klubach. Przeprowadziliśmy badania DNA czterdziestu trzech osób z siedmiu różnych grup etnicznych. Skontaktowaliśmy się z każdym biurem pośrednictwa pracy na obszarze Londynu, a także ze wszystkimi szpitalami i klinikami, prywatnymi i państwowymi.

— I co?

— Znaleźliśmy wielu ludzi, którzy nie zabili pańskiej siostry, nie zbliżyliśmy się jednak ani o krok do odkrycia, kto to zrobił.

Josh milczał przez chwilę, a potem powiedział:

— Rozumiem. W porządku. No cóż, dziękuję za szczerość. Nie chciałem wprawiać pani w zakłopotanie. Może skontaktujemy się jutro.

Odłożył słuchawkę. Nancy popatrzyła na niego i zapytała:

— Dlaczego rozmawiasz ze wszystkimi tak, jakby przynieśli ci do obejrzenia oskubaną z piór papuzkę?

— Policja nie wpadła na żaden ślad. Nie chcę nawet, żebym ogłosił apel w telewizji. Nie widzą w tym sensu.

— A co z programem „Crimewatch”?

— Nic. Podobno ma największą oglądalność spośród wszystkich kronik kryminalnych w Wielkiej Brytanii. Można by przypuszczać, że znajdzie się choć jedna osoba, która widziała Julię. Do cholery, ona była taka ładna. Można by sądzić, że przynajmniej jeden facet zwrócił na nią uwagę, kiedy szła ulicą. A może nie... Podobno w Wielkiej Brytanii przypada więcej gejów na centymetr kwadratowy niż w San Francisco. Może tu w ogóle nie zwracają uwagi na kobiety.

Rozmasował sobie kark i po chwili dodał:

— A może nie zauważyli jej, ponieważ wcale jej tu nie było?

Była czternasta trzydzieści pięć, kiedy znaleźli się na Carey Street, niecałe trzydzieści metrów od Star Yard. Dzień nadal był słoneczny, chociaż wszędzie unosiła się mgiełka spalin, w której rozmazywały się gotyckie budowle i jaskrawo ubrani, spieszący dokądś ludzie. Nancy miała w torbie sześć świec i dwa metalowe świeczniki, kupione w sklepie z dewocjonaliami za Westminster Cathedral. Oboje byli ateistami, ale Josh uznał, że kościelne świece mogą mieć magiczną moc. Nancy z trudem zdołała go odwieść od kupna flakonu wody święconej i małego krucyfiks z Jerozolimy.

— Za taką cenę powinni dawać gwarancję, że przeszedł po nim osiołek samego Jezusa.

Skęcili w Star Yard. Uliczka prowadziła na południe, więc zaglądało do niej słońce, ale nie dochodziło do załomu, w którym znajdowała się nisza. Josh zajrzał do niej. Nadal wyglądała jak ślepy zaułek, nadal była zasypana śmieciami i cuchnęła zbutwiałymi liśćmi oraz moczem.

— Nie tak wyglądała zeszłej nocy — stwierdził. — Wtedy była głębsza. Co o tym sądzisz?

— Masz rację. Na pewno była głębsza — przyznała Nancy.

— Co robimy? Zapalimy świece i będziemy czekali, aż coś się stanie?

— Czemu nie?

Josh otworzył pudełko, wyjął z niego trzy świece i nabił je na szpikulce świeczników, które ustawił przed niszą. Kilku przechodniów spojrzęło na nich z zaciekawieniem, ale nikt nie przystanął, by zapytać, co robią. To jedno podobało się Joshowi w Anglii: ludzie przynajmniej udawali, że pilnują własnego nosa. Zapalił świece i cofnął się.

— Nic się nie zmieniło — mruknęła Nancy, osłaniając oczy dłonią.

— Może potrzebny jest jakiś specjalny rytuał?

— A może powinniśmy po prostu wyrecytować ten wierszyk?

— Dobrze, spróbujmy — powiedział Josh i stanął przed niszą.

Trzy świece migotały u jego stóp, gdy podniósł w górę ręce, jakby kogoś błogosławił.

— „Sześcioro drzwi ma London Town, me dziecię... Sześcioro drzwi w Londynie też znajdziecie... Lecz któż to wie, w którą patrzą stronę? I któż to wie, kędy szczerze są zwrócone?”

Powtórzył ten wierszyk trzy razy. Nic się nie stało. Nisza nadal była zamurowana.

— Zaczynam czuć się jak głupiec — stwierdził Josh.

— Może teraz ja spróbuję? — zaproponowała Nancy.



Zajęła miejsce Josha przed niszą, skrzyżowała ramiona, zamknęła oczy i trzykrotnie powtórzyła wierszyk. Potem powiedziała:

— Wielki Duchu, jeśli jest tu jakaś droga, pokaż mi ją, poprowadź mnie, abym odkryła Krainę Wiecznych Łowów białego człowieka. Pokaż mi drogę, abym mogła znaleźć odpowiedź na dręczące mnie pytania, by moje niespokojne serce zaznało spokoju.

Wyrecytowała jeszcze coś w narzeczu Modoków, skłoniła się i cofnęła.

— Co powiedziałaś? — zapytał Josh.

— Odwołałam się do dumy Wielkiego Ducha. Powiedziałam, że potrafi otworzyć każde drzwi, nawet drzwi białego człowieka.

Josh czekał, ale nadal nic się nie działo. Słońce zaczynało już zachodzić.

— Nic — mruknęła Nancy.

— Cóż... to chyba wszystko, co mogliśmy zrobić. Nie ma drzwi. Nie ma równoległego świata. Nigdy w to nie wierzyłem, przynajmniej nie w głębi serca. Nie na sto procent. Mogę tylko powiedzieć, że wołałem przyjąć taką możliwość, niż myśleć, że jakiś sadystyczny drań trzymał Julię zamkniętą w piwnicy.

Nancy spojrzała na świecę.

— Co z nimi zrobimy?

— Po prostu zostawimy je tutaj. Do niczego nie są już nam potrzebne.

Odczekali jeszcze chwilę, a potem poszli z powrotem Star Yard w kierunku Carey Street. Zza rogu wyszedł bury kocur o zielonych ślepiach i sterczących uszach. Miał na szyi czarną skórzaną obrózkę, do której był przyczepiony mały srebrny cylinder. Przeciął zaułek tuż przed nimi.

— Kici, kici! — zawołał Josh.

Kocur spojrzał na niego pogardliwie i poszedł dalej.

— To chyba pierwsze zwierzę, które cię ignoruje — zaśmiała się Nancy.

Josh przystanął i obserwował maszerującego po chodniku kota.

— Co to oznacza, kiedy bury kot przebiegnie ci drogę? Będiesz miała umiarkowanego pecha?

— Może się zgubił — podsunęła Nancy.

— Nie wiadomo — odparł Josh. — Miał coś na szyi. Może powinniśmy to sprawdzić.

Włożył dwa palce do ust i zagwizdał jak kalifornijski podrywacz.

— Hej, mały! Smokey! Chcę cię obejrzeć!

— Skąd wiesz, jak się wabi?

— Znam właścicieli kotów. Czarny to Lucifer, rudy to Tabitha, a bury lub szary to Smokey. To niemal reguła.

Bury kot zignorował wołanie i dalej szedł zaułkiem. Kiedy dotarł do świec, przystanął i zmierzył je spojrzeniem zmrużonych zielonych ślepi.

— Hej, Smokey! — krzyknął Josh, lecz kot przeskoczył przez świecę i zniknął w niszy.

Josh i Nancy stali i czekali, aż znów się pojawi.

— Co on tam robi, do licha? — mruknął po chwili Josh.

— Pewnie załatwia potrzebę.

— Wspaniale. A więc to, co brałem za drzwi do równoległego świata, jest tylko kocią toaletą?

Mimo to nie ruszył się z miejsca.

— Chodź, Josh — powiedziała Nancy, kiedy Smokey nie wyłonił się z niszy.

— Co go tam zatrzymało? — zastanawiał się Josh.

— Skąd mam wiedzieć? Może znalazł coś ciekawego do czytania.

Josh podszedł do załomu i zajrzał do niszy. Potem odwrócił się do Nancy i wzruszył ramionami.

- Nie ma go tu. Zniknął.
- Jesteś pewny, że nie schował się w liściach?
- Całkowicie. Po prostu zniknął.

Nancy zajrzała do niszy. Z trzech stron otaczały ją gładkie i brudne ściany, mające ponad dwadzieścia metrów wysokości.

- Nie mógł się wspiąć na dach — stwierdził Josh. — Nie bez haków i lin.
- Więc gdzie się podział?
- Nie mam pojęcia. Przeskoczył przez te świece i... Popatrzyli na siebie.
- Przeskoczył przez świece — powtórzył Josh.

— „Jack jest zręczny, Jack umie biec, Jack przeskoczy kilka świec”. Ty tego nie zrobiłeś, prawda? Nie przeskoczyłeś przez nie.

Josh rozejrzał się wokół. Na Star Yard było teraz sporo ludzi zmierzających do Chancery Lane — urzędników, sekretarek i wyniosłych prawników. Nie miał ochoty skakać przez świece i zderzyć się z litym ceglany murem na oczach widzów. Zwłaszcza takich nadętych widzów.

- Zamierzasz spróbować czy nie? — spytała Nancy.
- Pewnie — odparł.
- No to na co czekasz? Próbuje.
- A jeśli się mylę?
- No to się mylisz. Jeśli nie chcesz, ja to zrobię.
- Może powinienem ponownie wyrecytować wierszyk?
- Kot go nie recytował, no nie? Po prostu skoczył.

Josh cofnął się o krok, szykując się do skoku, jednak zanim go wykonał, Nancy skoczyła pierwsza.

— Nance...! — krzyknął, ale Nancy nie wpadła na mur. Wylądowała po drugiej stronie świec, na liściach, bo mur w jakiś przedziwny sposób jakby się odsunął, chociaż stał tam, gdzie był. Odwróciła się i uśmiechnęła do Josha.

- Wszystko w porządku — powiedziała.

Jej głos brzmiał dziwnie niewyraźnie, jakby mówiła do niego przez maskę do nurkowania. Zaczęła iść w kierunku ściany, przeszła sześć lub siedem kroków, a potem znów się odwróciła.

— To tutaj! — zawołała. Jej głos był jeszcze bardziej zniekształcony. — Tu jest inny zaułek, na lewo! — Podniosła rękę, wskazując kierunek, ale jej dłoń zniknęła, wchodząc w cegły. — Zobacz, można tędy przejść!

- Mówiąc to, zrobiła krok w bok i także zniknęła.

## ROZDZIAŁ 11

— Nancy! Nance! Zaczekaj, słyszysz? — krzyknął Josh.

Kilku przechodniów spojrzało na niego. Uświadomił sobie, że mówi do ściany. Trzy młode sekretarki w minispódniczkach popatrzyły na niego i parsknęły śmiechem.

Modląc się w duchu, żeby jego wiara w moc tego rytuału okazała się równie silna jak wiara Nancy, skoczył przez świece.

Wylądował na liściach po drugiej stronie i z trudem złapał równowagę. Wszystko wyglądało tak samo, tylko ściana na końcu niszy wydawała się znacznie bardziej odległa. Obejrzał się za siebie. Star Yard nic się nie zmieniła. Słyszał ludzkie kroki, szum samochodów, a nawet czuł ciepły poranny wietrzyk. Odwrócił się i ruszył do końca niszy. Nancy miała rację: na lewo była odnoga, która najwyraźniej wiodła do kolejnego zaułka, tak jak w jego śnie. Słyszał przed sobą kroki Nancy i kiedy ją zawołał, odrzyknęła głosem, który teraz brzmiał zupełnie normalnie:

— Pospiesz się, ofermo!

Dotarł do końca uliczki i znalazł następne odgałęzienie, tym razem po prawej stronie. Przeszedł przez nie i znów skręcił w lewo. Skręcając, spojrział w górę. Niebo było jednolicie szare, jak w jego sennym majaku, na parapetach okien siedziały tuziny gołębi.

Nancy czekała na niego na końcu ostatniego przejścia. Nie świeciło tu słońce i wyglądało na to, że zaczął padać deszcz. Kiedy jednak wyszli z niszy, nadal znajdowali się na Star Yard, dokładnie w tym samym miejscu, w którym byli przedtem. Znów mijali ich spieszący się ludzie z teczkami i z początku również odgłosy wielkiego miasta brzmiały tak samo. Jednak stojąc tak i nasłuchując, Josh powoli uświadomił sobie różnicę. Uliczny szum był teraz znacznie głośniejszy, bardziej jazgotliwy i słychać w nim było przeciągłe wycie staromodnych klaksonów zamiast nosowego pomruku nowoczesnych wozów. Słychać też było wiele innych obcych dźwięków, takich jak turkot kół i stukot podków.

Nad dachami narastał monotony warkot i kiedy Josh podniósł głowę, ujrzał przelatujący samolot o krótkich skrzydłach i wielkim, powoli obracającym się śmigle. Tuż za nim leciał następny, a potem jeszcze jeden.

Był to zdumiewający widok. Wspaniały i jednocześnie przerażający. Josh wziął Nancy za rękę.

— Nance, zrobiliśmy to! Przeszliśmy, no nie? — Obejrzał się na niszę. Wyglądała dokładnie tak samo, ale nie paliły się przed nią świece. — To jedno z tych sześciorga drzwi. Nie ma co do tego wątpliwości. Jesteśmy po drugiej stronie. To równoległy świat.

Mijający ich ludzie mieli na sobie eleganckie, odświętne ubrania. Wszyscy nosili nakrycia głowy: mężczyźni meloniki, kapelusze lub czapki, kobiety berety lub kapelusiki. Wszyscy mieli płaszcze, a ich buty były wyczyszczone do połysku.

— Myślisz, że wróciliśmy do właściwego czasu? — zapytała Nancy.

Kilka osób zwolniło kroku i gapiło się na jej obszyty frędzlami płaszcz z kozłej skóry, krótką białą spódniczkę i buty do kolan.

— Nie wiem. Może. Nie wygląda na to, aby ktoś tu słyszał o Adidasie.

Nancy niespokojnie obejrzała się na niszę.

— Mam tylko nadzieję, że zdołamy odnaleźć powrotną drogę.

— Powinniśmy. Jeśli Julia była tutaj, a potem jej ciało porzucili w naszym świecie, to te drzwi muszą działać w obie strony.

Właśnie mijał ich młodzieniec w cyklistówce, niosący duży kosz wyladowany bochenkami

chleba. Na widok Nancy obejrzał się i przeciągle gwizdnął.

— Hej, panienko! — zawołał. — Zapomniałaś włożyć kieckę?

— To okropnie irytujące — stwierdziła Nancy. — Nawet jeśli nie znaleźliśmy się we właściwym czasie, chyba nikt tu nie widział minispódniczki.

— Mogłabyś zapiąć płaszcz.

— Mam lepszy pomysł. Chodźmy poszukać jakichś ubrań, które nie będą zwracały niczyjej uwagi.

— Najpierw powinniśmy znaleźć kilka świec.

— Co takiego? Myślałam, że kupiłeś całą paczkę.

— Owszem, ale zostawiłem je na chodniku po tamtej stronie.

— Boże, Josh. Jesteś genialny. I jak zamierzałeś wrócić?

— Nie zamierzałem. Wcale nie wierzyłem, że przejdziemy przez jakieś drzwi.

— Cóż, chyba uda nam się tu kupić kilka świec.

Dotarli do końca Star Yard. Większość mijanych ludzi zanadto się spieszyła, żeby ich zauważyć, lecz hałaśliwa grupka biuralistek oraz ich adoratorów w melonikach zatrzymała się, wytrzeszczając oczy.

— O rany, spójrzcie na nią! — zawołała jedna z kobiet.

Kiedy doszli do Carey Street, uświadomili sobie, że znaleźli się w zupełnie innym świecie. Starsze budynki wyglądały niemal tak samo, tylko były znacznie czarniejsze od sadzy, ale ulica była wybrukowana, a pędzące po niej samochody sprawiały wrażenie, jakby wyjechały z muzeum motoryzacji. Rileye, bentleye i wolseleye — wszystkie z wielkimi chromowanymi reflektorami, sterzącymi błotnikami i bocznymi stopniami. Josh zobaczył potężnego beżowego packarda, bardziej podobnego do wagonu kolejowego niż do samochodu, a także ciemnozielonego de soto airflow, którego do tej pory widział jedynie w należącej do ojca książce o starych amerykańskich samochodach.

Kolumny czerwonych piętrowych autobusów i konne wozy wyładowane beczkami piwa lub workami węgla tworzyły potężne korki. W powietrzu unosił się gryzący zapach dymu oraz szczypiący w oczy smród spalin i odór końskiego potu.

Przeszli przez Chancery Lane, obok ciemnych gotyckich okien budynku Law Society. Chodnikami po obu stronach ulicy płynęły tłumy ludzi w płaszczach i kapeluszach. Josh zaczął podejrzewać, że jest w tym dziwnym mieście jedynym człowiekiem, który nie nosi nakrycia głowy. Starszy pan z czerwoną plakietką w klapie stanął, zdjął melonik i z rozdziawionymi ustami spojrzał na Nancy, jakby zobaczył samą Marię Magdalę.

Fleet Street była jeszcze bardziej zatłoczona niż Chancery Lane. Samochody stały w korku aż do Ludgate Circus. Po pobliskim moście kolejowym przejechał parowóz ciągnący kilka wagonów, wyrzucając w powietrze gęste kłęby brązowego dymu i snop pomarańczowych iskier. Przez chmurę dymu Josh dostrzegł kopułę St Paul's Cathedral. Wiedział, że w Londynie, który opuścili, nie jeżdżą parowozy, ale nie miał pojęcia, że most kolejowy rozebrano dawno temu.

Lawirując między autobusami i taksówkami, przecięli Fleet Street. Po przeciwnej stronie na rogu znajdował się kiosk z wyłożonymi na kontuarze tuzinami dzienników i tygodników. Tytuły „The Evening News” głosiły: KATASTROFA STEROWCA: SIEDMIU ZABITYCH — ZAMIESZKI W RANGUNIE: BUNT STŁUMIONY. Kioskarz nosił kaszkiet i długi brudny płaszcz, a do dolnej wargi miał przyklejony niedopałek papierosa. Od czasu do czasu wołał przeciągle:

— Łookropnyy wyypadeek, siedmiu zaabityych! Josh wręczył mu pięćdziesięciopensówkę i rzekł:

— Proszę „News”.

Kioskarz spojrział na monetę, jakby gołąb narobił mu na dłoń.

— A co to takiego? Jakiś cholerny amerykański pieniądz?

— To pięćdziesiąt pensów. Brytyjskie pięćdziesiąt pensów.

Kioskarz obejrzał monetę z obu stron, a potem oddał ją Joshowi.

— Przykro mi, koleś. Prawdziwe dwa i pół pensa albo nie ma gazety.

— To prawdziwa moneta. Spójrz, przecież jest na niej głowa królowej.

— Chyba królowej Saby.

— Nie, królowej Anglii.

Kioskarz odwrócił się do następnego klienta, a potem obsłużył następnego, wrzucając pieniądze do odwróconej pokrywki puszki po herbatnikach. Nancy pociągnęła Josha za rękaw i ruchem głowy pokazała mu monety. W pokrywce leżały stosiki dużych brązowych pensów, małych srebrnych pieniążków wielkości dziesięciocentówek i złocistych siedmio- lub ośmiobocznych monet. Na żadnej z nich nie było podobizny królowej Elżbiety II.

Odeszli od kiosku, minęli witrynę pubu „The Kings Head” oraz klub „Wig & Pen”. Uliczny zgiełk był tak głośny, że prawie nie słyszeli siebie nawzajem. Po drugiej stronie ulicy wznosił się Law Courts, z szerokimi gotyckimi łukami i wyniosłymi wieżami. Wyglądał zupełnie tak samo, jak Law Courts w „prawdziwym” Londynie. Kiedy jednak przechodzili obok, ze środka wypadła gromada dziwnie ubranych, pokrzykujących coś do siebie ludzi. Mężczyźni nosili kapelusze i długie płaszcze, a kobiety wymyślne kapelusiki ze strusimi piórami, woalkami i wstążkami.

W środku tłumu stała kobieta o bladej twarzy, ubrana w jasnoniebieską garsonkę. Wokół uwijały się dziesiątki fotografów, robiąc zdjęcia. Mieli staromodne flesze, których trzask Josh słyszał nawet w ulicznym hałasie. Jeden z mężczyzn trzymał na ramieniu ciężką kamerę, a jego towarzysz magnetofon wielkości walizki i ogromny mikrofon.

— Chyba znacznie cofnęliśmy się w czasie — powiedział Josh. — Spójrz tylko... parowozy, sterowce, flesze na żarówki, wszyscy w kapeluszach. To lata trzydzieste lub coś koło tego.

Po chodniku przed nimi wiatr gnał rzuconą gazetę. Josh chciał ją przydepnąć, ale chybił. Spróbował jeszcze raz i tym razem udało mu się. Na górze strony wielki nagłówek głosił: PROTEKTOR WITA PREZYDENTA. Poniżej była fotografia trupio bladego mężczyzny w ciemnym garniturze, ściskającego dłoń wysokiego, siwowłosego człowieka w szarym ubraniu. W tle stał błyszczący wagon kolejowy i tablica z nazwą stacji: Naseby.

Nad nagłówkiem widniała data: 17 marca 2001.

— Nadal mamy dzień dzisiejszy, przynajmniej jeśli chodzi o datę. I wciąż znajdujemy się w tym samym miejscu. Tylko że wszystko jest staromodne. Jakby nie było ostatnich siedemdziesięciu pięciu lat.

Nancy zaczęła czytać pomiętą gazetę.

— Posłuchaj tylko. „Lord Pearey z Richmond Forest umarł podczas weekendu w wieku trzydziestu czterech lat. Pod koniec ubiegłego roku podczas pobytu w Wiedniu zaraził się gruźlicą i nie zdołał wydobrzeć podczas rekonwalescencji na wyżynach Szkocji. Jego lekarz domowy, doktor John Woollcot, nazwał go »błyskotliwym i niezwykle obiecującym młodzieńcem«, apelując do rządu o zdwojenie wysiłków zmierzających do znalezienia skutecznego lekarstwa na gruźlicę”. Albo spójrz na ten tytuł: KRÓLOWA CHORÓB ZABIERA PARA. Ciekawe określenie gruźlicy, no nie?

Josh przystanął na rogu Arundel Street i rozejrzał się wokół. Usiłował sobie wyobrazić, na co patrzyła Julia, kiedy tu przyszła. Było to hałaśliwe, cuchnące i staromodne miejsce, ale Josh czuł, że z jakiegoś powodu bardzo jej odpowiadało.

— Myślisz o Julii? — zapytała Nancy.

Josh skinął głową.

— Ona zawsze miała niesamowite poczucie humoru. Czy wiesz, że kiedy była mała, lubiła udawać, że jest lalką z drewna? Kazała sobie przywiązywać sznurki do rąk i warkocza, a potem tańczyła jak kukielka.

Nagle znów zobaczył widmo Julii z seansu u Elli i jej rozpaczliwie pedałujące w powietrzu nogi. Nancy zauważyła nagłą zmianę wyrazu jego twarzy i mocno ścisnęła mu dłoń.

Przeszli przez Strand i ruszyli na zachód, ku Trafalgar Square, mijając ciemne, cuchnące winiarnie oraz sklepy z męską konfekcją, z wyblakłymi tropikalnymi ubraniami na wystawach. Chodniki nie były tu tak zatłoczone jak na Fleet Street, lecz wszyscy szli bardzo szybko i Josh kilkakrotnie zderzył się z jakimiś ludźmi.

Posępna szarość nieba coraz bardziej go przygnębiała. Jakby znalazł się w kronice filmowej z lat pięćdziesiątych. Powietrze było tak zanieczyszczone, że zaczął męczyć go ostry kaszel i rozboleła go głowa.

Wszędzie panował brud. „Prawdziwy” Londyn był niezbyt czystym miastem, ale ten był jeszcze gorszy. Niewielu przechodniów sprawiało wrażenie osób, które często się kąpią. Mężczyźni mieli brudne białe kołnierzyki i krosty, a kobiety tłuste, upięte wsuwkami włosy. Ilekroć wchodzili w tłum, Josh czuł zapach potu, nikotyny i tanich, duszących perfum konwaliowych. Prawie wszyscy palili papierosy. Na chodnikach nie widać było wyplutej gumy do żucia, lecz rynsztoki były pełne niedopałków.

Kiedy przeszli jedną trzecią Strandu, znaleźli czerwoną budkę telefoniczną, w której wisały dwie grube, wymięte książki. Wcisnęli się oboje do budki i Josh otworzył jeden ze spisów, aby poszukać w nim Wheatstone Electrics. Nancy spojrzała w lustro i oświadczyła:

— Wyglądam zupełnie tak samo, ale czuję się inaczej.

— Może odczuwasz skutki różnicy światów.

— Może obawiam się, że już nigdy nie wrócę do domu.

— Jest — powiedział Josh i prawie pożałował, że znalazł ten adres. — Wheatstone Electrics, Great West Road, Brentford. Julia musiała tu być.

— Dlaczego nie sprawdzisz, czy nie ma jej w książce? Przebywała tu dziesięć miesięcy, prawda? Mogli jej założyć telefon.

Josh przejrzał prywatnych abonentów, szukając Julii Winward, jednak nie było takiej. Potem sprawdził Marquerite Marmion przy Kaiser Garden, Lavender Hill — i znalazł ją od razu.

— Patrz, jest tutaj. LAVender Hill trzy–dwa–dwa–trzy. Ale nie mamy pieniędzy, żeby do niej zadzwonić.

— Możemy spróbować połączyć się na jej koszt.

Josh podniósł słuchawkę i wykręcił zero, wzywając centralę.

— Proszę podać numer — powiedziała telefonistka.

— Chcę przeprowadzić rozmowę na koszt abonenta z LAVender Hill trzy–dwa–dwa–trzy.

— Mówi pan o połączeniu zwrotnym? Kto mówi? — Telefonistka dziwnie akcentowała słowa.

— Josh Winward. Nie, proszę powiedzieć, że dzwoni brat Julii.

— Proszę czekać.

Czekał więc, a telefon dzwonił i dzwonił. W końcu odezwał się drżący kobiecy głos:

— ...alo? Chto tam?

— Czy to LAVender Hill trzy–dwa–dwa–trzy? Mam tu na linii kogoś, kto się przedstawił jako brat Julii. Czy zapłaci pani za połączenie?

— Czy co?

— Dzwoniący chce, by pani zapłaciła za rozmowę.

— A chto to jest?

Josh wtrącił się, mówiąc:

— Rany boskie, proszę jej powiedzieć, że to pilne. To sprawa życia i śmierci.

— Nie mogę przekazywać żadnych informacji, proszę pana. Przykro mi. W ten sposób mógłby pan przeprowadzić całą rozmowę i nie zapłacić za nią, prawda?

— Proszę pani, ja muszę porozmawiać z tą kobietą. To niezwykle ważne. Moja siostra została zamordowana i tylko w ten sposób mogę się dowiedzieć, kto to zrobił.

— Zaczekaj pan.

Po krótkiej ciszy drżący kobiecy głos spytał:

— Mówi pani, że to brat Julii? Tak... dobrze. Porozmawiam z nim. Ale tylko przez chwilę. Nie śpię na pieniądzach.

— Pani Marmion? — zapytał Josh. — Pani Marguerite Marmion? Mówi Josh Winward. Jestem bratem Julii Winward z San Francisco.

— Ach tak? A kim jest ta Julia Winward?

— Nie zna jej pani? Znalazłem ten adres w jej rzeczach.

— To jakaś pomyłka. Nigdy nie słyszałam o żadnej Julii Winward. W ogóle nie znam żadnej Julii.

Josh już miał wrzasnąć: „To dlaczego zgodziłaś się zapłacić za rozmowę?” — kiedy nagle olśniło go i zrozumiał, co pani Marmion usiłuje mu powiedzieć. Musiała znać Julię, inaczej wcale nie zgodziłaby się z nim rozmawiać. Nie zamierzała się jednak do tego przyznawać w rozmowie przez telefon.

— A więc nie mieszkała u pani żadna Julia?

— Nie. Mam w moim domu duże dwupokojowe mieszkanie. Nie wynajęłabym go przecież jakiejś biednej sekretarce, prawda?

— Chyba nie. Od jak dawna mieszkanie stoi puste?

— Od około dziesięciu miesięcy, może trochę dłużej.

— Myśli pani, że mógłbym je obejrzeć?

— Pełno tam różnych rzeczy. Poprzedni lokator jeszcze nie zabrał wszystkiego.

Być może chciała przez to powiedzieć, że mieszkanie stoi puste i ktoś zabrał wszystkie rzeczy Julii, pomyślał Josh.

— Rozumiem. Może więc mógłbym przyjść do pani i porozmawiać? Chciałbym wynająć mieszkanie.

— Obawiam się, że to niemożliwe. Tak się obawiam. To niemożliwe. A teraz naprawdę muszę kończyć. Do widzenia.

Pani Marmion rozłączyła się i Josh usłyszał przeciągły sygnał w słuchawce. Odwiesił ją, marszcząc brwi.

— O co chodzi? — spytała Nancy.

Stojący przed budką niski mężczyzna ze zjeżonym wąsikiem mierzył ich zniecierpliwionym wzrokiem. Josh powiedział:

— Przez cały czas pobytu tutaj Julia mieszkała u pani Marmion. Wprawdzie pani Marmion zaprzeczyła, ale wydaje mi się, że wszystko, co mówiła, należy rozumieć dokładnie na odwrót.

— Dlaczego?

— Może obawiała się, że jej telefon jest na podsłuchu. Może się bała. Kiedy zapytałem, czy mogę ją odwiedzić, odparła: „Obawiam się, że to niemożliwe”. A potem powtórzyła „tak się obawiam”, jakby naprawdę się bała. Później powiedziała jeszcze raz: „To niemożliwe”.

— Nie wmawiasz sobie tego?

— Oczywiście, że nie. Oświadczyła, że nie zna nikogo o imieniu Julia. Ale jeśli to prawda, dlaczego zgodziła się na rozmowę ze mną?

— I co teraz zrobimy? — spytała Nancy.

— Chyba pojedziemy ją odwiedzić.

— Na Lavender Hill? Jak? To kawał drogi stąd, a my nie mamy pieniędzy z tego równoległego świata.

— Nie wiem... Może zastawię zegarek.

Kiedy dyskutowali o tym, jak dostać się do Lavender Hill, człowiek ze zjeżonym wąsikiem zastukał monetą w szybę. Josh dał mu znak, że już prawie skończyli.

— Nadal uważam, że powinniśmy wrócić, przebrać się i wymyślić sposób, w jaki moglibyśmy tu płacić — upierała się Nancy.

— Ach tak? A jeśli już nie zdołamy tu wrócić?

— Josh, to miejsce jest realne. Czuję to. Słyszę. Wyczuwam jego zapach. Jest rzeczywiste i możemy tu wrócić.

— A co ze świecami?

— Na Star Yard jest kościół. Tam na pewno będą świece.

Josh zastanawiał się przez chwilę. Wiedział, że Nancy ma rację. Nie zajądą daleko bez pieniędzy i odpowiednich ubrań. I co zrobią wieczorem, kiedy trzeba będzie gdzieś zanoć? Poza tym nie podobało mu się, że tak bardzo rzucają się w oczy. Ktokolwiek zabrał rzeczy jego siostry z mieszkania w domu pani Marmion, najwidoczniej nie chciał, by ktoś odkrył, że Julia w ogóle tu była. A pani Marmion najwyraźniej się bała.

Mężczyzna z wąsikiem znów zastukał w szybę. W końcu otworzył drzwi budki i zapytał:

— Zamierzacie dzwonić czy nie? Niektórzy spieszą się na pociąg.

— Bardzo proszę — odparł Josh, po czym oboje z Nancy wyszli z budki i wmieszali się w tłum.

Ruszyli z powrotem ku Fleet Street. Wiatr wznagał się i niósł chodnikami stare gazety, które owijały się przechodniom wokół nóg. Jakiś pyłek wpadł Nancy do oka i musieli zatrzymać się na chwilę, żeby Josh mógł usunąć go zwilżonym rogiem chustki.

Doszli do Kingsway, przepychając się przez tłum. Zbliżając się do przejścia dla pieszych, zauważyli, że są jedynymi ludźmi podążającymi na wschód — wszyscy inni spieszyli na zachód. I nie tylko spieszyli, ale szli najszybciej jak mogli, niemal biegli.

Josh ponownie przystanął i obejrzał się.

— Co się tu dzieje, do licha? Skąd ten cholerny pośpiech?

Gdy przechodzili przez ulicę, przyglądał się twarzom nadchodzących z przeciwka ludzi. Nie dostrzegł na nich paniki, jedynie ponurą determinację, która była nawet bardziej niepokojąca niż lęk. Jako chłopiec widział ludzi uciekających z płonącego kina w Santa Cruz. Mijający ich przechodnie mieli takie same miny: „Muszę się uratować”. Nancy chwyciła Josha za rękę, żeby nie zniknął jej w tłumie.

— To niesamowite — mruknęła. — Dokąd ci wszyscy ludzie pędzą?

Na Josha wpadł wysoki mężczyzna w rozpiętym płaszczu z wielbłądziej wełny.

— Hej, uważaj, koleś! — zawołał Josh, ale tamten tylko popatrzył na niego i pognął dalej.

— Oni z pewnością wiedzą coś, o czym my nie wiemy — stwierdziła Nancy.

Dotarli na duży plac przed Law Courts. Zaledwie kilka minut wcześniej kłębił się tu tłum reporterów, prawników i gapiów. Teraz było prawie pusto, tylko dwaj prawnicy w rozwianych czarnych płaszczach pospiesznie wchodzili do wysoko sklepionego wnętrza.

Sporo samochodów wciąż jechało na wschód, lecz wszyscy piesi uparcie dążyli na zachód. Lawirowali między autami i taksówkami, wysoko podnosząc teczki i parasolki, jakby brnęli w wodzie sięgającej do pasa. Obładowani torbami i siatkami pasażerowie wysiadali z autobusów, dołączając do tłumów na chodnikach.



— Nie podoba mi się to — oświadczył Josh, rozglądając się wokół. — Coś bardzo mocno zaniepokoiło tych ludzi. To wygląda tak, jakby do miasta weszła Godzilla.

Złapał za rękaw jednego z przechodniów, ale ten wyrwał mu się, jakby się bał, że Josh chce go pobić.

— Hej! — zawołał Josh. — Nic ci nie zrobię! Tylko powiedz mi, dlaczego wszyscy uciekają!

Mężczyzna umknął nie odpowiadając i potracił młodą kobietę pchającą duży wózek dziecienny. Josh odprowadził go wzrokiem, kręcąc głową.

— Bardzo się przestraszył.

Przepychali się przez tłum, aż wreszcie dostrzegli ponurą fasadę St Osberfs Church, stojącego frontem do ulicy. Uliczny szum nadal był ogłuszający, lecz kiedy podeszli bliżej, Joshowi wydało się, że słyszy stłumione dudnienie, raz po raz przerywane ostrzejszym „ra-ta-ta!”, odbijające się echem po całej Fleet Street.

Nancy wyciągnęła rękę i nacisnęła klamkę drzwi kościoła.

— Zamknięty — stwierdziła. — Myślałam, że kościoły są zawsze otwarte.

Josh mocno szarpnął za klamkę. Drzwi rzeczywiście były zamknięte i zaryglowane, w dodatku wykonano je z grubych dębowych desek. W żaden sposób nie zdołaliby ich wyważyć.

— I co teraz? — spytała Nancy.

— Za rogiem widziałem kilka sklepów papierniczych. Może tam mają świece. Albo może zaimprovizujemy coś z wosku do pieczętowania. W każdym razie najlepsze, co możemy teraz zrobić, to wynieść się stąd w cholerę.

Dotarli prawie na sam koniec Chancery Lane. Stłumione dudnienie stawało się coraz głośniejsze, a „ra-ta-ta” odbijało się jak grad od murów wzdłuż całej Fleet Street. Nagle zobaczyli, przed czym wszyscy uciekali.

Widok budził lęk, ponieważ był zaskakujący i nie pasował do tego miejsca. Ulicą kroczyła procesja mężczyzn odzianych w czarne, staromodne stroje — płaszcze, bryczesy i wysokie czarne kapelusze — mijając pub „Olde Cheshire Cheese”. Na czele szli dwaj tropiciele prowadzący na smyczach cztery czarne psy. Za nimi podążało sześciu lub siedmiu doboszy, również odzianych na czarno, w szerokich trójgraniastych kapeluszach, które wyglądały jak wronie dzioby. Większe bębny wybijały powolny marszowy rytm: bum-bum-bum. Mniejsze grzechotały agresywnie, nie pozwalając zebrać myśli.

Za doboszami szła grupka dziesięciu lub jedenastu mężczyzn w czarnych cylindrach i długich pelerynach, którymi zamiatali bruk. Nieśli obnażone miecze, błyszczące w szarym świetle. Ich twarze również wydały się Joshowi szare, ale po chwili zauważył, że są zakryte kapturami, z namalowanymi na nich wielkimi oczami.

— Zakapturzeni — mruknął Josh. — Może to jest Londyn i rok dwutysięczny pierwszy, ale purytanie wciąż patrolują ulice.

— Myślę, że powinniśmy trzymać się od nich z daleka — powiedziała Nancy.

— Masz rację. Wracajmy na Star Yard. Może w tę stronę nie będą nam potrzebne świece.

Ruszyli Chancery Lane, której chodniki coraz bardziej pustoszały. Wiatr niósł pierwsze krople deszczu. Dotarli do Carey Street i przeszli przez nią do Star Yard. Zaledwie weszli w zaułek, w ich kierunku zaczęli iść dwaj młodzi mężczyźni. Jeden z nich był ubrany w długi szary płaszcz z czarnym aksamitnym kołnierzem. Drugi był niski i krępy i miał okrągłą brązową twarz o rysach Birmańczyka.

Josh chwycił Nancy za rękę i odciągnął ją na bok, robiąc przejście nadchodzącym. Ale chudy młodzieniec zatrzymał się przed nimi, a jego towarzysz stanął obok niego, zagradzając im drogę.

— Co jest? — zapytał Josh. — Napad czy jak?

— Zależy, co proponujesz, szefie. Zawsze szukamy nowych nowości. Zwłaszcza jeśli

pochoǳą stamtąd.

— Nie wiem, o czym mówisz.

Chudy młozieniec przysunął się tak blisko, że Josh poczuł jego przesycony nikotyną oddech. Nieznajomy był elegancki i bardzo przystojny, ale był wrakiem człowieka.

— „Jack umie biec” — powiedział. — Teraz już wiecie, o czym mówię?

## ROZDZIAŁ 12

— Czego chcecie? — spytał Josh. — Jeżeli zamierzacie nas obrabować, to macie pecha. Nie mamy pieniędzy.

— Jesteś Jankesem — powiedział młodzieniec, przechylając głowę na bok. — Nieczęsto trafiają nam się Jankesi.

— Posłuchaj, jesteście tylko turystami.

— Turystami? Bardzo ryzykujecie, wiesz?

— Co jest złego w tym, że się jest turystą?

— A co jest złego w tym, że się kroplą śliny na gorącej patelni? Powinniście podziękować waszej szczęśliwej gwiazdzie, że Kaptury nie dopadły was pierwsze.

Mężczyzna wyglądający na Birmańczyka przymknął w skupieniu oczy i przyłożył dłoń do ucha.

— Właśnie skręcili za róg, Sy. Lepiej znikajmy.

Chudy młodzieniec chwycił Josha za ramię kościstą dłonią, na której nosił mnóstwo srebrnych pierścionków.

— Chodźmy... Lepiej odejźmy stąd, zanim psy chwycą ślad.

— Posłuchaj, kolego, nigdzie nie idziemy. Zwłaszcza z tobą.

— Nie macie specjalnego wyboru — odparł młodzian. — Nie możecie wrócić przez te drzwi, nie dzisiaj. A jeśli nie pójdziecie z nami, dopadną was psy. Widziałeś kiedyś człowieka rozszarpanego przez psy? Niezbyt apetyczny widok.

— Wiecie o drzwiach?

— Jakich drzwiach?

— Powiedziałeś, że nie możemy wrócić przez drzwi, nie dzisiaj. A więc wiesz o drzwiach.

— Wiem, skąd przybyliście, ty i twoja miła pani, szefie. I domyślam się, dokąd teraz zmierzacie. Ale nie powinieneś próbować tam wracać wcześniej jak jutro o tej samej porze. Dziwię się, że o tym nie wiesz.

— O czym ty mówisz?

— To proste jak parasol, szefie — odparł tamten i powoli zakręcił palcem w powietrzu. — Możecie przejść przez te drzwi tylko raz przy każdym obrocie Ziemi. Obojętnie, w którą stronę. Raz *per diem*, to wszystko.

— Więc możemy wrócić dopiero jutro rano?

— Właśnie. A jeśli ty i twoja pani nie chcecie skończyć jako psi obiad, lepiej chodźcie ze mną i z Sanem.

Josh wahał się. Wobec zagrożenia, jakim byli zbliżający się Zakapturzeni, wolałby jak najszybciej wrócić do „prawdziwego” Londynu. Jednak wyglądało na to, że nie ma już czasu. Szczekanie psów rozlegało się coraz bliżej, dobosze walili w bębny. Zresztą nawet jeśli ten młodzieniec nie mówił prawdy, to i tak nie mieli świec.

W szczekaniu psów Josh słyszał nutę podniecenia i dobrze wiedział, co je wywołało. Tak ujadają psy, które czują bliskość ofiary. Psy, które czują krew.

— Jak wpadły na nasz trop? — zapytała zdziwiona Nancy.

— To proste, panienko. Wasz zapach zawsze jest inny. Ja też go czuję. Mydło, pachnidła i śmierć, zawsze tak pachniecie. Nawet faceci.

Werble warczały coraz bliżej. Zakapturzeni dotarli do rogu Carey Street i odbili jak rykoszetujący śrut od budynków Bankruptcy Court.

— Josh... — ponaglała go Nancy.

Nagle zza rogu wypadły warczące i ślizgające się psy, wrywające się swoim panom. Na widok Josha i Nancy oraz dwóch młodzieńców psiarczykowie zachęcili je gwizdami i spuścili ze smyczy. Josh nie rozpoznał rasy, ale dostrzegł ich masywne piersi i potężne szczęki. Psy w podskokach pędziły ulicą, pryskając śliną i drapiąc pazurami bruk. Jeden z nich jak wystrzelony z katapulty rzucił się ku Nancy, przewrócił ją na chodnik i zaczął tarosić skraj skórzanego płaszcza. Młodzieniec o wyglądzie Birmańczyka odwrócił się i co sił w nogach pobiegł Star Yard, ale chudzielec został. Wyjął nóż o długim ostrzu, przykucnął i zawołał:

— Chodźcie, kundle! Który chce oberwać pierwszy?

Josh obrócił się i złapał za obrozę psa, który tarosił Nancy. Poderwał go z ziemi i dwukrotnie uderzył dłonią w bok łba. Pies zaczął wściekle warczeć, kołysząc się z boku na bok, ale Josh spojrzął mu w oczy, wycelował w niego wskazujący palec drugiej ręki i rozkazał:

— Spokój.

Nie wiedział, czy jego sposób uśmierzania ataków psiej hysterii poskutkuje. Przeważnie uspokajał w ten sposób neurotyczne maskotki sfrustrowanych pań w średnim wieku. Tamte psy nie były jednak szkolone do zabijania ludzi, a on jeszcze nigdy nie miał do czynienia z tak rozwścieczonym zwierzęciem.

— Spokój — powtórzył.

Ale pies nadal warczał, wił się i usiłował ugryźć go w rękę.

— Spokój! — wrzasnął Josh i niespodziewanie pies się uspokoił, chociaż nadal kołysał się w powietrzu, na pół uduszony przez obrozę. — Spokój — powiedział ponownie Josh, tym razem znacznie ciszej.

Odwrócił się, wyciągnął prawą rękę i po kolei wskazał palcem na podskakujące, warczące zwierzęta.

— Posłuchajcie! — krzyknął do nich. — Macie się uspokoić! — A kiedy szczekanie ucichło, dodał: — Macie być cicho. Macie siedzieć spokojnie, słyszycie? Nie ruszać się. Przemyślcie to sobie.

Chudy młodzieniec na ugiętych kolanach cofnął się do Josha, wciąż wymachując nożem. Zerknął na Josha, ale najwyraźniej nie wiedział, co powiedzieć. Osiem psów niepewnie kręciło się przed nimi, z jęzorami wywieszonymi jak czerwone krawaty. Ich panowie w rozwianych czarnych płaszczach szli ulicą, trzaskając smyczami. Dobosze mocno uderzyli w bębny, po czym rozstąpili się na boki, przepuszczając Zakapturzonych, którzy przeszli między nimi z obnażonymi mieczami.

— Bierz ich, Max! — krzyknął jeden z psiarczyków. Drugi również krzyknął i smagnął psa smyczą.

Josh nadal trzymał uniesioną rękę, starając się zachować spokój.

— Macie pozostać na miejscu, dopóki nie pozwolę wam się ruszyć. Jesteście spokojne i szczęśliwe. Jesteście zadowolone — powiedział.

Dziwne, ale czuł to samo co wtedy, gdy przemawiał do spasionych piesków z Marin County. Jednak to były prawdziwe psy, prawie dzikie, i nigdy nie traktowano ich jak czujące i myślące istoty. Było to dla nich zupełnie nowe doświadczenie.

— Są zaskoczone — powiedział do Nancy.

— Są zaskoczone? — powtórzył chudzielec. — Nie wierzę własnym oczom.

Josh puścił psa, który zaatakował Nancy. Zwierzę otrząsnęło się i potruchtalo z powrotem do swego pana. Mężczyzna zdjął kaptur. Miał wygoloną, poznaczoną bliznami czaszkę i gęste siwe wąsy. Brakowało mu połowy jednego ucha. Nie odrywając oczu od Josha, wyciągnął rękę, zarzucił psu smycz na kark i zaczął go dusić.

Pies zacharczał i zaczął się szamotać, lecz mężczyzna kopnął go w brzuch. Kopał go raz po raz, aż zwierzę zwiotczało, a wtedy chwycił je za tylne łapy, uniósł nad głowę i rozbił mu łeb o granitowy krawężnik. Rozległ się głuchy trzask i czerwona krew oraz szara tkanka mózgowa opryskała pozostałe psy, które cofnęły się.

— Huzia! — wrzasnął mężczyzna. — Huzia! Albo spotka was to samo!

Psy wahały się, skomlać i machając ogonami.

— Huzia! — wrzasnął ponownie mężczyzna i w tym momencie nadeszli Zakapturzeni o groźnych i pustych płóciennych obliczach, z mieczami w rękach.

— Brać ich! — rozkazał ochrypły głos.

Josh nie zauważył, który to powiedział, lecz jeden z Zakapturzonych kopniakiem obrócił zwłoki psa na bok i rozmyślnie nadepnął na jego rozbity łeb, wyduszając brązowe ślepie z oczodołu. Chudy młodzian cofnął się dwa lub trzy kroki, a Josh i Nancy zrobili to samo.

— Mam nadzieję, że umiesz szybko biegać, panienko — mruknął chudzielec.

— Wyośmy się stąd — powiedział Josh. — Ty prowadzisz, my za tobą.

— Jeśli was złapią, to koniec. Wierście mi, wolelibyście wtedy nie żyć.

Zakapturzeni zaczęli ich powoli okrążać. Ich miecze były bardzo długie, miały wąskie klingi i rękojeści z krzyżowym jelcem i wyglądały na bardzo ostre. Zasłonięte kapturami twarze wydawały się jeszcze groźniejsze, jakby strachy na wróble ożyły i chciały się mścić. Jeden z nich rzekł zduszonym głosem:

— W imieniu Lorda Protektora Republiki zatrzymujemy was za włóczęgostwo. Chodźcie spokojnie z nami, a nie będziecie mieć powodu do obaw, tak mi dopomóż Bóg. Jeśli stawicie opór, wasz los będzie przypieczętowany.

Josh wciąż miał podniesioną rękę i nie spuszczał oka z psów, ale wiedział, że nie będzie w stanie długo nad nimi panować.

— Kiedy powiem „biegiem” — szepnął — nie zastanawiajcie się, tylko pędźcie jak wszyscy diabli. — Odczekał dwie sekundy, a potem krzyknął: — Biegiem!

Nancy pogalopowała ulicą, powiewając frędzlami skórzanego płaszcza. Chociaż miała na nogach buty na obcasach, Josh z trudem dotrzymywał jej kroku. Chudzielec biegł tuż za nimi. Psy prawie deptały im po piętach i histerycznie ujadły, lecz ich szczekanie i wrzaski psiarczyków, jak również pobrzękiwanie mieczów, zagłuszył łoskot bębnow. Ra-ta-ta-tam!

Gdy minęli pierwszy zakręt, chudy młodzian zawołał: „Tutaj!” — i pchnął pokryte niszczącą się czarną farbą drzwi. Nancy wyprzedziła ich i Josh musiał krzyknąć na nią, żeby wróciła.

Chudzielec zatrasnął za nimi drzwi i podparł je połamanym krzesłem.

— Dokąd prowadzi ten korytarz? — spytał Josh, przeskakując przez rolki wyblakłych tapet, pochłapane farbą wiadra i drabiny.

— Na górę, szefie — wysapał młodzieniec. — Na górę i na dach. Psy nie pobiegą za nami w powietrzu.

Z trudem łapiąc oddech, wspinali się po schodach na kolejne piętra. W budynku unosił się silny zapach wilgoci i stęchlizny. Kiedy wdrapali się wyżej, Josh zobaczył, że w dachu brakuje połowy dachówek i strych jest praktycznie pod gołym niebem. Po obu stronach mijali zrujnowane pomieszczenia bez podłóg, ze ścianami jeszcze pokrytymi tapetą, z popiołem na kominkach. Cztery piętra niżej słychać było trzask rozwalanych kopniakami drzwi i głośne ujadanie psów.

— Za mną — powiedział chudzielec i poprowadził ich wąskimi schodami na strych.

Tutaj również nie było podłóg i musieli przeskakiwać z jednego dźwigara na drugi, uważając, by nie nadepnąć na sterczące gwoździe. Patrząc w dół, widzieli pokoje znajdujące się dwa i trzy piętra niżej, słyszeli też biegnące po schodach psy.

Drugi koniec dachu był już zupełnie pozbawiony dachówek. Chudzielec wyprowadził ich na wąski gzyms, trzydzieści metrów nad Chancery Lane.

— O Boże, Josh! — zawołała Nancy. — Wiesz, jak nienawidzę wysokości.

— Wdrapałaś się przecież na Spirit Rock — przypomniał jej. — Trzy razy wyżej niż tutaj.

— Tam było inaczej. Byli przy mnie moi przodkowie, którzy złapaliby mnie, gdybym spadła. Josh uściskał jej rękę i pocałował w czoło.

— Tu ja cię złapię, jeśli zaczniesz spadać — obiecał.

Kolejno wyszli na gzyms. Chudy młodzieniec szedł pierwszy. Między nimi a brukiem ulicy był tylko cienki murek z okopconych cegieł, który nie wyglądał na zbyt mocny. W dole widzieli dachy autobusów i taksówek oraz spieszących chodnikami ludzi. Chociaż dzień był pochmurny, nad dachami Public Record Office widać było zasnutą mgłą kopułę St Paul's i dwie bliźniacze wieże Tower Bridge. Josh ze zdziwieniem stwierdził, że w centrum miasta nie ma wysokich budynków — nie było ani NatWest, ani Canary Wharf.

— Pospieszcie się — warknął chudzielec. — Nie mamy czasu na oglądanie widoków.

Ostrożnie przeszedł na sam koniec gzymsu, a Josh i Nancy poszli za nim, szeroko rozkładając ramiona.

— Ja sem netoperek — powiedział Josh i Nancy zachichotała nerwowo.

Kiedy młodzian dotarł do narożnika, przykucnął i skinął na nich. Dołączyli do niego, wyjrżeli zza krawędzi i zobaczyli Zakapturzonych, którzy zebrali się na dole, na Star Yard. Wokół zatrzymało się kilku gapiów, ale gdy Zakapturzeni popatrzyli na nich, odwrócili się i pospiesznie odeszli.

— Co to za jedni? — zapytał Josh. — Gliniarze?

— Gliniarze...?

— Policjanci. *Bobbies*.

Chudy nie odpowiedział, tylko wstał i wskazał na gzyms sąsiedniego budynku. Znajdował się dwadzieścia centymetrów wyżej niż ten, na którym stali, był wypukły i upstrzony gołębimi odchodami. Siedziała na nim stara gołębica, zerkając na nich podejrzliwie.

— Musimy przeskoczyć — oświadczył chudzielec.

— Chyba żartujesz — odparł Josh.

— To jedyny sposób, szefie. Przeskoczycie albo dostaniecie się w ręce Kapturów. Czy wiesz, co oni wam zrobią? Wyjedzą wam trzustki, na żywca. Albo zagrają wami na Świętej Harfie.

— Na Świętej Harfie? A co to takiego, do diabła?

— Później ci wyjaśnię, szefie. Ale możesz mi wierzyć, że nie chciałbyś tego doświadczyć.

Nancy ścisnęła ramię Josha.

— Nie dam rady, Josh. Nie zdołam przeskoczyć. To za daleko.

— To taka sama odległość jak między naszymi łózkami, a przecież przeskakujesz ją bez trudu.

— Ale nasze łóżka są zaledwie pół metra nad podłogą.

— To żadna różnica. W poziomie dzieli je taka sama odległość.

Usłyszeli krzyki wewnątrz zrujnowanego budynku, trzask wyważanych drzwi i odrzucanych na bok sprzętów. A także szczekanie psów. Josh czuł, że szaleją ze strachu i wściekłości. Wiedziały, że jeśli nie złapią zwierzyny, zostaną ukarane, a może nawet zabite, i teraz już nikt nie zdołałby ich powstrzymać.

— No chodź, Nance. Te psy chcą rozszarpać nas na strzępy.

— Nie możemy się po prostu poddać? Przecież nic nie zrobiliśmy.

— Ha, ha — zaśmiał się ponuro chudy młodzieniec. — Chyba nie sądzisz, że trzeba zrobić coś złego? Kaptury rozsiekają was, winnych czy nie.

— Nance, proszę — powiedział Josh. — Musisz skoczyć, czy się tego boisz, czy nie. —

Wycelował w nią palec. — Skup się. Tylko tyle. Skoncentruj się na tym murze po drugiej stronie.

— Josh, nie możesz mnie zahipnotyzować. Nie jestem jednym z twoich cholernych psów.

— Wiem — odparł. — Jednak spróbuj wyobrazić sobie, że jesteś. Pomyśl, jaka jesteś szybka i sprawna. Możesz przeskoczyć przez wszystko. Bez trudu tam doskoczysz.

Stała na gzymsie, na samym skraju. Wiatr rozwał jej włosy i załopotał chustką. Josh usłyszał trzask na końcu strychu i zobaczył psiarczyka, trzymającego na smyczy dwa wyrwijące się psy,

— Skacz! — krzyknął do Nancy.

Zachwiała się na swoich wysokich obcasach, skoczyła i o mało nie spadła. Ledwie zdołała złapać palcami krawędź występu.

— Josh! — wrzasnęła.

— Idę do ciebie! — krzyknął. — Znajdź oparcie dla stóp!

— Jakie oparcie? — wysapała, kopiąc nogami mur. — Tu nie ma żadnego oparcia!

— Posłuchaj, zaraz tam będę. Zaraz tam będę, złapię cię za rękę i podciągnę.

— O Boże, pospiesz się, Josh. Mur jest taki śliski, nie mogę się utrzymać.

Chudzielec spojrział na Josha szeroko otwartymi niebieskimi oczami.

— Będiesz musiał przeskoczyć nad nią — stwierdził ze zgrozą. — Jak to zrobisz?

— Muszę się rozpędzić i mocno odbić.

— Od czego?

Josh spojrział na dach za swoimi plecami. Nie została tam ani jedna dachówka, ale krokwie były nietknięte i ponabijane wielkimi zardzewiałymi gwoździami. Wstał i zaczął wspinać się na najbliższą krokiew, przytrzymując się rękami i opierając stopy o gwoździe.

— Josh! — wrzasnęła Nancy. — Josh, ześlizgują mi się ręce!

— Pospiesz się, szefie! — zawołał chudzielec. — Psy już tu są!

Josh wspiał się do połowy wysokości dachu i zobaczył psy: gramoliły się na wąski gzyms, a ich panowie szli tuż za nimi. Chudy młodzian podniósł gruby kawałek krokwi i kołysał nim w rękę, szykując się do obrony. Josh odwrócił się i wyprostował. Nagły podmuch wiatru o mało nie strącił go z dachu i przez nieskończenie długie trzy sekundy Josh rozpaczliwie łapał równowagę.

„No już, Winward! — usłyszał w myślach przeraźliwy wrzask sierżanta *marines*. — Cokolwiek chcesz zrobić, do kurwy nędzy, nie stój tak, tylko zrób to!”

Złapał równowagę i napiął mięśnie, a potem pobiegł w dół po wąskiej krokwi, jak gazela przeskakując między gwoździami. To było szaleństwo, ale dotarł na skraj gzymsu, odbił się i skoczył. Lecąc w powietrzu, przez ułamek sekundy myślał: Jezu, nie uda się. Występ był znacznie wyżej, niż się spodziewał.

— Trzymaj się! — wrzasnął do Nancy, pewien, że na nią wpadnie i ściągnie ich oboje na rozpościerający się trzydzieści metrów niżej bruk. Jednak przeleciał tuż nad gzymsem, lekko zawadzając o niego lewą piętą, ciężko runął na szare gonty dachu sąsiedniego budynku, przetoczył się i uderzył ramieniem o komin. Natychmiast zerwał się i pokuszył do gzymsu. Przechylił się, złapał Nancy za rękę i zawołał: — Już! Podciągnij się! Szybko!

Centymetr po centymetrze ciągnął ją do góry, aż w końcu zdołała chwycić drugą krawędź i wgramolić się na dach.

— Boże, myślałam, że za chwilę spotkam się z przodkami! Po drugiej stronie wciąż słychać było krzyki i szczekanie.

Młodzieniec oganiał się przed psami nabijaną gwoździami krokwią. Jedno zwierzę zdołało przemknąć obok niego i skoczyło mu na plecy, zamierzając chwycić za kark. Chudzielec machnął w tył i trafił psa w grzbiet. Przekreślił belkę, zrzucając napastnika w dół, na kamienie dziedzińca. Potem chwiejnie stanął na krawędzi gzymsu.

— Skacz! — krzyknął Josh. — Skacz! Złapię cię!

— Dlaczego, Josh? — zapytała Nancy. — Przecież chciał nas obrabować!

— Ale pomógł nam uciec, no nie? I wie o tym świecie znacznie więcej niż my. On może nam pomóc, Nancy. Nie możemy go zostawić!

Nancy pokręciła głową. Było już jednak za późno na wahania, bo chudy młodzian nagle rzucił się ku nim, szeroko rozkładając ramiona. W tej samej chwili jeden z psów skoczył za nim i chwycił zębami za skraj płaszcza.

Josh wyciągnął obie ręce i chwycił nadgarstki młodzieńca, zapierając się o gzyms. Pies, trzymający w zębach płaszcz, z impetem uderzył o mur, ale nie otworzył zaciśniętych szczęk.

Josh przez chwilę obawiał się, że puści chudzielca. Trzymał nie tylko jego, ale także psa, i przeguby młodzieńca powoli zaczęły przeslizgiwać mu się między palcami. Spojrzał na psa, który odpowiedział mu złowrogim spojrzeniem. Popatrzyli sobie w oczy.

— Puść! — rozkazał Josh.

Pies zawarczał i zakołysał się z boku na bok, ale nie puścił.

— Nie słyszysz, ty nieposłuszny kundlu? Puszczaj!

Po drugiej stronie psiarczyk krzyknął:

— Goethe! Trzymaj go, słyszysz? Trzymaj go, ty nędzny kundlu, albo zjem twój mózg na śniadanie!

— Chryste, spadam — jęknął chudzielec. Z rozpaczą popatrzył na bruk daleko w dole, a potem ponownie na Josha.

— Trzymaj się — powiedział mu Josh i zwrócił się do psa: — Goethe, dobry pies, Goethe. Dobra robota, Goethe, zasłużyłeś na nagrodę.

— Nie puszczaj! — wrzeszczał właściciel psa.

Josh widział na dole Zakapturzonych. Widział błyski ich mieczów i słyszał łoskot, niosący się echem po Chancery Lane. Próbowali się włamać do budynku, na którego dachu wylądowali, żeby odciąć im drogę ucieczki. Josh zacisnął zęby. Mięśnie ramion bolały go z wysiłku i powoli tracił czucie w palcach.

— Nancy... — wymamrotał. — W kieszeni mam kilka czekoladek dla psów. W prawej kieszeni.

Sięgnęła mu do kieszeni i znalazła je. Były pogniecione i nadtopione, ale to nie miało znaczenia.

— Odłam jedną... Kiedy powiem, upuść jedną koło psiego pyska.

W tym momencie psiarczykowie zaczęli rzucać w nich kawałkami drewna i dachówek. Jakaś deska uderzyła Josha w ramię, a dachówka w bok głowy, rozcinając ucho. Krew popłynęła mu po policzku i zaczęła kapać na twarz chudego młodzieńca. Josh zawołał do psa:

— Dobra robota, Goethe! Dobrze, mały! Świetnie się spisałeś! Masz, to dla ciebie! Będzie ci smakowała, zobaczysz! Upuść czekoladkę, Nancy.

Nancy upuściła psią czekoladkę.

— Łap! — zawołał Josh.

Jednak pies był dobrze wytresowany. Chociaż czekoladka odbiła się od jego nosa, nie otworzył pyska. Ciężki kawałek krokwi trafił młodzieńca w plecy. Chudzielec krzyknął z bólu, szarpnął się i jego prawa ręka wyslizgnęła się z palców Josha. Josh próbował ponownie ją złapać, ale nie zdołał. Teraz chudzielec wisiał tylko na jednej ręce, a pies nadal trzymał go za poję płaszcza. Josh wiedział, że trzeba by dwóch mężczyzn i łomu, żeby rozewrzeć szczęki tego zwierzęcia. Gdy posypały się na niego dachówki i kawałki zaprawy, odchylił głowę. Schowana za występem Nancy krzyknęła:

— Josh! Musisz go puścić!



— Nie mogę! — odkrzyknął Josh, przymykając zalewane krwią oko. — Jezu, Nance, jeśli go puszczę, zginie!

Ponownie zawołał do psa:

— Goethe! Słuchasz mnie, Goethe? Jesteś świetnym psem, Goethe, dobrze się spisałeś! Daj głos, Goethe! No, daj głos! No już, daj głos, Goethe!

— Goethe! Cisza! — wrzasnął psiarczyk.

Jednak Josh wiedział, że skupił na sobie całą uwagę zwierzęcia.

— Zaszczekaj, Goethe — zachęcił psa. — Daj głos, pokaż, jakim jesteś grzecznym psem.

Pies zawahał się, jednak po sekundzie szczekał — tylko raz, ale to wystarczyło. Usiłował ponownie złapać w zęby płaszcz młodzieńca, jednak chybił i runął w dół, wyjąc i rozpaczliwie przebierając łapami w powietrzu. Z głuchym, ledwie słyszalnym plaśnięciem uderzył o bruk. Josh zobaczył płynącą po chodniku krew i poczuł się jak Judasz. Podciągnął młodzieńca w górę i złapał go za drugą rękę. Nancy chwyciła chudzielca za kołnierz płaszcza i razem zdołali przeciągnąć go za krawędź występu, a potem na dach. Przez chwilę leżał na plecach, mamrocząc:

— O Boże, Boże. Myślałem, że już jestem ugotowany. Przysięgam. Naprawdę myślałem, że już po mnie.

— Włamują się do tego budynku — powiedział Josh. — Musimy stąd zniknąć.

Chudzielec usiadł i natychmiast spadł na niego grad połamanych dachówek i cegieł.

— Racja, zabierajmy się stąd. Teraz to już proste. Będziemy w Lincoln's Inn Fields, zanim Kaptury wejdą na pierwsze piętro.

Nisko pochyleni, przebiegli między kominami na drugą stronę dachu. Psiarczykowie nadal obrzucali ich dachówkami i deskami. Któryś nawet rzucił martwym gołębiem, trafiając Nancy w plecy. Kiedy zrozumieli, że ofiary wymknęły im się z rąk, zaczęli zbiegać po schodach, krzykiem zachęcając Zakapturzonych do pośpiechu.

Josh i Nancy przeskoczyli na następny budynek, który był niższy, potem na kolejny i jeszcze jeden. Rząd dachów był połączony żelaznymi drabinkami, później znów musieli skakać i w końcu zeszli na dół po schodkach przeciwpożarowych. Gdy dotarli na róg Serie Street, krzyki i werble były zaledwie cichym echem w oddali.

Chudy młodzian sprowadził ich po zakurzonych, zaniedbanych schodach następnego starego budynku, a potem wyszli do Lincoln's Inn Fields i przeszli przez ogród na moment przed tym, zanim zaczęło padać.

## ROZDZIAŁ 13

— Skoro już zawdzięczam wam życie — powiedział chudzielec, zapalając gaz pod pociętym czajnikiem — to chyba powinienem się przedstawić.

Wrócił do zagraconego pokoju i wyciągnął rękę.

— Simon Cutter. Znany wszystkim Simon Cutter z Clerkenwell Cutters. Gdybyście kiedyś mieli jakieś kłopoty w Clerkenwell, Holborn lub Finsbury Park, wystarczy, że wypowiedzie magiczne słowa: „Jestem kumplem Simona Cuttera”, i problemy znikną jak...

Zastanawiał się przez chwilę, po czym dokończył:

— ...jak margaryna na patelni.

— Cóż, dobrze wiedzieć — mruknął Josh. — Ale ja staram się unikać takich miejsc, gdzie można wpaść w kłopoty.

— No tak, jednak nigdy nie wiadomo, prawda? Kłopotów nie da się przewidzieć. Na przykład idziesz sobie ulicą, zajęty własnymi sprawami, człap-człap, a tu bach!

Josh rozejrzał się po pokoju.

— Od dawna tu mieszkasz?

— Trzy lata. Chciałem się przeprowadzić, ale wiecie... to wszystko jest moje.

Z Lincoln's Inn Fields Simon przeprowadził ich bocznymi uliczkami do trzypokojowego mieszkania nad sklepem meblowym przy Gray's Inn Road. Był to ponury, ciasny lokal z oknami zasłoniętymi bursztynowymi roletami, zapchany wszelkimi możliwymi rupieciami: walizkami, krzesłami, pustymi akwariami, parasolkami, maszynami do pisania, głowami jeleni, gramofonami, pudłami płyt i stertami książek. W sypialni było jeszcze więcej gratów, włącznie z mahoniową umywalką i przednim kołem bicykla. W łazience stał wypchany ocelot i zuluska włącznia. Kuchenne okno wychodziło na szyb wentylacyjny, w którym rosła sykomora, uczepona jakiejś dziury w murze, osiem metrów nad ziemią. Wszystkie półki i każdy skrawek przestrzeni w kuchni były zastawione słoikami, garnkami, ekspresami do kawy, tarkami do sera i przyrządami do obierania jabłek.

San też tam był. Stał w kącie, w brązowej satynowej podomce z wyhaftowanym na niej smokiem, prasując czarną koszulę i słuchając radia, z którego płynął cichy pomruk, przerywany kaskadami śmiechu.

— Jesteś prawdziwym kolekcjonerem — zauważył Josh, podnosząc jedną z książek i kartkując ją. Był to „A British Traveller's Guide to-Far-Flung Destinations”, wydany w 1971.

— Tak, owszem, ale nie kolekcjonuję niczego świadomie. To wszystko po prostu się... a-kumuluje. Za każdym razem, kiedy wychodzę, a-kumuluje coraz więcej dobytku. Po prostu mam skłonność do... a-kumulowania.

— A więc jesteś paserem?

— Można tak powiedzieć. Jeśli ktoś czegoś chce, zwykle mogę to dostarczyć. Zawsze jest duży popyt na wszystko, co pochodzi z czyścica. Pióra, długopisy, perfumy. Kupują nawet telefony komórkowe, chociaż nie działają.

— Przepraszam, co powiedziałeś? Z czyścica?

Simon zmieszał się.

— Przepraszam. Nie chciałem was obrazić. Wiem, że wy tak tego nie nazywacie.

— Myślisz, że przybyliśmy z czyścica? — zapytała Nancy.

Simon wzruszył ramionami.

— Sądzisz, że my nie żyjemy? Że jesteśmy duchami, które nie dostały się do nieba?

Chudzielec ponownie wzruszył ramionami. W tym momencie czajnik w kuchni zaczął gwizdać jak przygnieciony kanarek. Nancy ujęła dłoń Simona, podniosła i przycisnęła do swojego policzka.

— Czy ja wydaję ci się martwa?

— Nie wiem. Jeszcze nigdy nie dotykałem nikogo z czyścica.

— Przecież chodzimy i rozmawiamy z tobą — powiedział Josh. — Martwi zwykle tego nie robią, prawda?

— Och, tak! Ale są martwi i są ci, którzy przeszli na tamtą stronę. Wy, ludzie z czyścica, nie jesteście jeszcze trupami... Zostaliście odesłani, dano wam jeszcze jedną szansę. Jesteście zbyt grzeszni, by dostać się do nieba, i zbyt dobrzy do piekła.

— Hm, to świetny pomysł. Taka charakterystyka pasuje do siedemdziesięciu pięciu procent populacji Marin County.

Simon zdjął czajnik z gazu.

— A więc nie przyszliście z czyścica? Wyglądacie tak jak wszyscy stamtąd, których dotychczas widziałem. Macie takie same ubrania.

— Widziałeś wielu innych?

— Nie. Sześciu lub siedmiu każdego roku. Czasem tylko jednego lub dwóch. Pewnego roku nie było żadnego. Zazwyczaj Kaptury dopadają ich wcześniej i zabierają, zanim zdążę... no wiecie. Zanim zdążę się przywitać.

— Zanim zdążysz ich obrabować?

— Obrażasz mnie, szefie. Jestem kolekcjonerem, nie rabusiem.

— No tak, kolekcjonerem. Rozumiem. Czy to Kaptury mówią wam, że ci ludzie przybywają z czyścica?

— Kaptury nikomu niczego nie mówią, tylko robią swoje. Wszyscy wiedzą o czyścicu jeszcze ze szkoły. Z elementarza.

— A więc zawsze wierzyłeś, że ludzie przechodzący przez drzwi przybywają z czyścica?

Simon rozlał herbatę i kiwnął głową.

— Czy ludzie stamtąd nie wyjaśnili ci, że tak nie jest?

— Jeszcze nigdy nie rozmawiałem z czyścicowym. Nie było okazji.

— Chcesz powiedzieć, że obrabiałeś ich i cześć?

— Zrozum, szefie, nie miałem czasu na konwersacje. Musiałem załatwić sprawę i zmykać, zanim pokażą się Kaptury. Jednak oni najczęściej pojawiali się pierwsi. Albo inni poszukiwacze szczęścia.

— Powiedz mi coś o tych drzwiach. Czy możesz w jakiś sposób przewidzieć, że ktoś przez nie przejdzie?

— To jak ródźkarstwo, szefie. Trzeba mieć dar.

— Więc potrafisz to przewidzieć?

— Chyba tak, szefie. Są różne sposoby. Ale to nie takie proste. Jedyne sposoby, dające stuprocentową gwarancję przydybania duszy czyścicowej, to stać przy drzwiach przez dwadzieścia cztery godziny na dobę. Jeśli jednak wiesz, czego szukać, możesz dostrzec, jak drzwi się zmieniają. Otacza je wtedy inna aura. To tak, jak drganie powietrza nad rozgrzaną nawierzchnią drogi. Przeszliście przez nie, więc sami musieliście to zauważyć. Szliśmy dziś z Sanem przez Yard i zobaczyliśmy, że drzwi wyglądają troszeczkę inaczej, więc domyśliliśmy się, że ktoś je otworzył. Dlatego zostaliśmy tam, czekając na was. Czyścicowi zazwyczaj po godzinie czy dwóch wracają do drzwi, którymi przyszli, chociaż nie wiem dlaczego.

— A Zakapturzeni... czy oni też wiedzieli, że przeszliśmy?

— Oczywiście. Oni zawsze wiedzą. Dlatego was ścigali. Nie pytajcie mnie, skąd wiedzą, ale

nikomu nie uda się przejść przez te drzwi tak, żeby Kaptury nie znalazły się tam po pięciu lub dziesięciu minutach. A wtedy trzask-prask, chwytają przybyłych i zabierają ich.

— Jeśli Zakapturzeni nie chcą nas tutaj — powiedziała Nancy — to dlaczego po prostu nie zamkną drzwi? Nie zamurują ich tak, żeby nikt nie mógł przejść?

— Ponieważ zamurowanie nic nie da. Drzwi zawsze tam będą, nawet gdybyście zbudowali na nich kościół. Wiem, że jedne z drzwi znajdują się teraz na środku rzeki, chociaż kiedy zostały otwarte, musiały być na suchym lądzie.

— Wiesz, gdzie znajdują się pozostałe drzwi? — zapytał Josh.

— Chciałbym wiedzieć. Jedne są w Southwark na rogu Bread Street i Watling Street. Pilnuje ich mój stary kumpel, Lenny Crossword. Słyszałem, że jedne są na zachodzie, ale o ich dokładne położenie musielibyście zapytać eksperta od lokalizacji drzwi... jeśli taki istnieje.

Zdjęli z wysiedzianych foteli stopy książek i tygodników, po czym usiedli i pili herbatę z grubych kubków z emblematem brytyjskich kolei państwowych. Josh był zmęczony i zdezorientowany. Świat, w którym znaleźli się z Nancy, okazał się tak znajomy, a zarazem tak niepokojąco odmienny. Odmiennie odgłosy, zapachy i dźwięki. Kiedy Simon rozmawiał z Sanem, używali słów, jakich Josh nigdy nie słyszał, i wspominali o wydarzeniach, jakie nigdy nie miały miejsca. Przynajmniej w „prawdziwym” świecie.

Nawet gdybym pojechał do Pekinu — rozmyślał Josh — mógłbym powiedzieć „McDonald’s!” lub „Julia Roberts!” i ludzie wiedzieliby, o czym mówię. Tutaj te pojęcia nic nie oznaczały.

— Czy wiesz, kim byli Beatlesi? — zapytał Simona.

Chudzielec stropił się.

— Żuki\*? Nie rozumiem.

— Beatlesi. Popowa grupa z lat sześćdziesiątych.

— Popowa? Grupa? Co to takiego?

— Nigdy nie słyszałeś o Beatlesach?

— Nigdy.

— A o Rolling Stonesach? O Glenniem Campbellu? Hootie and the Blowfish? Doorsach?

— Nie rozumiem

— No dobrze — wtrąciła się Nancy. — Pozwól, że zadam ci poważniejsze pytanie. Jak nazywa się obecny prezydent Stanów Zjednoczonych?

Simon patrzył na nią przez chwilę znad krawędzi kubka, jakby czekał na ciąg dalszy, a potem zapytał:

— Stanów Zjednoczonych czego?

— Stanów Zjednoczonych Ameryki Północnej.

— Ach, Ameryki! Cóż, w Ameryce nie ma prezydenta. Mają tam Lorda Protektora, tak jak my.

— Nie ma prezydenta? Ani Białego Domu?

Simon spojrział na nią ze zdumieniem.

— Może jeszcze trochę herbaty? — zaproponował.

— Czy wy, Brytyjczycy, nie macie już monarchii? — dopytywał się Josh. — A co z królową, królem Karolem i księciem Edynburga?

— Ostatnim królem był Karol I. W tysiąc sześćset którymś. Ucięli mu łeb, no nie?

— A kto po nim rządził Anglią?

— Ci, którzy rządzą nią teraz. Republikanie.

---

\* *Beetle* — żuk, chrząszcz (przyp. red.).

— I Ameryka też jest republiką?

— Oczywiście.

— A co z drugą wojną światową? — zapytał Josh.

Simon pokręcił głową.

— Nie słyszeliście o drugiej wojnie światowej, podczas której Ameryka razem z Wielką Brytanią walczyły przeciwko Niemcom?

— My nigdy nie walczyliśmy z Niemcami — odparł Simon. Ton jego głosu wyraźnie świadczył, że uważa taki pomysł za śmieszny.

— A co z Japończykami? Słyszałeś o Pearl Harbor? O Hiroszynie i bombie atomowej?

— Niestety nie, szefie.

— No dobrze, wobec tego cofnijmy się trochę w czasie. Pierwsza wojna światowa? Nie? Walki w okopach? Nie? A „Titanic”? Nie? Jednak musiałeś słyszeć o wojnie secesyjnej Północy z Południem. O Abrahamie Lincolnie.

— Nie, nie sędzę. Słyszałem tylko o samochodach marki Lincoln. Robią je w Ameryce, no nie?

Josh oklapł.

— Może więc powiesz mi, co było najważniejszym wydarzeniem minionej dekady?

Simon cmoknął.

— Ooo... to trudne pytanie.

— Mam! — wtrącił San, wieszając starannie uprasowaną koszulę. — Zdobyć tytułu miss świata przez miss Birmy.

— Posłuchajcie go tylko! — mruknął z udawaną drwiną Simon. — Nie... Zdaje się, że najważniejsze, co się wydarzyło, to przelot tych dwóch facetów sterowcem dookoła świata. Niedługo każdy będzie mógł sobie polecieć, dokąd chce.

— I co ty na to? — rzekł Josh, zwracając się do Nancy. — Nie było pierwszej wojny światowej... ani drugiej. Pewnie dlatego mają ponad sześćdziesiąt lat opóźnienia. Nie wynaleziono silnika odrzutowego. Ani antybiotyków. Nic tak nie przyspiesza rozwoju techniki jak wojna.

— Tam, skąd przybywacie, wciąż toczą się wojny? — zapytał Simon.

— Niezupełnie. Od pół wieku nie było żadnej większej wojny. I nie ma u nas Zakapturzonych.

— Nie? To co robicie z katolikami?

— Nic z nimi nie robimy. Tam, skąd przybywamy, przynależność do Kościoła rzymskokatolickiego nie jest przestępstwem.

— A niech mnie. — Simon pogrzebał w kieszeni płaszcz i wyjął niewielką kremową paczkę papierosów Player's Weights. Zapalił jednego i puścił kilka kółek. — To mi wygląda na cholernie pieskie życie. Wieczne wojny i papiści.

Josh spojrzął na rozdarty przez psa skraj płaszczu Simona.

— To zależy, co rozumiesz przez „cholernie pieskie”.

San skończył prasować i wszedł do kuchni.

— Myślę, że wszyscy są głodni — powiedział i nie czekając na odpowiedź, zaczął kroić cebulę.

— Lepiej zostańcie tu na noc — poradził Simon. — Kaptury nadal będą was szukać. Jutro możecie wrócić przez drzwi i znaleźć sobie jakieś porządne łachy. Przynieście mi kilka piór, zegarków i co wam tylko przyjdzie do głowy, a ja dam wam gotówkę i wszystko, czego będziecie potrzebowali. Mapy, przepustki do metra, małe czarne książeczki.

— Małe czarne książeczki?

Simon sięgnął do kieszeni i wyjął niewielką, wytartą, oprawioną w skórę książeczkę.

— „Myśli Olivera Cromwella”. Każdy musi taką nosić. Czy wiecie, która z jego myśli jest moją ulubioną? „Konieczność nie zna prawa”. Innymi słowy, szefie, jeśli czegoś potrzebujesz, musisz się o to postarać.

— Jutro chciałbym pójść na Kaiser Gardens i do Wheatstone Electrics — rzekł Josh. — Może poszedłbyś z nami i pomógł w razie potrzeby. No wiesz, mógłbyś być naszym zwiadowcą.

— Jasne. Jeśli to mi się opłaci.

Josh zdjął swój złoty zegarek Polo i podał mu.

— Przyjmiesz go jako zapłatę?

Simon przyłożył zegarek do ucha.

— Nie zepsuje się? Niektóre stają i nie można ich nakręcić.

— Pewnie mają wyczerpane baterie. Przyniosę ci zapasowe.

Simon wstał i jak kozica pokonał sterty rupieci. Z hałasem wyjął górną szufladę antycznego biurka i położył ją na stojącym na środku pokoju stole.

— Musicie mi wyjaśnić, jak to działa — rzekł, pokazując telefon komórkowy Nokii. — Wiem, że to rodzaj telefonu, ale nie mogę go uruchomić.

Josh przecząco pokręcił głową.

— Tutaj nie będzie działał. Potrzebny jest satelita telekomunikacyjny, a tych chyba nie macie, prawda?

Simon zmarszczył brwi. Josh wskazał palcem w górę i dodał:

— Na orbicie. W kosmosie. Nie wystrzeliliście raket, prawda? Nie wysłaliście człowieka na Księżyc?

Nancy przeglądała zawartość szuflady.

— Spójrz na to, Josh. Jak myślisz, do ilu zaginionych ludzi to wszystko należało?

W szufladzie było pełno kart kredytowych, praw jazdy, książeczek czekowych, paszportów, listów, piór, notatników, biletów, rachunków z restauracji, grzebieni, guzików i zdjęć dzieci. Josh wyjął legitymację uniwersytetu w Michigan. Spojrzała na niego nalana twarz w okularach. Profesor David L. Burger, Katedra Fizyki Stosowanej. Jak znalazł się w tym równoległym Londynie i gdzie był teraz? Josh pokazał paszport Simonowi.

— Kiedy ten gość tu przybył?

Simon wzruszył ramionami.

— Nie wiem. Nie pamiętam.

— A w przybliżeniu?

— Chyba jakieś sześć miesięcy temu.

— Przeszedł przez drzwi na Star Yard?

Simon spojrzał na niego z urazą i znów wzruszył ramionami.

— Daj spokój, Simonie. Na pewno wiesz, przez które drzwi przeszedł. Przecież czekaliście, żeby na niego napaść!

— Wcale nie. Natknęliśmy się na niego na Oxford Street. Nawet nie wiedzieliśmy, że jest czyścicowy, dopóki go nie oskubaliśmy.

— Więc nie wiecie, jak się tu dostał, jak długo tu przebywał i których drzwi użył?

— Nie, szefie.

Josh ostrożnie odłożył legitymację do szuflady, jakby kładł profesora Burgera na wieczny spoczynek.

— I co się z nim potem stało?

— Skąd mam wiedzieć? Uderzył głową o krawężnik i było mnóstwo keczupu. Nigdy więcej o nim nie słyszałem. Dostały go Kaptury, to więcej niż pewne.

— A jak to możliwe, że nie złapali go wcześniej?

— Nie mam pojęcia, szefie.

W kuchni San kroił i smażył. Mieszkanie wypełnił aromatyczny zapach kurczaka, czosnku i liści bobkowych. Nancy podniosła paszport profesora Burgera.

— O co ci chodzi, Josh? — zapytała. — Co za różnica, przez które przeszedł drzwi?

— Nie w tym rzecz, przez które drzwi, ale dlaczego, kiedy i jak. W jaki sposób profesor fizyki stosowanej z uniwersytetu w Michigan dowiedział się, jak przejść do równoległego świata w Londynie? I dlaczego to zrobił? A także kiedy?

— Jakie to ma znaczenie?

— Jeżeli był tu tylko kilka minut lub godzin, to po prostu mógł mieć szczęście i Zakapturzeni go nie złapali. A jeśli przebywał tu dłużej? Na przykład kilka dni lub tygodni albo jeszcze dłużej? Załóżmy, że był tu dziesięć miesięcy, jak moja siostra. Dlaczego Zakapturzeni go nie schwytali? Jak to możliwe, że nie złapali Julii?

— Nadal nie rozumiem, do czego zmierzasz.

— Załóżmy, że ten profesor przebywał tu dziesięć miesięcy. Jak przeżył? Z czego żył? Jeśli szedł sobie spokojnie Oxford Street, to chyba nie obawiał się, że zostanie złapany. Pewnie znalazł tu jakieś zajęcie, tak jak Julia. Podjął jakąś pracę. Podejrzewam, że niektórzy ludzie pojawiają się tu przypadkowo, odkrywając znaczenie dziecięcej rymowanki, natomiast inni przybywają tu na zaproszenie, tak jak Julia. Może należał do nich też profesor Burger. Być może żyją tu setki ludzi z „prawdziwego” Londynu. Tacy, którzy chcieli uciec, podobnie jak Julia. Szukający jeszcze jednej szansy.

Stan uprzątnął stolik do kawy i postawił na nim cztery talerze ze smażonym kurczakiem po birmańsku i ryżem, z kawałkami puszkowanego ananasa oraz sałatką z liści mniszka, posypaną chili. Siedli po turecku na podłodze i wzięli łyżki — każdy inną. Łyżka Josha miała rógową rączkę ze srebrnym szkockim herbem. Dopóki nie zaczął jeść, nie zdawał sobie sprawy, jak bardzo jest głodny.

— Istnienie tego równoległego świata może wiele wyjaśniać — stwierdziła Nancy. — Na przykład to, gdzie podziewają się ludzie. No wiesz, jak te dziewczyny z „Pikniku pod Wiszącą Skalą”.

— To było w Australii.

— Jasne... ale kto wie, czy nie ma setek takich drzwi na całym świecie? Założę się, że w każdej mitologii znalazłbyś wzmianki o światach równoległych i o tym, jak się do nich dostać. W legendach Modoków jest sporo napomknień o „bramach duchów” i „przejsiach”. Irlandczycy też mają swoją „krajną baśń”, czyż nie?

Josh dołożył sobie ryżu.

— Sam nie wiem, co o tym myśleć. Gdyby nie to, że siedzę tu z wami i jem kurczaka, w ogóle bym w to nie wierzył.

— Świetnie gotujesz, San — pochwaliła Nancy.

— Dziękuję — odparł Birmańczyk i skłonił się grzecznie. — Nauczyła mnie matka. Uważała, że każdy mężczyzna powinien umieć gotować.

— Przekaż matce moje wyrazy uznania. Ona nadal mieszka w Birmie?

San skinął głową.

— Moja rodzina też. Siostry i kuzyni. Ale nie mam już od nich żadnych wiadomości.

— Czy w Birmie są jakieś zamieszki? — zapytał Josh. — Tam, skąd przybyliśmy, twój kraj już się tak nie nazywa. Teraz to Mjanma i rządzi tam banda generałów.

— Birma pozostała Birmą, ale należy do Brytyjczyków. Purytanie usiłowali nawrócić buddystów na chrześcijaństwo i wybuchły walki. Mnóstwo keczupu. Poległo wielu Birmańczyków. Dlatego przyjechałem tutaj, do Londynu. Myślałem, że zdołam przemówić do

purytanów. Sądziłem, że przekonam ich, żeby pozwolili nam czcić Buddę.

— I co?

— I o mało nie został obdarty żywcem ze skóry jako arogancki poganin, więc przyłączył się do mnie — wyjaśnił Simon.

— Co teraz zrobi?

— Nic szczególnego — odparł Simon. — Jeżeli wróci do Birmy, powieszą go za nogi i utną mu język. Jeśli zostanie tutaj, będzie musiał unikać Kapturów i zarabiać na życie tak samo jak wasz uniżony sługa. Nieciekawy wybór. Myślę, że woli grabić niż wisieć, prawda, San?

San uśmiechnął się i kiwnął głową. Był tak sympatyczny, że Joshowi nie chciało się wierzyć, iż ktoś mógłby go prześladować.

— Powiem wam coś — rzekł Simon. — On ma najzręczniejsze palce, jakie widziałem w życiu. Znalazłby się w połowie drogi do Holland Parku z twoimi najlepszymi szelkami, zanim opadłyby ci spodnie.

— Musisz bardzo tęsknić za rodziną — stwierdziła Nancy.

— Miłość zawsze przynosi ból — odparł San i w jego piwnych oczach zamigotał blask świec.  
— Jeśli coś przychodzi bez bólu, to jaką ma wartość?

Zanim skończyli posiłek, na dworze zaczęło zmierzchać i prostokącik nieba, który widać było przez kuchenne okno, przybrał granatową barwę. San umył talerze, a Nancy wytarła je, podczas gdy Josh i Simon rozmawiali o nadchodzącym dniu. Josh martwił się, że kiedy przejdą przez drzwi, by znaleźć odpowiednie ubrania, nie będą już mogli wrócić.

— Wciąż nie wierzysz, że to się dzieje naprawdę, no nie, szefie? — powiedział Simon. Mówił po angielsku z niemal dickensowskim akcentem.

Josh wyciągnął się w fotelu. Był bardzo zmęczony i wydawało mu się, że ma halucynacje.

— Hm... chyba na tym polega problem. To jest jak sen. Wciąż mi się zdaje, że zaraz się zbudzę i stwierdzę, że to wszystko się nie wydarzyło.

— Kiedy znajdziesz tego łotra, który zabił twoją siostrę, to nie będzie jak sen.

Nagle usłyszeli na zewnątrz szczekanie psów, trzask drzwi i okiennic.

— Co się dzieje? — zapytał Josh.

San podszedł do okna i zerknął przez bambusową roletę.

— Nic nie widzę. Ktokolwiek tam jest, chowa się w cieniu.

Zaniepokojona Nancy siadła na poręczy fotela, kładąc rękę na ramieniu Josha.

— Jesteś pewny, że to nic takiego?

Znów usłyszeli trzaskanie i ujadanie. Po chwili z dołu dobiegł przeciągły trzask wyważanych z zawiasów drzwi, grzechot szkła i krzyki. Psy zaczęły ujadać jeszcze głośniejsze. Rozległy się krzyki ludzi. Na schodach zadudniły kroki.

Pękły następne drzwi i Josh usłyszał głuchy łoskot, z jakim upadły na podłogę.

— Znaleźli nas — oświadczył Simon. — Bóg wie jak, ale znaleźli.

— I co teraz? — zapytał Josh.

— Damy nogę, rzecz jasna. Możemy uciec po dachach.

— Znowu? — mruknął Josh.

— Chcesz z nimi walczyć, szefie?

— Nie ma mowy. Wyośmy się stąd. Warczenie i drapanie pazurów zbliżało się.

— Jak nas tu znaleźli, do diabła?

— Przez kapusiów — odparł z pogardą Simon. — Za kilka pensów sprzedaliby własne dziewicze ciotki.

— Przytrzymam drzwi — powiedział San — a wy uciekajcie na dach.



Światlik był niewielki: małe okienko, zaledwie pół metra kwadratowego na środku sufitu nad pokojem stołowym. Simon przyciągnął pod nie stolik, po czym postawił na nim krzesło. Wszedł na nie i tak długo tłukł w światlik pięścią, aż go wyważył. Z otworu spadł deszcz rdzy i liści oraz martwy pisklak, zielony od pleśni.

— Ty pierwsza — zakomenderował Simon, biorąc Nancy za rękę. — Wyjdź na dach i zaczekaj na nas przy kominie.

— Wy dwaj nie musicie iść z nami. Nie zrobiliście nic złego, prawda?

— Chyba żartujesz, szefie. San jest uchodźcą politycznym, a ja mam tu pełno cudzych rzeczy. W mgnieniu oka podłączyliby nas do Świętej Harfy.

Na podeście zadudniły ciężkie kroki. San zamknął i zaryglował drzwi, po czym oparł się o nie plecami. Nancy weszła na stolik, potem na krzesło i niezgrabnie wygramoliła się przez światlik, wymachując nogami. Ktoś załomotał do drzwi i tak wściekle szarpnął za klamkę, że upadła na podłogę.

— Otwierać, w imieniu Republiki!

— Szybko — ponaglił Simon i Josh też wydostał się na dach.

Nancy już czekała na niego przy kominie, lecz on klęknął obok okienka i wyciągnął rękę, żeby pomóc wyjść Simonowi.

Rozległ się donośny trzask, gdy Zakapturzeni próbowali wyważyć drzwi — a potem jeszcze jeden. Futryna drzwi popękała i na ramiona Sana posypał się tynk. Birmańczyk z ponurą determinacją opierał się plecami o drzwi, mocno wparty nogami w podłogę. Simon wskoczył na stolik.

— Chodź, San! Za chwilę wylamią te cholerne drzwi!

— Idź! — odparł San.

Josh pomógł Simonowi wydostać się przez światlik na dach.

— Chodź, San, ty głupi draniu! Nic już nie możesz zrobić!

Rozległ się kolejny trzask. Zakapturzeni zaczęli kopać w drzwi i jedna z dolnych płyt pękła. San stał z rozłożonymi rękami, zaciskając zęby i wpierając stopy w samodziałowy dywan.

— Chodź, San! — krzyknął do niego Simon. — Nie zatrzymasz ich!

San sprężył się do skoku, zamierzając odskoczyć i uciec przez światlik. W tej samej chwili z jego piersi wyłonił się koniec połyskującej klingi miecza. Drugi miecz przebił mu lewe ramię, trzeci przeszył prawe udo. San szeroko otworzył usta, jakby chciał krzyknąć, lecz zanim zdążył to zrobić, następne stalowe ostrze wyskoczyło mu z ust, jak lśniący stalowy język.

## ROZDZIAŁ 14

Dwa kolejne miecze przebiły drzwi. Jeden przeszył brzuch Sana, a drugi prawe ramię.

San w niemej męce spoglądał na Simona i Josha. Ociekające krwią ostrze nadal sterczało mu z ust.

— Aaa... — wykrztusił i podniósł jedną rękę.

— Trzymaj się, San! — krzyknął Simon. — Idę do ciebie!

— Oszalałeś — rzekł Josh. — Miecz przebił mu rdzeń kręgowy. Nie zdołasz go ruszyć, nie zabijając go.

— To mój kumpel — wymamrotał Simon, poblady i zaszokowany.

— Nic nie możesz zrobić. On już nie żyje.

— San! — wrzasnął Simon, jakby mógł ocalić go siłą swego głosu.

Birmańczyk patrzył na nich, nie mogąc się ruszyć. Drzwi znowu zadygotały, raz i drugi, a pod Sanem powoli zaczęły ugiąć się kolana.

— Stój prosto! — wołał do niego Simon. — Rany boskie, stój!

Znowu załomotano w drzwi i tym razem San wydał bulgoczący krzyk, bo na skutek wstrząsów osunął się o kilka centymetrów i tkwiące w jego ciele klingi rozcięły mu górną wargę, pierś, brzuch i nogę. Widocznie były bardzo ostre, jak samurajskie miecze, gdyż ta, która przeszła mu pierś, teraz rozcięła mostek, a klinga tkwiąca w ustach wbiła się między dwa przednie zęby.

— Niech to szlag, nie mogę tak stać i patrzeć, jak on umiera! — krzyknął Simon i wsunął nogi w okienko.

Josh złapał go za ramię.

— Nie rób tego! Tylko pogorszysz sytuację!

— Czy może być coś gorszego od oglądania tego? Co, na Boga, może być gorsze?

San znów krzyknął. Nie mógł już utrzymać się na nogach, a w miarę jak się osuwał, ostrza rozcinały go coraz bardziej. To, które tkwiło w jego ustach, przecięło mu górną wargę. Z rozplatanego brzucha wylewały się wnętrzności, tworząc wypukłość pod żebrami, po której spływały strumyki krwi.

Drzwi dygotały pod kopnięciami i uderzeniami Zakapturzonych, a przy każdym wstrząsie San osuwał się coraz niżej. Całą jego podomkę pokryły plamy krwi, która spływała mu po łydkach i rozlewała się po dywanie.

— Simonie, musimy iść — nalegał Josh. — Muszę myśleć o Nancy.

Simon nie odpowiedział. Szeroko otwartymi oczami patrzył, jak San powoli osuwa się po drzwiach. W końcu kolana ugięły się pod Birmańczykiem i z rozprutego brzucha wypadły wnętrzności, tworząc połyskliwą stertę na podłodze. Głowa Sana opadła i ostrze miecza dotarło aż do nosa. We wbitych w podłogę oczach Birmańczyka malował się okropny smutek i żal, jakby nie mógł uwierzyć, że jego życie zakończyło się w taki sposób.

Nagle drzwi odskoczyły z trzaskiem i na moment stracili Sana z oczu. Do środka wpadły psy, potem psiarczykowie, a tuż za nimi kilku Zakapturzonych. Josh ujrzał rękojeści ich mieczów sterczące z drugiej strony drzwi. Nie miał pojęcia, skąd brali taką niesamowitą siłę, która pozwoliła im przebić trzy centymetry litego drewna.

Drzwi znów się zamknęły, ukazując przybitego do nich Sana. Psy ujadły i rzucały się wściekle. Dwaj Zakapturzeni zobaczyli stolik i ustawione na nim krzesło oraz otwarty świetlik. Któryś natychmiast wrzasnął:

— Tam! Uciekli na dach!

Josh odciągnął Simona od okienka. Zdażył jeszcze zobaczyć, jak psy tarposzą wnętrzności Sana, rozwlekając je po podłodze w krwawej plątaninie. Widział to tylko przez mgnienie oka, lecz ten widok na zawsze utrwalił się w jego pamięci w żywych barwach pornograficznego filmu.

Przebiegli wzdłuż rzędu kominów, a potem po schodach przeciwpożarowych i płaskim, pokrytym papą dachu szkoły podstawowej. Zanim Zakapturzeni wyszli na dach mieszkania Simona, byli już prawie kilometr dalej, dobrze ukryci w lesie kominów. Zeszli na ulicę w pobliżu Gray's Inn.

— Dokąd teraz? — zapytał Josh.

Simon nadal był błądy jak ściana. Przytrzymał się prętów żelaznego ogrodzenia i kilkakrotnie głęboko odetchnął, zanim odpowiedział.

— Znam paru ludzi w British Museum. Niezbyt mnie lubią, ale Kapturów nie lubią jeszcze bardziej, więc pewnie pozwolą nam zostać na noc.

Ruszyli ku British Museum bardzo skomplikowaną trasą, bocznymi uliczkami i zaułkami. Noc była ciepła, lecz z południowego zachodu wiał wiatr i chmury wciąż zasłaniały księżyc. Bloomsbury była prawie wyludniona, nie licząc sporadycznie przejeżdżających autobusów. Od czasu do czasu słyszeli w oddali szczekanie psów, jednak Josh był przekonany, że Zakapturzeni stracili ślad. Zauważyli dwa lub trzy samochody policyjne: granatowe limuzyny Wolseley z lśniącymi chromem dzwonami na przednich zderzakach. Na ich widok kryli się w cieniu.

— Nie rozumiem — mruknął Josh. — Macie tu policję i Zakapturzonych?

— To proste, szefie. Policja zajmuje się zwyczajnymi przestępcami, a Zakapturzeni pozostałymi.

— Jakimi?

— Katolikami, muzułmanami i każdym, kto nie wie, do kogo powinien się modlić. Węszą też za znachorami, wrózkami i spirytystami.

— I pilnują, żeby czyścicowi nie przechodzili przez tamte drzwi, dopóki im na to nie pozwolą.

— Właśnie, szefie.

— Stawiają ich przed sądem?

— Sądem? Chyba żartujesz. Kiedy cię dorwą, to już po tobie. Oni są sędziami i katami, i nikt nie odważy się im przeciwstawić. Nie odpowiadają nawet przed parlamentem. To Oliver Cromwell powołał ich do życia i powiadają, że tylko on może rozwiązać ich organizację, a on nie żyje już od trzystu lat. „Zakapturzeni, Zakapturzeni! Kryj się pod łóżkiem, schowaj się w ziemi! Old Noll tylko wtedy im zapłaci, gdy twą uciętą głowę zobaczy”.

— A kto wstępuje do tej organizacji? Co musiałbym zrobić, gdybym chciał zostać jednym z nich? Niezbyt pociąga mnie taka kariera, ale założmy.

— Nie mógłbyś. Jesteś tu turystą.

— Co w tym złego?

— Jesteś zbyt wierzący, rozumiesz? Kaptury nienawidzą takich.

— Jestem turystą, który podróżuje. Podróżnikiem.

— W takim razie przepraszam. Myślałem, że należysz do wiernych kościoła z Tours. Ale nie wiem, co trzeba zrobić, żeby zostać Kapturem. Może John będzie wiedział.

— Jaki John?

— John Farbelow. Wkrótce go poznasz.

— To twój przyjaciel z British Museum?

— Hm, raczej nie użyłbym słowa „przyjaciel”. Powiedzmy, że nie znosimy się tak bardzo, że prawie sprawia nam to przyjemność.

Po wąskich żelaznych schodkach zeszli do piwnic British Museum. Simon zapukał do pomalowanych na ciemno-zielono drzwi z judaszem pośrodku i czekał. Wreszcie w okienku pojawiła się blada twarz i spoglądała na nich przez chwilę. W końcu drzwi się uchyliły.

— Muszę się gdzieś przekimnąć — powiedział Simon.

— Kto jest z tobą?

— On i ona. Para czyścówych. Ścigają ich Kaptury.

— Zaczekajcie.

Czekali dość długo. Chodnikiem nadszedł ślepiec i przystanął opodal schodków, jakby nasłuchiwał. Josh, Nancy i Simon stali nieruchomo, wstrzymując oddech.

— Ktoś tam jest — oświadczył ślepiec. — Słyszę, że jest tam ktoś żywy.

— Nie, koleś — odparł Simon. — Jesteśmy bardziej martwi niż glazy.

Ślepiec zastanawiał się nad tym przez moment.

— A więc niech Bóg się ulituje nad waszymi duszami — powiedział w końcu i odszedł, postukując laską. Joshowi przypomniał się Ślepy Pew i poczuł dreszcz zgrozy.

Piwniczne drzwi uchyliły się szerzej i posepna dziewczyna o czarnych kręconych włosach wpuściła ich do środka. Wyglądała na półkrwi Chinkę i miała na sobie prostą satynową sukienkę z kołnierzykiem w stylu Mao. Paliła papierosa w lufce z kości słoniowej.

— Jak tam, May? — spytał Simon, gdy zamknęła za nimi drzwi. — Nie uśmiechniesz się do starego kumpla Simona?

Dziewczyna wzgardliwie odwróciła się do niego plecami i poprowadziła ich mrocznym korytarzem, zastawionym drewnianymi skrzyniami. Jej obcasy stukały o cementową podłogę. Wokół unosił się silny zapach płynu do czyszczenia, politurę i jakaś kwaśna, ziołowa woń. Ta woń coś przypominała Joshowi, ale nie wiedział, z czym mu się kojarzy.

Doszli do następnych ciemnozielonych drzwi. Dziewczyna otworzyła je i przeprowadziła ich przez nie. Znaleźli się w dużym pomieszczeniu bez okien, wypełnionym dymem z papierosów. Na środku pokoju, pod jedyną gołą żarówką Ustawiono kilka kanap i foteli, na których leżeli lub siedzieli bladzi młodzi ludzie, w płaszczach, haftowanych kamizelkach, swetrach, szalikach i bufiastych spodniach. Niektórzy nosili kapelusze, a jedna czy dwie osoby miały także zrobione na drutach rękawiczki bez palców. Josh natychmiast zorientował się, kogo ma przed sobą: byli to hippisi równoległego Londynu, młodzi gniewni, tutejsza bohema.

W największym fotelu, przerzuciwszy jedną nogę przez poręcz, siedział postawny mężczyzna o okrągłej twarzy i siwych włosach, które sterczały mu na głowie jak korona kwiatu ostu. Z pewnością kiedyś był przystojny, ale teraz miał wory pod oczami i obwisłe policzki. Był ubrany w czarny, lamowany futrem płaszcz i szary trzyczęściowy garnitur z czarnym jedwabnym krawatem.

— No, no — powiedział i zapalił papierosa. — Spójrzcie, co nam wypluł kot. Nie widziałem cię już niezły kawał czasu, Cutter.

Miał głęboki i łagodny głos, jak przeziębiony George Sanders.

— Nie chcę przysparzać ci kłopotów, szefie — odparł Simon — ale Kaptury rozwalily moja melinę na Gray's Inn Road. San nie żyje. Pamiętasz Sana? To ten Birmańczyk.

— San? Oczywiście, że go pamiętam. Był porządnym facetem. W przeciwieństwie do ciebie, w coś wierzył.

Spojrzał na Josha i Nancy, po czym wydmuchnął długą smugę dymu.

— A kim są ci dwoje? Czyścówi, tak? Przechodzisz sam siebie, Cutter, zadając się z czyścówymi. Nic dziwnego, że ścigają cię Kaptury.

Josh zrobił krok naprzód, stając w świetle żarówki.

— Jestem Josh Winward, a to Nancy Andersen. Pan jest zapewne Johnem Farbelowem.

— Zgadza się, Josh. Miło mi was poznać. To coś nowego, spotkać parę czyścicowych nieobrabowanych i niepobitych przez Cuttera oraz jego kompana. I nie zgarniętych przez Kaptury.

— Hmm, prawdę mówiąc, wcale nie przybywamy z czyścica — sprostował Josh. — Przybyliśmy tu z Londynu... tylko całkiem innego Londynu.

— Och, wiem — uśmiechnął się John Farbelow. — Tylko dzieci i idioci wierzą w tę bajeczkę o czyścicu. Znaleźliście jedne z sześciorga drzwi i odkryliście sposób, jak przez nie przejść. Ludzie robią to od czasu do czasu. Zazwyczaj uczeni, którzy myślą, że jako pierwsi dowiedzieli się, do czego służą te dziecinne rymowanki. Albo ludzie chcący się gdzieś ukryć z powodu jakiegoś przestępstwa, które popełnili w tym waszym Londynie. A kim wy jesteście? Uczonymi czy przestępcami?

— Ani jednymi, ani drugimi. Szukamy ludzi, którzy zamordowali moją siostrę. Sądzymy, że została uduszona tutaj, a potem przeniesiona przez drzwi do tamtego drugiego Londynu i wrzucona do Tamizy.

— Cóż, takie rzeczy się zdarzają — mruknął John Farbelow, niedbale machając ręką. — Niestety nie ma umów prawnych między równoległymi światami.

— Mimo to chcę wiedzieć, kto ją zabił.

— Podejmujesz spore ryzyko. Kaptury was załatwią, jeśli dostaniecie się w ich łapy. Z nami też nie będą się ceregielić, jeśli kiedyś nas złapią.

— Co mają przeciwko wam?

John Farbelow zaciągnął się papierosem, a potem zdusił go.

— Wybacz, ale nie znam was i myślę, że i tak już za dużo powiedziałem.

— Oni są w porządku, szefie — zapewnił go Simon. — Mogę za nich zaręczyć. Na dachu domu przy Carey Street uratowali mój tyłek, kiedy dopadły mnie psy, choć wcale nie musieli. Mogli po prostu pozwolić mi spaść i dać nogę.

— Rozumiem — odparł John Farbelow. — Jednak skąd mogę wiedzieć, że Zakapturzeni nie zapłacili ci, żebyś ich tu przyprowadził? Skąd mam mieć pewność, że San nie żyje, a ty nie wciskasz mi kitu?

— Ponieważ jestem Simonem Cutterem, a każdy wie, że Simon Cutter prędzej wykułby sobie oczy szpilką, niż wysługiwał się Kapturom.

Zapadła długa cisza. Potem John Farbelow wyjął następnego papierosa i powiedział:

— Chodzi o twojego starszego brata, tak? Złapali go na włamaniu do sklepu z telewizorami.

— Nie chcę o tym mówić.

— Kazali mu grać na Świętej Harfie, prawda? A on wsypał wszystkich przyjaciół. Powiesili przez niego siedmiu ludzi, a ośmiu wpakowali do więzienia.

— Dlaczego mnie pytasz, jeśli wiesz?

— Ponieważ chcę ci spojrzeć w te twoje zezowate oczka, by mieć pewność, że mnie nie oszukujesz. Kaptury potrafią przekabacić każdego. Myślę, że zdołaliby przekabacić nawet mnie, gdyby mnie kiedyś złapali, co — mam nadzieję — nigdy nie nastąpi.

— Posłuchaj — wtrącił Josh. — Zapewniam cię, że jesteśmy tylko dwojgiem wędrowców szukających schronienia na jedną noc. Jutro odejdziemy stąd skoro świt i więcej już nas nie zobaczysz.

— A jakie macie plany na jutro? — zapytał John Farbelow, zapalając papierosa różową gazową zapalniczką, prawdopodobnie przeniesioną do tego świata przez jakiegoś nieszczęsnego czyścicowego.

— Najpierw zamierzam odwiedzić dom na Lavender Hill, w którym mieszkała moja siostra.

Potem pójdę do Wheatstone Electrics, gdzie pracowała.

— Wheatstone Electrics? Nie mówisz czasem o Franku Mordancie?

— Właśnie o nim. To on zaproponował mojej siostrze pracę.

John Farbelow powoli pokręcił głową.

— Frank Mordant... To człowiek, którego również chciałbym zobaczyć. Najlepiej przybitego do krzyża.

— Znasz go?

— Och tak, znam go. To czyścicow, tak jak ty. Ale chyba możemy nie używać już tego słowa. Po prostu przybył przez jedno z sześciorga drzwi, tak samo jak wy. Jest tu od lat, prowadzi różne interesiki.

— Dlaczego Kaptury zostawiają go w spokoju?

— Ponieważ jak wszyscy jemu podobni, ma z nimi jakąś cichą umowę. Podejrzewam, że dostarcza im różnego rodzaju dobra. Przechodzi w obie strony, kombinując i handlując. Znam sześciu lub siedmiu takich jak on, lecz on jest zdecydowanie najgorszy z nich wszystkich.

— Czy wyrządził ci jakąś krzywdę? — zapytała Nancy.

John Farbelow machnięciem odpędził chmurę dymu przed twarzą.

— Jesteś bardzo domyślna.

— Babka nauczyła mnie widzieć ludzką aurę. Kiedy zacząłeś mówić o Franku Mordancie, twoja aura pociemniała.

— Umiesz czytać w moich myślach?

— Nie, ale widzę twój smutek. Otacza cię. Nosisz go jak zabłocony płaszcz.

— Zabłocony płaszcz... To bardzo poetyckie. Owszem, masz rację. Żywię zadawnioną urazę do Franka Mordanta.

— Chodzi o jakąś kobietę, prawda?

Młodzi ludzie obecni w pokoju zaczęli kręcić się niespokojnie. Okazywali w ten sposób poparcie dla Johna Farbelowa i dezaprobatę dla wszelkich pytań, które mogły go zranić lub wprawić w zakłopotanie. John Farbelow odwrócił się do siedzącej najbliżej niego ślicznej dziewczyny o cygańskiej urodzie i powiedział:

— W porządku, Siobhan. Nie denerwujcie się. Ci ludzie potrzebują naszej pomocy.

Potem ponownie zwrócił się do Nancy:

— Dlaczego nie usiądziecie? Oboje wyglądacie na zmęczonych. Może filiżankę herbaty albo coś mocniejszego?

— Wystarczy szklanka wody.

John Farbelow skinął na Siobhan i dziewczyna poszła po wodę. Simon przysunął wysiedzianą kanapę i fotel, po czym wszyscy troje usiedli. Pojawił się wielki bury kot, który natychmiast wskoczył Joshowi na kolana. Obejrzał go, obwąchał i zaczął mrużyć głośno.

— To chyba nie jest ten sam kot, którego widzieliśmy na Star Yard, co? — zapytała Nancy.

— Na pewno nie — odparł Josh. Kot ocierał o niego łeb i trącał łapą jego dłoń, jakby zachęcając do głaskania.

— To zwierzę najwyraźniej pana polubiło, panie Winward — zauważył John Farbelow.

— Zwierzęta zawsze garną się do Josha — wyjaśniła Nancy. — Chyba dlatego, że traktuje je jak ludzi.

— Sądzi pan, że mają dusze?

— Pewnie — odrzekł Josh. — To, że mają futra i nieświeże oddechy, nie czyni ich mniej uduchowionymi od nas. Znam mnóstwo starych kobiet w futrach i z nieświeżym oddechem, a nikt nigdy nie twierdził, że nie pójdą do nieba.

— Wabi się Ladslove. Był kotem Winnie. To z jej powodu otacza mnie taka ciemna aura.

— Co się stało? — spytała Nancy.

Josh już słyszał, jak przemawiała tym tonem: kojącym, uspokajającym i dziwnie sennym. Mówiła tak, kiedy spotkali się po raz pierwszy, i natychmiast go oczarowała.

— Spotkałem ją w autobusie numer piętnaście — powiedział John Farbelow. — Jechałem do pracy. Byłem wtedy szanowanym obywatelem. Konformistą. Kołnierzyk i krawat. Ona była śliczna i bystra. Pamiętam, że miała na sobie czerwony płaszcz z jasnoczerwonymi guzikami. I nie potrafiła odliczyć należności za przejazd. Miała zapłacić tylko siedem i pół pensa, ale była jak dziecko albo cudzoziemiec. Pokazała konduktorowi garść monet i poprosiła, by wziął sobie należną sumę. Mówiła z południowolondyńskim akcentem, jednak od początku miałem wrażenie, że jest w niej coś dziwnego. Używała niezwykłych słów i dziwnie budowała zdania, a kiedy mówiła, wspominała o rzeczach, o których nigdy nie słyszałem. Następnego dnia spotkałem ją ponownie i podjęliśmy przerwana rozmowę. Uwielbiałem jej słuchać. Mówiła o czymś zupełnie zwyczajnym, na przykład o wakacjach, i nagle wtrącała coś tak... fantastycznego, że nie wierzyłem własnym uszom. Na przykład: „W zeszłym roku byłam we Francji. Uwielbiam Calais. Ale nie lubię tunelu pod kanałem. Wciąż myślę o wodzie na górze”. Farbelow zamilkł i zaciągnął się papierosem.

— Myślałem, że cierpi na jakąś chorobę umysłową, jednak nie przerywałem jej — podjął po chwili. — Pozwalałem jej mówić o słynnych aktorach, których nie znałem, i telewizyjnych komediach, o jakich nigdy nie słyszałem. To było jak rozmowa z wariatką, tylko że wszystko było takie logiczne. Obojętnie o co ją zapytałem, na wszystko miała odpowiedź. Wciąż mówiła o „księżnej Di” i powtarzała: „czyż to nie smutne?” — jakbym powinien wiedzieć, kim jest ta „księżna Di” i co takiego smutnego jej się przytrafiło. Zapytałem, skąd pochodzi, a ona powiedziała, że z Bromley. Jej matka umarła na raka, a ojciec dwa tygodnie później popełnił samobójstwo. Wpadła wtedy w głęboką depresję. Potem odpowiedziała na ogłoszenie w prasie, proponujące pracę w zupełnie innym miejscu. Ucieczkę — tak napisano. Jeśli życie cię przytłacza, podejmij pracę w zupełnie nowym miejscu. Nowa praca, nowi znajomi, nowe miejsce do życia. I wtedy poznała Franka Mordanta. Nie mówiła o nim wiele. W końcu — po dłuższych namowach — wyznała mi, że jednym z warunków umowy o pracę było to, że nie wolno jej mówić, jak ją dostała i skąd przybyła. Jednak... widywaliśmy się codziennie w autobusie, a potem co wieczór po pracy i zakochaliśmy się w sobie. I pewnej nocy, w hotelu na Hog’s Back w Surrey, po tym, jak pierwszy raz się kochaliśmy, powiedziała mi, skąd przybyła.

— Z czyścica — podpowiedział Josh.

— No cóż, Zakapturzeni chcą, żebyśmy uważali to za czyścica, aby zniechęcić nas do wypraw do waszego świata, a poza tym jest to pretekst do chwytania i zabijania wszystkich, którzy przypadkiem się tu znajdują. W ten sposób tłumaczą istnienie tego miejsca. To nie wymysł ani mit. To równoległy świat, podobny, lecz jednocześnie zdecydowanie odmienny, świat, który naprawdę istnieje. Teraz wierzę, że istnieje również niebo i piekło. I można do nich dotrzeć. To inne światy, ale są tak blisko naszego, że możemy wyciągnąć rękę i dotknąć ich.

— Też tak uważam — przytaknęła Josh. — Po prostu wyjął mi pan to z ust. Podobny, lecz zdecydowanie odmienny.

John Farbelow zapalił następnego papierosa.

— Wtedy jednak poczułem się tak, jakby poraził mnie piorun. Nie mogłem w to uwierzyć. Nie chciałem uwierzyć. Jak to możliwe, by istniał inny świat, w którym ludzie przejeżdżają pociągami pod kanałem La Manche, w trzy godziny dolatują do Nowego Jorku, mają kolorową telewizję i lekarstwa na gruźlicę i mogą w każdej chwili połączyć się ze sobą przez komputer? A co więcej, mogą wierzyć, w co chcą. Albo nie wierzyć w nic. Nie mogłem tego pojąć. O mało nie oszalałem. Winnie powiedziała mi, że nie wszystko wygląda tak różowo, że są zanieczyszczenia

środowiska, wojny i przeludnienie, ale wiedziałem, że muszę tam przejść, muszę to zobaczyć. Czułem się jak skazany na dożywotni pobyt w domu wariatów, jak człowiek, który nigdy nie ujrzy świata za murami. Świata, w którym nie szczuje się psami ludzi, chcących się modlić z modlitewnika, wierzących w niepokalane poczęcie Dziewicy Maryi lub palących świeczki przed Siwą.

— I co pan zrobił? — zapytał Josh, drapiąc Ladslove'a za uszami. Kot spojrzał na niego tak, jakby powinien już to wiedzieć.

— Nie mogłem wrócić do pracy. Pracowałem u Hoovera, sprzedawałem odkurzacze. Winnie powiedziała mi, że tam, skąd pochodzi, są odkurzacze z lekkiego kolorowego plastiku, które ciągną pięćdziesiąt razy silniej i nie potrzebują worków. Wiedząc o tym, jak mogłem wrócić do pracy? Co miałem mówić moim klientom? Może to wydaje się panu śmieszne, jednak wiedząc, że istnieją lepsze rzeczy, nie potrafiłem udawać, że tak nie jest. Rany boskie, było również lekarstwo na gruźlicę! I na raka! Poza tym — co znacznie ważniejsze — wiedziałem, że jeśli gdzieś w tym wszechświecie mężczyźni i kobiety mogą wierzyć, w co chcą, to tak powinno być wszędzie.

Nancy wyciągnęła rękę i dotknęła jego dłoni. Josh poczuł lekką zazdrość, ale wiedział, że John Farbelow potrzebuje teraz odrobiny ciepła i pocieszenia, jeśli ma im powiedzieć, co przydarzyło się Winnie i dlaczego tak bardzo nienawidzi Franka Mordanta.

— Następnego dnia rano poszedłem do mieszkania Winnie. Nie było jej tam i łóżko było nieruszone. Poszedłem do Wheatstone Electrics i chciałem się z nią widzieć. Frank Mordant przyszedł do mnie osobiście i oświadczył, że Winnie z własnej woli porzuciła pracę w Wheatstone, nie zostawiając adresu i nikt nie ma pojęcia, dokąd się udała. Popatrzyłem mu prosto w oczy i zapytałem: „A co z tunelem pod kanałem La Manche?”. Wtedy chyba zrozumiał, że wiem, co zrobił i kim jest, ponieważ zapytał tylko: „A co z Republiką? I z Zakapturzonymi?”. Wiedziałem, że moje życie jest w niebezpieczeństwie, więc odszedłem najszybciej, jak mogłem. Przez kilka dni mieszkałem u przyjaciół w Kensington, a potem przyszedłem tutaj.

Spojrzał na otaczających go młodych ludzi i uśmiechnął się.

— Kiedy tutaj przybyłem, oni nic nie wiedzieli o światach równoległych. Wszyscy zostali wychowani w kłamstwie, ale zdawali sobie sprawę, że coś jest nie tak z ich światem. Powiedziałem im tyle, ile wiedziałem, i jesteśmy tu teraz razem. Tworzymy coś w rodzaju biernego ruchu oporu, chociaż miałem wam o tym nie mówić.

— A Winnie? — zapytała łagodnie Nancy.

John Farbelow wzruszył ramionami.

— Winifried Thomas. Nigdy się nie dowiedziałem, co się z nią stało. Modłę się, aby nie spotkał jej taki los jak twoją siostrę, Josh, ale podejrzewam, że właśnie tak się stało.

Milczał przez chwilę. W jego oczach zabłyśły łzy.

— Nawet nie mam jej zdjęcia — powiedział. — Ani jednego. I zaczynam zapominać, jak wyglądała.



## ROZDZIAŁ 15

Następnego ranka lało jak z cebra. Siedzieli w mrocznym pomieszczeniu i wykorzystując jedną z muzealnych skrzyń jako stół, jedli śniadanie złożone z płatków zbożowych „Force”, suchych krakersów posmarowanych marmoladą oraz herbaty. Josh nigdy w życiu nie wypił tyle herbaty. Wydawało się, że najdalej co pół godziny ktoś nastawiał czajnik. Filiżanka herbaty była ich reakcją na wszystko: na szok, zmęczenie, zdenerwowanie i nudę.

John Farbelow podszedł do nich, pobrzękując kluczykami od samochodu.

— Pożyczę wam mojego austina. Simon poprowadzi. Pojedziesz na Lavender Hill i porozmawiasz z gospodynią twojej siostry. Potem możesz spróbować dowiedzieć się czegoś w Wheatstone. Tylko bądź ostrożny. Frank Mordant to groźny przeciwnik.

Simon wziął od niego kluczyki, podrzucił je i złapał.

— To niepodobne do ciebie, żeby mi coś powierzać, szefie.

— Powierzam ci moje auto tylko dlatego, że zawdzięczasz tym ludziom życie. Dobrze się nimi opiekuj, słyszysz?

Simon zrobił beztroską minę, ale najwyraźniej bał się Johna Farbelowa. Josh podejrzewał, że Farbelow mógł przyłapać go na jakiejś drobnej kradzieży lub zdradzie i chłopak uważał się za szczęściarza, że uszło mu to na sucho.

— Bądź ostrożny — przykazał John Farbelow Simonowi, gdy szykowali się do opuszczenia piwnicy i wyjścia na deszcz.

Przecisnęli się przez korytarz British Museum i wyszli po mokrych schodkach na ulicę. Deszcz lał gęsto, lecz od czasu do czasu przestawał padać. Chmury tak szybko sunęły po niebie, że w jednej chwili było ponuro i pochmurnie, a w następnej chodniki skrzyły się jak posypane diamentami. Nad Broadcasting House pokazała się tęcza, a potem jeszcze jedna. Powietrze było świeże, jednak uliczny hałas już był ogłuszający, a chodnikami Great Russel Street płynęły tłumy przechodniów: biznesmenów, urzędników, dostawców, policjantów i sprzedawców kwiatów.

— Maszyna Johna stoi zaparkowana za rogiem — powiedział Simon i powiodł ich wąską uliczką na tyły muzeum, gdzie sześć lub siedem samochodów parkowało przed rzędem oblażących z farby drzwi do garaży. Otworzył dużego brązowego austina i wsiedli. Brązowa skóra foteli była popękana, a szyby tak zamglone, że Josh ledwie coś widział. Kiedy Simon spróbował zapalić, silnik wydał tylko stłumione kaszlnięcie.

— Cholera! — mruknął Simon i wyjął spod siedzenia długi, wygięty pręt. Wysiadł z wozu, wepchnął korbę w silnik i zakręcił nią energicznie. Austin zarzęził i wypluł z rury wydechowej chmurę czarnego dymu. Simon ponownie wsiadł i ze zgrzytem wrzucił bieg.

Powoli wlekli się St Martins Lane. Kiedy czekali, o dach austina oparł się dostawca na rowerze. Simon opuścił boczną szybę i warknął:

— Hej, ty! Nie opieraj się o moją gablotę!

— Bo co mi zrobisz?

Simon nie odpowiedział, tylko gwałtownie otworzył drzwi, wywracając chłopaka wraz z rowerem na jezdnię, prosto pod koła nadjeżdżającego autobusu. Na szczęście samochody z przeciwnej strony też jechały powoli. Autobus przejechał po przednim kole roweru i zmiażdżył koszyk pełen jajek i innych artykułów spożywczych, ale zatrzymał się z poślizgiem tuż przed głową rowerzysty. Chłopak wrzeszczał przeraźliwie, z zamkniętymi oczami i zaciśniętymi pięściami. Simon zatrzasnął drzwi i pojechał dalej.

— Do diabła, czemu to zrobiłeś? — zapytała Nancy. — Mogłeś go zabić.

— To go nauczy nie opierać się o cudze samochody — odparł Simon. — Wiesz, co jest napisane w elementarzu? Cudza własność to własność Boga, który ją nam powierzył. Traktuj ją jak świętą.

— Nigdy nie miałam przyjemności czytać waszego elementarza — odparła Nancy. — Poza tym wydaje mi się, że jesteś ostatnią osobą, która powinna wypowiadać się na temat świętości cudzej własności.

— To co innego. Ja jestem rewolucjonistą, jak John Farbelow.

— Raczej cholernym oportunistą.

— Zgadza się. Jestem cholernie rewolucyjnym oportunistą. A kim miałbym być, żyjąc w takim świecie?

Dotarli do rozległego placu z fontannami i posągami. Kamienie bruku lśniły od deszczu, a wiatr wzbijał fontanny wodnego pyłu. Na środku placu stała wysoka kamienna kolumna z posągiem mężczyzny w kapeluszu i bryczesach.

— Czy to jest... Trafalgar Square? — zapytał z powątpiewaniem Josh. — Trochę podobny do tego, jaki widziałem na filmach z lat sześćdziesiątych.

— To Santa Cruz Square — wyjaśnił Simon, objeżdżając plac i kierując się wzdłuż Whitehall. — Na środku stoi posąg Roberta Blake'a.

Pojechali Whitehall ku Parliament Square. Josh nie był dotychczas na Whitehall, więc nie zauważył, że nie ma tam pomnika poległych brytyjskich żołnierzy ani bramy zagraudzającej wjazd na Downing Street.

Budynki Parlamentu wydawały mu się takie same jak w „prawdziwym” Londynie, tyle że na Parliament Square rosły zdecydowanie inne drzewa i nie było tam posągu Winstona Churchilla. Ponownie przejechali nad Tamizą, ale Josh nawet nie spojrzął na rzekę, a Nancy, ściskająca jego rękę, wiedziała dlaczego.

Austin z warkotem mknął na południe po Fairfax Embankment. Deszcz nasilił się i bębnił o dach, jak dobosze, którzy poprzedzali Zakapturzonych. Wycieraczki ledwie radziły sobie ze strumieniami wody i Simon co chwila przecierał szybę rękawem, żeby widzieć drogę.

W końcu dojechali do Lavender Hill. W tym równoległym Londynie wyglądała równie nędznie jak w „prawdziwym”, jednak nie było na niej hinduskich jadłodajni i sklepów zużywanymi samochodami. Simon miał mapkę, narysowaną długopisem na brązowej kopercie. Powoli zbliżali się do Kaiser Gardens. Była to krótka, stroma ulica, ze szpalerem platanów o obłazących z kory pniach. Domy były tandetne i stłoczone, z tanimi firankami w oknach i przydomowymi ogródkami z irracjonalnie wesołymi krasnoludkami. Wolno jechali wzdłuż krawężnika, aż znaleźli numer 53 b. Simon zaciągnął hamulec.

— Jesteśmy na miejscu, książę. Cztery szylingi i osiem pensów i nie zapomnij o napiwku.

Josh spojrzął na niego z wyrzutem, jakby chciał powiedzieć: wczoraj widziałeś śmierć przyjaciela, pociętego na plasterki, a teraz zbiera ci się na żarty? Simon chyba domyślił się tego, bo powiedział:

— Wiesz, co mówią, szefie. Życie toczy się dalej.

To, że żartował, wcale nie oznaczało, że nie oplakuje Sana.

Wysiedli z wozu i pchnęli furtkę domu numer 53 b. Josh widział w oknach sąsiednich domów blade, zaniepokojone twarze.

— Tutaj nie można nawet rzucić papierka od gumy do żucia, żeby wszyscy się o tym nie dowiedzieli — stwierdziła Nancy.

Dom numer 53 b był oddzielnym budynkiem o ścianach wyłożonych kamykami. W jasnozielonych drzwiach miał owalną szybę z barwionego szkła. Małeńki ogródek przed domem przecinała dróżka z płytek o nieregularnym kształcie, ale nie było tu krasnali, tylko maleńka

fontanna pełna nawianych przez wiatr papierków po cukierkach.

Simon podszedł do drzwi i nacisnął przycisk dzwonka. Odczekał chwilę i nacisnął jeszcze raz.

— Nikogo nie ma w domu. Albo dzwonek nie działa.

— Spróbuj zapukać — zaproponował Josh.

Simon zapukał w szybkę z barwionego szkła i znów zaczął nasłuchiwać. Kiedy czekali, usłyszeli w oddali miarowy, narastający warkot.

— Słyszycie to? — spytała Nancy.

Warkot przybierał na sile. Po niecałej minucie był tak ogłuszający, że ledwie słyszeli się nawzajem. Okna domu numer 53 b zaczęły brzęczeć, a w ogrodzie sąsiedniego domku rozszczękał się pies.

— Simonie, co to jest, do diabła?! — krzyknął Josh. Cutter wskazał palcem niebo.

— Sterowiec z Nowego Jorku. Leci nisko ze względu na kiepską pogodę.

W tym momencie nad dachami, nie wyżej niż sześćdziesiąt metrów nad głowami patrzących, pojawił się ogromny szary obiekt. Był dziesięć razy większy od wieloryba, choć miał podobny kształt. Miał osiem podwieszonych silników śmigłowych, które wydawały zgrzytliwy warkot, a także wielką gondolę w kształcie cygara, z okienkami na całej długości. Wydawało się, że nieskończenie długo przesuwają się po niebie. Przez cały ten czas pies ujadł, a szyby w oknach grzechotały. Josh patrzył na to, osłaniając dłońią oczy przed deszczem. Czuł się tak, jakby oglądał lądowanie obcych i początek wojny światów. W końcu sterowiec skręcił na północny wschód, przeleciał nad Tamizą i powoli zniknął za chmurami.

— Za nic nie wsiadłbym do czegoś takiego — mruknął Simon, ponownie mocno stukając do drzwi. — Pełno w nim grubych ryb i wodoru.

Nadal nikt nie odpowiadał. Deszcz głośno szeleścił w pokrzywach.

— Może wyszła — powiedział Josh. — Chyba będziemy musieli wrócić tu później.

Simon podniósł klapkę skrzynki na listy i zajrzał do środka.

— No, nie wiem... Zdaje mi się, że słyszę włączony telewizor. Nie wyszłaby, zostawiając włączony odbiornik. Ale tak wcześnie rano nie ma żadnego programu. Tylko obraz kontrolny.

Pchnął drzwi, były jednak zamknięte.

— Zobaczmy od tyłu — rzekł Josh. — Może po prostu pas nie słyszy.

Simon podszedł do bocznej furtki, sięgnął ręką i odsunął zasuwkę. Ruszyli wąską ścieżką wzdłuż bocznej ściany domu, omijając trzy pełne kosze na śmieci. Po chwili znaleźli się na niewielkim tylnym podwórku, ze splachetkiem rzadkiej mokrej trawy oraz rozwieszonym na sznurku praniem: postrzępionymi ręcznikami, skarpetkami i biustonoszem. Na samym końcu podwórka stała toporna klatka z szarym królikiem, obwąchującym siatkę drzwiczek.

— Co za kobieta zostawia pranie na deszczu? — spytała Nancy.

— A ten królik wygląda tak, jakby od dłuższego czasu nie jadł i nie pił — zauważył Josh.

Simon podszedł do tylnych drzwi i zapukał upierścienionymi palcami w matowe szkło.

— Pani Marmion! Jest tam pani? — Zastukał znowu i tym razem drzwi się otworzyły. Simon przesunął dłońią po krawędzi framugi. — Ktoś podważył je łomem — oświadczył.

— Josh podszedł do niego i szerzej otworzył drzwi. Za nimi ujrzał mały przedsionek z podłogą wyłożoną zielono-kremowym linoleum. W kącie znajdował się masywny fajansowy zlew z jednym kapiącym kranem i wywrócone wiadro ze ścierką. Gdzieś z głębi mieszkania dochodził szum włączonego telewizora.

— Halo! — zawołał. — Pani Marmion? Jest pani tam? Tu Josh Winward, dzwoniłem do pani wczoraj!

Nadal żadnej odpowiedzi.

— Coś tu nie gra, szefie — powiedział Simon. — Miejmy nadzieję, że uda nam się stąd zmyć,

zanim nas złapią.

— Pozwól mi się rozejrzeć — odparł Josh. — To potrwa tylko minutę.

— Wtargnięcie do cudzego domu to poważna sprawa.

— Muszę zobaczyć pokój Julii. Pani Marmion próbowała powiedzieć mi przez telefon, że ktoś tu przyszedł i zabrał wszystkie jej rzeczy, ale nigdy nie wiadomo. Może zostawiła jakiś ślad. Notatkę. List. Zawsze prowadziła dziennik.

Wszedł do przedsiionka. Pomieszczenie śmierdziało starymi szmatami do podłóg, było zastawione wiadrami i szczotkami. Na półkach stały butelki płynu do mycia szyb i puszki pasty do butów. W kącie stał bojler na węgiel, lecz kiedy Josh dotknął go ręką, kocioł okazał się zimny. Josh zawahał się, a potem przeszedł do kuchni. Była niewiele większa od przedsiionka. Z jej okna był widok na boczną ścianę sąsiedniego domu, a w środku stał mały stolik o emaliowanym blacie oraz kremowy kredens, zapchany żółtymi opakowaniami po musztardzie Colmana, brązowymi słoikami po dżemach i paczkami płatków zbożowych.

— Naprawdę powinniśmy wynieść się stąd, szefie — stwierdził Simon. — Pół ulicy wie, że tu jesteśmy, i wystarczy, by jakiś sąsiad zadzwonił po władzę.

— Pospieszę się, obiecuję — odparł Josh.

Otworzył drzwi kuchni i znalazł się w wąskim korytarzu prowadzącym do frontowych drzwi. Obok nich stał mahoniowy wieszak z lustrem. Josh ujrzał w nim swoją twarz. Galeon z barwionego szkła rzucał na jego policzki zielonożółty wzór, który nadawał mu wygląd rozkładającego się trupa.

Otworzył drzwi po prawej. Zobaczył salonik wyłożony brązowym dywanem. To tutaj grał telewizor: czarno-biały odbiornik, pokazujący obraz kontrolny BBC. Josh przeszedł przez pokój i wyłączył go. Nancy szła tuż za nim i rozglądała się. Podniosła kilka oprawionych w ramki fotografii leżących na kominku. Jedna z nich ukazywała grupkę ludzi w drugich jednocześnie kostiumach, brodzących w morzu. Inna przedstawiała siwowłosą damę siedzącą w słonecznym pokoju i drzemiącego na jej kolanach kota.

— Spójrz, Josh — powiedziała Nancy i podała mu zdjęcie.

Josh przechylił je tak, by oświetliło je słabe światło wpadające przez okno.

— To niemożliwe, prawda? Jednak jest do niej tak podobna...

— Jestem pewny, że to ona. Popatrz, jak siedzi. I ten uśmiech.

— Tylko co tutaj robi jej fotografia?

Nancy wzięła oprawione w ramkę zdjęcie, odwróciła je i odsunęła zaczep z tyłu. Wyjęła fotografię i przeczytała napis na odwrocie.

— „Mama. Iverna Court. Szesnasty sierpnia dziewięćdziesiątego dziewiątego”.

— A więc ta starsza pani w szpitalu była matką pani Marmion. To bardzo dziwne.

Simon był coraz bardziej zaniepokojony. Co chwila zerkał przez firanki na ulicę, sprawdzając, czy nie pojawiła się policja lub Zakapturzeni.

— Raz się im wymknąłem — mruknął. — Nie sądzę, żeby udało mi się to ponownie.

Josh klepnął go w ramię.

— Nie denerwuj się, człowieku. Pomyśl o czymś miłym, na przykład o morzu.

— Na morzu robi mi się niedobrze.

Josh wsunął do kieszeni zdjęcie matki pani Marmion, wrócił do holu i wszedł po schodach na pierwsze piętro. Po prawej były drzwi do jednego, a po lewej do drugiego pokoju. Na końcu zobaczył drzwi opatrzone ceramiczną tabliczką z napisem „ŁAZIENKA”.

Wszedł do sypialni po prawej. Była wyłożona tapetą w blad różowe kwiatki i stało w niej tandetne podwójne łóżko z różową satynową kołdrą. Za drzwiami była garderoba w stylu lat pięćdziesiątych, a pod oknem komoda nakryta szydełkową serwetką. Na nocnym stoliku głośno

tykał budzik.

Nancy zajrzała do komody.

— Nic, tylko dwa guziki i żarówka.

Josh otworzył drzwi garderoby. W środku znalazł jedynie dziwaczną kolekcję drucianych wieszaków, a na podłodze stały dwie pary kobiecych butów na płaskim obcasie. Podniósł jedną z nich. Wewnątrz wyblakłe złote litery głosiły: „Steps, San Francisco”.

— Należały do Julii — powiedział, pokazując je Nancy. — Zawsze kupowała buty w Steps.

— Cóż, to dowodzi, że tu była, ale nie wyjaśnia, kto ją zabił.

— Została zabita w tym świecie, jestem tego pewny.

— Przez tego Franka Mordanta z Wheatstone Electrics?

— Wydaje się to bardzo prawdopodobne, nie sądzisz?

— Sądzę, że powinniśmy być bardzo ostrożni. To, że ukochana Johna Farbelowa również pracowała dla Franka Mordanta i zniknęła, wcale nie musi oznaczać, że ją zamordował, i z pewnością nie dowodzi, że zamordował Julię. Spotykałam już takich ludzi jak John Farbelow. Są charyzmatycznymi rewolucjonistami, ale zazwyczaj bardzo zakłamanymi.

Josh podniósł drugą parę butów, z niebieskiego zamszu. Były pobrudzone, jakby Julia spacerowała w nich po parku podczas deszczu. Ich czubki wypchano gazetowym papierem. Josh włożył palce do środka, wyciągnął gazetę i rozprostował ją na łóżku. Była to strona z działu ogłoszeń londyńskiego „Evening Standard”. Zakreślony na czerwono anons głosił: „Szukasz nowej pracy? Szukasz nowego życia? Jeśli chcesz rzucić dotychczasowe zajęcie i rozpocząć nowe życie, jeśli chcesz pracować w zupełnie nowym i innym miejscu, nasza międzynarodowa firma elektrotechniczna ma posady dla młodych i chętnych do pracy sekretarek. Pensja powyżej średniej. Umiejętność obsługi komputera i faksu nie jest wymagana. Zgłoszenia i bliższe szczegóły — skrytka 331”.

— Nie ma daty — stwierdził Josh — ale mogę się domyślać.

— Jak sądzisz, co robi ten Frank Mordant? Werbuje dziewczęta w rzeczywistym świecie, sprowadza je tutaj i morduje?

— Zbrodnia doskonała, czyż nie? Nikt ich tutaj nie szuka, bo tu nigdy nie istniały. Nie mają aktu urodzenia, świadectw szkolnych, numeru polisy ubezpieczeniowej. A nikt w rzeczywistym świecie nie znajdzie mordercy, ponieważ on jest tutaj.

— Tylko dlaczego je morduje?

— A dlaczego ludzie się zabijają? Może Frank Mordant jest po prostu psychopatycznym seryjnym mordercą, który znalazł sposób, by bezkarnie zabijać tyle kobiet, ile mu się podoba.

— I co teraz zrobimy?

Josh złożył gazetę.

— To, co widzieliśmy, jest dla mnie wystarczającym dowodem, że Julia tu mieszkała. Teraz możemy tylko pojechać do Franka Mordanta i posłuchać, co ma do powiedzenia.

— Powinniśmy zmykać, szefie — rzekł Simon. — Jeśli Zakapturzeni znajdą nas tutaj, to przepadliśmy.

Josh szybko rozejrzał się po sypialni.

— Chyba masz rację. I tak widziałem już wszystko, co chciałem zobaczyć.

Przeszedł przez podest i otworzył drzwi do drugiej sypialni. Była podobna do pokoju Julii, ale miała wykuszowe okno i mały ceglany kominek. Josh otworzył szafę i znalazł w niej równo poskładane koce, termoфор oraz poduszkę elektryczną bez wtyczki.

Wrócił na korytarz i otworzył następne drzwi. Była to szafa na pościel, pełna prześcieradeł. Potem otworzył trzeci pokój, mniejszy i zastawiony kartonami oraz stertami książek.

— Wygląda na magazyn — mruknął Josh, zajrzawszy do środka. Nagle wzdrygnął się,

ujrzawszy jakąś postać, na pół schowaną za szafą. — Jezu! — wymamrotał, odskakując i zawadzając ramieniem o framugę.

— Więjmy! — krzyknął Simon i rzucił się do schodów, ale Nancy zawołała: — Stój! Stój! Czego się boisz?

Josh przystanął i ponownie spojrzął w kąt pokoju. Ciemna postać nie ruszała się. Był to po prostu krawiecki manekin, z wielkim kapeluszem na głowie. Josh przetarł twarz rękami i pokręcił głową.

— To wszystko chyba całkiem mnie rozkojarzyło. Przestraszyłem się jednonogiego manekina.

Zamknął drzwi pokoju i poszedł do łazienki. Simon pozostał w połowie schodów. Zrezygnował z prób nakłonienia ich do opuszczenia domu, ale był gotów rzucić się do ucieczki przy pierwszych oznakach jakiegokolwiek niebezpieczeństwa.

— Sprawdzę tylko, czy Julia nie zostawiła tu jakichś drobiazgów — powiedział Josh. — Gdyby zostawiła szczoteczkę do zębów, maszynkę do golenia lub coś takiego, moglibyśmy zbadać DNA.

— W jaki sposób? Policja tego świata nie potrafi tego zrobić.

— Chcę zebrać jak najwięcej dowodów — odparł Josh. — Później będę się martwił o to, jak je wykorzystamy.

— Ty tu jesteś szefem — powiedziała Nancy. Josh otworzył drzwi łazienki.

## ROZDZIAŁ 16

Najpierw poczuli odór i wszyscy troje jęknęli z obrzydzenia. Josh nie miał pojęcia, jakim cudem ten smród nie rozszedł się po całym domu. W następnej chwili uświadomił sobie, że przecież czuł go przez cały czas, tylko nie zdawał sobie z tego sprawy. I ten dźwięk: wściekle bzyczenie setek wielkich much, którym przerwał biesiadę i składanie jajeczek.

Odór był gęsty, słodki i niemal namacalny. Wszystkie okna łazienki były zamknięte, a włączony elektryczny kaloryfer na ścianie podniósł temperaturę pomieszczenia znacznie powyżej czterdziestu stopni. Nad wanną wisiała drewniana rama, przeznaczona do suszenia koszul i rajstop. Teraz jednak wisiało na niej coś, co na pierwszy rzut oka przypominało wypatroszone zwierzę. Josh dostrzegł zwisające pęczki włosów i wnętrzności, w których widać było ciemniejsze kawałki ciała, otoczone turkusowymi kręgami zgnilizny.

Dopiero gdy podszedł bliżej, zasłaniając dłonią usta i nos, zrozumiał, na co właściwie patrzy. Nie było to zwierzę, lecz kobieta — naga i siwowłosa, rozplątana od brody do wżgórka łonowego. W żaden sposób nie dałoby się rozpoznać, kim była, gdyż jej twarz pokryta była warstwą niebieskich much niczym żywą maską. Większość jej wnętrzności wypadła do wanny, gdzie tworzyły stertę rojącą się od much i larw.

Na pokrytej zielonymi kafelkami ścianie nakreślono krzyż — krwią i ekskrementami.

Josh zamknął drzwi. Nancy była już w połowie schodów, a Simon tuż za nią. Nie zamierzał wracać do kuchni: gwałtownym szarpnięciem otworzył frontowe drzwi i na sztywnych nogach wypadł na zewnątrz, spazmatycznie łapiąc oddech. Nancy przechylała się przez poręcz ganku, przyciskając ręce do brzucha i mamrocząc:

— O Boże... o mój Boże. To było okropne.

— Lepiej wynośmy się stąd — powiedział Josh. — Ktokolwiek zrobił to pani Marmion, nie zawaha się zrobić tego i nam.

— To Kaptury — mruknął Simon. — Nie widziałeś krzyża? Zawsze go zostawiają.

Wsiadli do austina. Simon zakręcił korbą i silnik ożył. Przerzucając biegi, Simon zawrócił na wąskiej ulicy i ruszył.

— Pewnie się domyślili, że chcemy się z nią zobaczyć — stwierdziła Nancy.

— Wcale nie musieli się domyślać — odparł Simon. — Mają w centrali telefonicznej ludzi, którzy podsłuchują wszystkie rozmowy. Nie możesz nawet zadzwonić do dostawcy ryb, żeby się o tym nie dowiedzieli.

— Czy to nie jest nielegalne?

— Jasne, że nie. Zezwala na to prawo bożego słowa. Nie mogą pozwolić ludziom na papistowskie rozmowy, nawet prywatne.

Pojechali St Johns Hill ku Wandsworth. Josh od czasu do czasu zerkał przez tylną szybę, upewniając się, że nikt za nimi nie jedzie, lecz za nimi podążał konwój trzech autobusów, które bardzo utrudniałyby zadanie komuś, kto chciałby ich śledzić.

— Nie możemy tu zostać, Josh — powiedziała Nancy. — To zbyt niebezpieczne. Musimy wracać.

— To dobra rada, szefie — poparł ją Simon. — Nawet jeśli Frank Mordant załatwił twoją siostrę, jak zamierzasz tego dowieść? Jeśli chodzi o ten świat, to ona nigdy nie istniała, więc nie mogła zostać załatwiona, a jeśli chodzi o wasz świat, to Frank Mordant zniknął bez śladu, prawda? Spróbuj przekonać waszych policjantów, żeby przyszli tu i zgarnęli faceta.

— Chyba nie chcecie, żeby uszedł kary?

— Nie masz wyboru. Ciało jest w jednym świecie, a morderca w drugim i nigdy się nie spotkają. Być może mógłbyś znaleźć dość dowodów, by go aresztować, nawet bez zwłok, pozostaje jednak jeszcze problem Kapturów. Wydaje się, że on ma z nimi jakąś umowę, a w takim przypadku nie masz cienia szansy. Wystarczy, że mrugnie do sędziego, i po sprawie, za nic nie będzie odpowiadał. Widziałeś tamtą kobietę, powieszoną pod sufitem. Oni sami dla siebie są prawem. Robią, co chcą, mówią, co chcą, i zabijają, kogo chcą... a wszystko to w imię boże.

— Josh, musimy wracać — nalegała Nancy.

— Od kiedy tu przybyliście, Ziemia wykonała pełny obrót — powiedział Simon. — Możecie w każdej chwili przejść przez drzwi.

— Nie jestem pewny — odparł Josh. — A jeśli już nigdy nie zdołamy tu wrócić? Jak mam żyć ze świadomością, że człowiek, który udusił Julię, pozostaje bezkarny? A jeśli zamordował również dziewczynę Johna Farbelowa? Ile razy robił to już przedtem i ile jeszcze razy zrobi?

— Czasem trzeba po prostu odpuścić sobie walenie głową o mur, szefie — mruknął Simon.

— Masz całkowitą rację. Właśnie stanęliśmy przed ceglany murem. Jednak wszyscy troje wiemy, że jeśli wierzy się dostatecznie mocno, to można przez niego przeskoczyć.

— Nie sądzę, żeby wasza policja to przełknęła. A nawet gdyby, to przecież tutaj nie mają nic do gadania, no nie?

— Nie myślałem o glinach. Są inne sposoby wyrównywania rachunków.

— Na przykład jakie? — zapytała Nancy. — Chcesz osobiście zabić Franka Mordanta?

— Jasne, że nie. Jeśli jednak to zrobił, chciałbym, żeby wiedział, że ja o tym wiem. I przychodzi mi do głowy mnóstwo sposobów uprzykrzenia mu życia. A nawet gdybym go zabił, nikt by mnie nie złapał. Tak samo jak nikt nie aresztuje jego za zamordowanie Julii. To byłoby sprawiedliwe.

— Sprawiedliwe? Gdybyś go zabił, okazałbyś się równie zły jak on. Zresztą nie wyobrażam sobie, że potrafiłbyś kogoś zabić. Wciąż wyrzucasz sobie, że zabiłeś tamtego psa.

— Tamten pies był niewinny.

— Zamierzał zabić człowieka. Musiałeś wybierać. Teraz musisz dokonać następnego wyboru.

— Powinieneś pomyśleć o powrocie, szefie — poradził Joshowi Simon, zerkając w tylne lustro. — Uwierz mi, nie wolno ci lekceważyć Kapturów, a jeśli Frank Mordant naprawdę dla nich pracuje, nie pozwolę, żebyś sprawiał mu kłopoty. Do końca życia będziesz musiał oglądać się za siebie. Powiem ci jeszcze coś: nie ufaj Johnowi Farbelowowi bardziej, niż musisz. To taki ptaszek, który zawsze każe innym odwalać brudną robotę. Równie dobrze może żywić do Franka Mordanta urazę za całkiem coś innego i mógł nigdy nie spotkać żadnej dziewczyny w autobusie numer piętnaście. Byłoby mu bardzo na rękę, gdybyście go wyręczyli i załatwili Franka.

Nancy wyciągnęła ręce i ujęła dłoń Josha. Wyglądała na zmęczoną i przygnębioną. Widok zwłok pani Marmion głęboko nią wstrząsnął. Josh nagle poczuł, że sam również jest znużony i brudny. Powinni wrócić do „prawdziwego” Londynu choćby po to, żeby odpocząć i wziąć prysznic.

— No dobrze — odparł. — Zawieź nas na Star Yard. Czy wiesz, gdzie moglibyśmy kupić świece?

— W żelaznym na rogu, szefie.

Simon zaparkował i zostawił ich siedzących na tylnym siedzeniu, a sam poszedł kupić świece.

— Nie powinieneś tu wracać, Josh. Już mniej więcej wiesz, co przydarzyło się Julii... Nie musisz tego ciągnąć.

— Przykro mi, Nance, ale się mylisz. W żadnym razie nie mogę tego tak zostawić.

— A co z Zakapturzonymi? Widziałeś, co zrobili z tą kobietą!

— Właśnie o to chodzi. Historia ludzkości pełna jest Zakapturzonych, takich czy innych. Jeśli



im ulegniemy, powinniśmy kazać naszym psom wygrzebać dla nas groby, a potem nas zakopać.

— Ze wszystkich ludzi na świecie tylko ty mógłbyś namówić psa do czegoś takiego.

W gęstym ruchu jechali po Embankment, aż dotarli do Charing Cross. Deszcz padał jeszcze mocniej i gdy skręcili w Villiers Street, chodnikami płynęła rzeka podskakujących Czarnych parasoli. Na rogu Strandu dostrzegli dobosza w trójgraniastym kapeluszu, ociekającym wodą.

— Schylnie głowy — poradził Simon. — Stoi na czatach. Pewnie was nie rozpozna, ale nigdy nie wiadomo, kiedy człowiek ma pecha.

Przejazd z Santa Cruz Square na Aldwych zajął im dwadzieścia minut. Ulica była zapchana autobusami i furmankami, a przed pubem „The Battle of Winceby” stały dwa ogromne wozy zaprzężone w konie. Deszcz tłukł o szyby austina i Simon nerwowo postukiwał w deskę rozdzielczą, bo silnik zaczynał się przegrzewać. W końcu skręcili w Chancery Lane, a potem w lewo w Carey Street. Ulewny deszcz zmusił sprzedawcę ciastek do nakrycia plandeką wózka „Eric the Pie” i opuszczenia miejsca przy krawężniku, z czego Simon natychmiast skorzystał, parkując tam austina. Kiedy Josh i Nancy wysiadali z wozu, w powietrzu unosił się jeszcze zapach gorącej kawy i pieczonego ciasta. Z postawionymi kołnierzami i pochylonymi głowami poszli Star Yard.

Dotarli do nisz, która wciąż była zasypana mokrymi śmieciami. Simon wyjął z kieszeni paczkę owiniętych w brązowy papier świec i postawił trzy na ziemi. Potem sięgnął po zapalniczkę i zdołał zapalić dwie z nich, jednak trzecią za każdym razem gasił deszcz.

— Pał się, cholero — warknął i spróbował jeszcze raz. Płomyk zamigotał, lecz zaraz zgasił go deszcz, a po chwili zgasła druga świeca.

— Spróbuj teraz — rzekł Josh, osłaniając go płaszczem jak parasolem.

Simon w mgnieniu oka zapalił wszystkie trzy świece, jedną po drugiej, ale gdy tylko Josh się cofnął, dwie z nich znów zgasły. — Może znajdziemy jakieś miejsce i przeczekamy deszcz? — zaproponował Josh. — Może jakiś pub. Nie wiem jak ty, ale ja chętnie wychyliłbym coś mocniejszego.

Simon ponownie pstryknął zapalniczką.

— Nie ma sensu czekać, szefie. Według prognozy pogody będzie lało do następnej środy. Przytrzymaj jeszcze raz ten płaszcz.

Josh ponownie zasłonił niszę i Simonowi udało się zapalić wszystkie trzy świece. Tym razem Josh pozostał na miejscu, czekając, aż knoty zajmą się płomieniem. Nagle wydało mu się, że słyszy w oddali odgłos nadjeżdżającego pociągu. Odgarnął mokre włosy.

— Słyszałaś? — zapytał Nancy. — Jakby pociąg.

Nancy nastawiła ucha. Na czole miała krople deszczu, skrzyły się też na jej rzęsach. Nasłuchiwała chwilę, a potem pokręciła głową.

— To werble — orzekła.

Simon wstał.

— Zbliżają się. Zdecydowanie są coraz bliżej.

— Przecież nie wiedzą, że tu jesteśmy, prawda? Skąd mogliby wiedzieć?

— Nie pytaj mnie, ja nie jestem psychiczny.

— Może nie przyjdą tutaj — powiedziała Nancy. Jednak „ra-ta-ta-ta” rozbrzmiewało coraz głośniejsze i wkrótce słyszeli je całkiem wyraźnie.

— Musimy iść — rzekł Josh. — Simonie... lepiej wynoś się stąd. Powiedz mi tylko, gdzie cię znajdem, kiedy wrócę.

— Pójdź do British Museum. John Farbelow będzie wiedział, gdzie mnie szukać.

— Dobrze — odparł Josh i uściśnął mu dłoń. — Posłuchaj, gdybym nie wrócił...

Łoskot werbli odbijał się echem od ścian pobliskich budynków i ludzie pospiesznie umykali ulicą. Nawet jeśli nie skłamałeś, niczego nie ukradłeś i nie bluźniłeś, nawet jeśli nie miałeś schowanej pod materacem książeczki do nabożeństwa, lepiej było trzymać się z daleka od werbli, psów i Zakapturzonych.

— Nancy, ty pierwsza — powiedział Josh.

Nancy cofnęła się o trzy kroki i wyrecytowała:

— „Jack jest zręczny, Jack umie biec, Jack przeskoczy kilka świec”.

W chwili gdy rzuciła się naprzód, po chodniku przeleciał podmuch wiatru i zgasił wszystkie świece. Uderzyła ramieniem o mur i o mało nie upadła.

— Nie mamy na to czasu — stwierdził Josh. — Wynośmy się stąd i spróbujmy później, kiedy znajdziemy coś, co osłoni świece od wiatru.

Jednak w tym momencie zza rogu Star Yard i Carey Street wyszli psiarczykowie i dobosze, nadchodzący z Chancery Lane. Bębny huczały ogłuszająco. Za doboszami Josh zobaczył zarysy purytańskich kapeluszy, zakryte maskami twarze i błyszczące miecze.

Simon klęczał, gorączkowo usiłując zapalić świece. Zapalił jedną, potem drugą i trzecią. Josh objął ramieniem Nancy i przytulił ją do siebie, a ona zakryła rękami uszy, by nie słyszeć bębnienia. Pierwsza świeczka zgasła. Simon natychmiast ponownie ją zapalił, ale w tej samej chwili pierwszy z psów rzucił się na niego.

— Skacz! — krzyknął Josh do Nancy. Złapał ją za rękawy skórzanego płaszcza i niemal rzucił nad świecami, pod ceglany mur. Wylądowała po drugiej stronie i odwróciła się.

— Josh, ty też! — zawołała zniekształconym, stłumionym głosem.

Cofnął się kilka kroków, szykując się do skoku, i wtedy jeden z psów złapał go za nogawkę spodni. Wierzgnął nogą, usiłując go strząsnąć. Stojący obok Simon kopnął psa w żebra, ale Josh wiedział, że musiałyby chyba podpalić to zwierzę, żeby rozwarło szczęki.

— Josh! — wrzasnęła Nancy. — Musisz skoczyć! Josh ponownie machnął nogą, tak silnie uderzając psem o krawężnik, że złamał zwierzęciu nogę, jednak nie puściło spodni. Simon wyciągnął rękę, by złapać psa za obrozę i w tym momencie Josh kątem oka dostrzegł błysk stali. W chwili gdy Simon zacisnął palce na nabijanej ćwiekami skórzanego obroży, stalowe ostrze ze świstem przecięło mu przegub. Simon nie krzyknął. Nawet nie jęknął. Runął plecami na świecę, a krew trysnęła z przeciętej ręki jak z ogrodniczego węża.

Ktoś złapał Josha za włosy i szarpnął w tył. Na policzku poczuł szorstki dotyk płóciennej maski. Napastnik przyłożył mu ostrze do gardła i powiedział:

— Nie ruszaj się, bo utnę ci głowę.

Nancy z rozpaczą w oczach spoglądała na niego z niszy. Chciał krzyknąć, by uciekała, ale miecz dotykał jego grdyki i Josh obawiał się, że jeśli spróbuje coś powiedzieć, Zakapturzony poderżnie mu gardło. Patrzył więc tylko na nią, nakazując jej wzrokiem, by uciekała.

Któryś z psiarczyków zawołał:

— Puść to, Rancour!

Pies wypuścił z zębów nogawkę Josha i pokuszywał do pana, mając dłoń Simona nadal zacisniętą na obroży i sierść na grzbiecie splamioną jego krwią. Leżący na chodniku Simon był w szoku. Dygotał jak potrącony przez samochód jelen. Jeden z doboszy klęknął przy nim, rzemieniem owinął mu rękę tuż pod łokciem i mocno zacisnął. Krew przestała tryskać w górę, lecz nadal sączyła się na bruk, więc dobosz owinął kikut brudną chustką i powiedział Simonowi, żeby jak najmocniej przyciskał ją do rany.

— Jezusie, ratuj — wyszeptał Simon zbielełymi wargami.

— Och, Jezus cię zbawi — mruknął dobosz. — Czyż nie zbawił Barabasza?

Nancy wciąż się wahała. Żaden z Zakapturzonych nie próbował jej ścigać, zresztą nie mogli

tego zrobić, nie zapaliwszy na nowo świec. Była już w „prawdziwym” Londynie, w innej rzeczywistości. Podniosła obie ręce. Josh wiedział, co chciała powiedzieć: „Kocham cię i nigdy cię nie opuszczę”. Stała tak bezradnie przez dwie lub trzy sekundy, po czym odwróciła się, skreśliła w prawo i zniknęła.

— Żal mi twojej pani — powiedział Zakapturzony. — Ominie ją cała zabawa.

— Wezwijcie ambulans! — zażądał Josh. — Jeśli ten człowiek natychmiast nie otrzyma pomocy, wpadnie we wstrząs.

— Ambulans zaraz przyjedzie. A tymczasem pójdzie pan z nami.

— Co takiego zrobiłem?

— Czyja powiedziałem, że pan coś zrobił? Chcemy zadać panu kilka pytań, to wszystko.

— A jeśli nie zechcę pójść?

— Och, zechce pan. Na pewno pan zechce.

Obrócili Josha i popchnęli go na ścianę. Nad głową miał pękniętą rynnę, z której woda lała mu się na ramię. Próbował się odsunąć, ale jeden z Zakapturzonych szturchnął go mieczem.

— Stój, gdzie ci kazano.

— Jestem amerykańskim obywatelem. Nie macie prawa mnie zatrzymywać.

— Owszem, mamy.

— Chcę skontaktować się z ambasadą USA.

— Gada pan głupstwa.

Zakapturzony obszukał go i znalazł portfel w tylnej kieszeni dżinsów. Obejrzał karty kredytowe, prawo jazdy oraz zdjęcia Julii i Nancy.

— Joshua B. Winward, tak się pan nazywa?

— Chyba umie pan czytać? Co z tym ambulansem?

— Na pana miejscu, panie Joshua B. Winward, bardziej przejmowałbym się swoim losem.

— Nie jest pan na moim miejscu. Jest pan cholernym sadystą z workiem na głowie.

Niespodziewanie Zakapturzony się roześmiał.

— Jeszcze wiele musi się pan nauczyć o życiu w tym Londynie. Bardzo wiele. Teraz pójdziemy i zadamy panu kilka pytań.

— Na żadne nie odpowiem.

— Lepiej, żeby pan to zrobił. Nie chcemy przecież szukać odpowiedzi, wróżąc z pańskich wnętrzności, prawda?

— Rozumiem... Zamierzacie mnie wypatroszyć, tak jak tę kobietę z Lavender Hill.

— Niech pan rusza.

Usłyszeli dzwonek ambulansu, nadjeżdżającego Chancery Lane. Simon zaczął wymachiwać kikutem ręki i wrzeszczeć. Krzyczał przeraźliwie i nie przestał nawet wtedy, gdy jeden z psiarczyków smagnał go smyczą po twarzy. Kilka psów przyłączyło się do niego, przeciągle wyjąc.

Josh miał wrażenie, że chociaż wcale nie przybył z czyścica, to z pewnością znalazł się w piekle.

## ROZDZIAŁ 17

Wściekle łomocząc w bębny, zaprowadzili go na koniec Chancery Lane. Stał tam czarny wóz. Otworzyli tylne drzwi i wepchnęli go do środka, zmuszając, by usiadł na drewnianej ławce, po czym przykuli go do metalowej poręczy biegnącej przez środek wozu.

— Nie możecie tego robić.

— Chyba pan nie rozumie. Możemy robić, co nam się podoba.

— Dlaczego mnie nie puścicie? Nie przybyłem tu, by sprawiać kłopoty.

— Już narobił ich pan aż nadto.

Zakapturzony wysiadł z wozu, zatrzasnął drzwi i zamknął je. Po chwili zawarczał silnik i samochód ruszył, nabierając prędkości. Za każdym razem, kiedy skręcał, Josh wpadał na ścianę, boleśnie uderzając się w ramię.

Poczuł, że samochód zjeżdża brukowaną ulicą w dół, a potem skręca w prawo. Wóz kołysał się na boki, jakby kluczył między innymi pojazdami, i od czasu do czasu kierowca włączał dzwonek. Po niecałych pięciu minutach zwolnili, znów skręcili i zatrzymali się. Drzwi otworzyły się i ponownie pojawił się w nich Zakapturzony, tym razem z psiarczykiem i dwoma konstablami w mundurach ze stójką i srebrnymi guzikami.

— Witamy w Scotland Yardzie — powiedział Zakapturzony, gdy jeden z konstabli zdjął Joshowi kajdanki. Przeprowadzono go przez rozległy dziedziniec otoczony budynkami z czerwonej cegły. Lało jeszcze bardziej i było tak ciemno, że prawie w każdym oknie widać było zapalone lampy biurowe.

Eskorta poprowadziła Josha przez podwójne drzwi z napisem „TYLKO DLA PERSONELU”, a potem wąskim korytarzem, po dudniącym parkiecie. Wepchnięto go do windy o pobrząkujących stalowych drzwiach, w której musiał stać tuż obok dyszącego i śliniącego się psa, gdy wjeżdżali na piąte piętro. Próbował obrzucić psa swoim słynnym rozbajającym spojrzeniem, po którym każdy kundel z Maine County przewróciłby się na grzbiet, skowycząc ze szczęścia, ale psiarczyk tak mocno ścisnął kolczatkę zwierzęcia, że było bliskie uduszenia. Drzwi otworzyły się ze szczękiem.

Kiedy doszli do końca kolejnego wąskiego korytarza, wprowadzono go do dużego pokoju, w którym stał stół i dwa drewniane krzesła. Za oknem widać było smaganą deszczem Tamizę i Waterloo Bridge. Był przypyływ, więc latarniowce i jachty unosiły się wysoko na fali, a archipelag kawałków drewna, oleju i różnych śmieci powoli dryfował w górę rzeki, tak jak niedawno ciało Julii.

— Siadać — rozkazał Zakapturzony.

— Postoję, jeśli można.

— Siadać.

— Wyjaśnijmy sobie coś — powiedział Josh. — Nie macie prawa mnie przetrzymywać.

— Strażnicy Czystości Wiary sprawują jurysdykcję nad wszystkimi w Londynie, obojętnie skąd przybyli — odparł Zakapturzony. — Siadać.

— Nie ma mowy. Nie muszę tego znosić. Chcę porozmawiać z twoim przełożonym.

Psiarczyk poluzował smycz i pies z wywieszonym jęzorem, szczerząc kły, przysunął się kilka centymetrów bliżej.

— Siadać — powtórzył Zakapturzony, chwytając rękojęść miecza. — Możesz mi wierzyć, zaraz zobaczysz któregoś z przełożonych. A jeśli chcesz zachować uszy, to siadaj.

Josh zawahał się. Słyszał, jak Zakapturzony posapuje pod płócienną maską, i widział jego

błyszczące oczy. Niechętnie usiadł.

Kazali mu czekać ponad pół godziny, w towarzystwie dyszącego psa, który zdawał się czekać na okazję, by odgryźć mu twarz. Joshowi ścierpła lewa łydka i mdliło go z głodu oraz opóźnionego szoku.

— Nie macie tu kawy? — zapytał Zakapturzonego, ale ten nie odpowiedział.

W końcu drzwi się otworzyły i do pokoju wszedł mały, łysy człowieczek, ubrany w czarną bluzę i bryczesy. Miał twarz złośliwej lalki i włosy związane cienką czarną wstążką w kucyk. Usiadł po drugiej stronie stołu, rozłożył plik papierów i odkręcił wieczne pióro. Potem przez długą chwilę w milczeniu spoglądał na Josha, trzymając pióro w powietrzu, jakby zastanawiał się, co napisać.

— Żądam wezwania konsula USA — oświadczył Josh. — Nie możecie mnie tu bezpodstawnie przetrzymywać.

Łysy człowieczek powiedział cicho, przerywając co kilka słów, by wydać wargi:

— Jestem mistrz Thomas Edridge. Pan, rozumiem, jest Joshua B. Winward. Z... Mill Valley w Kalifornii.

— Pan tu rządzi?

— Ja tu jestem od zadawania pytań.

— No to ma pan pecha, panie Edridge, bo nie zamierzam na nie odpowiadać. Jestem zirytowany tym, co się dzisiaj stało. Pańscy ludzie sterroryzowali nas i odrąbali rękę mojemu towarzyszowi.

— Cutterowi? Ma trzy wyroki za kradzież.

— Być może. Jednak powinniście być chrześcijanami, a nie mułkami.

Edridge wzruszył ramionami.

— Wiedział, co ryzykuje. Zastanawiam się. Czy pan też.

— Posłuchaj pan, nie przybyliśmy tu szukać kłopotów. Moja dziewczyna wróciła. Ja chcę tylko do niej dołączyć. Gwarantuję, że już nigdy nas nie zobaczycie.

— Obawiam się, że to nie będzie takie proste. Narobiliście tu zamieszania. Łagodnie mówiąc. Muszę wiedzieć, czego tu szukaliście. Jakie zamierzaliście wyrządzić szkody.

— Nie mieliśmy żadnych złych zamiarów. Znaleźliśmy się tu zupełnie przypadkowo.

— Niech pan da spokój. Nikt przypadkowo nie przechodzi przez żadne z sześciorga drzwi. Wie pan równie dobrze jak ja, że potrzebny jest rytuał. Zgryny w czasie.

— Eksperymentowaliśmy, to wszystko. W ramach prac zleconych przez UCLA prowadzimy badania nad starymi rymowankami. Pomyśleliśmy, że spróbujemy zrobić to, co nakazuje ten stary wierszyk o Jacku. Przeskoczyliśmy przez świece, ale wcale się nie spodziewaliśmy, że to poskutkuje.

— A jak odkryliście, gdzie są drzwi?

— Co?

— Drzwi na Star Yard. Jak je znaleźliście?

— Jakie to ma znaczenie?

— Ma, ponieważ dokładne położenie drzwi zna bardzo niewielu ludzi na tym świecie i jeszcze mniej na waszym.

— Już mówiłem. Znaleźliśmy się tu przypadkiem.

— A mimo to zaraz znaleźliście sprzymierzeńców. Złodziei i innych malkontentów.

— Byli pierwszymi ludźmi, jakich tu spotkaliśmy. Nie wiedzieliśmy, kim są.

— Spodziewa się pan, że w to uwierzę?

— Naprawdę mało mnie obchodzi, w co pan uwierzy. Chcę rozmawiać z konsulem USA.

Edridge oblizał wargi i starannie poskładał papiery.

— Żałuję, ale znalazł się pan w świecie. Gdzie Ameryka jest zupełnie innym miejscem. Och, poznałby ją pan bez trudu. To kwitnący kraj. Bogaty, zasobny. Tylko raczej słabo rozwinięty technologicznie. Na przykład nie ma bomby atomowej. A społeczeństwo jest bardziej... zróżnicowane. Nie było wojny secesyjnej, więc w wielu południowych stanach nadal istnieje niewolnictwo.

— Niewolnictwo?

— Bardzo łagodna forma niewolnictwa, panie Winward. Wielkiej Brytanii jest to zbyt zyskowne, aby z tego rezygnować. Poza tym po cóż istnieją Afrykańczycy, jeśli nie po to, aby dostarczać siły roboczej cywilizowanemu światu?

— Nie wierzę własnym uszom.

— Próbuję panu wyjaśnić. Że historia tutaj miała zupełnie inny bieg. Niewolnictwo przetrwało, gdyż nie było wojny secesyjnej. To, co pan nazywa Stanami Zjednoczonymi, jest brytyjską własnością. Tak więc nie ma konsula USA.

— Skąd pan tyle wie o naszym świecie?

— Z przesłuchań takich ludzi jak pan. Z książek i filmów przeniesionych przez drzwi. Do moich obowiązków należy zrozumienie waszej historii i motywów ludzi, którzy tu przybywają. Widzi pan, niektórzy z nich stanowią poważne zagrożenie dla trwałości naszego społeczeństwa.

— To nie zmienia faktu, że nie macie prawa mnie tu trzymać.

— Tak pan sądzi? Wtargnął pan tu nieproszony. Widziano pana w towarzystwie kryminalistów i wywrotowców. I w jakim celu odwiedził pan Lavender Hill?

— To wy jesteście za to odpowiedzialni? Za śmierć tej kobiety?

— Surowo karzemy tych, którzy usiłują naruszyć społeczną i religijną strukturę naszego społeczeństwa.

— Jesteście bandą zwykłych morderców.

— Na pana miejscu uważałbym na słowa. Nadal nie wyjaśnił mi pan powodów pańskiej obecności.

— Nie przybyłem tu niczego naruszać. Nie interesuję się polityką i z całą pewnością nie interesuje mnie wasza religia.

— A powinna. Publiczne kwestionowanie istnienia Pana Boga jest poważnym przestępstwem.

— Nie kwestionuję istnienia Pana Boga. I sądzę, że będzie znacznie prościej, jeśli pozwolicie mi wrócić tam, skąd przybyłem.

— A jaką może mi pan dać gwarancję, że już pan tu nie wróci?

— Może mi pan wierzyć, że nie wróciłbym tu nawet za milion dolarów.

— Łatwo powiedzieć. Może jednak ma pan tu jakieś sprawy do załatwienia.

Josh potrząsnął głową.

— Skończmy tę rozmowę. Tylko tracimy czas. Powiedziałem już, jak się tu znaleźliśmy, a jeśli mi pan nie wierzy, mało mnie to obchodzi.

Edridge z hałasem odsunął drewniane krzesło. Wstał i obszedł stół, podchodząc tak blisko, że Josh poczuł duszącą woń jego ubrania.

— To nie są żarty, proszę pana. Mogę bez sądu wtrącić do więzienia każdego podejrzanego o działalność wywrotową. W szczególnych przypadkach mogę nawet skazywać na śmierć.

— Rany boskie, ile razy mam powtarzać, że znaleźliśmy się tu przypadkowo?

— Sądzi pan, że w to uwierzę? Myśli pan, że uwierzę, iż przypadkiem przeskoczyliście przez drzwi, przypadkiem spotkaliście młodego Cuttera i jego birmańskiego przyjaciela oraz przypadkiem zabiliście jednego z naszych psów? Drogi panie! Co za niezwykle zbieg okoliczności!

— Wiesz co, pocałuj mnie w dupę.

Edridge milczał tak długo, że Josh zaczął wątpić, czy jeszcze coś powie. Tamten jednak ponownie usiadł, splótł dłonie i spojrzał na Josha bezlitosnymi oczami.

— Powiedz, po co tu przybyłeś. Mów prawdę.

Josh zastanawiał się przez chwilę. Był pewny, że Edridge będzie trzymał go tu dopóty, dopóki nie usłyszy jakiegoś satysfakcjonującego wyjaśnienia.

— Dobrze — odparł. — Powiem panu prawdę. Kilka dni temu z Tamizy zostały wyłowione zwłoki mojej siostry. Ktoś ją zamordował i wypatroszył. I nie udało się ustalić, gdzie podziewała się przez dziesięć ostatnich miesięcy.

Opowiedział Edridge'owi o liście z Wheatstone Electrics i spotkaniu Franka Mordanta z Julią na Star Yard. Unikał jednak jakiegokolwiek wzmianki o Elli Tibibni i matce pani Marmon. Jeszcze nie rozumiał powiązań między panią Marmion a jej matką i nie był pewny, jaką rolę odgrywała w tym wszystkim Ella, ale czuł, że naraziłby je na niebezpieczeństwo, gdyby powiedział Edridge'owi, że mu pomogły.

— Znam pana Mordanta — skinął głową Edridge. — O ile mi wiadomo, jest szanowanym biznesmenem. Bardzo bogobojnym.

— Słuchaj pan, wcale nie twierdzę, że ten człowiek miał coś wspólnego z zamordowaniem Julii. Chciałem tylko porozmawiać z nim i sprawdzić, czy nie mógłby mi wyjaśnić, co się z nią działo przez dziesięć ostatnich miesięcy.

— Strażnicy Czystości Wiary nie lubią obywateli usiłujących prowadzić prywatne dochodzenia.

— Hm, tamta londyńska policja również, ale jestem przekonany, że Julia przebywała tu przez dziesięć miesięcy, i nie widziałem innego sposobu, aby tego dowieść.

Edridge przerzucił kilka kartek.

— Niezła historyjka.

— Jaka historyjka? To prawda.

— Nadal mi pan nie wyjaśnił, dlaczego doszedł pan do wniosku, że siostra przeszła przez drzwi. To, co mówi pan o liście Mordanta, jest logiczne. Ale czy na tej podstawie trzeźwo myślący człowiek mógł dojść do wniosku, że ona przeszła do równoległego świata?

— Nie wiem. Usłyszałem tę rymowanąkę i chyba wydało mi się, że to jedyne wytłumaczenie. Wie pan, co mówił Sherlock Holmes.

— Nie. I nie chcę wiedzieć. Pozostaje faktem, że pańska historyjka jest mętna i pełna niewytłumaczalnych sprzeczności. Podejrzewam pana o zbrodnicze lub wywrotowe intencje i zamierzam dowiedzieć się, po co pan tu przybył i co chciał zrobić.

— A więc przykro mi. Będzie pan piekielnie długo czekał.

— Och, nie sądzę. — Edridge skinął na Zakapturzonego, który podszedł do stołu i pochylił głowę, tak by tamten mógł mu szepnąć coś do ucha. Kiwnął głową, najpierw raz, potem drugi. Josh widział, jak błyszczały jego oczy w otworach płóciennej maski. — Ma pan ostatnią szansę wyjaśnić, dlaczego przeszedł pan przez drzwi. — Edridge podsunął mu kartkę papieru i podał wieczne pióro. — Chcę mieć tu wszystko. Nazwiska. Adresy. Miejsca spotkań. Daty.

— Nie mogę panu pomóc.

— To pańskie ostatnie słowo?

— Pierwsze i ostatnie. Powiedziałem już, dlaczego tu jestem. Usiłuję ustalić, co się stało z moją siostrą, to wszystko.

— Słyszałeś o Świętej Harfie? — zapytał ochryple Zakapturzony.

— Ktoś o niej wspominał, nie pamiętam kto.

— Święta Harfa gra głosem szczerzej prawdy. O czym zaraz się przekonasz.

Josh usiłował wstać, ale pies rzucił się na niego tak wściekle, że usiadł z powrotem.

— Słuchajcie — powiedział. — Nie jestem komunistą, ateistą ani terrorystą. Chcę tylko wrócić do domu. Nie zamierzam przeszkadzać wam rządzić tym społeczeństwem. Chcecie obcinać ludziom ręce? Proszę bardzo. Chcecie trzymać niewolników? Nie spieram się. Chcecie odmawiać wszystkim podstawowych swobód religijnych? Wasza sprawa. Wypuście mnie, a nie zobaczycie mnie do sądnego dnia.

— Sądny dzień! — zawołał Edridge. — Jakie właściwe słowo! Dzień, w którym każdy będzie musiał zdać Bogu sprawę ze swych uczynków. No cóż, dziś jest pański sądny dzień, panie Joshu B. Winwardzie. I niechaj Pan ulituje się nad tobą.



## ROZDZIAŁ 18

Nancy trzy razy zadzwoniła do drzwi, zanim Ella odezwała się przez domofon.

— Kto tam? — zapytała podejrzliwie.

— Tu Nancy. Stało się coś strasznego. Proszę, otwórz. Nie wiem, dokąd mam pójść.

Zabrzączał dzwonek i Nancy pchnęła drzwi. Ella czekała na nią na szczycie schodów z Abraxasem tak energicznie machającym ogonem, że uderzał nim o sztachetki poręczy.

— Pływałaś? — zapytała Ella na widok mokrego ubrania i zmierzwionych włosów Nancy.

Dziewczyna pokręciła głową.

— W tamtym Londynie padało.

— A więc przeszliście — stwierdziła Ella, wprowadzając ją do mieszkania. — Josh nie wrócił z tobą?

— Wiatr zdmuchnął świecę. Został tam.

— Wyglądasz na wyczerpaną. Czekaj, przyniosę ci jakieś suche rzeczy. Może być szlafrok?

— Musiałam go tam zostawić — powiedziała z rozpaczą Nancy. — Nie miałam wyboru. Złapali go ci okropni Zakapturzeni. Mieli miecze i obcięli naszemu towarzyszowi rękę. Nie wiem, co zrobią z Joshem.

— Zakapturzeni... — powtórzyła Ella.

Za oknem świeciło słońce i słychać było krzepiący, codzienny zgiełk Earl's Court Road. Nancy zaczęła ściągać buty. Nagle znieruchomiała i ze zdumieniem spojrzała na Ellę.

— Znasz ich?

Ella skinęła głową.

— Bardzo dobrze. Pochodzę stamtąd. To nie jest mój Londyn.

— Wiedziałaś o nich i pozwoliłaś nam tam pójść? Na naszych oczach zabili człowieka! Gonili nas po dachach i o mało nie zginęliśmy!

— Przykro mi. Miałam nadzieję, że na nich nie wpadniecie. Gdybym wam powiedziała, jak tam naprawdę jest, czy przeszlibyście przez drzwi?

— Nie wierzę własnym uszom! Oszukałaś nas!

— Wcale was nie oszukałam, Nancy. Przecież chcieliście tam iść. Mieliście pecha, że wpadliście na Zakapturzonych.

— Dlaczego nas nie ostrzegłaś? Rany boskie, Josh może już nie żyje!

— Nie mogłam. Nie wiedziałam, czy powinnam wam zaufać. Gdybym was ostrzegła, przyznałabym w ten sposób, że należę do ruchu oporu.

— Nie ufałaś nam?

— Ostrożności nigdy za wiele. Strażnicy Bram wciąż przysyłają tu różnych ludzi, żeby rozpracować naszą organizację. Niektórzy szpiedzy wyglądają tak niewinnie, że nigdy byś ich nie podejrzewała. Studenci uniwersytetu, urzędnicy, wdowy przychodzące porozmawiać ze swoimi zaginionymi mężami. Równie dobrze i wy mogliście być przysłani przez Strażników, żeby dowiedzieć się, ilu nas jest i gdzie mieszkamy.

— Naprawdę sądziłaś, że jesteśmy szpiegami Zakapturzonych?

— Nie, nie sądziliśmy tak. Ale musieliśmy mieć pewność. Byliście niemal zbyt dobrzy, żebyście mogli być prawdziwi.

— Zbyt dobrzy? Chyba zbyt naiwni!

— Proszę... rozumiem twój gniew. Jednak od bardzo dawna usiłujemy złapać Franka Mordanta i pomyśleliśmy, że może wam się poszczęści.

Nancy z niedowierzaniem pokręciła głową.

— Wiedziałaś, kim jesteśmy, jeszcze zanim spotkałaś nas przed stacją metra, prawda?

— Tak, wiedziałam. Mnóstwo ludzi miało was na oku, od kiedy tu przyjechaliście. Jeden czy dwóch policjantów... recepcjonistka z hotelu „Paragon”... Ranjit Singh z St Thomas... stara pani Marmion. Członkowie ruchu oporu są różnej płci, barwy skóry i wieku. Łączy ich tylko nienawiść do Strażników.

— Nie rozumiem tego — mruknęła Nancy. — Czy oni wszyscy nas obserwowali?

— Obserwowali was i kierowali wami. Ale może przebierzesz się, a ja zrobię ci filiżankę herbaty i wszystko opowiem.

— Muszę wracać. Muszę wracać i odnaleźć Josha.

— Wiem. I wiem, że nie możemy tracić czasu. Zakapturzeni pewnie nic mu nie zrobią, dopóki nie dowiedzą się, po co przeszedł przez drzwi. Chociaż oni nie grzeszą cierpliwością... Krążą liczne opowieści o tym, że rozcinają ludzi i wyjadają im wątroby, jednak to tylko bajki. Zakapturzeni pozwalają na takie gadanie, bo w ten sposób budzą większy strach.

— Nie sądzisz, że są już dostatecznie przerażający?

— Hej, nie przejmuj się tak. Josh nic nie wie o ruchu oporu, więc nie zarzucą mu działalności wywrotowej.

— Spotkałiśmy Johna Farbelowa w British Museum. Josh go zna.

— Ale co o nim wie? Prawie nic. A John Farbelow jest zupełnie nieobliczalny... nawet Kaptury o tym wiedzą. Ma serce na właściwym miejscu, jednak zawsze postępuje po swojemu. Mimo to — dodała — cieszę się, że go poznaliście. Wszędzie ma kontakty, nawet w Scotland Yardzie. Mógłby pomóc nam uwolnić Josha.

— Więc jeśli wrócę i skontaktuję się z nim...

— Nie możesz wrócić, przynajmniej do jutra. Ziemia musi wykonać pełny obrót, zanim będzie można wrócić tam, skąd się przyszło.

— Inaczej co? Nie przejdę?

— Och, przejdiesz, na pewno. Tylko nie do świata, który zostawiłaś za sobą. Znajdziesz się w następnym z szeregu światów i wierz mi, nie chciałybyś tego.

— Jest więcej Londynów?

— Nieskończoność. Niektórzy ludzie próbowali dostać się dalej, żeby zobaczyć, jak tam jest, lecz wielu z nich nigdy nie wróciło.

Ella wsypała do niebieskiego czajniczka łyżkę sproszkowanego korzenia piwonii i zalała go wrzącą wodą.

— Proszę... Piwonia doskonale uspokaja. Przywraca poczucie rzeczywistości.

— To dobrze. W tej chwili poczucie rzeczywistości jest mi bardzo potrzebne.

Nancy włożyła szlafrok. Był z czystego jedwabiu, chłodny i krzepiący, jak czułe dotknięcie kochanka. Ella usiadła obok niej.

— Urodziłam się w innym świecie. Trudno w to uwierzyć, ale będąc dzieckiem nie miałam pojęcia o istnieniu tego Londynu. Urodziłam się na brytyjskiej Martynice i moja matka była niewolnicą. Ja też byłabym, gdybym nie miała takich samych parapsychologicznych zdolności jak moja babka. Pewnego dnia wykorzystałam je, by znaleźć dziecko, które wpadło do studni i przesiedziało w niej trzy dni. Dozorcy niewolników powiedzieli o tym Zakapturzonemu, a oni zabrali mnie od mojej rodziny i zeppelinem przywieźli do Londynu. Uczyli mnie znajdować wywrotowców, niewierzących i czyściczy.

— I jak się tu znalazłaś?

— Zakapturzeni bili mnie, wykorzystywali i źle traktowali. Pewnego dnia, kiedy jakiś wywrotowiec uciekł im, skacząc przez świece i przez drzwi, skoczyłam za nim. I od tej pory

jestem tutaj. Poprzysięgam Bogu, że pewnego dnia zemszczę się na Kapturach.

— Kim oni właściwie są? Dlaczego przez cały czas noszą te okropne maski?

— Oni też mają parapsychologiczne zdolności. Są potomkami purytańskich łowców czarownic. Potrafią wyczuć, że ktoś jest niewierzący. Niemal czują smak niewiary. Dlatego noszą kaptury... żeby nie rozpraszało ich to, co widzą. Gdyby chcieli, mogliby odnaleźć cię z zawiązanymi oczami. Jak sądzisz, skąd wzięła się zabawa w chowanego? Dzieci udawały, że są Kapturami szukającymi katolików. Odnajdującymi ich kryjówki.

Nancy upiła łyk herbaty. Ella miała rację: od razu uspokoiła się i zdołała zebrać myśli. Ujrzała wszystko w jaśniejszych barwach i przestała panikować.

— Opowiedz mi o Franku Mordancie.

— Niezłe z niego ziółko. Jakies dwa lata temu przypadkiem odkryliśmy, że werbuje w tym Londynie młode dziewczyny, które przeprowadza przez drzwi do drugiego świata. Jeden z moich znajomych widział go przy Tower, jak przeprowadzał dziewczynę przez drzwi przy Traitor's Gate. To samo przydarzyło się Julii i dziewczynie Johna Farbelowa. Frank Mordant wciąż szuka dziewczyn, które są samotne, przygnębione lub chcą rozpocząć nowe życie. Proponuje im pracę i nic im nie robi przez całe tygodnie, miesiące, a nawet lata. Nie zabija ich, dopóki nie uzna, że czas zatarł ślady i nikt ich już nie szuka w tym Londynie. Kiedy stwierdzi, że nadszedł właściwy moment, wiesza je i filmuje, jak umierają. Potem sprzedaje te filmy za grube pieniądze na całym świecie. I zawsze kaleczy ciała na rozmaite sposoby, chociaż nikt nie wie dlaczego. Niektóre ciała są podrzucane tutaj, ale znacznie więcej znika bez śladu. Nie wiemy, ile dokładnie dziewczyn zabił, ale szacujemy, że jakies pięćdziesiąt lub sześćdziesiąt.

— Mój Boże! Nie możecie nic zrobić? Nie możecie porozmawiać z glinami?

— Próbowaliśmy już wiele razy. Znaleźliśmy bardzo sympatycznego detektywa sierżanta w Chelsea, który był gotowy nas wysłuchać. Jednak nawet on w końcu zrezygnował. Nie chciał narażać swojej kariery, wychodząc na wariata. Poza tym nie mamy dowodów. Musielibyśmy złapać Franka Mordanta na gorącym uczynku, gdy pozbywał się ciała, albo mieć odciski palców i próbki tkanki do badań DNA. A nawet gdybyśmy je mieli, musielibyśmy jeszcze złapać go i sprowadzić tutaj, unikając Zakapturzonych. Wiemy, że on pozostaje z nimi w dobrych stosunkach. Nigdy mu nie przeszkadzają, kiedy przechodzi z jednego Londynu do drugiego. Nie wiem dlaczego. Musielibyśmy także przekonać policję, żeby go aresztowała i postawiła przed sądem. I czy naprawdę myślisz, że jakikolwiek sąd uwierzyłby, iż dziecięca rymowanka otwiera drzwi do równoległego Londynu?

— Mogłabyś zapalić świece i zademonstrować im to. Wtedy musieliby uwierzyć!

Ella uśmiechnęła się krzywo.

— Zobaczymy, kiedy do tego dojdzie. Najpierw musimy dostać Franka Mordanta. A przedtem uwolnić Josha.

— Czy policja w tamtym Londynie niczego nie podejrzewa? Przecież jeśli te dziewczyny znikają... Czy nikt się nie zastanawia, co się z nimi stało? Chyba nawet tam prawo zabrania porywać i mordować.

— Mnie o to nie pytaj. Może Zakapturzeni chronią Mordanta. Może się im opłaca. Może ludzie z tego Londynu nie mają tam ludzkich praw. W końcu nie posiadają metryk, paszportów ani żadnych dokumentów tożsamości. Krótko mówiąc, nie istnieją. W tamtym Londynie istnieje niewolnictwo, prawda? Dlaczego miałoby im zależeć na kilku bezdomnych dziewczynach?

— I co zamierzasz zrobić? — spytała Nancy.

— Chcę dziś wieczorem przejść na drugą stronę, przez Bread Street. Przy odrobinie szczęścia Kaptury nie będą się tam nikogo spodziewać. Znajdę Johna Farbelowa i zobaczę, czy może mi pomóc. Zrobię wszystko, co w mojej mocy, obiecuję. Wrócę jutro wieczorem i mam nadzieję, że

Josh też.

— A co ja mam robić w tym czasie?

Ella wzięła ją za rękę i obdarzyła współczującym uśmiechem.

— Przykro mi, ale nic. Musisz po prostu siedzieć i czekać.

Kiedy Nancy wróciła do pokoju hotelowego, telefon migał czerwoną diodą sygnalizującą wiadomość. Podniosła słuchawkę i recepcjonistka powiedziała jej, że dzwoniła do niej detektyw sierżant Paul. Czy mogłaby oddzwonić na jej komórkę?

— Detektyw Paul? Tu Nancy Andersen.

— Czy jest z panią pan Winward?

— Jest... Ach! Wyszedł na chwilę. Kupić nitki do czyszczenia zębów.

— Cóż, kiedy wróci, proszę powiedzieć mu, że być może wpadliśmy na jakiś ślad. Wczoraj zadzwonił do nas jakiś młody człowiek i powiedział, że był w pobliżu Southwark Bridge tej nocy, kiedy ciało Julii zostało wrzucone do rzeki. Był zrozpaczony, ponieważ właśnie rozstał się ze swoją dziewczyną i chciał rzucić się do rzeki. Dlatego zgłosił się dopiero teraz.

— Widział coś?

— Tak. Trzech ludzi, którzy nieśli jakiś pakunek, który rzucili do wody. Mówi, że tobół miał kształt ciała. Jeden z tych ludzi miał orientalne rysy, dwaj pozostali byli biali, w średnim wieku. Chłopak jest pewny, że poznałby ich, gdyby doszło do konfrontacji. Przyjdzie do Scotland Yardu, żeby pomóc nam sporządzić portrety pamięciowe.

— To wspaniale. Chyba to prawdziwy dowód, no nie?

— Och, mamy coś jeszcze. Kiedy tamci odeszli, nasz niedoszły samobójca znalazł na chodniku złotą spinkę do mankietów, w pobliżu miejsca, gdzie wrzucono ciało do rzeki. Spinka miała wytłoczone w brązowej emalii inicjały FM.

Nancy miała wrażenie, że jej żołądek nagle wypełnił się lodowatą wodą.

— FM?

— Właśnie. Wkrótce będziemy wiedzieli, kto to jest. To prawie tak, jakby ten człowiek przyczepił do mostu karteczkę ze swoim nazwiskiem i adresem.

— Niesamowite. A więc... teraz musicie tylko znaleźć tego faceta, prawda?

— Nie tylko. Musimy również dowieść, że pakunek zawierał ciało Julii, a tamten nieznajomy mężczyzna ją zabił. Jednak uczyniliśmy wyraźny krok naprzód. Nie muszę przypominać, żeby nie rozmawiała pani o tym z prasą, prawda?

— Nikomu nic nie powiem. Naprawdę doceniam waszą ciężką pracę i wiem, że Josh także. Teraz musicie jeszcze znaleźć tego faceta, prawda?

— Znajdziemy go — zapewniła detektyw sierżant Paul.— Jeśli nadal przebywa w Londynie, znajdziemy go.

Zależy tylko, w którym Londynie, pomyślała Nancy odkładając słuchawkę.

Późnym popołudniem, gdy na Piccadilly wydłużyły się cienie, a nad Hyde Parkiem zaczęły śmigać jaskółki, Nancy pojechała metrem do wypożyczalni kostiumów teatralnych Bermiana. W ogromnym pomieszczeniu na piętrze, ledwie oświetlonym światłem wpadającym przez brudny świetlik, przeglądała po kolei wieszaki ze strojami. Suto marszczone suknie z czasów trzech muszkietierów, krynoliny, obcisłe spódnice i żakiety z paciorków. W końcu znalazła dopasowany żakiet w szarą szkocką kratę oraz spódniczkę za kolana. Moda z lat pięćdziesiątych, strój, na który nikt w Londynie Franka Mordanta nie zwróci uwagi. Dobrała do tego czarne buciki na wysokim obcasie i białą bluzkę z żabotem.

Wróciwszy do hotelu, spakowała do reklamówki wszystko, co jej zdaniem dałoby się

spieniężyć po drugiej stronie. Zegarek, suszarka, budzik Josha, a nawet jego buty „Nike”. O jedenastej położyła się do łóżka, rozkładając na kołdrze mapę przedmieść Londynu i jednym uchem nasłuchując pomruku „Question Time” w BBC.

Przed snem pomodliła się do duchów, by Josh zdołał wymknąć się z rąk Zakapturzonych, a Elli i Johnowi Farbelowowi powiodło się wszystko to, co zamierzali w tym celu zrobić. Potem poprosiła Wielkiego Manitou, aby dał jej siłę. Jeśli nie może pomóc uwolnić Josha, przynajmniej powinna pomścić śmierć Julii, zwabiając Franka Mordanta z powrotem do Londynu, gdzie detektyw sierżant Paul miała dość dowodów, by go aresztować, i niemal dość dowodów, aby go skazać.

Zamknęła oczy i zaczęła śnić, że ucieka krętymi uliczkami, obijając się o ściany. Słyszała głośny śmiech i szum deszczu. Śniło jej się, że ścigają ją psy, a ludzie w kapturach głośno dyszą jej do ucha, nakłaniając ją do powrotu.

Wracaj, Nancy, tutaj nie ma nic prócz okropności i krwi, wracaj, Nancy, nie wiesz, w co się pakujesz. Tu jest krew, całe litry krwi, a przecież nie chcesz w niej utonąć, prawda?”

## ROZDZIAŁ 19

Josh ocknął się z poczuciem, że ma pękniętą szczękę. Otworzył oczy i nagle całe pomieszczenie zawirowało mu w oczach. Miał szeroko otwarte usta, pełne napiętych stalowych drucików. Spróbował przełknąć i o mało nie zadławił się własną śliną. Nie miał pojęcia, gdzie się znajduje ani nawet kim jest. Wiedział tylko, że kręci mu się w głowie i że dygocze z zimna. Zamknął oczy, usiłując uciec w niebyt, lecz był zbyt obolały, by ponownie stracić przytomność, więc znów je otworzył. Rzeczywistość zaczęła odzyskiwać swój kształt, jak rozbite lustro w puszczonej do tyłu filmie.

Siedział mocno przywiązany do drewnianego krzesła. Wnętrze ust bolało go tak bardzo, że aż pulsowały mu dziąsła. Bolały go też nogi. A ból między nogami był gorszy niż wtedy, kiedy sierżant Szymanski kopnął go w krocze za to, że nie chciał wspinać się po siatce.

Ponownie próbował przełknąć i tym razem się zakrztusił. Nadal nie mógł wydobyć z siebie głosu. Nie mógł nawet jęczeć. Druty w jego ustach były połączone z trójkątną metalową ramą ustawioną trochę ponad metr przed nim, jak groteskowa parodia harfy. Wychodzące z jego ust stalowe nitki rozchodziły się wachlarzowato, a każda była przymocowana do jednego z jego zębów. Pewnie zamocowali je pod narkozą, bo przechodziły przez zęby przewiercone aż do nerwu. Ilekroć choćby lekko poruszył głową i pociągnął za któryś z tych drucików, czuł straszliwy ból, od którego robiło mu się ciemno w oczach. Gdyby mógł, wrzeszczałby ile sił w płucach.

Dygocząc ze zgrozy i zimna, spojrział w dół i zobaczył, że kolejne druty przymocowano do jego rzepek kolanowych i ud. Również były połączone z ramą, i za każdym razem, gdy poruszał nogami, wywoływały potworny ból — ból, jakiego nigdy nie spodziewał się doświadczyć.

Jego członek wyglądał jak w stanie półzwodu i dopiero po kilku sekundach Josh zrozumiał dlaczego. Do cewki moczowej wprowadzono stalowy drut. Krew kapłała mu z końca penisa. Czuł też bolesne ukłucia niżej między nogami.

Ale to nie było wszystko. Druty podłączono także do jego przedramion i łopatek. Przeciągnięto je przez sutki, owinięto wokół ciała Josha i przymocowano śrubami do krzesła, na którym siedział. Gdyby spróbował wstać, pociąłby się na plasterki.

Czekał, dygocząc jak epileptyk. Siedział w pustym pomieszczeniu o pomalowanych na kremowo ścianach. Na jednej z nich wisiał portret ponurego mężczyzny w czerni. W rogu stał policjant, gapiąc się w podłogę.

— Ach... — wykrztusił Josh. — Aaa... Aa...

Policjant wyciągnął w jego stronę palec, jakby nakazując mu milczenie. Potem podniósł słuchawkę i powiedział:

— Tak, panie Edridge. Tak, odzyskał przytomność. Wygląda całkiem nieźle.

Kiedy skończył rozmowę, podszedł do Josha i uśmiechnął się do niego, jakby w ten sposób chciał mu wynagrodzić to, co mu zrobili. Miał zapadnięte policzki i rudawe wąsiki. Mógłby być człowiekiem z portretu Normana Rockwella, gdyby nie martwe spojrzenie.

— Mistrz Edridge zaraz tu przyjdzie. Usłuchaj mojej rady. Jeśli mistrz zada ci pytanie, odpowiedz na nie. Nie próbuj kłamać. Ból nie jest tego wart. Pewnie nie przeżyjesz dzisiejszego dnia, więc nie próbuj udawać bohatera, jeśli rozumiesz, co mówię. Tamci nie są nic wari. To sami wywrotowcy. Oni też by cię wydali, gdyby mogli w ten sposób uniknąć Świętej Harfy.

A więc to była Święta Harfa, przed którą ostrzegwał go Simon Cutter. Josh usiłował wykrztusić coś w odpowiedzi, jednak było to zbyt bolesne, więc tylko zacharczał. Opuścił głowę, ale druty

podrażniły mu nerwy w zębach i musiał znów ją podnieść.

— Jeśli się przyznasz, egzekucja będzie szybka i bezbolesna — powiedział policjant, niecierpliwie zerkając na zegarek. — Im dłużej będziesz zwlekał, tym bardziej ich zirytujesz i tym bardziej będziesz cierpiał. A powiem ci, że widziałem, co oni potrafią. Są wysłańcami Pana, tak siebie nazywają. To daje im kartę na blasze\*.

Otworzyły się drzwi i wszedł mistrz Thomas Edridge, w luźnym czarnym kapturze zarzuconym na głowę. Tuż za nim szedł psiarczyk z bulterierem, który zaczepiał pazurami o chodnik. Edridge powoli i prawie wstydliwie podszedł do Świętej Harfy, a kiedy stanął przy niej, wyjął z rękawa białą chustkę i otarł sobie twarz i łysinę. Josh zauważył, że zerknął mu między nogi. Potem odkasznął jak bej z „Lawrence’a z Arabii” i zapytał:

— Gotowy do współpracy, panie Winward?

Josh nie mógł nic odpowiedzieć. Wargi mu zdrętwiały, język spuchł, a zęby jakby chciały wyskoczyć z dziąseł.

— Wcale nie oczekiwałem, że będzie pan mówił — rzekł Edridge. — W końcu nie spodziewamy się cudów. Tutaj jest pióro i kartka. Papier dobrej jakości. Na nim wyjaśni pan dokładnie, po co pan tu przybył. I spisz nazwiska oraz adresy tych, których miał pan odwiedzić. A także napisze, jakiej pomocy pan od nich oczekiwał.

Josh zawahał się, a potem wziął notatnik i napisał jedyne słowo, jakie przychodziło mu na myśl. „Nie”.

— Miał pan tu nawiązać kontakt. Z wichrzycielami. No już. Niech pan przyzna.

„Nie”.

— Jeśli nie po to przeszedł pan przez drzwi, to po co?

„Już mówiłem — napisał Josh. — Chcę wiedzieć, kto zabił moją siostrę”.

— Chce pan wiedzieć, kto zabił pańską siostrę. Paradne! Co za przykrywka. Jedna z najlepszych, jakie słyszałem. Wcale nie zdziwiłbym się, gdyby pan sam ją zabił. Osobiście. Aby mieć stuprocentowe alibi.

„Jesteś chory”.

— Chory? Pan mi mówi, że jestem chory? Pokazałbym panu świat, gdzie ludzie nie znają bojaźni bożej. Świat, gdzie narusza się każde z dziesięciorga Jego przykazań. Świat zapierającej dech w piersi chciwości, żądzy i braku wiary. Ale nie muszę, bo to twój świat, przyjacielu. I właśnie dlatego strzeżemy naszych drzwi i z taką energią ścigamy wywrotowców. Aby zapobiec infiltracji i korupcji, abyście nie mogli podważyć naszej wiary i moralności. Za pozwoleniem, panie Winward, świat, z którego pan przybył, to prawdziwe piekło na ziemi.

Josh zastanawiał się tylko przez chwilę. Ból był tak silny, że ledwie zdołał utrzymać pióro. Napisał:

„Piekło jest stworzone przez bigotów”.

Edridge wstał. Przez parę minut krążył po pokoju, a potem pochylił się nad Joshem i szepnął mu do ucha:

— Mógłbyś mieć wszystko, czego byś zapragnął na tym świecie, gdybyś nam pomógł.

Josh zamrugał oczami. Próba poruszenia głową byłaby zbyt bolesna.

— Nagradzamy tych, którzy pomagają nam wytropić wywrotowców. Sowiec ich wynagradzamy. Mógłby pan mieć ładny domek na wsi i spore konto w banku. Czy pan wie, jaką nagrodę wyznaczono za głowę Johna Farbelowa? Trzy tysiące funtów. Niech pan pomyśli! Można za to żyć jak król.

„Nic nie kumasz” — napisał mu Josh.

---

\* W oryg. *carty blanky*, przekręcone fr. *carte blanche* (przyp. tłum.).

— Nie kumam? Po jakimu to?

Josh rzucił pióro na papier. Edridge nagle stracił cierpliwość. Odsunął się od krzesła Josha i skinął na policjanta.

— Pokaż mu, jak działa harfa. Zagraj mu psalm skruchy. Policjant z poważną, skupioną miną podszedł do Świętej Harfy. Josh patrzył na niego, siedząc sztywno wyprostowany, ledwie mogąc ogarnąć myślą ból, jaki mieli mu zadać. Policjant zastanawiał się przez chwilę, a potem przeciągnął czubkami palców po napiętych drutach. Wydały cichy, harmonijny brzęk, niczym preludium jakiejś symfonii. Gdy podrażniły nerwy w jego zębach, Josh wydał chrapliwy, nieartykułowany ryk. Czuł każde zakończenie nerwowe w ramionach. Druty wbiły mu się w sutki, wywołując bolesne skurcze mięśni brzucha. Poruszył nogami. W udach również poczuł bolesny skurcz, jakby ściśnięto je w imadle, i miał wrażenie, że zdarto mu skórę z penisa, odsłaniając wszystkie nerwy.

Ból był tak dotkliwy, że niemal wprawiał w ekstazę. Josh poczuł się ukrzyżowany, uświęcony, przeniesiony z codziennej egzystencji do świata, w którym nie było nic prócz migającego czerwonego światła i oślepiającego bólu. Był prawie gotów uwierzyć, że znalazł się przed obliczem Boga. Kiedy struny Świętej Harfy brzęknęły ponownie, mocno zacisnął powieki. Każdy nerw w jego ciele kurczył się z bólu. Jednak najbardziej bolały go zęby. Bolały go tak straszliwie, że nawet nie mógł zapłakać.

Policjant cofnął się i Edridge znów podszedł do Josha.

— Cóż to była za wspaniała pieśń — oświadczył. — Myślisz, że teraz możesz powiedzieć mi to, co chcę wiedzieć?

Josh sięgnął po pióro, ale miał zupełnie zdrtwiałą rękę. Edridge podniósł je i umieścił mu w palcach, jak sumienna matka ucząca trzylatka pisać. Przyniósł mu też kartkę papieru. Josh zdołał nagryzmolić:

„Nic nie wiem”.

— Nic? — zdziwił się Edridge. — To nie może być prawda. Młody Simon Cutter już nam powiedział, że zabrał was na spotkanie z Johnem Farbelowem, z którym przez cały wieczór omawialiście plany wywrotowych działań i aktów sabotażu. Niech pan nam nie mówi, że nas okłamał. Jeśli tak, zostanie skazany na śmierć za utrudnianie śledztwa i umrze w bardzo nieprzyjemny sposób. Niegodziwcy muszą mieć szansę zrozumienia swoich błędów, zanim będą mogli spocząć w grobie.

Przez długą chwilę czekał na odpowiedź Josha. Potem znów skinął na policjanta.

Josh zrozumiał, że nie znieśie więcej wygrywanych na Świętej Harfie psalmów. Po przeszkoleniu, jakie przeszedł w *marines*, stał się dość odporny na ból, a ćwiczenia zen i autohipnozy pozwalały mu oderwać się myślami od rzeczywistości, lecz wywołany strunami Świętej Harfy ból docierał do samych korzeni jego duszy. Pozbawiał go wszystkiego: dumy, godności, wytrzymałości — a przede wszystkim człowieczeństwa. Zamieniał go w owada, wijącego się na końcu zaostrego patyka.

Chwycił pióro, podniósł je, upuścił, potem znów próbował złapać. Pochylił się przy tym do przodu i druty w ustach znów podrażniły nerwy w zębach, aż oczy zaszyły mu łzami. Edridge patrzył na to z rozbawieniem.

— Chce pan jeszcze coś napisać? Niech pan nie mówi, że chce pan złożyć zeznanie.

Krzywiąc się, Josh napisał: „Tak. Nie róbcie nic Cutterowi”.

— Jest pan pewny? Powie nam pan wszystko? Nie zmieni pan zdania, kiedy odłączymy pana od Świętej Harfy?

„Nie”.

Josh nie miał pojęcia, co im powie, ale wiedział, że raczej wymyśli jakieś nazwiska, adresy i



tajemnice, niż będzie znosił ten ból. Przynajmniej zyska na czasie. Wiedział, że Nancy nie zostawi go tutaj.

Edridge skinął na policjanta, który podniósł słuchawkę. Po kilku minutach do pokoju wszedł chudy młodzieniec w białym fartuchu i okularkach w drucianych oprawkach, niosąc skórzane etui. Przysunął sobie krzesło, usiadł obok Josha i otworzył etui, ukazując zestaw błyszczących narzędzi.

— Proszę się nie ruszać — ostrzegł. Z ust zalatywało mu szczypiorkiem. Małym kluczem poodczepiał końcówki wkręconych w zęby Josha drucików. Josh oddychał przez usta i zimne powietrze drażniło obnażone zakończenia nerwów. Jeden po drugim cienkie druty zostały odczepione i wyjęte z jego ust. Potem chudzielec odczepił druty, którymi Josh był przywiązany do oparcia fotela. Powyciągał je z mięśni i miękkich tkanek brzucha. Kiedy wyciągał drut z penisa, Josh gryzł z bólu pięść.

Chyba w końcu zemdleł. Mętnie pamiętał, że podniesiono go z krzesła i ktoś narzucił na niego szorstki wełniany szlafrok. W następnej chwili ocknął się w pozycji płodowej na cienkim materacu, na żelaznym łóżku, w celi o pomalowanych na jasnozielono ścianach. Prawdopodobnie był już ranek, ponieważ przez zakratowane okienko pod sufitem sączyło się mętne światło.

Powoli usiadł na łóżku. Usta miał potwornie spuchnięte, a kiedy rozchylił płaszcz kąpielowy, zobaczył, że na całym ciele ma szkarłatne plamki oraz tuzin szkarłatno-żółtych sińców. Po raz ostatni tak kiepsko czuł się wtedy, gdy na obwodnicy San Diego wjechał na leżący na samym środku jezdni materac i jego firebird przekoziółkował trzy razy.

Za drzwiami usłyszał pogwizdywanie, śmiechy i skrobanie psich pazurów o linoleum. Zęby bolały go tak okropnie, że miał ochotę uderzyć twarzą o poręcz łóżka i wszystkie je powybić. Próbował wstać, ale poczuł nieznośny ból między nogami.

Położył się i mimo wszystko zdołał się trochę zdrzemnąć. We śnie przez cały czas widział Julię z jej stokrotką. Miał nadzieję, że siostra nie cierpiała tak jak on.

Nie słyszał, kiedy Edridge i Zakapturzony weszli do celi. Otworzył oczy i zobaczył ich stojących przy łóżku.

— Doszedł pan do siebie, panie Winward? — zapytał Edridge. — Pojedziemy na przejażdżkę.

Na dziedzińcu czekał czarny ford V8. Deszcz zelżał, przechodząc w drobną, zacinającą mżawkę, w mgnieniu oka przenikającą wszystkie warstwy ubrania. Jeden z Zakapturzonych już czekał w środku, na przednim siedzeniu, obok umundurowanego kierowcy z krótko ostrzyżonymi głosami, wysoko podgolonymi na karku. Żaden z nich się nie odwrócił, gdy Josha wepchnięto na tylne siedzenie, sadzając go między policjantem w cywilnym ubraniu i dwurzędowym prochowcu a mistrzem Thomasem Edridge'em, który miał na sobie długi płaszcz z kapturem.

— Ruszajmy — powiedział Edridge.

Wyjechali z Great Scotland Yard i skierowali się na zachód, wzdłuż Embankment. Josh nadal był oszołomiony i odczuwał ból przy każdym podskoku wozu na wyboju, ale w duchu powtarzał sobie, że jeszcze ma szansę. Co mówiono podczas szkolenia w *marines*? „Każda minuta życia jest minutą, którą możesz wykorzystać”. A co czytał w dziele chińskiego uczonego Lao-Tzu? „Droga jest pustym naczyniem, z którego jeszcze będzie można czerpać”.

— Dokąd mnie wieziecie? — zapytał ochryplym głosem.

— Do Tower, gdzie będziesz miał zaszczyt zostać wysłuchany — odparł Edridge. — Mamy tam ludzi, którzy doskonale radzą sobie z bluźniercami i wywrotowcami.

— Do Tower? Czy nie tam zamykano zdrajców?

— A kim pan jest, panie Winward?

Silnik forda rzeził, wycieraczki zupełnie nie radziły sobie ze strumieniami deszczu. Policjant

w cywilu zaczął pracowicie dłużyć czubkiem palca wskazującego w prawej dziurce nosa. W innym miejscu i czasie Josh prawdopodobnie pozwoliłby sobie na jakąś sarkastyczną uwagę, ale nie tu i nie teraz.

Dojeżdżali do Blackfriars Bridge. Po lewej znajdował się zjazd na New Bridge Street. Kiedy się tam zbliżali, Joshowi wydało się, że dostrzega światła wozu, jadącego pod prąd z dużą szybkością. Inne pojazdy pospiesznie zjeżdżały na bok, uciekając z drogi. W następnej chwili Josh zobaczył, że są to reflektory dużej ciężarówki, wyładowanej drewnianymi beczkami z piwem.

— Jasna cholera! — krzyknął policyjny kierowca. — Co ten dureń wyprawia!

Edridge chwycił się oparcia przedniego fotela. Nawet Zakapturzony zasłonił się ręką. Ciężarówka z rykiem pędziła po jezdni, w ogóle nie zwalniając, i po chwili czołowo zderzyła się z fordem. Wóz z ogłuszającym traskiem obrócił się wokół własnej osi i wpadł na balustradę. Josh poleciał do przodu, uderzając brodą o przedni fotel. Zakapturzony tak mocno rąbnął głową o boczną szybę, że pękło szkło.

— Wynośmy się stąd! — wrzasnął Edridge do kierowcy. — Gazu! To zasadzka!

Kierowca musiał połamać sobie zębra o kierownicę, bo był błyśnięty jak ściana i ze świstem łapał oddech. Siedzący obok Josha policjant w cywilu sięgnął do kieszeni płaszcza i wyjął wielkiego webleya. Opuścił szybę i zaczął wymachiwać rewolwerem, pokrzykując:

— Trzymać się z daleka! Trzymać się z daleka! Policja! To rozkaz!

Kierowca zdołał uruchomić forda, który ruszył z żalosnym piskiem opon. Zaledwie jednak ujechał cztery metry, gdy śmignął ku nim następny samochód — czarny pojazd podobny do pierce-arrwa. Oślepił ich reflektorami i z prędkością jakichś czterdziestu kilometrów na godzinę trzasnął w forda, odrzucając go w tył. Tak mocno uderzyli w ścianę przejazdu pod mostem Blackfriars, że bagażnik forda zupełnie się spłaszczył.

Ogłuszony Josh zobaczył nadbiegających ulicą mężczyzn w długich, rozwianych płaszczach. Przednie drzwi po stronie pasażera otwarto gwałtownym szarpnięciem i nieprzytomny Zakapturzony wypadł na asfalt. Policjant w cywilnym ubraniu upuścił rewolwer i rozpaczliwie szukał go na podłodze, lecz w następnej chwili otwarto również drzwi po jego stronie. Żelazny łom zatoczył łuk i z głośnym traskiem uderzył w skroń policjanta, który w drgawkach runął do ryszotaka.

Edridge usiłował otworzyć drzwi wozu, ale zacięły się po ostatnim zderzeniu. Odwrócił się do Josha. Oczy nabiegły mu krwią, jak wampirowi.

— Zapłacisz za to! — wrzasnął. — Będziesz smażył się w piekle na wieki, jak Latimer i Ridley!

Jeszcze szamotał się, gdy ktoś rozbił młotem szybę, obsypując go deszczem szkła.

— Jestem mistrz Thomas Edridge! — wrzasnął. — Nie ważcie się mnie tknąć, bo umrzecie w męczarniach!

Przez otwór wsunęły się dwie ręce w grubych wełnianych rękawiczkach. Jedna złapała Edridge'a za kucyk i szarpnięciem pociągnęła głowę w tył, odsłaniając sterczącą grdykę. Pruga trzymała krótki tapicerski nóż, ostry jak brzytwa. Edridge nawet nie zdążył zaprotestować, gdy dostał ostrzem po szyi. Wszystko wydarzyło się tak szybko, że Josh dopiero wtedy zrozumiał, co się dzieje, gdy ciepła krew opryskała mu rękę. Potem otworzono drzwi po stronie Edridge'a, który wypadł z wozu, głucho charcząc.

Okryte rękawiczkami dłonie chwyciły Josha za ramię i pociągnęły na drugą stronę. Przez jedną okropną chwilę obawiał się, że i jego zabiją, ale ponaglający głos powiedział:

— Szybko, panie Winward. Musimy stąd zniknąć!

Josh zdołał wygramolić się z samochodu. Przez moment opierał się o dach, przymykając oczy

w zacinającym deszczu. Potem zatoczył się — ledwie mógł chodzić. Wysoki, okryty szarą peleryną młodzieniec z kręconymi włosami pomógł mu przejść przez ulicę. Czterech lub pięciu innych młodych ludzi osłaniało ich, tworząc żywy mur. Wtaszczyli go na tylne siedzenie pierce-arrowa i sami również wsiedli. Usłyszał trzask drzwiczek i z rykiem pomknęli po Upper Thames Street. Skręcili w lewo, potem w prawo i pokonali liczne zakręty między St Paul's i rzeką. Pierce-arrow był dużym samochodem z miękkim zawieszeniem, które łagodziło wstrząsy, gdy kilkakrotnie uderzyli o słupki, zaparkowane pojazdy i kubły na śmieci. W końcu minęli St Paul's Cathedral. Pierwszy policyjny samochód, jaki zobaczyli, migocząc niebieskim światłem i dzwoniąc, pędził w przeciwną stronę, do mostu Blackfriars.

Zza oparcia przedniego fotela wyłoniła się czarna twarz, błyskając zębami w szerokim uśmiechu. Była to Ella. Z chustką na głowie wyglądała jak sprzątaczką z lat trzydziestych.

— Jak się masz, Josh?

— Ella? — wykrztusił. — Co ty tu robisz?

— To długa historia, Josh, ale nie martw się. Wszystko będzie dobrze.

Siedzący obok niej mężczyzna również odwrócił się, pokazując Joshowi twarz. Był to John Farbelow. Jego jasne włosy były ukryte pod czarnym beretem, a podbródek miał porośnięty szczecina zarostu.

— Witaj z powrotem, Josh — powiedział. — Muszę przyznać, że ta zabawa kosztowała nas sporo trudu. Jednak nie mogliśmy zostawić cię w rękach Kapturów, prawda?

— Byłaś tu już? — zapytał Josh Elle. — Znasz tych ludzi?

— Urodziłam się tutaj, Josh. I wychowałam.

— Nie rozumiem. Ten seans... list... Po co zadałaś sobie tyle trudu?

— Przepraszam — mruknęła. — Wiem, że naraziliśmy cię na niebezpieczeństwo. Jednak, jak już mówiłam Nancy, nie wiedziałam, czy mogę wam zaufać. Kaptury wszędzie mają agentów i informatorów.

— No, nasi informatorzy też są niezli — stwierdził z satysfakcją John Farbelow. — Wiedzieliśmy, jakim samochodem pojedzie Josh i mniej więcej kiedy. Wystarczyła odrobina przemocy... — Zamilkł na chwilę i zapalił papierosa. — Niezły numer z tą ciężarówką, no nie? Trudno coś zrobić, kiedy widzisz pędzące na ciebie osiem ton przedniego piwa.

Ella żartobliwie przekrzywiła mu beret.

— Wiesz równie dobrze jak ja, że ta akcja została doskonale zaplanowana. Świetnie się spisałeś, John. I pozostali również. Dzięki.

Pędzili na północny zachód, przemykając bocznymi uliczkami, podskakując na wybojach, mijając garaże, prywatne podjazdy i parki. Deszcz rozpadał się na dobre i w samochodzie było tak ciemno, że ledwie widzieli swoje twarze.

— Co z Nancy? — zapytał Josh. — Nie wróciła tu z tobą, prawda?

— Została w hotelu, odpoczywa.

— Jak wrócimy?

— Przez drzwi Farringdon — odparł John Farbelow. — Rzadko są używane, ponieważ trudno je znaleźć. Kaptury pewnie będą oczekiwać, że wrócisz na Star Yard.

— Nic im nie powiedziałem — rzekł Josh. — Już znali twoje nazwisko i wiedzieli, że Simon Cutter zaprowadził nas do ciebie.

— W naszym ruchu oporu trudno cokolwiek utrzymać w sekrecie — mruknął John Farbelow. — Zbyt wiele jest przekupstwa, za mało wiary. W każdym razie nie miałbym ci za złe, gdybyś zaczął śpiewać. Nikt nie zniesie więcej niż dwa lub trzy psalmy odegrane na Świętej Harfie. Mój przyjaciel Michael umarł podczas takiego przesłuchania. Na atak serca. Oczywiście Strażnicy Czystości Wiary nie przyznali się do winy. „Śmierć z przyczyn naturalnych podczas rutynowego

przesłuchania”.

Dotarli na róg Farringdon Street i Bowling Green Lane. Nagle przestało padać, chociaż rynsztoki były pełne, a przejeżdżające samochody wzbijały fontanny wody. Młodzi ludzie pomogli Joshowi wysiąść z samochodu i przejść przez ulicę. John Farbelow i Ella szli tuż za nimi. Minęli bar przekąskowy na rogu, z zaparowanymi szybami i wywieszką reklamującą papierosy Craven — „jedyne papierosy, które nie szkodzą mojemu gardłu”. Tuż za barem była wąska uliczka, której Josh nie zauważyłby, gdyby mu jej nie pokazano. Zaułek miał niespełna metr szerokości i wyglądał jak szczelina między dwoma brudnymi budynkami.

— Do samego końca — powiedział John Farbelow.

Przeszli dziesięć lub piętnaście metrów, aż do ceglanego muru zamykającego zaułek. Josh oparł się o ścianę, czując pulsowanie w ustach i przeszywające klucie w całym ciele. John Farbelow uklęknął i wyjął z kieszeni trzy grube kościelne świece.

— Mówią, że te drzwi pochodzą jeszcze z czasów druidów, którzy uciekali przez nie przed Rzymianami.

Ella nerwowo obejrzała się za siebie.

— Mógłbyś się pospieszyć, John? Nigdy nie wiadomo, czy ktoś nas nie śledził.

— Och, zawsze ktoś nas śledzi. Zawsze znajdzie się ktoś gotowy zaprzedać duszę za trzydzieści srebrników. — Po kolei zapalił świece i przeżegnał się. — Gotowe. Powinniście przejść. Życzę szczęścia, Ella, i módl się za nas, dobrze?

Ella mocno go uścisnęła.

— Nawet nie wiesz, jaka jestem ci wdzięczna za to, co zrobiłeś, John.

— Drobiazg. I tak był już czas, żeby trochę nimi wstrząsnąć. Utoczyć im trochę krwi. Teraz, kiedy sprawiliśmy dodatkowy uśmiech mistrzowi Thomasowi Edridge’owi, nie będą już tak cholernie pewni siebie.

Wziął Josha pod rękę, podtrzymując go, i poprowadził do świec. Josh był tak słaby, że nie wiedział, czy zdoła przez nie przeskoczyć. Jednak John Farbelow podniósł go i przytrzymał dwadzieścia centymetrów nad ziemią, po czym przerzucił nad świeczkami na koniec zaułka. Josh upadł na ziemię, na warstwę mokrych liści i gołębiego guana. Tylko z męskiej dumy nie wrzasnął wniebogłosy, ale przez moment leżał twarzą do ziemi, tak mocno przygryzając wargi, aż poczuł smak krwi.

— Wstawaj, Josh! — zawołał John Farbelow. — Zaraz skoczy Ella!

Josh zdołał chwycić się ściany i dźwignąć z ziemi. Kiedy to robił, Ella przeskoczyła przez świece, o mało nie wpadając na niego.

— Chodźmy stąd, szybko! — poganiała go.

Josh uniósł rękę, pozdrawiając Johna Farbelowa. Tamten posłał mu na pożegnanie krzywy uśmiech i odwrócił się.

— Jak się stąd wydostaniemy? — zapytał Josh Ellę, rozglądając się wokół. — To nadal wygląda na ślepy zaułek.

— Och, zawsze jest jakieś przejście — zapewniła go Ella. Na samym końcu uliczki w murze była wąska szczelina, ledwie na tyle szeroka, by przecisnąć się przez nią kot.

— Tędy nie przejdziemy.

— Nie mamy innego wyjścia. Chociaż nie, mamy. Możemy przeskoczyć z powrotem i oddać się w ich ręce.

— Ella, zamknięte przestrzenie budzą we mnie lęk. Po prostu wpadam w panikę. Jak daleko ciągnie się ta szczelina w murze?

— Cztery metry, nie dalej.

— Jezu, cztery metry. A jeśli utknę?

— Nie utkniesz. Wypchnę cię.

— A jeśli ty też uwięzniesz?

— Chcesz mi powiedzieć, że jestem za gruba?

— Wcale nie. Muszę jednak przyznać, że jesteś ładnie zaokrąglona.

— Och, rozumiem. Mam za szeroki tyłek.

— Twój tyłek jest idealny. Po prostu ta szczelina jest bardzo wąska. Nie chciałbym skończyć jako szkielet uwięziony między jednym światem a drugim.

Ella wzięła go za ręce i pocałowała.

— To wymówki, Josh. Jesteś wykończony. Musisz wrócić do twojej rzeczywistości. Wchodź w tę szczelinę. Nie bój się, po prostu będziesz oddychał częściej i płycej. Powiedz sobie, że przejdiesz, i nic cię nie powstrzyma.

Josh zrobił dwa lub trzy głębokie wdechy, a potem kilka płytkich.

— Dobrze... Chyba jestem gotowy.

Przywarł plecami do muru i wcisnął się w szczelinę. Teraz, kiedy już się w niej znalazł, widział jej koniec, lecz wydawał mu się bardzo odległy, jakby oglądał go przez odwrócony teleskop. Raczej czternaście metrów niż cztery. Mimo to przeciskał się bokiem, trąc ubraniem o cegły i rozpaczliwie przebierając nogami. Ella podążała za nim i we dwoje powoli, mozolnie przedzierali się z jednej strony na drugą. Wkrótce mieli poobcierane knykcie, obolałe stopy i spazmatycznie chwyтали ustami powietrze. Joshowi przychodziło to z większym trudem, ponieważ bolało go całe ciało i zęby, i ledwie znajdował siły, żeby iść dalej.

— Nie poddawaj się — sapała Ella. — Już niedaleko.

Jednak Josh poczuł straszliwą pewność, że na zawsze zostanie tu uwięziony, między dwoma ceglanyimi ścianami. Do końca szczeliny pozostał mu zaledwie metr czy dwa. Widział światło dnia, słyszał uliczny szum i wiedział, że to prawdziwy świat, jego świat, gdzie nie ma Kapturew, Świętych Harf i warczących sterowców na niebie. Mimo to nie mógł się ruszyć. Był wyczerpany, obolały i po prostu nie miał już siły iść dalej.

— Ruszaj! — popędzała go Ella. — No, Josh, musisz iść dalej!

Pokręcił głową. Nagle tak bardzo zachciało mu się spać, że był gotowy zasnąć między tymi murami. Wszystko było lepsze od dalszych cierpień. Wszystko — byleby tylko nie iść dalej.

— Rusz się, Josh, ty draniu! — wrzasnęła Ella.

— Nie mogę — wymamrotał.

— Och tak, możesz. Czeka na ciebie Nancy i twoi rodzice, a przede wszystkim czeka Julia. Ona chce, żebyś złapał człowieka, który ją zabił, Josh. Nie zdołasz tego zrobić, jeśli utkniesz w tym murze.

Popatrzył na nią. Miała roziskrzzone spojrzenie.

— Masz rację — stęknął. — Boże, nienawidzę cię. Ale masz rację.

Centymetr po centymetrze zaczął przesuwac się do wyjścia, aż wreszcie dotarł do końca szczeliny. Ella wyszła za nim i we dwoje ruszyli wąską uliczką w kierunku Farringdon Road.

Na ulicy ogłuszył ich hałas. Autobusów, ciężarówek, taksówek i pociągów. Setek spieszących dokądś przechodniów. Powietrze było gęste od spalin, jednak przynajmniej miało znajomy zapach. Za nimi została oleista woń dieslowskich silników autobusów tamtego Londynu i odór końskiego nawozu. Josh spojrzał w niebo i zobaczył niewielki odrzutowy samolot podchodzący do lądowania na London City Airport. W górze płynęły obłoki, lecz dzień był słoneczny i było to niebo jego, Josha, świata.

Wrócili taksówką do zachodniego Londynu. Josh zaczął dygotać i Ella chciała jak najszybciej położyć go do łóżka.

— Chcesz, żebym wezwała lekarza? — zapytała, gdy jechali hotelową windą na górę.

— I co bym mu powiedział? Wszystkie zęby przewiercono mi do nerwów i mam pełno dziur w całym ciele. Wzięłyby mnie za sadomasochistę.

— Powinieneś się wystrzegać zakażenia.

— Wezmę gorącą kąpiel, ale przede wszystkim potrzebuję snu. I muszę zobaczyć się z Nancy. Otworzył drzwi pokoju.

— Halo! — zawołał. — Nancy?

W chwili gdy wszedł do środka, natychmiast zrozumiał, że jej nie ma. Telewizor był zgaszony, łóżko starannie zasłane. Poszedł do łazienki i włączył światło, ale tam również jej nie było.

— Może poszła do ciebie — powiedział do Elli. Otworzył szafę. Miał wrażenie, że nie brakuje żadnego z jej ubrań. Na łóżku leżał beżowy sweter, którego nigdy nie widział. Ella pokazała mu kartkę, którą znalazła na toalecie.

— Lepiej to przeczytaj — mruknęła.

Josh usiadł na łóżku. Notatka była skreślona dużym, zamaszystym pismem, jakim Nancy pisała zawsze do niego miłosne liściki.

„Nie złość się na mnie, Josh. Modłę się o to, by Ella sprowadziła cię z powrotem i żebyś mógł przeczytać tę wiadomość. Chcę, abyś wiedział, że bardzo cię kocham. Jednak jest tylko jeden sposób, żeby zakończyć tę sprawę. Trzeba złapać Franka Mordanta, a wiem, że nie pozwoliłbyś mi tam wrócić, więc podjęłam jednostronną decyzję. Jestem stuprocentowo pewna, że sobie z tym poradzę, więc proszę, nie martw się o mnie. Wrócę, zanim się spostrzeżesz, i przyprowadzę Franka Mordanta”.

## ROZDZIAŁ 20

— Wiedziałaś, że ona zamierza to zrobić? — zapytał Josh.

— Nie miałam pojęcia, Josh. Słowo. Wydaje mi się jednak, że Nancy ma jakiś plan.

— Jak do licha zamierza w pojedynkę złapać Franka Mordanta? Te przeklęte Kaptury dopadną ją, zanim zdoła do niego podejść!

— Sama pewnie ma większe szanse — mruknęła Ella. Podniosła sweter, który Nancy zostawiła na łóżku. — Wygląda na to, że kupiła sobie odpowiednie ubrania, więc nie powinna zwracać na siebie uwagi.

— Muszę iść za nią — stwierdził Josh. — Ona nie ma pojęcia, jakie grozi jej niebezpieczeństwo!

— Myślę, że ma — odparła Ella. — Opowiedziałam jej wszystko o Franku Mordancie. No, przynajmniej tyle, ile wiemy. Najwidoczniej zdecydowała, że lepiej poradzi sobie z nim sama.

— Poradzi sobie? Poradzi? Jak może poradzić sobie z takim facetem jak Frank Mordant w świecie rządzonym przez Kaptury? Równie dobrze można naprawiać zepsuty młynek, wpychając do niego rękę.

— Josh, nic nie możesz zrobić. Jesteś poraniony i w szoku. Musisz przespać się dwadzieścia cztery godziny choćby po to, żeby pozbierać myśli. Poza tym nie możesz wrócić tam teraz po Nancy, bo jesteś tu zaledwie niecałą godzinę.

— Nie jestem zmęczony, Ello. Idę tam.

— Josh, to niemożliwe. Musi nastąpić przynajmniej jeden obrót Ziemi, zanim wrócisz do tamtego Londynu. W przeciwnym razie przeniesiesz się do zupełnie innego.

— Przecież to tylko drzwi, no nie? Można przez nie wejść i wyjść.

— Wprawdzie tak je nazywamy, ale to nie są zwyczajne drzwi. Jeśli przejdiesz przez nie kilkakrotnie w ciągu jednego dnia, za każdym razem będziesz oddalał się od tego Londynu, który opuściłeś. Mówimy o równoległych światach, Josh. Światach w światach, jak te zrobione z kości słoniowej japońskie kulki, z których każda zawiera w sobie kolejną. Krótko mówiąc, musisz zaczekać.

— Ella, nie mogę pozwolić, by Nancy sama chodziła po tamtym Londynie. Rany boskie, ona nie wybrała się tam zwiedzać, tylko znaleźć seryjnego zabójcę!

— Nie przyszło ci do głowy, że Nancy dobrze wie, co robi?

— Pewnie. A krowy mają skrzydła.

Ella położyła rękę na jego ramionach i spojrzała mu w oczy.

— Nie możesz za nią iść, Josh. Ja też nie. W tym momencie możemy tylko czekać. Jeśli naprawdę chcesz pójść tam za nią, porozmawiamy o tym jutro. Teraz jednak jesteś tam poszukiwany i nie poradzisz sobie bez pomocy. Jeśli Kaptury znowu cię złapią, zabiją cię — nie ma co do tego wątpliwości.

Tego wieczoru Josh zamówił do pokoju kanapki z indykiem, a kiedy zjadł, wsypał do wanny całe opakowanie soli do kąpieli, by zdezynfekować rany. Wziął długą i bolesną kąpiel, ale mimo bólu kilkakrotnie o mało nie zasnął w wodzie. Kiedy zdołał wyjść z wanny, stanął przed zaparowanym lustrem. Ledwie sam siebie poznał. Wyglądał jak bokser-amator po niefortunnym występie na zawodowym ringu, albo jak ofiara czołowego zderzenia.

Myśl o wypełnieniu między czyste białe prześcieradła i zapadnięciu w sen była bardzo kusząca. W końcu czyż Ella nie powiedziała mu, że do jutra nic nie może zrobić? Nie był jednak

pewny, czy mówiła mu prawdę o tych obrotach Ziemi. Simon Cutter mówił to samo, ale zarówno on, jak i Ella byli zainteresowani tym, żeby przez jakiś czas nie przechodził przez drzwi. Ella najwidoczniej troszczyła się o niego i chciała, by odpoczął, a poza tym wołała, by nie sprawiał znów kłopotów ruchowi oporu. A Simon chciał wyciągnąć od niego jak najwięcej zegarków, laptopów i butelek whisky.

Tymczasem gdzieś tam była Nancy. Była tam, sama. Dla Josha nie miało żadnego znaczenia, że jest niezależna i samowystarczalna. Nieważne, że była stuprocentowo pewna, iż sobie poradzi. Liczyło się tylko to, że nie mógł stanąć przy niej, aby ją obronić.

Zastanawiał się, czy nie zazdrości jej odwagi, jaką wykazała, podejmując próbę samodzielnego odszukania Franka Mordanta i wyjaśnienia tajemniczych okoliczności śmierci Julii. Przez całe dorosłe życie Josha ludzie przychodzili do niego po pomoc, więc nie był przyzwyczajony, że to jemu się pomaga. Pamiętał gniewny wyraz twarzy ojca, kiedy w wypadku na jachcie złamał oba przeguby i musiał pozwolić, by matka kroїła mu jedzenie i karmiła go.

Pomimo niepokoju przespał prawie godzinę, lecz po przebudzeniu poczuł się jeszcze gorzej. Przeczytał kilka kartek powieści Johna Grishama, którą ktoś zostawił w nocnej szafce, założoną na dwudziestej trzeciej stronie. Potem obejrzał wiadomości telewizyjne. Serbowie i muzułmanie zabijali się w Kosowie. Katolicy i protestanci zabijali się w Irlandii Północnej. Znany reżyser telewizyjny dostał ataku serca. Angielska drużyna krykieta miała odnieść walne zwycięstwo. Pogoda na jutro: wilgotno, przejściowe burze. Żadnego porwania na Embankment, zabitych Zakapturzonych czy Mistrza Czystości Wiary leżącego z podejrzanym gardłem na ulicy. Tylko co to za różnica? Czy tamten Londyn naprawdę istniał? I czy rzeczywiście istniał ten Londyn? Jaki jest sens egzystencji? Jeśli nikt nie wie o twoim istnieniu, czy nadal żyjesz? Zadzwoił telefon. To była Ella.

— Wszystko w porządku? — spytała. Oznaczało to: Chyba nie zamierzasz popełnić jakiegoś głupstwa?”.

— Jasne, czuję się świetnie. Próbuje się zdrzemnąć.

— Postaraj się. Abraxas nigdy by ci nie wybaczył, gdybyś zrobił coś głupiego. Przybiegłby i odgryzłby ci jaja.

— Chciałbym to widzieć.

Kiedy znowu się zbudził, było dziesięć minut po północy. Poszedł do łazienki i przemył twarz zimną wodą. Nadal był zesztywniały i obolały, ale lepiej trzymał się na nogach i rozjaśniło mu się w głowie.

Umył zęby, a potem podszedł do szafy i wyjął granatowe spodnie, jasnoniebieską koszulę i brązowy prochowiec. Może nie był to dokładnie strój z tamtego świata, ale nie będzie rzucał się w oczy. Josh widział w tamtym Londynie trzy lub cztery osoby w podobnych płaszczach. Co prawda byli to sami duchowni, ale to go nie zrażało.

Opuścił pokój i zjechał do holu. Nocny recepcjonista był siwowłosy i czarnoskóry. Siedział wygodnie rozparty na krześle, rozwiązując krzyżówkę w „The Daily Telegraph”.

— Dzień dobry panu — powiedział. — Szuka pan czegoś do picia?

— Nie, nie. Zastanawiałem się, czy nie ma pan może świeczek.

— Świeczek?

— To kwestia przekonań religijnych. Co cztery tygodnie we wtorek zapalam świecę za ojca, matkę i Johna Lennona.

Recepcjonista zdjął okulary, zmierzył go przeciągłym spojrzeniem, a potem zapytał:

— Mówi pan poważnie?

— Czy wyglądam na żartownisia?



— Nie, proszę pana. Tylko że ludzie mają rozmaite poczucie humoru.

— Proszę posłuchać, mówię poważnie. Potrzebne mi są świece.

Recepcjonista pogrzebał w dolnej szufladzie biurka i w końcu wyjął cztery woskowe znicze w aluminiowych kubkach.

— Obawiam się, że nie mam niczego innego. Może pan je wziąć.

— To wspaniale — rzekł Josh. — Są idealne.

— To tylko znicze. Trzymam je tutaj na wypadek przerwy w dopływie prądu. Nie zamierza pan ich palić w pokoju, prawda?

— Nie, nie. Wychodzę na zewnątrz.

— No to wszystko w porządku. Nie pozwalamy palić świec w pokojach. Nawet w celach religijnych.

— Obawiam się, że nie mogę w tej chwili zapłacić. Nie mam przy sobie gotówki.

— Nic nie szkodzi, proszę pana. Są za darmo, na koszt firmy. — Podniósł okulary i dodał: — Może mógłby pan mi pomóc. Hasło brzmi: „To obrzydliwe, że piekło jest tak eleganckie”. Jedenaście liter.

— Niech mnie pan nie pyta. Nigdy nie byłem dobry w rozwiązywaniu krzyżówek.

Wyszedł z hotelu i zatrzymał przejeżdżającą taksówkę. Taksówkarz zatrzymał się, ale powiedział:

— Przykro mi, kolego, właśnie wracam do domu, a na Chancery Lane mi nie po drodze. Mogę wysadzić cię na Hyde Park Corner.

— Czy to daleko od Chancery Lane?

— Najwyżej dwadzieścia minut marszu, jeśli dobrze wyciągać nogi.

— W porządku. Niech będzie.

Gdy jechali przez opustoszałe, oblane światłem sodowych lamp ulice Knightsbridge, Josh był coraz bardziej spięty. Nie miał czym zapłacić za przejazd, a ten Londyn pod wieloma względami był równie surrealistyczny i wrogi jak tamten. Pochylił się i powiedział do taksówkarza:

— Przepraszam, czy słyszał pan kiedyś tę rymowaną „Sześcioro drzwi ma London Town”?

— Oczywiście. Nauczyła mnie jej babcia. W szkole słyszałem niecenzuralną wersję: „Sześć kurw ma London Town”. Nie pamiętam, co było dalej.

— Czy zastanawiał się pan kiedyś, co to oznacza?

— Chyba nic, no nie? Nic szczególnego.

— A gdyby było sześcioro takich drzwi — prawdziwych drzwi — i gdyby mógł pan przez nie przejść do innego Londynu? Takiego samego jak ten, a przecież innego?

— No, kolego, cokolwiek piłeś, poproszę o to samo.

— Mówię poważnie. Załóżmy, że te drzwi istnieją. Załóżmy, że to prawda... I jeśli zdołasz je odnaleźć i wiesz, jak przez nie przejść, wejdiesz tam. Do Londynu, jakiego nie znasz. Równoległego.

— Ach tak?

— Proszę posłuchać, nie musi mi pan wierzyć, ale właśnie tam się udaję. Do równoległego Londynu. I być może nigdy nie wrócę.

— Wierzyć? Jasne, że wierzę. Dlaczego nie miałbym wierzyć?

— Zechce mi pan dać wizytówkę pańskiej firmy? Dzięki. Jeśli nie skontaktuję się z panem do soboty rano i nie powiem, że wszystko w porządku, proszę zadzwonić pod ten numer do Kalifornii i powiedzieć moim rodzicom, że już nie wrócę, ale bardzo ich kocham. Dobrze? I niech nie próbują mnie szukać.

— Posłuchaj, kolego, jeśli chcesz skończyć ze sobą, to może lepiej zawiozę cię do Samarytanów?

— Proszę... Wiem, że to dziwnie brzmi. Jeśli jednak coś pójdzie nie tak, nie chcę, by moi rodzice do końca życia zastanawiali się, co się ze mną stało.

Dotarli do Hyde Park Corner i taksówkarz zatrzymał wóz przed Apsley House, okazałym szarym budynkiem, który wdzięczny naród zbudował księciu Wellingtonowi po bitwie pod Waterloo.

— Powiem panu coś — rzekł taksówkarz. — W tej pracy proszono mnie już o różne rzeczy. O wyprowadzanie psów. Karmienie babcinych żółwi żywymi larwami. Zawiezenie damskich majtek do Wisbech.

— Tak? I co?

— Najśmieszniejsze jest to, że zawsze spełniam takie życzenia. I niech pan nie pyta mnie dlaczego. Pewnie to leży w moim charakterze.

— Więc zrobi pan to? Zadzwoń pan pod ten numer, jeśli nie skontaktuję się z panem do soboty? To nic nie będzie kosztowało, może pan zadzwonić na koszt rozmówcy.

— Powiedziałem, że zrobię, no nie? Wie pan, ja też mam matkę. Cóż, to będzie siedem siedemdziesiąt pięć. Obawiam się, że po północy jest podwójna taksa.

— Hm, mam jeszcze jeden problem. Ktoś ukradł mi portfel.

Zapadła długa cisza. Potem taksówkarz rzekł:

— Chce mi pan powiedzieć, że nie ma pan pieniędzy? Przywiozłem tu pana aż z West Kensington, właśnie poprosił mnie pan o przysługę i jest pan goły jak święty turecki?

— Tylko chwilowo, rozumie pan? Ma pan moje nazwisko i numer pokoju hotelowego. Jak tylko prześlą mi pieniądze ze Stanów...

— No tak, wspaniale. A co pan przed chwilą powiedział? Mówił pan, że zamierza przejść przez jedno z tych sześciorga drzwi, prawda? I prosił pan, żebym zadzwonił do pańskich rodziców, gdyby pan nie wrócił. A co się stanie, jeśli naprawdę pan nie wróci? Dostanę kizkę z grochem, ot co.

— Czym się pan przejmuje? Przecież mi pan nie wierzy.

— Niczego takiego nie powiedziałem.

— Owszem, powiedział pan. Jestem w Anglii dostatecznie długo, by wiedzieć, że wszystko, co się tu słyszy, należy rozumieć dokładnie odwrotnie.

Taksówkarz obrzucił go przeciągłym spojrzeniem, a potem roześmiał się:

— W porządku. Możesz uważać mnie za głupka, ale wierzę ci. I nie zapomnij zadzwonić do mnie w sobotę rano. Pytaj o Freda Rickwooda.

Odjechał, zostawiając Josha na szerokim, owiewanym wiatrem chodniku. Wysoko nad nim, na szczycie kamiennej bramy, wznosił się brązowy posąg uskrzydłonej Wiktorii w rydwanie — wspomnienie Londynu, który odszedł na zawsze. Josh przeszedł przez Piccadilly i po Constitution Hill, opodał czarnych, zwieńczonych obracającymi się kolczastymi walcami murów, które otaczały ogrody pałacu Buckingham.

Jakiś Hindus w turbanie przejechał na rowerze bez świateł i Joshowi przez chwilę wydawało się, że to posługacz, który pchał wózek z matką pani Marmion tego dnia, kiedy Josh przyjechał do szpitala, by zidentyfikować zwłoki Julii. Jednak Hindus pedałowal dalej, aż znikł za szpalerem drzew na Pali Mali i Josh zrozumiał, że wyobraźnia zaczyna płatać mu figle.

O pierwszej dwadzieścia dotarł na Star Yard. Jego kroki odbijały się echem od ścian stojących z obu stron budynków. W oddali słychać było tylko szum zamiatarki, która powoli jechała po Chancery Lane.

Kiedy Josh klęknął przed niszą wiodącą do innego Londynu, wydało mu się, że w głębi przejścia mignął mu jakiś cień. Obejrzał się i ujrzał znikającego za rogiem burego kota. Wstał,

zastanawiając się, czy powinien za nim pójść. Z pewnością obecność tego zwierzęcia coś oznaczała, ale nie wiedział co. Czekał przez dłuższą chwilę, jednak kot nie wrócił, więc Josh ponownie przykłęknął, rozstawił trzy świece i zapalił je.

— „Jack jest zręczny, Jack umie biec...” — wymamrotał pod nosem. Upewnił się, że świece dobrze się palą, po czym skoczył do niszy. Oparty jedną ręką o mur, obejrzał się na Londyn, który pozostawił za sobą. Znicze jeszcze się paliły, migocząc na wietrze, a za nimi stał kot, spoglądając na niego ślepiami, w których odbijały się płomienie. — Ladslove? — zawołał Josh.

Kot nadal obserwował go z powagą, na jaką stać tylko koty. Potem odwrócił się i znikł.

Josh skrzył w lewo, potem w prawo i znów w lewo. Między budynkami było ciemno, a kiedy spojrzął w górę, nie dojrzał gwiazd. Był bardzo zmęczony i bolały go rany pozostawione przez Świętą Harfę. Co gorsza, musiał oddychać przez nos, bo nawet najłżejszy podmuch powietrza wywoływał okropny ból przewierconych zębów.

Ujrzał przed sobą światło — nie tak jasne jak blask lamp sodowych, które pozostawił za sobą, ale w tym samym pomarańczowym odcieniu. Wyszedł z niszy z powrotem na Star Yard. Usłyszał uliczny gwar i odległe bicie dzwonów. Wiatr niósł silną woń spalenizny i jeszcze jakiś zapach, jakby kurzu.

Ostrożnie doszedł do Carey Street. Ulica była pusta, nie licząc trzech zaparkowanych ciężarówek i staromodnego samochodu. Nie było tu latarni i w żadnym z okolicznych budynków nie paliło się światło, jednak nad dachami domów w oddali jaśniała luna, więc Josh pomyślał, że w części miasta nastąpiła przerwa w zasilaniu. Z bocznej uliczki doleciał go stukot butów na wysokich obcasach, lecz nie zobaczył szybko idącej kobiety.

Wyglądało na to, że jest to ten sam Londyn, w którym znaleźli się wtedy z Nancy. Rozpoznał Law Society i Public Record Office, a na końcu Chancery Lane dostrzegł — chociaż zamknięty na noc — ten sam kiosk, w którym próbował wówczas kupić gazetę. Idąc po Fleet Street, coraz wyraźniej czuł zapach spalenizny i zanim dotarł do rogu, minął go wóz straży pożarnej ze stalowym dzwonkiem brzęczącym na przednim zderzaku i włączonymi światłami. Niebawem zobaczył, dokąd jechali strażacy. Kilometr dalej płomienie otaczały wielką kopułę St Paul's Cathedral. Gęsty szary dym wzbijał się w niebo, a smugi potężnych reflektorów krzyżowały się nad nią jak ogromne szpady. Wokół słychać było krzyki przerażenia, dzwonki alarmowe oraz głuchy szum płonących budynków.

Na ulicach prawie nie było pojazdów — zaledwie jeden czy dwa prywatne samochody przemknęły po Farringdon Street — a na chodnikach nie było żywej duszy. Na szczęście nie było też ani śladu Zakapturzonych, ich doboszy lub psiarczyków. Josh nie miał żadnego planu, ale wiedział, że będzie potrzebował pomocy. Zaczął iść w kierunku British Museum, trzymając się blisko muru i kryjąc się w cieniu, kiedy słyszał jakieś nadjeżdżające pojazdy. Szedł wąskim zaułkiem obok Drury Lane, gdy nagle usłyszał wołanie:

— Dokąd tak pędzisz, kochasiu?

Przystanął. W bramie po drugiej stronie stała kobieta. Widział tylko ognek jej papierosa i błysk światła na obciążonej nylonową pończochą nodze.

— Masz dziesięć minut, kochasiu? — zapytała kobieta.

— Przykro mi, spieszę się.

— Nie pożałujesz, kochasiu, obiecuję. Za pięć funtów możesz robić, co chcesz.

— Dzięki za propozycję, ale nie.

Po króciutkim milczeniu kobieta powiedziała:

— Hej, chyba nie jesteś Jankesem, co?

Sposób, w jaki to powiedziała, sprawił, że Josh uświadomił sobie, iż powinien zachować ostrożność.

— Po prostu idę spotkać się z przyjaciółmi.

Wyszła z bramy. Wyglądała na znacznie młodszą, niż wskazywał na to jej głos. Dziewiętnaście, dwadzieścia lat lub niewiele starsza. Poruszała się trochę niezgrabnie z powodu zbyt wysokich obcasów. Miała zaczesane do góry blond włosy i sukienkę z purpurowej satyny z wypchanymi ramionami i głębokim dekoltem, kończąca się tuż nad kolanami. Chociaż właściwie nie potrzebowała makijażu, miała mocno umalowaną twarz i wyskubane brwi. Była śliczna, o delikatnych rysach i wielkich ciemnych oczach.

— No, kochasiu. Chyba masz piątkę, no nie? Jestem głodna.

— Przykro mi. Nie mam pieniędzy. Gdybym miał, dałbym ci je.

Podeszła do niego, podniosła rękę i obróciła jego twarz tak, aby móc lepiej mu się przyjrzeć.

— Mówisz jak Jankes. Nie zestrzelili cię, co?

— Zestrzelili? Nie. Chyba żartujesz. Nawet nie umiem latać.

— A więc kim jesteś? Szpiegiem? Mogłabym zarobić dużo pieniędzy, gdybyś był szpiegiem.

— Posłuchaj — rzekł Josh. — Przyszedłem tu odszukać kogoś, to wszystko. Nie jestem pilotem ani szpiegiem. Jeśli już chcesz wiedzieć, jestem weterynarzem stosującym medycynę alternatywną.

— A cóż to takiego?

— Naprawdę nie mam czasu na wyjaśnienia. A teraz przepraszam.

— Jesteś szpiegiem, prawda? Jankeskim szpiegiem. Dają za takich pięćdziesiąt kawałków.

Josh usłyszał w oddali bach–bach–bach działek przeciwlotniczych. Kolejne reflektory zaczęły omiatać niebo.

— Może to dziwne pytanie — powiedział do dziewczyny — ale czy... czy tutaj trwa wojna?

— Och nie, to tylko pokaz sztucznych ogni.

— Boże, wy Brytyjczycy, z tym waszym sarkazmem. Jest wojna, prawda?

Przysunęła się do niego, chwyciła go za kłapy płaszcza, oblizwała wargi, po czym przycisnęła udo do jego nogi.

— Gdzie byłeś? — zapytała go lekko zachrypniętym od papierosów głosem. — Dlaczego nie wiesz, że trwa wojna? Chyba nie jesteś czubkiem, co?

W oddali Josh usłyszał warkot silników. Nie odrzutowych, lecz tłokowych, a sądząc po natężeniu dźwięku, były ich dziesiątki. Cała noc zaczęła pulsować blaskiem, a bach–bach–bach działek przeciwlotniczych stało się ogłuszająco głośne.

— Druga fala — stwierdziła obojętnie dziewczyna. — Lepiej poszukajmy schronienia.

Otworzyła jakieś drzwi i weszła do środka. Josh został na ulicy, nie wiedząc, czy dziewczyna chciała, by za nią poszedł.

— Na co czekasz? — zapytała z ciemności. — Chyba nie chcesz zostać rozerwany na strzępy?

Josh wszedł w ciemność. Dziewczyna zamknęła za nim drzwi i włączyła światło. Ujrzał wąski korytarz, w którym unosił się odór gotowanej kapusty. Po prawej zaczynały się ciemne schody, pokryte starym brązowym linoleum. Po lewej były drzwi, najwidoczniej prowadzące do piwnicy.

— Chodź — powiedziała dziewczyna. — Tam będziemy bezpieczni. Przynajmniej jeśli bomba nie trafi prosto w budynek.

Josh zawahał się, lecz nagle w powietrzu rozległa się seria przeraźliwych świstów, zakończona siedmioma lub ośmioma ogłuszającymi wybuchami. Nastąpiły w odległości najwyżej pół kilometra i Josh nawet przez podeszwy butów poczuł drzenie ziemi.

— Nie ociągaj się. Moja ciotka Maisie ociągała się i urwało jej głowę — ponagliła go dziewczyna i zaczęła schodzić do piwnicy. Josh zamknął drzwi i poszedł za nią. — Widzisz — powiedziała — tu jest jak w domu.

Ściany piwnicy były pobielone, a sufit podtrzymywały dwa ceglane łuki, dzielące ją na trzy

pomieszczenia: prowizoryczną sypialnię oddzieloną grubym szarym kocem, pokój stołowy z dwoma starymi fotelami i zapadniętą kanapą oraz kuchnię z piecykiem olejowym i półeczką z kilkoma puszkami z żywnością: wołowiną, marchewką z groszkiem i płatkami zbożowymi.

W piwnicy śmierdziało wilgocią, dymem z papierosów i brudną pościelą, ale dziewczyna skropiła się mocnymi, tanimi perfumami o lawendowym zapachu, które prawie zagłuszyły ten odór. Usiadła na fotelu, założyła nogę na nogę tak, że sukienka wysoko odsłoniła jej białe, posiniaczone uda, po czym podała mu paczkę papierosów Senior Service.

— Zakurzysz?

— Nie, dzięki.

— Daj spokój, dobrze ci to robi.

— Żartujesz sobie? Nie wiesz, jakie to szkodliwe? Chyba nie chcesz przeżyć bombardowania i umrzeć na raka płuc?

— Raka płuc, kochasiu? O czym ty mówisz? Mój lekarz kazał mi palić. Powiedział, że dobrze mi to robi na nerwy. — Zapaliła papierosa i głęboko się zaciągnęła, a potem wydmuchnęła dwie smugi dymu przez nos. — Chybabym umarła, gdybym nie mogła zajarać.

W górze Josh słyszał zbliżający się warkot silników, przerywany przez dziesiątki wstrząsających ziemią eksplozji. Brzmiało to tak, jakby ktoś szedł korytarzem, z rozmachem trzaskając kolejnymi drzwiami. Przy każdym wybuchu z sufitu opadał pył, który dziewczyna niedbale strzepywała z kolan.

— Wchodzi we włosy, ten kurz. Mówili, że będzie ciężka noc. Jeśli tak dalej pójdzie, chyba będziemy musieli się poddać.

Niedaleko nastąpił kolejny wybuch. Na moment zgasły światła i usłyszeli łoskot osypującego się szkła i gruzu. Josh wyciągnął rękę.

— Jeśli mamy razem zginąć, to lepiej się przedstawię. Josh Winward.

— Petty Horrocks — powiedziała dziewczyna. — Petty to głupie imię, no nie? Jednak lepsze niż Petunia.

— Od jak dawna tu mieszkasz, Petty?

— Jakies trzy miesiące. Kiedy wybuchła wojna, mama i tato przenieśli się na wieś, ale ja nie mogłam znieść takiego życia. Lincolnshire, piękne dzięki. Nic, tylko buraki cukrowe i faceci tępi jak podkowy. Powiedziałam, że wolę zostać rozerwana na strzępy, niż umrzeć z nudów. Wróciłam więc do Londynu i znalazłam sobie to miejsce.

— I jak tu przeżyłaś?

— Pieprząc się z każdym, kto ma piątkę. Albo dwa funty dziesięć, za lizanie. Przykro mi, jeśli to rani twoje uczucia. W ten sposób przynajmniej mogę wieczorami chodzić na tańce i trochę się zabawić.

— Chyba każdy stara się jakoś przetrwać.

Znów spadło pięć lub sześć bomb, lecz tym razem nieco dalej. Pomimo to warkot silników narastał i Josh domyślił się, że przelatuje nad nimi prawie setka samolotów.

— Nie utrzymamy się już długo — stwierdziła obojętnie Petty, strzepując na podłogę popiół z papierosa. — Nie ma już doków ani Covent Gardens. Bomba trafiła nawet w Odeon na Leicester Square. Zginęło pięćdziesiąt osiem osób, w samym środku filmu Ronalda Shinera. Dobrze im tak, za to, że na niego poszli. Mimo wszystko nie będę całowała, kiedy to się już skończy.

— Posłuchaj, wiem, że w tym momencie kiepsko to wygląda — rzekł Josh. — Jednak w końcu wygracie tę wojnę. Obiecuję.

— Ach tak? A ty skąd to wiesz?

— Po prostu wiem. Musisz mi zaufać.

— Założę się, że jesteś czubkiem. Skąd uciekłeś? Nie ma sprawy. Możesz mi powiedzieć. Nie

wydam cię, obiecuję.

— Nie jestem czubkiem. Przypadkiem mam... pewne zastrzeżone informacje, to wszystko.

— A więc jesteś szpiegiem!

— Mówiłem ci już, że przyszedłem tu szukać kogoś, nic poza tym. Jednak możesz się nie martwić o wynik tej wojny. Kiedy przystąpią do niej Stany Zjednoczone, wszystko szybko się rozstrzygnie.

Petty popatrzyła na niego zdziwiona.

— Powiedziałeś, że zwyciężymy.

— Oczywiście. Prześliśmy wam samoloty, oddziały piechoty, czołgi i żywność. Musicie tylko wytrwać do tego czasu.

— Jak mamy wytrwać? Prawie nie mamy samolotów, większość naszych żołnierzy poległa we Francji, a w zeszłym tygodniu zatopiono „George’a V”, który był naszym jedynym okrętem wojennym.

— Wkrótce zwiększymy dostawy. Niemcy muszą przegrać.

Petty wydmuchnęła dym i potrząsnęła głową.

— Niemcy...? A co Niemcy mają z tym wspólnego?

— Bombardują was przecież, no nie?

— Niemcy? Chyba rzeczywiście trzeba cię izolować. Niemcy nigdy by nas nie bombardowali. Przysyłają nam statki, czołgi i żywność. To nasi sprzymierzeńcy. Ta sama królewska rodzina, ta sama krew. Dlaczego mieliby nas bombardować?

Josh w pierwszej chwili oniemiał. Potem wskazał palcem w górę i zapytał:

— To nie Niemcy?

— Oczywiście, że nie. To ci cholerni Jankesi.

— Amerykanie? Amerykanie bombardują Londyn?

Petty zaciągnęła się papierosem i jeszcze wyżej podciągnęła kieckę.

— Wiesz co, ja ci wierzę. Nie możesz być szpiegiem. Jesteś za głupi na szpiega. Prawdę mówiąc, jesteś za głupi nawet na czubka.

— Jezu! Amerykanie bombardują Londyn! Dlaczego?

— Mnie nie pytaj. Nazywają to wojną o niepodległość. Już nie chcą być częścią dobrego brytyjskiego imperium. A ci przekłęci Francuzi oczywiście pomagają im, udostępniając swoje bazy ich bombowcom. No i co można na to poradzić? Sądzę, że opór nie ma sensu. I tak wygrają, no nie? Jeśli o mnie chodzi, to im prędzej dokonają inwazji, tym lepiej. Pod rządami Jankesów da się żyć. To jurne koguty i mają czekoladę.

W tym momencie Josh zrozumiał, że Ella miała rację, a on się mylił. Ziemia musiała wykonać pełny dwudziestoczterogodzinny obrót, zanim ponownie przeszło się przez drzwi. Pierwszy równoległy Londyn był miastem Franka Mordanta i Kapturów. Ten musiał być drugim. I kto wie, ile jeszcze było całkowicie odmiennych wersji Londynu?

Bombardowanie na chwilę ustało, ale Petty oznajmiła, że powinni pozostać w piwnicy, „dopóki nie będzie czysto”.

— Filiżankę herbaty? — zaproponowała.

— Nie, dziękuję. Nie masz niczego mocniejszego? Wyjęła spod fotela na pół opróżnioną butelkę dżinu Gordona i naląła dwie spore porcje do filiżanek.

— Za co wypijemy? — spytała.

— Za pokój — odparł Josh.

— No, nie wiem. Może za czyste majtki?

— W porządku. — Podniósł filiżankę. — Za pokój i czyste majtki.

— Właśnie dlatego nie mogę doczekać się końca wojny — powiedziała Petty. — Brakuje mi czystych bawełnianych majtek, z koronką.

— Od jak dawna to trwa? — spytał Josh.

— Ta wojna?

— Wciąż nie wiem, czy nie stroisz sobie ze mnie żartów.

— Naprawdę, pytam poważnie.

— No cóż, dobrze. Jednak nadal myślę, że ze mnie żartujesz. Ta wojna toczy się już od prawie roku. Przeklęty rząd powiedział, że zakończy się do świąt Bożego Narodzenia. Nie wiem, czemu po prostu nie pozwolili Jankesom iść swoją drogą. Ale nie. Krzyczeli, że to zdrada, a potem marynarka zatopiła ten wielki amerykański lotniskowiec i zaczęło się. Rozpętało się piekło.

Przez długą chwilę spoglądała na Josha, bawiąc się kolczykiem. Był to miniaturowy plastikowy pudeł z zielonymi ślepkami ze szkła.

— Chyba cię lubię — oświadczyła wreszcie. — Wiem, że powinnam traktować cię jak wroga, i w ogóle. Ale jest w tobie coś... Jesteś taki dziwnie zamyślony...

— Raczej zbity z tropu.

— Nie mogę zrozumieć, jak mogłeś nic nie wiedzieć o wojnie. Jankesi bombardują nas już od kilku miesięcy. Nie jest to coś, czego można nie zauważyć.

— Nie było mnie tu. Byłem... daleko.

— Do cholery, gdzie? Na Marsie?

Josh pochylił się w fotelu.

— Jeśli chcesz znać prawdę, to przybyłem z innego Londynu.

Petty uśmiechnęła się z niedowierzaniem.

— Innego Londynu?

— Wiem, że trudno w to uwierzyć, ale prawdopodobnie są setki Londynów, każdy inny i z inną historią. Łączą je drzwi, którymi można przechodzić, a jeśli wiesz, jak to zrobić, możesz przejść z jednego Londynu do drugiego. W tym, z którego przybyłem, nie ma wojny, nalotów, niczego. Jest mnóstwo jedzenia i picia. Są restauracje, nocne kluby, co chcesz. I czyste majtki.

Petty wydmuchnęła dym.

— Jeśli to prawda, po co tu przyszedłeś? Zobaczyć, jak cierpimy, i pośmiać się z tego?

— Trafiłem tu przypadkiem. Usiłowałem znaleźć inny Londyn, nie ten.

— I co teraz zrobisz? O rety, posłuchajcie tylko! Mówię, jakbym ci uwierzyła!

— Zamierzam wrócić do Londynu, z którego wyruszyłem, i jeszcze raz spróbować znaleźć ten właściwy.

Petty przez chwilę nic nie mówiła, ale nie odrywała od Josha oczu. Potem zaczęła ogryzać paznokieć kciuka. Wreszcie powiedziała:

— Nie nabierasz mnie, co?

— Po co miałbym to robić? Gdyby to miał być żart, byłby cholernie głupi, no nie?

— Może chcesz robić ze mną jakieś świństwa i nie zapłacić.

— Nic nie chcę ci robić. Mam dziewczynę.

— Jesteście zaręczeni?

— Tak jakby.

— Miałaby ci za złe, gdybyś zabrał mnie ze sobą?

— Kto?

— Ta twoja narzeczona. Miałaby ci za złe, gdybyś zabrał mnie ze sobą? Do tego twojego Londynu, z restauracjami, nocnymi klubami i wszystkim?

— Więc wierzysz mi?

— Sama nie wiem. Albo jesteś kompletnie stuknięty, albo mówisz prawdę. Ale nie mówisz

jak wariat. Spotyka się ludzi w szoku, którzy mówią o swoich bliskich, jakby ci jeszcze żyli, a potem okazuje się, że wszyscy zginęli podczas nalotu. Miałam tu faceta, który uważał się za anioła. Ty jednak mówisz zupełnie rozsądnie.

Josh spojrzął na zegarek. Minęła trzecia rano i był wykończony.

— Masz coś przeciwko temu, że się zdrzemnę? — zapytał. — Muszę poczekać całe dwadzieścia cztery godziny, zanim będę mógł wrócić do mojego Londynu. Inaczej trafię do innego takiego jak ten. Albo jeszcze gorszego.

— Nie ma gorszego, kochasiu — mruknęła Petty i dopiła dzin. — Może położymy się razem?

— Wyciągnę się na kanapie. Nie rób sobie kłopotu.

— Daj spokój. Chodźmy do łóżka. I tak jestem zbyt zmęczona, żeby cię zgwałcić.

Wstała i zdjęła przez głowę satynową sukienkę. Pod spodem miała tylko zwykły biały biustonosz. Josh myślał, że nosiła rajstopy, jednak Petty po prostu użyła samoopalacza, aplikując go tylko do połowy ud, które wyżej były zupełnie białe. Była pulchna i piersiasta, z lekko zaokrąglonym brzuszkiem, nawet atrakcyjna, ale cała w sińcach, które pozostawili klienci, ściskający palcami jej uda, pośladki i piersi. Josh poczuł się bezsilny i smutny, i w myślach przeklął mężczyzn za wszystko, co wyczyniają, za wojny i fanatyzm.

Obserwował ją, gdy myła zęby starą, wytartą szczoteczką. Odsunęła koc oddzielający „sypialnię” od reszty piwnicy, po czym weszła do łóżka. Josh zaczął kilka minut, jednak zmęczenie wzięło górę, więc w końcu wstał, zdjął płaszcz i rozebrał się do spodenek. Położył się obok Petty i leżał tak, patrząc na pobielony sufit. Odwróciła się i dotknęła czerwonych szram po Świętej Harfie.

— Dobrze się czujesz? — zapytała. — Kto ci to zrobił?

— To długa historia.

— Nie szkodzi. Wszyscy mówią, że umiem słuchać. W tym fachu nie można inaczej. Oni po to przychodzą, wiesz? Nie po seks, ale żeby ktoś ich wysłuchał.

Pieściła go, jednak te pieszczoty miały usypiające działanie. Bawiła się jego sutkami, a potem przesunęła czubkami palców po żebrach. Zamknął oczy. Jeszcze nie spał, ale był tego bliski. Jej palce delikatnie jak motyle przesunęły się po jego brzuchu. Zobaczył ciemność i wydało mu się, że wrócił do Mili Valley i leży w swoim łóżku. Był pewny, że słyszy cykady i poruszane wiatrem dzwoneczki na werandzie swojego domu.

— Czyż nie byłoby cudownie, gdyby naprawdę był inny świat? — mówiła Petty, wodząc palcem wokół jego pępka. — Bez wojny i nalotów. Gdzie wszyscy byliby dla siebie mili. Tylko pomyśl.

Josh spał. Był bardzo daleko. Siedział w kawiarence przy księgarni w Mili Valley, usiłując oduczyć kundelka wabiącego się Duchovny obszczekiwania obcych ludzi. Nancy też tam była i śmiała się. Widział, jak błyszczą jej oczy i lśnią w słońcu wpięte we włosy pióra. Chciał ją wziąć za rękę, ale odsunęła się, choć nadal się śmiała. Nagle jej śmiech zabrzmiał dziwnie piskliwie i fałszywie.

„Nadchodzą — powiedziała. — Słyszysz te werble?”



## ROZDZIAŁ 21

Otworzył oczy. Piwnica trzęsła się. Cały świat drżał. Wydawało się, że w górze przelatują tysiące samolotów. Od ich warkotu dygotały drzwi, pękały cegły, a tanie aluminiowe rondle spadały z półek. Josh spojrzął na Petty. Spała mocno, z szeroko otwartymi ustami, leżąc na plecach. Potrząsnął nią i zawołał:

— Petty! Petty, obudź się! Otworzyła oczy i zamrugła.

— O co chodzi? Miałam taki przyjemny sen. Tańczyłam, a wszyscy faceci bili mi brawo i rzucali pieniądze.

Rozejrzała się, zupełnie jakby oczekiwała, że zobaczy łóżko zasypane dziesięciofuntowymi banknotami.

— To następny nalot! — krzyknął Josh.

Ryk silników przeszedł w potworny łoskot. Zagłuszał wszystko, zdawał się wyłączać wszystkie zmysły: wzroku, słuchu, powonienia, dotyku — i zdolność logicznego rozumowania. Josh miał wrażenie, że cały w nim tonie.

— Nic nie możemy zrobić! — odkrzyknęła Petty. — Tu jest tak samo bezpiecznie jak gdzie indziej!

Usłyszeli przenikliwy świst, straszliwe, triumfalne „uuiiii!”. Potem posypały się bomby, po szesnaście lub osiemnaście naraz, powodując lokalne trzęsienia ziemi wzdłuż St Martins Lane i Charing Cross Road. Gdzieś wybuchły przewody gazowe. Tony gruzu runęły na ulicę. Wszędzie rozdzwoniły się dzwonki alarmowe.

— O Matko Boska, zachowaj nas — modliła się Petty.

— Jesteś katoliczką? — zapytał Josh.

Spojrzała na niego, marszcząc brwi. Nadal była naga i na lewej piersi miała czerwone ślady, pozostawione przez pogniecione prześcieradło.

— Tak, jestem katoliczką. Co to za różnica?

Cały budynek zadrżał od potężnej eksplozji na końcu Drury Lane. Josh usłyszał trzask pękających szyb i osypujących się cegieł. Miał wrażenie, że ktoś opróżnił wywrotkę gruzu tuż nad ich głowami.

— O Boże, nie pozwól, żebyśmy zostali żywcem pogrzebani — błagała Petty.

Josh milczał, ale myślał o tym samym. Ze wszystkich rodzajów śmierci, jakie mógł sobie wyobrazić, najbardziej obawiał się pogrzebania żywcem.

Na Drury Lane spadła kolejna bomba, tym razem znacznie bliżej. Silny wstrząs sprawił, że Joshowi rozdzwoniło się w uszach, i o mało nie zrzucił ich z łóżka. Josh nakrył Petty własnym ciałem i naciągnął na głowę koc, gdy z każdej szczeliny sufitu zaczęło się sypać wapno i ceglany pył.

Przywarli do siebie pod kocami, spoceni i rozgrzani, modląc się o ocalenie. Usłyszeli kolejny świst, tym razem znacznie głośniejszy. Petty tak mocno objęła Josha, jakby chciała go udusić.

— Cokolwiek się stanie — szepnęła mu do ucha — pamiętaj, że cię kocham.

— Jak możesz mnie kochać? Nawet mnie nie znasz.

— Masz rację. Jednak to ty będziesz mnie trzymał w ramionach, kiedy umrę. Nie mogę prosić o nic więcej, prawda?

Uniosła głowę i pocałowała go. Jej wargi smakowały dżinem i papierosami, ale były ciepłe, miękkie i chętne. Nagle świat jakby znieruchomiał i Josh poczuł potworny ucisk w uszach. W następnej chwili wyrzuciło go z łóżka i przeleciał przez piwnicę. Uderzył głową o poręcz fotela i

wylądował na plecach w kuchni, rozrzucając puszki, kartony oraz sztuce. Petty upadła na schody, zsunęła się po stopniach i znieruchomiała z głową wtuloną w kąt, jakby udawała strusia.

Tony gruzu runęły na sklepienie piwnicy. Światła zgasły i zapadł duszny mrok. Josh przez chwilę leżał nieruchomo na plecach, łapiąc oddech. Potem zawołał:

— Petty!

Nie odpowiedziała. Zdołał przekręcić się na bok wśród szczęku garnków i patelni, po czym na czworakach ruszył po zasypanej pyłem podłodze.

— Petty, słyszysz mnie, jesteś cała?

Zawadził ręką o wystający gwóźdź i poczuł ciepłą krew ściekającą mu po dłoni.

— Petty! — wołał. — Petty, rany boskie, odezwij się! Macając w ciemnościach, odnalazł schody, a potem prawą nogę dziewczyny. Przesunął dłońmi po jej ciele, aż dotarł do głowy. Włosy miała pokryte grubą warstwą pyłu i okruchów szkła. Mogła krwawić, ale nie był w stanie tego stwierdzić, bo sam miał zakrwawione ręce i wszystko wydawało mu się śliskie i wilgotne.

— Petty — błagał, obracając ją na plecy. — Petty, na rany boskie, powiedz coś.

Pozostała bezwładna i milcząca. Josh sprawdził jej tętno: puls był nitkowaty. Włożył palec do jej ust, sprawdzając, czy nie są zatkane. Potem pochylił się nad nią i zaczął robić sztuczne oddychanie. Silny podmuch mógł spowodować zator płuc albo wypełnić je pyłem.

— Petty — dyszał między oddechami. — Posłuchaj, Petty, nic ci nie będzie. Najgorsze już minęło. Oni już nie wrócą. Przynajmniej nie dziś. No już, Petty, musisz oddychać, mała. Użyj płuc. Jedno jest pewne, nie dam ci tu umrzeć, cokolwiek się stanie.

Przez prawie dwadzieścia minut robił jej sztuczne oddychanie i masaż serca. W piwnicy było zupełnie ciemno i nawet jej nie widział.

— Petty, wyjdiesz z tego. Nic ci nie będzie. Jeśli nie umrzesz, zabiorę cię ze sobą do Londynu. Obiecuję. Będziesz miała tyle jedzenia, ile zechcesz, i tańce, i dość czystych majtek, żeby sznur z nimi sięgnął stąd do Sausalito.

Nadal nie odpowiadała. Josh pochylił się nad nią i jeszcze raz spróbował tchnąć w nią życie. Potem pocałował ją.

— Przykro mi, mała. Zrobiłem, co mogłem. Uważaj na siebie, dokądkolwiek teraz pójdziesz. Kocham cię.

Wstał i złapał się ręką poręczy. W tym momencie wydało mu się, że słyszy jakiś dźwięk. Cichutki szmer, nic więcej.

— Czekałam, aż to powiesz — wykrztusiła Petty. — To magiczne słowa.

Josh wymacał w ciemności jej ręce, a potem ramiona i postawił ją na nogi.

— Nic mi nie jest — powiedziała. — Ogłuszyło mnie, to wszystko. Cholernie mało brakowało, no nie? Chyba trafili w sąsiedni budynek.

— Potrzebne nam światło — stwierdził Josh.

— Zaraz będzie. Mam mnóstwo świec. Pod zlewem jest cała paczka. Chryste, moja głowa. Mam wrażenie, że ktoś na niej siedział.

Josh macał w ciemnościach, aż natrafił na zlew. Pod nim znalazł paczkę ze świecami. Wziął dwie, by oświetlić piwnicę, a sześć innych wepchnął do kieszeni płaszcza na później, kiedy będzie musiał przejść przez drzwi i wrócić do „prawdziwego” Londynu. W duchu przeklinał niezależność Nancy. Kochał ją i był z niej dumny, ale w co ich wpakowała? Wołał nie myśleć o tym, co się z nią dzieje — teraz, kiedy on tkwi z Petty w tej przysypanej gruzami piwnicy.

Pstryknął zapalniczką i zapalił jedną ze świec. Petty wyglądała jak duch albo figurka voodoo, z twarzą białą od pyłu, podkrążonymi oczami i krwawoczerwonymi wargami, z których Josh stał kurz. Włosy miała w strąkach, zlepione brudem i wapnem, błyszczące od okruchów szkła. Miała guza na czole oraz wiele skaleczeń i zadrapań, ale żadnych poważniejszych obrażeń. Zasychająca

na jej ciele krew należała do Josha.

Popatrzył na swoją dłoń. Gwóźdź głęboko rozdarł mięśnie poniżej kciuka, tworząc nacięcie w kształcie litery „L”. Josh podniósł leżący na podłodze ręcznik, strzepnął kurz i mocno owinał nim ranę.

Petty zdołała stanąć na nogi. Josh zaprowadził ją do części sypialnej i posadził na łóżku, kaszlącą i plującą pyłem. Siedziała zgarbiona, sapiąc jak astmatyczka i usiłując złapać oddech. W końcu jednak sięgnęła po biustonosz i sukienkę, po czym z trudem zaczęła się ubierać.

Josh usłyszał złowieszcze trzeszczenie sklepienia.

— Musimy się stąd wynieść, Petty. Wygląda na to, że cały ten cholerny dom zaraz się zawali.

Kiwnęła głową, nie mogąc odpowiedzieć. Josh, z wysoko uniesioną świecą, zaprowadził dziewczynę z powrotem na schody i we dwoje weszli po nich. Kiedy dotarli do drzwi, chwycił za klamkę i pociągnął, ale się nie otworzyły. Framuga osiadła i Bóg wie ile gruzu spiętrzyło się po drugiej stronie. Josh szarpnął jeszcze raz i zdołał uchylić je na centymetr, lecz z korytarza na zewnątrz doleciał złowrogi dźwięk osypujących się cegieł i grzechot spadających belek, bał się więc ciągnąć dalej. Poza tym oboje usłyszeli basowy pomruk następnej fali nadlatujących bombowców.

— O, kurwa — mruknęła Petty. — Dzisiaj naprawdę dają nam popalić.

Josh jeszcze raz pociągnął za klamkę. Być może na zewnątrz, wśród szalejących w londyńskim West Endzie pożarów będzie jeszcze gorzej, ale za nic nie zostałby dłużej w tej zasypanej gruzem piwnicy. Już zaczynał się dusić.

— Tu bylibyśmy bezpieczniejsi — przekonywała go Petty, ale pokręcił głową.

Kilka ulic dalej usłyszał eksplozje kolejnych bomb. Dodało mu to sił i tak gwałtownie raz po raz szarpał klamkę drzwi, aż wreszcie je otworzył. Korytarz na zewnątrz był do połowy zasypany gruzem. Schody zawałyły się i poręcze niczym płot zagradały wyjście z piwnicy. Wokół wznosiły się sterty potrzaskanych cegieł oraz kawałków muru, niektóre jeszcze pokryte tynkiem i tapetą.

— Będziemy musieli odrzucić trochę gruzu, jeśli mamy wyjść — powiedział Josh. — Chodź tutaj i pomóż mi.

Poruszając do przodu i do tyłu fragmentami drewnianej poręczy, zdołał wyłamać trzy z nich i odrzucił je na bok. Zgarbiony jak Quasimodo wygramolił się przez tę dziurę z piwnicy na korytarz. Poślizgnął się na stercie mialu i potrzaskanych naczyń. Z połowy ozdobionego wzorem wierzbowych gałązek spodeczka spojrzała na niego jasnoniebieskimi oczami twarzyczka lalki. Obok leżał cedzak do warzyw i notes z opalonymi brzegami.

— Chodź, Petty — zachęcił dziewczynę Josh. — Pomóż mi.

Niezgrabnie wygramoliła się za nim.

— Boże, co ci dranie zrobili z moim domem! — załkała. — To mój dom, ja tu mieszkam! Jakie mają prawo rozbijać wszystko w kawałki? Jakie prawo? Nic mnie nie obchodzi, czy oni są częścią imperium, czy nie!

Josh pomógł jej przedostać się między zwałami cegieł. Zdołali dotrzeć do frontowych drzwi, lecz były zatarasowane gmatwaniną przewodów elektrycznych, wieszakiem na kapelusze oraz połamaną deską do prasowania. Rozplatanie tego wszystkiego i odrzucenie tyłu cegieł, aby uchylić drzwi na kilka centymetrów, zajęło Joshowi ponad dziesięć minut.

— To nie potrwa długo... Daj mi jeszcze chwilkę, a poszerzę otwór tak, żebyśmy mogli się przecisnąć.

Na zewnątrz niebo jaśniało, ale wciąż słyszeli odległe pomruki eksplozji. Josh oburącz chwycił frontowe drzwi i szarpał nimi raz po raz, aż poszerzył szparę na tyle, aby mogli wsunąć w nią głowę i ramiona.

— Gotowe. Już nas tu nie ma.

Przecisnął się przez otwór, na ulicę. Petty poszła w jego ślady, rozdierając sobie sukienkę o ostrą drzazgę sterczącą z futryny. Rozejrzeli się wokół. W szarym złudnym świetle przedświt wyglądali, jakby stali na scenie, zamierzając odegrać epizod sztuki o końcu świata. Drury Lane zmieniła się w dwie równoległe pryzmy cegieł, oświetlane blaskiem pożarów. Josh nie poznał ulicy, po której szedł zaledwie kilkanaście godzin wcześniej. Znikły kina, sklepy i domy. Nie zostało nic prócz gruzów, potrzaskanych dachówek, rozbitych kominów, poskręcanych schodów przeciwpożarowych i połamanych krokwi. Wszędzie szalały pożary i unosił się gryzący dym.

— Jak się czujesz? — zapytał Petty.

Dygotała, ale kiwnęła głową.

— W porządku. Tylko chciałabym, żeby już było po wszystkim.

Josh objął ją ramieniem.

— Koguty i czekolada?

Zdobyła się na uśmiech.

— Właśnie. Koguty i czekolada.

— Myślę, że powinniśmy znaleźć jakieś schronienie.

— A co z twoim przyjacielem? Tym, którego chciałeś znaleźć?

— Z Johnem Farbelowem? Nawet nie wiem, czy on istnieje w tym Londynie. A nawet jeśli tak, to może nie być tym samym facetem.

— No cóż, coś powinniśmy zrobić. Nie możemy wrócić do twojego Londynu?

— Możemy. Przynajmniej taką mam nadzieję. Jednak jeszcze nie teraz. Musimy poczekać do pierwszej w nocy.

— Och, cudownie. A co będziemy robić do tego czasu?

Josh przystanął i nadstawił uszu.

— Słyszysz coś? — zapytał Petty. Zmarszczyła nos.

— Na przykład co?

— Na przykład werble.

— Mnie nie pytaj. Po ostatnim wybuchu prawie nic nie słyszę.

Josh nadal nasłuchiwał, ściskając rękę Petty. Słyszał jadące ulicami wozy strażackie, wściekle podzwaniające dzwonekami. Icichnący warkot dziesiątków ciężkich bombowców, okrążających wschodni Londyn w drodze powrotnej do baz w Normandii. Jednak słyszał jeszcze coś. Werble. Ra-ta-ta-ta! Ra-ta-ta-ta! A także szczekanie psów i świdrujące gwizdy psiarczyków.

— O Boże! — jęknął. — Nie wierzę własnym uszom. To Zakapturzeni.

— Zakapturzeni? A co to za jedni, do licha?

— Później ci wyjaśnię. Wynośmy się stąd w cholerę.

Złapał Petty za rękę i pokłusował na północ, w kierunku High Holborn, gdzie płonęły samochody. Po chwili Petty wykrztusiła:

— Nie mogę, Josh. Już nie mogę biec.

— Musisz. Czy wiesz, co oni mogą ci zrobić?

Zwolniła jeszcze bardziej.

— Nic mnie nie obchodzi, co ze mną zrobią. Nie pobiegnę dalej. Nie mogę.

Josh stanął przy niej. Werble warczały coraz głośniejsze i wyraźniejsze. Psy ujadały entuzjastycznie, najwidoczniej zwietryły ich zapach.

— Chodź — popędził Petty. — Zabijają nas, jeśli nas złapią.

Pociągnął ją za sobą, niechętnie szurającą bosymi nogami po ziemi. Ulicę przed nimi zasnuły kłęby dymu z płonącego biurowca.

— Szybciej, skryjemy się w tym dymie.

— Josh, proszę, ja już nie mogę.

— Chodź, dasz radę.

Zanim jednak dotarli pod osłonę dymu, znów usłyszeli werble, tym razem z przodu. Josh stanął i odwrócił się. Z tyłu nadal słychać było bębnienie. Kiedy ponownie się obrócił, ujrzał przed sobą mężczyzn wyłaniających się z dymu: dobosza z bębniem, w który niestrudzenie łomotał, dwóch psiarczyków z bulterierami na smyczach i wysokiego draba w kanciąstym czarnym kapeluszu oraz płóciennej masce zasłaniającej twarz. Zmierzając ku nim, zamaskowany mężczyzna wymachiwał mieczem, jakby wycinał sobie ścieżkę w zbożu.

— Czy to jest Zakapturzony? — zapytała Petty, ściskając ramię Josha.

Skinął głową. Z tyłu słyszał coraz głośniejsze bicie bębnow i podniecone ujadanie psów.

— Co to za jedni? Co chcą z nami zrobić?

— Nie wiem. To mnie szukają. Widocznie przyszli tu za mną.

Nie było sensu uciekać. Josh wiedział, że psy dopadłyby ich, zanim przebiegliby piętnaście metrów. Mógł tylko stać i czekać na podchodzącego Zakapturzonego, za którym szli jeszcze dwaj ludzie w kapturach.

— No, panie Winward — powiedział Zakapturzony ochryłym, zduszonym głosem. — Mamy pana.

— Dlaczego mnie ścigacie, do diabła?

— Czy morderstwo to niewystarczający powód?

— Nikogo nie zabiłem. Nie mam nic wspólnego z tym, co zrobili ci, którzy mnie uwolnili.

— Niech pan da spokój, panie Winward. Morderstwo zostało popełnione podczas napadu na samochód, którym pana wieziono. To czyni pana współodpowiedzialnym.

— Mówiłem wam, że nie zamierzam sprawiać kłopotów. Gdybyście mnie puścili...

Zakapturzony podniósł miecz i dwukrotnie ukłął Josha w pierś. Ostrze nie przebiło koszuli, ale Josh poczuł szturchnięcia.

— Jest pan kłamcą, wywrotowcem i mordercą. Jednym ze szczurów, które żerują w kanałach pod naszym społeczeństwem, roznosząc plagę buntu i niewiary. Niech mi pan wierzy, zapłaci pan za to.

Drugi Zakapturzony podszedł do Petty i złapał ją za rękaw sukni.

— A co to za kurwa?

— Nie ruszaj tej dziewczyny. Puść ją. Ona nie ma z tym nic wspólnego.

— Sam to sprawdzę. Oboje pójdziecie z nami.

— Niestety nie mogę. Jestem tu dopiero od pierwszej. Nie mogę wrócić do waszego Londynu. Nie wcześniej niż za siedem godzin.

— Nie zabieramy was tam — powiedział Zakapturzony. — Mamy dom tutaj, jak w każdej rzeczywistości, którą odwiedzamy. No, ruszajmy!

Ponownie dźgnął Josha, tym razem w ramię. Potem jeszcze raz i znowu, i w końcu ostrze przebiło skórę.

— Powiedziałem, że ruszamy, no nie? W drogę.

Jeszcze dwa razy szturchnął Josha, lecz ten miał już dość. Nigdy nie był szczególnie odważny, nawet kiedy służył w *marines*, jednak teraz nagle poczuł gwałtowny przypływ energii, jakiego nie doświadczył jeszcze nigdy w życiu. Częściowo było to spowodowane gniewem, rozgoryczeniem i poczuciem krzywdy. Ale nie tylko. Po prostu przestał się bać. Nie obawiał się już Zakapturzonych. Nie bał się ich mieczy, psów, niczego.

Bez namysłu zrobił unik i chwycił Zakapturzonego za przegub. Wykręcił mu rękę i wyrwał z niej miecz. Potem łokciem uderzył go w pierś. Pod szorstką tuniką poczuł kościstą klatkę piersiową, w której coś trzasnęło pod ciosem. Zakapturzony osunął się na kolana. Dwaj pozostali

wyjęli miecze, a jeden krzyknął:

— Psy! Poszczujcie go psami!

Josh przyłożył Zakapturzonemu miecz do gardła i wrzasnął:

— Stać! Jeśli spuścicie psy, utnę mu łeb! Przysięgam!

Ku własnemu zdumieniu uświadomił sobie, że mówi poważnie. Zakapturzeni również musieli to wyczuć, bo znieruchomieli i jeden z nich ostrzegawczym gestem powstrzymał psiarczyków.

Josh chwycił Zakapturzonego za kołnierz i szarpnięciem postawił go na nogi. Jeniec był ciężki i bezwładny, jakby miał wszystkie części ludzkiego ciała, kości i wnętrzności, ale poskładane na chybił trafił. I roztaczał dziwny zapach — mdlącosłodki, kojarzący się z gnijącymi brzoskwiniami. Josh szturchnął go końcem miecza w plecy i warknął:

— Teraz twoja kolej. Ruszaj, przyjacielu. I ostrzegam cię, że zginiesz, jeśli spróbujesz sprawiać mi kłopoty.

Powoli cofał się, oddalając się od Zakapturzonych, psiarczyków i doboszy. Petty zawahała się, ale Josh ponaglił ją:

— Chodź, Petty. Wynośmy się stąd.

Poszła za nim i razem wycofywali się ulicą w kierunku kłębow dymu, który wciąż buchał z płonącego biurowca. Zakapturzeni pozostali tam, gdzie byli, tylko jeden z doboszy zaczął wybijać ostry, groźny rytm, jakby przygrywając skazańcowi prowadzonemu na szafot.

— Nigdy nam nie ujdiesz — powiedział ich jeniec. — Będziemy cię ścigać nawet na końcu świata. Na końcu każdego ze światów.

— Zamknij się — warknął Josh i jeszcze mocniej szarpnął go za kołnierz.

Weszli w dym i po chwili stracili z oczu dwóch pozostałych Zakapturzonych, chociaż wciąż słyszeli natrętny werbel. Dym był gorący i pełen latających iskier. Niósł silną woń palonej politurę, od której łzawiły oczy. Petty zaczęła kaszleć i nawet Zakapturzony ze świstem chwycił oddech.

— Jak tylko się przedostaniemy, masz pobiec — powiedział Josh do Petty.

Zakaszła, kiwnęła głową i machnęła ręką.

— Zapłacisz za to — wychrypiał Zakapturzony. — Przysięgam, że będziesz błagał o śmierć, która uwolni cię od cierpień.

Josh zignorował go i zaciągnął aż do następnej przecznicy, gdzie dym zaczął rzednieć. Tam puścił jeńca i odepchnął go. Zakapturzony zatoczył się, robiąc dwa lub trzy kroki, i przez moment Josh miał wrażenie, że upadnie. Ale mężczyzna wyciągnął nagle długi sztylet i rzucił się na niego, usiłując pchnąć go w prawy bok.

Sztylet przeszył powietrze, bo Josh odsunął się w lewo. Kiedy machnął mieczem, Zakapturzony odskoczył, zastawił się i próbował ciąć w przegub Josha. Ostrza zderzyły się ze szczękiem. Zakapturzony obrócił się na pięcie, usiłując kopnąć z półobrotu. Josh raz po raz zadawał ciosy, jednak miecz ze świstem przecinał powietrze.

Zakapturzony wykonał unik w prawo, potem w lewo, a potem niespodziewanie przetoczył się po ziemi i wykonał pchnięcie wymierzone w kolana przeciwnika. Josh zdążył odskoczyć i znowu machnął mieczem. Chciał tylko odparować cios, lecz w tym momencie Zakapturzony zaczął podnosić się z ziemi. Ostrze z głuchym trzaskiem uderzyło go w kark, przecinając płócienny kaptur i prawie zdejmując głowę z ramion. Trafiony runął na jezdnię, z jego szyi trysnął szkarłatny gejzer krwi. Podniósł rękę, usiłując zacisnąć ranę i powstrzymać krwotok, ale już nie mógł zrobić. Zacharczał straszliwie, bijąc ziemię rękami i kopiąc nogami w agonii.

— O mój Boże! — jęknęła Petty. — Chyba się porzygam.

Josh cofnął się, spowity kłębami dymu. Boże Wszechmogący, zabił człowieka, w dodatku zrobił to mieczem. Sam nie wiedział, czy czuje się jak średniowieczny rycerz, czy jak

maniakalny zabójca. W każdym razie było to dziwne uczucie.

— Powinniśmy uciekać — powiedziała Petty, niespokojnie zerkając w kierunku, z którego dochodził terkot werbli. — Nie mów mi, że nie będą nas szukać.

— Tak — odparł. — Masz całkowitą rację. Powinniśmy uciekać.

— No to biegnijmy, do kurwy nędzy!

Josh kiwnął głową. Jednak z jakiegoś powodu nie mógł zostawić tego drgającego jeszcze ciała. Podeszedł do Zakapturzonego i stanął nad nim. Płócienna maska była nasiąknięta krwią, a głowa przekrzywiona pod niewiarygodnym kątem. Odrobinę silniejszy cios odrąbałby ją całkowicie.

— Proszę! — błagała Petty. — Chodźmy stąd!

Josh trącił końcem miecza pierś Zakapturzonego, a potem ostrożnie zaczął rozcinać bok płóciennej maski.

— Co robisz? — zaniepokoiła się Petty.

— Chcę go sobie obejrzeć — odparł Josh. — Chcę wiedzieć, jak naprawdę wygląda taki drań pod maską.

Ciął dalej. Materiał był stary i sparciały, więc przeciął go bez trudu. Potem, nadal używając końca miecza, ściągnął zabitemu kaptur i odrzucił go na bok.

— O mój Boże — wymamrotała Petty. Nawet Josh patrzył tylko przez chwilę, po czym odwrócił się.

## ROZDZIAŁ 22

Nancy weszła do rozbrzmiewającego echem holu Wheatstone Electrics i różnym krokiem podeszła do kontuaru recepcji.

— W czym mogię pomóc? — zapytała dziewczyna za biurkiem o marmurowym blacie. Nosila opięty wełniany zakieciak i plastikowe grzebień we włosach.

— Nie jestem umówiona. Może jednak pan Mordant znalazłby dla mnie chwilę czasu.

— Pan Mor-dant? No, nie wiem. Pan Mordant przyjmuje tylko u-mó-wio-ne osoby.

— Mimo wszystko może mogłaby go pani zawiadomić, że tu jestem.

Dziewczyna zmierzyła Nancy wzrokiem, a potem prychnęła:

— Chyba mogię spróbować, ale traci pani czas. Pan Mordant zawsze jest zarobiony po uszy.

— Zarobiony?

— No, taa. To tu, to tam.

— Cóż — powiedziała Nancy. — Ze mną ostatnio jest tak samo.

Dziewczyna wepchnęła wtyczkę w gniazdko staroświeckiej centrali, zadzwoniła i po kilku chwilach powiedziała:

— Pan Mordant? Tu Brenda z recepcji. Mam tu jakąś młodą damę, która chce się z panem widzieć.

— Nancy Andersen.

— Nazywa się Nancy Andersen. Właśnie. Nie, nie pytałam. Nie.

Recepcjonistka zakryła dłonią słuchawkę i zapytała:

— O co chodzi?

— Proszę mi powiedzieć, że jestem przyjaciółką Julii Winward.

Recepcjonistka wywróciła oczyma.

— Mówi, że jest przyjaciółką Julii.

Znów słuchała przez chwilę, a potem oznajmiła:

— Zaraz tu zjeździe. Taa. Może zechce pani usiąść. Nancy usiadła w dużym brązowym fotelu w stylu art deco, obok stolika ze szklanym blatem, na którym leżały rozłożone egzemplarze „Advanced Electrics” oraz „Grid & Generators Monthly”.

Nie musiała długo czekać. Frank Mordant prawie natychmiast zszedł na dół. Winda brzęknęła i wyszedł do holu. Miał na sobie białą koszulę, spodnie w prążki i bardzo błyszczące lakierki. A więc to jest ten straszliwy Frank Mordant, pomyślała Nancy. Ten szczerkowy facecik z przystrzyżonym wąsikiem i wybrylantynowanymi włosami. No cóż, a któż by pomyślał, patrząc na zdjęcia Teda Bundy czy Syna Sama, że...

— Panno...? — rzekł z uśmiechem, przechodząc przez hol i wyciągając rękę.

— Andersen. Nancy Andersen.

— No, no — powiedział, siadając obok niej na kanapie i niedbale kładąc rękę na oparciu, tak że wyraźnie poczuła woń jego potu. — A więc znała pani Julię. Piękna dziewczyna. Bardzo żałowałem, że odeszła.

— Nie wie pan czasem, co się z nią stało? Już parę tygodni temu powinnam dostać od niej list, a tymczasem nie mam od niej żadnych wieści.

— Nie wiem. Jednego dnia była tu, wesola jak szczygiełek, a następnego dnia znikła. Po prostu nie pokazała się w pracy, i tyle. Próbowałem dzwonić do niej do domu, ale jej gospodyni powiedziała, że się wyprowadziła. Może miała jakieś problemy osobiste. Naprawdę nie wiem.

— Nie zgłosił pan jej zniknięcia?



— Po co? W końcu była dorosła.

— Nie sądzi pan, że mogło jej się coś stać?

— Na przykład co?

— No, cokolwiek. Julia była jedną z moich najlepszych przyjaciółek. Nie znikłaby, nie mówiąc mi, dokąd się udaje.

Frank Mordant oglądał swoje zadbane paznokcie.

— Jest pani Amerykanką, prawda?

— Na sto procent.

— Jakiż to sztandar o brzasku znajomy?

— Gwiazdy i paski Stanów Zjednoczonych.

Frank Mordant spojrział na nią z zimnym uśmiechem.

— Nie pochodzi pani stąd, prawda?

— Słucham...?

— Och, próbowała pani. Ten tweedowy kostium. Buty. Jednak ja zawsze poznam. Nie takie włosy. Niewyskubane brwi. Za dobrze pani pachnie i jest zbyt pewna siebie. Tutaj jest jak w Anglii z lat trzydziestych. Kobiety nie są pewne siebie. Niech pani pamięta, że tu nie było wojny. Nie jeździły karetkami, nie pracowały w fabrykach amunicji i nie utrzymywały rodzin.

Przez chwilę spoglądał na nią, nie przestając się uśmiechać, a potem dodał:

— W tym świecie, moja droga, Stany Zjednoczone Ameryki Północnej nie istnieją i nigdy ich nie było. Są tylko dość bogatą prowincją brytyjskiego imperium. Rozpoznałabyś je, gdybyś poleciała sterowcem i rozejrzała się tam. Podobny akcent, podobna kultura. Robią samochody w Detroit i filmy w Hollywood. Ale są bardziej kastowym społeczeństwem, tak samo jak my. I dzięki Bogu nie wymyślili hamburger.

— Proszę posłuchać — powiedziała Nancy — naprawdę martwię się o Julię. Miałam nadzieję, że pan mi pomoże.

— Oczywiście.

Frank Mordant roztaczał tak złowrogą aurę, że Nancy przeszedł dreszcz. To był ten rodzaj mrocznej osobowości, jaką jej dziadek nazywał „wronimi piórami”. Aura ścierwojada, wielkiego czarnego ptaka żywiącego się trupami królików oraz susłów na autostradzie, leniwie podrywającego się do lotu dopiero wtedy, kiedy już miałeś go przejechać. Chciwy, nadęty drań, rozsiewający wokół zło.

— Dwa lub trzy razy spotkałam się z Julią w Londynie — skłamała. — Opowiedziała mi o Wheatstone Electrics i o panu, oraz o tym, jak bardzo podoba jej się ta praca.

— Naprawdę? Spotkała ją pani? Nawet nie mówiła mi, że wróciła.

— Och, tak. Powiedziała mi o drzwiach i o świecach. Oczywiście z początku jej nie uwierzyłam, ale kiedy spotkałyśmy się ponownie, pokazała mi to.

— Pokazała?

— Właśnie. Zapaliła świece, wyrecytowała wierszyk i zniknęła.

— Cóż, muszę przyznać, że nigdy mi o tym nie mówiła. Nie powiedziała, że wróciła. W końcu jednak byłam tylko jej pracodawcą, czyż nie? Dopóki była zadowolona i wykonywała swoje obowiązki.

— Och, na pewno była zadowolona. Naprawdę lubiła tu pracować. Powiedziała, że pomogło jej to przezwyciężyć różne urazy. Jakby rozpoczęła nowe życie, wie pan? Dlatego tak się o nią martwię.

— Nie wiem, czy potrafię pani pomóc. Wydawało mi się, że jest zadowolona. Kiedy pewnego ranka nie przyszła do pracy, co miałem robić? Nie mogłem pójść na policję, ponieważ w tym świecie właściwie nie istniała. Założyłem, że wycofała się... spakowała walizki i wróciła na łono

rodziny.

— Nie ma jej w domu — powiedziała Nancy — i nikt z rodziny nie miał od niej żadnej wiadomości.

Frank Mordant zaczął wyciągać palce, trzaskając stawami. Ani na moment nie odrywał oczu od Nancy.

— Te poszukiwania Julii... to nie jest tylko pretekst, hm?

— Co ma pan na myśli?

— Chyba nie ucieka pani przed czymś? Julia uciekała przed jakimś nieudanym związkiem, szukała zapomnienia oraz spokojnego i dochodowego zajęcia. A przed czym ty uciekasz, kochanie?

— Nie jestem pana kochaniem.

Frank Mordant wyciągnął rękę i poklepał ją po udzie.

— Och, w tym świecie jesteś. Szczególnie jeśli chcesz awansować. Oni nie słyszeli o prawach kobiet i prawdopodobnie nie usłyszą jeszcze przez co najmniej czterdzieści lat. Miejsce kobiety jest w domu, przy gotowaniu posiłków, zmienianiu pieluch i czyszczeniu pieców. Ewentualnie przy maszynie do pisania.

Nancy próbowała się uśmiechnąć, chociaż wargi zupełnie jej zdrętwiały.

— Pewnie ma pan rację. Może szukam swego rodzaju ucieczki. Miejsca, gdzie mogłabym wylizać rany i pozbierać myśli.

— No to trafiłaś pod właściwy adres. A jeśli szukasz pracy... myślę, że za dzień lub dwa mógłbym znaleźć wolny etat. Rozumiem, że umiesz pisać na maszynie? I posługiwać się telefonem z obrotową tarczą? A co wiesz o bezpiecznikach?

— Naprawdę znajdzie mi pan pracę?

— Po to tu przyszedłaś, prawda? Z tą łzawą historyjką o Julii. Jestem przekonany, że Julia ma się doskonale, gdziekolwiek jest. Z tobą będzie tak samo, kiedy przepracujesz tu trzy lub cztery miesiące. Uwierz mi, tutaj żyje się zupełnie inaczej. Powoli, spokojnie. A zarobki są całkiem niezłe. Jeśli zechcesz, pomogę ci też znaleźć mieszkanie.

— Nie mam pieniędzy. Hm, właściwie mam. Złotą kartę Amexu. Nie mam jednak niczego, czym mogłabym tutaj płacić.

Frank Mordant ujął lewą rękę Nancy, podniósł i obejrzał jej zegarek.

— To Maurice Guerdat. Jak sądzisz, ile jest wart?

— Nie wiem. Dwa lub trzy tysiące dolarów.

Sięgnął do kieszeni spodni i wyjął brązowy portfel ze skóry węża.

— Masz... Dam ci za niego trzydzieści funciaków. Wyciągnął dwa banknoty dziesięcio-, jeden pięcio- oraz pięć jednofuntowych.

— Chce mi pan dać trzydzieści funtów za zegarek wart trzy tysiące dolarów?

— Nazywamy to wymianą barterową. Ja musiałem zrobić to samo, kiedy pierwszy raz tu przybyłem. Sprzedałem praktycznie wszystko, co miałem. Zegarek, pierścionki, wszystko. I nie kręć nosem na te trzydzieści funtów. Nie zapominaj, że za trzysta pięćdziesiąt możesz tu kupić ładny domek.

Nancy wahała się. Josh kupił jej ten zegarek, kiedy zgodziła się z nim zamieszkać. Uznała jednak, że to zrozumie, szczególnie jeśli udałoby się jej sprowadzić Franka Mordanta. Niechętnie zdjęła zegarek i oddała go.

— W porządku — powiedział Frank Mordant. — Teraz muszę tylko znaleźć ci jakąś kwaterę. Mam małe mieszkanie nad pubem w Chiswick. Teraz mieszka tam moja obecna sekretarka, Sandra, ale opuści nas pojutrze. Jeśli jesteś zainteresowana...

— Brzmi doskonale. A gdzie mam zamieszkać do tego czasu?

— Tutaj. — Frank Mordant wyjął wieczne pióro i na marginesie gazety „Electronics News” napisał nazwę hotelu. — „The Sheffield” to mały hotel w połowie Drogheda Street w Fulham — oświadczył. — Znam właścicielkę, panią Watson. Zajmie się tobą.

— Jest pan bardzo uprzejmy.

— Nie ma o czym mówić. Zawsze lubię uważać się za dobrego Samarytanina. — Wstał i wyciągnął rękę. — Tymczasem może uda mi się dowiedzieć czegoś o Julii. Byłoby miło, gdybyście się spotkały, prawda?

— Tak, bardzo miło. Recepcjonistka zadzwoniła po taksówkę.

— Do Fulham, tak? — zapytał taksówkarz, kiedy usiadła na tylnym siedzeniu.

— Nie. Proszę zawieźć mnie do British Museum.

— Pani tu rządzi.

Na Cromwell Street były korki i dojazd do Bloomsbury zajął im czterdzieści pięć minut. Ranek był ciepły i wietrzny i w centrum Londynu wiatr unosił lśniące złote igły suchego końskiego nawozu. Nancy zauważyła po drodze dwóch obserwatorów, jednego stojącego na rogu przy Knightsbridge, a drugiego na Leicester Square. Zasłoniła dłonią twarz na wypadek, gdyby znali jej rysopis i wypatrywali właśnie jej.

Zapłaciła taksówkarzowi, który wydał jej garść wielkich brązowych pensów i grubych trzypensówek. Przeszła przez ulicę i poszła w kierunku wejścia do British Museum, przez które Simon Cutter zaprowadził ich do Johna Farbelowa. Jednak zbliżając się tam, zauważyła jakieś zamieszanie. Na ulicy stał gęsty tłum, a przy krawężniku pięć karettek.

Zwolniła kroku. Nad głowami tłumu zobaczyła czarne kapelusze Zakapturzonych i psiarczyków. Było ich co najmniej siedmiu lub ośmiu. Z mocno bijącym sercem ponownie przeszła przez ulicę i stanęła za skrzynką pocztową. Trudno było dostrzec, co się tam dzieje. Słychać było jakieś wrzaski krzyki, które nagle ucichły. Zakapturzeni przeszli przez tłum, który rozstał się przed nimi na boki. Stanęli razem, otoczeni przez psiarczyków, jakby na coś czekali.

Jakaś stara kobieta w żółtej kwiciastej sukni zatrzymała się obok Nancy i pokręciła głową.

— Tak trzeba z nimi postępować — powiedziała. — Zawsze mówię, że trzeba dać im popalić.

— Co się dzieje?

— Słyszałam, że to wywrotowcy. Kaptury przyszły ich aresztować, a oni stawiali opór.

Nancy poczuła, że ogarnia ją przerażenie. Przyszła tu upewnić się, że udało im się uratować Josha. Modliła się do wszystkich duchów życia i szczęścia, żeby go już tu nie było.

W tłumie rozległy się pomruki i spontaniczne oklaski. Z piwnicy muzeum wyszli po schodach dwaj sanitariusze, niosąc płócienne nosze. W pierwszej chwili Nancy niczego nie mogła zobaczyć, ale potem tłum rozstał się trochę i ujrzała młodego człowieka, zalanego krwią. Jedną rękę miał zwieszoną z noszy i krew kapłała mu z palców, pozostawiając zawyły wzór na chodniku.

Pojawili się następni dwaj sanitariusze, niosąc następne ciało, tym razem dziewczyny. Z początku Nancy myślała, że tamta ma rude włosy, ale zaraz zrozumiała, że były jasnoblond, tylko zlepione krwią. Cios miecza trafił ją w nasadę nosa, przecinając twarz.

Sanitariusze krążyli tam i z powrotem i w ciągu dwudziestu minut wynieśli osiemnaście ciał. Tłum witał każde szmerem aprobaty, a nawet wiwatami. Nancy nie widziała nikogo podobnego do Josha czy Johna Farbelowa, ale wydawało jej się, że rozpoznaje Chinkę, która otworzyła im drzwi, oraz jedną czy dwie inne osoby.

Kiedy wszystkie karetki odjechały, ostro pobrzękując dzwonkami, Zakapturzeni kazali tłumowi rozejść się i odeszli, maszerując w takt głośnego, agresywnego bicia bębnow. Nancy poszła na Oxford Street, gdzie zatrzymała taksówkę, którą pojechała do Fulham.

Była mocno wystraszona i miała mdlące poczucie winy. Oczywiście wiedziała, że John Farbelow i jego młodzi wywrotowcy bardzo ryzykowali, podejmując próbę odbicia Josha, ale nie

przypuszczała, że Zakapturzeni zemszczą się tak straszliwie. Teraz jednak nic nie mogła zrobić. Nawet nie mogła przed wieczorem wrócić do „prawdziwego” Londynu.

Zaczynała tracić odwagę. Plan schwywania Franka Mordanta nie wydawał jej się już śmiały, sprytny i zuchwały, a nadmiernie ryzykowny.

Taksówka zatrzymała się przed nędznym czteropiętrowym budynkiem z żółtej cegły, z pomalowanymi na czerwono frontowymi schodami.

— To tutaj, panienko. Hotel „Sheffield”.

W środku był czerwono–złoty dywan o tak zawiłym wzorze, że mógł wywołać chorobę lokomocyjną, lustra w złożonych ramach, wazony z suchymi kwiatami, również pomalowanymi na złoty kolor, oraz wszechobecny zapach środka dezynfekcyjnego. Za kontuarem recepcji siedział młody blondyn w zielonym blezerku, rozwiązując krzyżówkę. Nawet nie spojrzął na wchodzącą Nancy, tylko poślinił wskazujący palec i odwrócił kartkę. W końcu Nancy powiedziała do niego:

— Polecił mi ten hotel Frank Mordant. Powiedział, że znajdę u was wolny pokój.

Młodzieniec zamrugnął oczami, jakby nie mógł pojąć, w jaki sposób udało jej się niepostrzeżenie podejść do recepcji.

— Pokój?

— To jest hotel, prawda?

— Oczywiście. Jaki rodzaj pokoju?

— Coś niewyszukanego. Zostanę tylko przez parę nocy.

— Hmm... — młodzian wyduł usta. — Nie wiem, czy mamy coś niewyszukanego.

— A więc co macie. Byle tylko z wanną.

Młodzieniec podsunął jej książkę meldunkową.

— Zechce pani wpisać się tutaj. Czy zje pani rano śniadanie? Owsiankę trzeba zamówić poprzedniego wieczoru.

— Nie, dziękuję. Żadnej owsianki.

— Czy to cały pani bagaż? — zapytał, ruchem głowy Wskazując torebkę Nancy. — Nie wolno nam meldować samotnych kobiet bez walizek. Takie są przepisy.

— Och, moje bagaże ma Frank Mordant. Przyniesie je później.

— Pokój numer jedenaście — powiedział, wręczając jej klucz. — Na samej górze, trzeci po prawej.

Nancy zaczęła wchodzić po wyłożonych dywanem schodach. Kiedy była w połowie, młodzian zawołał:

— Przepraszam!

Przystanąła.

— Czy nie zna pani ośmioliterowego słowa oznaczającego zakazaną posługę kościelną na polu bitwy?

— Nie, niestety. Nie znam. Nie umiem rozwiązywać krzyżówek.

— Ach tak. No nic. Tak tylko zapytałem.

Weszła do pokoju. Był duży i przestronny, z wysokim wiktoriańskim sklepieniem, ale zastawiony krzesłami i stolikami, które zmieniały go w tor przeszkód. Na ścianach wisiały lustra w złożonych ramach i oleodruki przedstawiające białe konie tańczące w falach, a łóżko było nakryte brązowo–białą kapą z tym samym zawiłym wzorem, co na dywanie.

Nancy zdjęła buty i usiadła przy irytująco małej toalecie z onyksowym blatem. W lustrze ujrzała swoją spokojną twarz, wcale nie zdradzającą dręczących ją obaw. Spojrzała sobie w oczy.

Jak możesz wyglądać tak spokojnie, kiedy tak się boisz? Jak możesz mieć tak obojętną minę, kiedy wynieśli zakrwawione ciała wszystkich tych młodych ludzi, a to tylko twoja wina?

Poczuła głód, ale wiedziała, że nie byłaby w stanie nic zjeść. Zdjęła płaszcz i powiesiła go w szafie. Potem położyła się na brązowo-białej kapie i próbowała odpocząć. Powtarzała sobie, że nie powinna panikować. Wymyśliła całkiem niezły plan, mający skłonić Franka Mordanta do powrotu z nią do „prawdziwego” Londynu, i jeśli zdoła go zrealizować, zbrodniarza aresztują i postawią przed sądem, Julia zostanie pomszczona, a Josh będzie mógł wrócić do Mill Valley i zapomnieć o Zakapturzonych, psach, doboszach i Strażnikach. Wczesnym popołudniem była już gotowa zrezygnować i wrócić do „prawdziwego” Londynu, gdy tylko Ziemia wykona pełny obrót. Teraz jednak postanowiła dokończyć to, co zaczęła. Kiedyś dziadek objął ją ramieniem i powiedział, że łowca nigdy nie wraca do domu z pustymi rękami.

„Nawet gdyby miało to zająć całą zimę, nigdy nie wracasz do rodziny bez zdobyczy na ramieniu. Po to myśliwy wychodzi na łowy. Na to czeka rodzina”.

Wciąż myśląc o dziadku i jego łagodnej, pomarszczonej twarzy, zapadła w sen i Ziemia obróciła się jeszcze bardziej.

Obudził ją dzwonek telefonu. Było jasno, ale Nancy nie miała pojęcia, która jest godzina. Telefon był białym aparatem ze złotą tarczą w stylu Regencji. Podniosła słuchawkę i spytała:

— Kto mówi?

— Panna Andersen! Tu Frank Mordant. Chyba pani nie zbudziłem? Czy pani wie, która jest godzina? Dziesięć po dziewiątej!

— Co takiego? Zaspałam.

— No nic, nie ma sprawy. Wiem, jak to jest, kiedy przechodzi się przez drzwi. Człowiek jest cały rozbity, jak no przelocie do innej strefy czasowej. Rzecz w tym, że chciałbym, aby rozpoczęła pani pracę trochę wcześniej. Na przykład dzisiaj.

— Dzisiaj?

— Mam nadzieję, że to pani nie przeszkadza. Chodzi o to, że Sandra zadzwoniła rano i powiedziała, że już nie przyjdzie. Sandra, moja sekretarka. Wie pani, jakie są te młode dziewczyny. Pewnie ma jakieś kłopoty ze swoim chłopakiem. Tylko że zostawiła mnie na lodzie. Pomyślałem, że mogłaby pani ją zastąpić i pomóc mi. Jestem zupełnie zawałony robotą.

— Sama nie wiem, panie Mordant. To trochę niespodziewane...

— Tak, owszem. Rozumiem panią. Ale praca jest nieskomplikowana i jestem pewny, że poradzi sobie pani. Szczególnie że mieszkanie jest już puste i w każdej chwili może się pani wprowadzić.

— Chce pan powiedzieć, że Sandra już się wyprowadziła?

— No właśnie. Odeszła bez słowa. Nawet nie zostawiła mi adresu. Nieładnie, nieprawdaż? Gdyby przyjechała pani teraz, moglibyśmy rzucić okiem na to mieszkanie.

Nancy wstała. Nie spodziewała się, że tak szybko nadarzy jej się okazja, by zrealizować plan. Poczuła gwałtowny przyływ adrenaliny.

— Proszę dać mi godzinę — odparła.

— A więc umowa stoi. O dwunastej trzydzieści mam lunch z facetem z komisji węglowej i chciałbym uporać się z tym do tego czasu. Proszę wziąć taksówkę. Na koszt Wheatstone.

Nancy włożyła garsonkę i kremową jedwabną bluzkę, którą miała w torbie. Wiedziała, że jeszcze może się wycofać. Wystarczyłoby zaczekać trzy i pół godziny, a mogłaby przejść z powrotem przez drzwi i zapomnieć o istnieniu Franka Mordanta oraz Zakapturzonych. Jednak oznaczałoby to że morderca Julii pozostanie bezkarny i nigdy nie zdołałaby powstrzymać Josha, który z pewnością wróciłby tutaj i postarał się, aby Frank Mordant dostał to, co mu się należało.

Widziała, jacy mściwi są Zakapturzeni. Nie pozwoliliby Joshowi wymknąć się ponownie.

Poza tym, gdyby wróciła teraz do „prawdziwego” Londynu, kto wie, ile jeszcze nieszczęsnych młodych kobiet takich jak Julia zabiłby i okaleczył Frank Mordant? Sandrę prawdopodobnie spotkał podobny los.

Zatrzymała taksówkę na rogu Munster Road. Był jeden z tych mglistych ranków, kiedy wszystko wydaje się lekko niewyraźne. Taksówkarz przez całą drogę na Great West Road ani na moment nie przestawał mówić. Uważał, że wszyscy kolorowi powinni wrócić tam, skąd przyszli, a parlament powinien przywrócić karę śmierci przez ścięcie.

— Wbijać głowy na pał, powiadam. Ku przestrodze.

Przy Chiswick Flyover stracili prawie dwadzieścia minut. Prywatny sterowiec uderzył w jedno z przeseł wiaduktu. Kiedy taksówka powoli przejeżdżała obok, Nancy zobaczyła tkwiącego we wraku mężczyznę. Trudno było powiedzieć, gdzie kończył się człowiek, a zaczynała maszyna.

Kiedy otworzyła drzwi gabinetu, Frank Mordant rozmawiał przez telefon, ale skinął na nią, żeby weszła.

— Nie, Malcolmie — mówił. — To nie wchodzi w rachubę. No cóż, powiedz mu, że niżej nie zejść. Dziewięć pensów za sztukę? Za kogo on mnie ma? Za Świętego Mikołaja?

Odłożył słuchawkę na widełki i wyciągnął się w fotelu.

— No cóż — rzekł. — Przyjechała pani w samą porę.

— Nie mogę się doczekać, kiedy zacznę.

— Jak już mówiłem, praca jest bardzo prosta. Typowo biurowa. Pisanie na maszynie, prowadzenie akt i tak dalej. Pisała pani kiedyś na zwykłej maszynie do pisania? To dobre ćwiczenie dla palców, mówię pani.

— Z pewnością się przyzwyczaję.

— To świetnie. — Zerknął na zegarek i oświadczył: — Akurat mamy chwilę czasu, żeby obejrzeć mieszkanie. Jeśli się pani spodoba, może pani wprowadzić się choćby dziś. Jeśli nie... proszę się nie krępować i powiedzieć mi to. Zawsze mogę pomóc pani znaleźć coś innego.

Sprowadził ją na dół i na parking, gdzie otworzył przed nią drzwiczki armstronga-siddeleya.

— Nawiasem mówiąc — powiedział, gdy wyjeżdżali i bramy fabryki — trochę popytałem tu i ówdzie o Julię.

— To miło z pana strony.

— Rozmawiałem z jej gospodynią, na wypadek gdyby wróciła po swoje rzeczy, ale obawiam się, że to próżne nadzieje.

Ty kłamco, pomyślała Nancy, przypominając sobie wiszące nad wanną ciało pani Marmion. Do tej pory na pewno już ją znaleziono i pochowano.

— Rozmawiałem też z jej koleżankami z biura. Jedna z nich powiedziała, że Julia zawsze chciała pojechać do Szkocji, więc może tam wiedzie ślad.

— Rozumiem — odparła Nancy — ale Szkocja jest duża, prawda?

— Nigdy nic nie wiadomo. Jeśli kupiła bilet na King's Cross, ktoś mógł ją zapamiętać.

— Daleki strzał.

— Być może. Jednak wczoraj wieczorem skontaktowałem się ze starym znajomym ze Scotland Yardu, żeby sprawdzić, czy czegoś nie wiedzą.

Dojechali do pubu „Sir Oswald Mosley” i Frank Mordant zaparkował przed lokalem.

— Jak mówię wszystkim dziewczynom... tu jest trochę hałaśliwie, ale tanio i blisko do biura.

— Wszystkim dziewczynom?

— One przychodzą i odchodzą. Łódki płynące po rzece życia, jeśli wolno użyć takiego poetyckiego porównania.

— Oczywiście.

Otworzył drzwi i poprowadził ją schodami na górę.

— Tu jest zacisznie... Pomieszczenia są wyciszone specjalną warstwą izolacyjną, żeby nie było słycać hałasów z pubu. Myślę, że można tu wrzeszczeć ile sił w płucach, a nikt nie usłyszy. Minał kuchenkę i wszedł do stołowego.

— Ładne mieszkanie — pochwaliła Nancy, ale i ona nie mówiła prawdy. W chwili gdy weszła do tego pokoju, wyczuła rozpacz, ból i okrucieństwo. W tym pomieszczeniu umierali ludzie, w dodatku umierali w straszliwych cierpieniach. To nie była tylko mroczna aura, lecz atmosfera czystego, niemal namacalnego przerażenia.

Z uśmiechem sprzedawcy Frank Mordant otworzył drzwi sypialni. Nancy nie wyczuła tam żadnej złej aury. Wszystkie złe rzeczy, jakie działy się w tym mieszkaniu, wydarzyły się w pokoju stołowym.

— I co pani o tym sądzi?

— Podoba mi się. Ile pan sobie za nie liczy?

— Dla pani jeden funt piętnaście szylingów tygodniowo.

— Odejmovane od jakiej pensji?

— Siedemnaście funtów i piętnaście szylingów. Tak więc zostanie pani mnóstwo pieniędzy na rzeczy, które tak lubią kupować dziewczęta. Biustonosze, koronkowe paski do pończoch i tak dalej.

— Ja nie noszę koronkowych pasków do pończoch, panie Mordant — odparła ostro. — Wyszły z mody wraz z rewiami Ziegfielda.

Wiedziała, że nie powinna tego mówić. Chciała, by nadal uważał ją za słabą i bezbronną. Jednak Frank Mordant nie zauważył tego, a jeśli nawet, to nie zwrócił na to uwagi. Wszedł do kuchni, gdzie zaczął otwierać i zamykać szafki.

— Sandra zostawiła trochę rzeczy. Herbatę. Torebkę cukru. Kilka słoików dżemu jeżynowego.

— Mówił pan coś o znajomym ze Scotland Yardu...

— Och tak. Mówiłem. Ale nie z tego Scotland Yardu.

— Mówi pan o Scotland Yardzie za drzwiami?

— Właśnie. O New Scotland Yardzie. Zawsze staram się mieć przyjaciół w policji.

Serce zamarło Nancy w piersi.

— Pewnie będzie pan musiał zaczekać dwadzieścia cztery godziny na odpowiedź. No wie pan, trzeba czekać, aż Ziemia się obróci.

— Och, nie. Posłałem chłopca z wiadomością, a on parę godzin później przysłał tu innego. Tak porozumiewamy się przez drzwi. Wystarczy dać komuś kilka monet i tani kwarcowy zegarek. To działa prawie równie dobrze jak poczta elektroniczna.

Nancy nic nie powiedziała. Frank Mordant wyszedł do kuchni. Nadal uśmiechał się, lecz w oczach miał zimny, mściwy błysk.

— Mój kolega jest zwykłym krawężnikiem. Nie detektywem ani nikim takim. Jednak nie ma sobie równych, jeśli chodzi o zdobywanie wiadomości. Posterunkowy Bob Smart... nie tylko ma takie nazwisko, ale też jest sprytny. Właściwie nie wiem, po co ci to mówię, kochanie. Poznałaś go, kiedy razem z bratem Julii pojechaliście do szpitala zidentyfikować jej zwłoki.

Stał w korytarzu, zagradzając jej drogę do drzwi i na schody.

— Wiesz, jakie zadaję sobie pytanie? — ciągnął. — Dlaczego do mnie przyszłaś, udając, że szukasz Julii, jeśli dobrze wiedziałaś, że ona nie żyje? Dlaczego?

— Pomyślałam, że może wiesz, jak umarła — odparła Nancy, czując suchość w ustach.

— Co ty mówisz? Chyba nie chcesz powiedzieć, że to ja ją zabiłem, co?

— Jeśli nie, to dlaczego skłamałeś, mówiąc o gospodyni? Pani Marmion nie żyje i dobrze o tym wiesz. I po co powiedziałaś, że Julia mogła pojechać do Szkocji?

— Ponieważ wiedziałem, że ty wiesz. Chciałem sprawdzić, jak daleko się posuniesz. Co zamierzałaś zrobić? Wyciągnąć ze mnie zeznanie? Przeszukać moje biurko w poszukiwaniu obciążających dowodów? Spróbować zwabić mnie przez drzwi i oddać w ręce detektyw sierżant Paul? Chyba myślisz, że urodziłem się wczoraj.

— Zamordowałaś ją i zrobiłaś to tutaj, w tym pokoju. Powiesiłaś ją, sama widziałam. Widziałam, jak wierzgała nogami.

— Nie mogłaś tego widzieć.

Nancy przycisnęła czubki palców do skroni.

— Nie tylko Kaptury mają parapsychologiczne zdolności, panie Mordant. Widziałam, jak umarła Julia Winward i wiem, że pan to zrobił. Zamordował pan też przyjaciółkę Johna Farbelowa Winnie i Bóg wie ile innych dziewczyn. Na przykład, gdzie jest Sandra? Czy to nie dziwne, że zniknęła w tak dogodnej chwili, gdy tylko ja pojawiłam się na scenie?

Frank Mordant prychnął z rozbawieniem.

— Ściśle mówiąc, kochanie, Sandra wcale nie zniknęła. Dałem jej wolny dzień. Po tym, co usłyszałem od posterunkowego Smarta, chciałem dowiedzieć się, co zamierzasz. Teraz już wiem.

Powoli zacierał ręce.

— Problem w tym, że postawiłaś mnie w niezręcznej sytuacji. Gdybym pozwolił ci stąd uciec przez te drzwi, kto wie, jak mogłabyś mi zaszkodzić. Gdybym zatrzymał cię tutaj... no, tego też nie mogę zrobić. Jesteś poszukiwana przez Kaptury, ty i pan Winward. Działalność wywrotowa, spiskowanie i morderstwo. Wszystko było w gazetach. Na szczęście podali niezbyt dokładny rysopis. Według niego jesteś bardziej podobna do Daryl Hannah.

— Jakie morderstwo? Nic nie wiem o żadnym morderstwie.

— Och, to bardzo poważna sprawa. Zamordowano mistrza Thomasa Edridge'a, głównego pełnomocnika Strażników Czystości Wiary. Poderżnięto mu gardło, kiedy John Farbelow i jego banda uwalniali twojego chłopaka.

— Josh uciekł?

— Według tego, co piszą w gazetach, tak, chociaż Kaptury nadal go tropią. A twoja obecność tutaj powinna znacznie ułatwić im zadanie, prawda? Jestem pewien, że on nie zostawi cię tutaj własnemu losowi, no nie?

— Zejdź mi z drogi — warknęła Nancy, ruszając na niego.

— Nie masz szans, kochanie. Możesz równie dobrze pogodzić się z faktem, że ty i twój chłopak będziecie musieli się poddać.

— Powiedziałam, zejdź mi z drogi.

Frank Mordant niespodziewanie uderzył ją w twarz i zanim zdążyła się osłonić, rąbnął ją w splot słoneczny. Nancy ćwiczyła aikido, ale jeszcze nigdy nie została zaatakowana tak błyskawicznie i brutalnie. Osunęła się na kolana, spazmatycznie łapiąc powietrze, a wtedy Frank Mordant złapał ją za włosy i uderzył jej głową o podłogę. Na moment straciła przytomność, a kiedy otworzyła oczy, nadal widziała wszystkie gwiazdy.

— Ty głupia dziwko, myślałaś, że mnie aresztujesz?

Nancy nie odpowiedziała. Leżała skulona na podłodze, krztusząc się. Frank Mordant krążył wokół niej.

— Nie masz zielonego pojęcia, prawda? — zapytał. — Nie masz zielonego pojęcia, o co chodzi. Mogę tylko powiedzieć, że masz ogromne szczęście. Będiesz pierwszą dziewczyną, która wyjdzie żywa z tego mieszkania.

Oszołomiona Nancy podniosła głowę.

— Tak — rzekł Frank Mordant. — Przyznaję. Zabiłem Julię. Musisz jednak zrozumieć, że czasem warto poświęcić jedno ludzkie życie.



— Jedno ludzkie życie? — wykrztusiła Nancy. — A co z Winnie? I nie mów mi, że nie było innych!

Frank Mordant prychnął niecierpliwie.

— Słuchaj, kochanie, nie mówimy tu o kilku głupich sekretarkach, ale o całym cholernym kosmosie. Gdybym mógł, powiesiłbym cię tak samo, jak powiesiłem Julię i wszystkie inne, i zrobiłbym forszę na kasecie wideo. Oni to uwielbiają, ci Japończycy. Ale twoje ciało ma służyć innemu celowi. Wkrótce sama się przekonasz, dzięki czemu drzwi są otwarte we dnie i w nocy, dwadzieścia cztery godziny na dobę. Uwierz mi, to wymaga mocy. Takiej mocy, jakiej nawet nie jesteś w stanie sobie wyobrazić. Zastanów się nad tym. Dobrze się zastanów. Ktokolwiek utrzymuje te drzwi otwarte, kontroluje każdy świat, do jakiego prowadzą. A tych światów są tysiące, możesz mi wierzyć. Nawet gdybyś żyła milion lat, nie zdołałabyś wszystkich odwiedzić.

— A te wszystkie morderstwa? — krzyknęła bliska hysterii Nancy. — Nie rozumiem, po co to wszystko! Niewinne dziewczęta! Dlaczego musiały je zabijać?

Frank Mordant przyglądał swoje wybrylantynowane włosy.

— Nie jestem zupełnie pewien, ale chyba wkrótce dowiesz się, dlaczego.

## ROZDZIAŁ 23

Kiedy John Farbelow się obudził, było już dobrze po drugiej. Otworzył oczy i ujrzał świecące przez okienko w dachu słońce, więc naciągnął na twarz hinduski pled. Włosy — a raczej ich resztki — sterczały mu spod niego jak czub białej papugi.

— Nie zdołasz się ukryć, John — powiedziała Ella. — Udało ci się uciec, ale nie możesz udawać, że to się nie wydarzyło.

— Zamordowali ich — wymamrotał John Farbelow, z twarzą wciąż ukrytą pod pledem. — Ci purytańscy dranie. Boże wszechmogący, niektórzy z nich byli jeszcze dziećmi. Ralphie dopiero co skończył szesnaście lat.

Abraxas podszedł do kanapy i zaczął lizać dłoń Johna Farbelowa, uderzając ogonem o nogi Elli.

— Cholera. Tylko tego mi trzeba. Psiej śliny.

— Abraxas to bardzo czysty pies, prawda, Abraxasie? Daję mu do żucia korzeń lukrecji. Dobrze mu robi na oddech i działa przeczyszczająco.

— Zabili moje dzieci, Ello.

Podawała mu parujący, niebieski kubek.

— Masz, wypij. Zaraz poczujesz się lepiej.

— To nie jest znów ta twoja śmierdząca herbata ze starca\*?

— Nie. Czarna kawa z podwójną porcją wódki.

John Farbelow w końcu odsunął pled i usiadł. Na policzku miał pionowe skaleczenie od miecza, a prawe oko podbite.

— Zabili moje dzieci, Ello — powtórzył. — Jak mam z tym żyć?

— Musisz. Wszyscy musimy. To cena, jaką płacimy 2a walkę z Lordem Protektorem i jego Strażnikami. Wydaje ci się, że życie tutaj jest cudowne. Jednak to nie jest nasz dom, rozumiesz? To wygnanie. I co z tego, że mają tu lekarstwo na gruźlicę i polecieli na Księżyc? Dom jest tam, gdzie twoje serce, John, i nikt nie może ci tego odebrać.

Abraxas szczechnął potakująco. John Farbelow potarł jego uszy i podrapał pod brodą.

— Straszna cena, Ello. Straszna cena do zapłacenia. Uratowaliśmy jednego człowieka i gdzie on teraz jest?

— Nie wiem. Podejrzewam, że wrócił tam, szukając swojej dziewczyny.

John Farbelow sięgnął do kieszeni koszuli, wiszącej na poręczy stojącego obok kanapy krzesła, i wyjął paczkę papierosów. Zapalił jednego i rozkaszał się jak gruźlik.

— One cię zabiją.

— Nie tam, skąd ty i ja pochodzimy. Oni jeszcze nie znaleźli związku między paleniem i rakiem płuc. A nawet jeśli, to przezornie milczą na ten temat.

— Sama nie wiem... — powiedziała Ella. — Miałam bardzo silne przeczucie, że powinniśmy uratować Josha Winwarda. Widziałam to w fusach herbacianych i w kartach, zarówno francuskich, jak i zwyczajnych. Za każdym razem, gdy pytałam, czy powinniśmy ryzykować, by ocalić Josha, wychodził mi as. Wiesz, co to oznacza, prawda?

— Oczywiście. Źle tasowałaś karty.

— To oznacza, że Josh jest tym wybranym. Widziałam to już. To oznacza, że bez względu na to, co o nim myślisz, jak bardzo kwestionujesz jego znaczenie, zdrowy rozsądek czy odwagę, to on jest wybranym. Z niektórymi ludźmi już tak jest. Zostali wybrani przez los, obojętnie kim są.

---

\* Chodzi o ziele o nazwie starzec jakubek (przyp. red.).

Joanna d'Arc. Toussaint l'Ouverture. Lawrence z Arabii.

John Farbelow przełknął kawę, zaciągnął się papierosem i wydmuchnął dym przez nos.

— Nie wiem, Ella. Te wszystkie okultystyczne bzdury...

— Płuco Julii Winward wyszło z ust jej brata podczas seansu u mnie i było dowodem, że ktoś pozbawił ją możliwości oddychania i życia, a także wskazówką, jak znaleźć sprawców. Gdybym zrobiła to samo dla ciebie, kto wie, może uściskałbyś dłoń Winnie.

— Tylko dłoń?

— Oczywiście. Duchy materializują się w małych kawałeczkach. Sprowadzenie całej osoby prawdopodobnie zabiłoby medium i wszystkich obecnych w pokoju.

— No, nie wiem...

— To sprawa emocji. A jak myślisz, w jaki sposób Kaptury znalazły was w tej piwnicy pod British Museum?

— Ktoś nas po prostu sypnął. Nie trzeba wiele, prawda? Wystarczy kilka paczek papierosów i butelka whisky z tego świata.

— Znaleźli was, ponieważ wszyscy byliście podnieceni po uwolnieniu Josha Winwarda. Kaptury wyczuły wasze podniecenie, ich psy również. Zwłaszcza po tym, jak zabiliście Thomasa Edridge'a. Znałam go i cieszę się, że umarł. Jednak ze względu na wasze własne bezpieczeństwo powinniście byli go puścić.

— Tak — mruknął ze znużeniem John Farbelow. Ella uściśnęła jego dłoń. — Czuję się winny, że zginęło tylu młodych ludzi.

— No cóż, ja również mam poczucie winy i czasem żałuję, że Zakapturzeni nie zabili mnie zamiast któregoś z tych młodych. Jednak w życiu nic nie układa się tak, jakbyśmy chcieli, prawda? Życie jest niesprawiedliwe. I pełne niespodzianek. Przynajmniej tak mówią.

W tym momencie ktoś głośno zapukał do drzwi. Abraxas zaszczekał i podbiegł do nich. Johna Farbelow zdjął nogi z łóżka i zapytał:

— Spodziewasz się kogoś, Ella?

— Nie, skądże. A nawet gdyby, wszyscy zawsze najpierw naciskają przycisk dzwonka na dole.

John Farbelow poszedł do kuchni, otworzył szufladę ze sztućcami i wyjął kuchenny nóż.

— To może być Nancy lub Josh — powiedziała Ella. Pokręcił głową.

— Możliwe. Ale nie zamierzam ryzykować.

Podszedł do drzwi i nasłuchiwał. Przez długą chwilę panowała cisza, tak długo, że Ella już myślała, iż ten ktoś zrezygnował i odszedł. Potem jednak ponownie zaczęto łomotać i kopać w drzwi.

— Rany boskie, to moje drzwi! — krzyknęła Ella.

— To je otwórz! — wrzasnął ktoś.

— O Jezu — jęknął John Farbelow. — To Kaptury. Są tutaj.

— Cholera. Jesteś dobrym żeglarzem?

— Żeglarzem? O czym ty mówisz?

— O wyjściu przez kuchenne okno i ześlizgnięciu się po linie na chodnik.

— Zanim zejdziemy do połowy, ktoś nas zauważy, zestrzeli albo wpadnie do tego pokoju i przetnie sznur.

— A mamy inne wyjście?

John Farbelow spojrział na nią i po raz pierwszy od wielu lat ujrzała pod pokładami zmęczenia, bólu i żalu tego wspaniałego młodzieńca, którym był kiedyś. Nigdy nie pragnął być kimś ważnym, ale i tak był wybranym. Wdrapała się na kuchenny zlew i otworzyła okno.

— Lina jest tutaj. Myślę, że wytrzyma. Straż miejska wymogła na właścicielu, żeby ją tu

umieścić.

Znów zaczęto kopać w drzwi. Framuga pękła i posypały się kawałki tynku. Ella tyłem przecisnęła się przez okno, trzymając linę lewą ręką.

— Abraxasie! — zawołała. — Chodź tu, mały! Chodź, Abraxasie!

Piesek zawahał się, ale wskoczył na suszarkę.

— Co robisz, do licha?! — krzyknął John Farbelow. — Nie możesz wziąć ze sobą psa!

— To mój pies — odparła Ella.

Znów kopnięto w drzwi, które pękły u dołu.

— Nie możesz! Zabijesz się!

Ella złapała Abraxasa za obrozę i wywlekła go na parapet. Skowyczał i zapierał się pazurami, ale Ella warknęła:

— Chodź tu, głupku! Musisz! Chcesz, żeby zrobili z ciebie *sancoche*?

Zdołała objąć go prawą ręką. Potem tyłem zeszła z parapetu i zaczęła powoli opuszczać się na dół, sapiąc z wysiłku. John Farbelow wychylił się przez okno, obserwując ją z rozpaczą. Od chodnika dzieliło ją prawie dwadzieścia metrów, a przed domami stał płot ze spiczastych metalowych prętów. Za ogrodzeniem było zagłębienie wypełnione metalowymi kubłami na śmieci, skorodowanym złomem i kawałkami drewna.

— Ostrożnie, Ella — powiedział. — Nie martw się o mnie. Umieję zadbać o siebie.

Za jego plecami dolna połowa drzwi zupełnie pękła, a środkowa deska trzasnęła. John Farbelow obejrzał się z niepokojem. Jeszcze dwa lub trzy kopnięcia i zamek puści.

Ella dotarła do okna mieszkania poniżej. Wciąż mocno się trzymała, ale kiedy zeszła z parapetu, zaczęła się obracać i rozpaczliwie wierzgając, ponownie postawiła na nim nogi. Abraxas przestraszył się i zaczął przebierać nogami, tak że Ella musiała mocno przycisnąć się do okna, żeby nie stracić równowagi.

— Nie denerwuj się, Abraxasie — uspokajała go drżącym głosem. — No, mały, nie bój się!

Jednak pies zaczął szarpać się jeszcze energiczniej, a potem zawarczał i ugryzł ją w rękę. O mało nie wypuściła liny. Spojrzała w dół i świat zawirował jej w oczach.

— Puść psa! — krzyknął do niej John Farbelow. — Nie masz wyboru, Ella! Puść tego przekłętego psa!

— Nie mogę! — odkrzyknęła.

W tym momencie Abraxas wyrwał się jej i skoczył. Ella obróciła się, by zobaczyć, co się z nim stało, i wtedy lina pękła.

Ella wyciągnęła rękę, usiłując znaleźć jakiś uchwyt. Czubki jej palców zaczęły o framugę okna, ale ześlizgnęły się i runęła w dół, rozpaczliwie wymachując rękami i nogami, jakby tonęła. Płynęła tak w powietrzu, aż upadła na płot.

Rozległ się głuchy brzęk, jakby ktoś uderzył w ołowiany dzwon. John Farbelow spojrzał w dół i zobaczył ją przewieszoną przez ogrodzenie, z bezwładnie rozrzuconymi rękami. Patrzyła w niebo szeroko otwartymi oczami, jakby dziwiąc się temu, co się stało.

Abraxas spadł na chodnik na wszystkie cztery łapy. Johnowi Farbelowowi wydawało się, że pies złamał sobie przynajmniej jedną, ale zdołał dokuśtykać do ogrodzenia i stanął, patrząc na ciało Elli, skamłając z bólu i niepokoju.

Kiedy drzwi mieszkania otworzyły się z trzaskiem, John Farbelow odwrócił się. Do środka wtargnęli trzej mężczyźni odziani w burnusy, podobne do noszonych przez Arabów. Twarze mieli zakryte płóciennymi maskami z otworami na oczy.

John Farbelow podniósł rękę i rzekł:

— Nie wiem, kim jesteście i kogo szukacie, ale popełniacie błąd!

Jeden z Zakapturzonych wyjął spod szaty szablę i ruszył na niego, przyjmując szermierczą

postawę.

— To pomyłka — powiedział John Farbelow. — Nie mieliśmy nic wspólnego ze śmiercią Edridge'a.

— Może tak, a może nie — odparł inny Zakapturzony. — Jednak nawet niewinni muszą płacić za grzechy winowajców. Tak głosi prawo.

John Farbelow spojrział na niego i na pozostałych dwóch. Jeden z nich zaczął otwierać pojemniki z ziołami Elli i wysypywać je na podłogę. Drugi zrywał ze ścian jej błyskotki, krucyfiksy, lusterka, naszyjniki i lalki voodoo, a także zdjęcia rodziny, przyjaciół i wszystkich tych, którzy pomogli jej uwierzyć, że nie musi być niewolnicą.

— Co zamierzacie ze mną zrobić? — zapytał John Farbelow.

— Zostaniesz sprawiedliwie osądzony — oświadczył Zakapturzony. — Czy nie o to zawsze walczyłeś?

— Bez wolności, przyjacielu, sprawiedliwość jest niczym.

— Ta wymówka pozwala ci mordować każdego, kogo chcesz?

John Farbelow nieznacznie przesunął się w bok. Jeśli będzie dostatecznie szybki, zdoła przebiec między dwoma Zakapturzonymi demolującymi mieszkanie Elli i uciec przez wyłamane drzwi.

— Spójrzcie na te pogańskie śmieci — powiedział jeden z Zakapturzonych. — I pomyśleć, że ta kobieta myślała, że ma jakieś prawo łamać nasze prawa.

— Cóż... — zaczął John Farbelow, jakby zamierzał coś odpowiedzieć. W następnej sekundzie rzucił się do drzwi, robiąc uniki jak zawodowy piłkarz.

Zanim Zakapturzeni zdążyli się odwrócić, wybiegł na schody. Złapał poręcz i zaczął zbiegać po schodach. Za plecami słyszał krzyki goniących go Kapturów, łomoczących buciorami po pokrytych tanią wykładziną stopniach. Zbiegł po następnych schodach i jeszcze następnych. Pędził ile sił, ale nagle wyrósł przed nim inny Kaptur, niczym czarny cień śmierci. John Farbelow wpadł prosto na jego nastawiony miecz. Wyciągnął ręce, usiłując złapać napastnika za ramiona. Wiedział, co się stało, czuł ostrze, które przebiło mu płuco i wyszło plecami.

— Winnie — szepnął i spróbował przywołać jej obraz, takiej, jaką ujrzał ją po raz pierwszy w autobusie numer piętnaście. Cała jego wywrotowa działalność nie była niczym innym, jak wyrazem gniewu i żalu po jej utracie.

Kaptur odepchnął go i powoli wyciągnął miecz, co było sto razy boleśniejsze od samego pchnięcia, zwłaszcza że ostrze zawadziło o żebra. John Farbelow osunął się na kolana, stoczył się po sześciu czy siedmiu ostatnich stopniach do holu i upadł obok stojącego tam roweru.

Leżał z policzkiem przyciśniętym do brudnej gumowej opony, patrząc, jak uchodzi z niego krew. Widział buty przeskakujących przez niego Zakapturzonych, którzy uciekali z budynku. Jutro o tej porze będą z powrotem w tamtym Londynie i nikt się nigdy nie dowie, kto go zamordował pomyślał. Co gorsza, nikt nie będzie wiedział, kim byli on i Ella.

Na zewnątrz Abraxas siedział na chodniku obok przewieszanej przez płot Elli, a mglisty poranek wypełniło wycie karetek i radiowozów.

## ROZDZIAŁ 24

Josh i Petty przebiegli po Kingsway. Ich kroki odbijały się głośnym echem od opuszczonych budynków. W biurówcach wokół Aldwych nadal szalały pożary i słyszeli brzęk dzwonek straży pożarnej oraz trzask pękającego szkła. Przez te odgłosy nadal przebijał donośny łomot werbli i szczekanie psów.

— Tędy — powiedziała Petty i skręcili w lewo, w Sardinia Street.

W ogrodach Lincoln's Inn Fields kilku ludzi z obrony przeciwlotniczej zmagало się z przedziurawionym balonem zaporowym, zajmującym swoim cielskiem większość placu. Szarpali za liny i usiłowali go przywiązać.

— Ciągnij, Reg! Co robisz, do diabła? Ciągnij! Dotarli do Carey Street i skręcili w Star Yard.

— Posłuchaj — rzekł Josh. — Jeśli teraz przejdziemy przez drzwi, nie sądzę, abyśmy wrócili tam, skąd przybyłem. Nie wiem, gdzie się znajdziemy. Na pewno w jakimś jeszcze innym Londynie.

W oddali, nad dawkami Surrey, znów zakaszlały działka Przeciwlotnicze.

— Nigdzie nie może być gorzej niż tu — odparła Petty. — Jeśli nie pójdziemy, to złapią nas i zabiją, prawda?

— W porządku — mruknął Josh. Objął ją i przytulił. — Przejdziemy przez to razem. Jak powiedziałaś, nigdzie nie może być gorzej niż tutaj.

Przeszli po Star Yard do niszy w ścianie. Josh z kieszeni trzy świece i ustawił je na chodniku.

— Czy to wszystko, co trzeba zrobić? — zapytała Petty.

— Musisz jeszcze wyrecytować wierszyk — odrzekł Josh kolejno przytykając do świec zapalniczkę i osłaniając ją drugą ręką, dopóki się nie zapaliły.

— Wierszyk? Jaki?

Josh wstał.

— Wy, Angolicy, nazywacie takie wierszyki rymowankami. Jak ta o Humptym Dumptym. Ta jest naprawdę stara, jedna z najstarszych. „Sześcioro drzwi ma London Town...”, a potem „Jack jest zręczny, Jack umie biec”.

Petty spoglądała na niego z niedowierzaniem.

— Tylko tyle? I w ten sposób znajdziemy się w innym Londynie?

— Sprawdź — powiedział.

Petty cofnęła się. Była zmęczona, brudna i wstrząśnięta, a to zupełnie ją dobiło. Nie miała sił spierać się z szaleńcem.

— Nie wierzę ci — oświadczyła.

— Widziałaś Zakapturzonego. Widziałaś jego twarz.

Zakryła oczy rękami.

— Nie chcę o tym myśleć. Nie chcę mieć z tym nic wspólnego. Nie chcę tu zostać. Nie chcę iść. Sama nie wiem, czego chcę.

Josh objął ją ramieniem.

— Petty, niczego nie mogę ci obiecać. Jeśli przejdziemy przez te drzwi, nie wiem, jaki Londyn tam zastaniemy. Może lepszy, a może gorszy. Jednak teraz ci faceci mnie ścigają, a więc i ciebie także.

— Nie wiem, co robić... — załkała i łzy popłynęły jej z oczu, pozostawiając brudne smugi na policzkach.

— Chodź ze mną — powiedział Josh. — Znajdziemy powrotną drogę, uwierz mi.

Pociągnęła nosem i otarła go palcami.

— Nie wiem...

Nagle znów usłyszeli głośny łomot werbli, zaledwie dwie lub trzy ulice dalej.

— To oni — stwierdził Josh. — Nie zrezygnują, dopóki mnie nie znajdą. Przykro mi.

— Przykro ci? A jak myślisz, jak ja się czuję? Dlaczego akurat ja musiałam cię spotkać?

Trzy świece paliły się już jasno. Na Star Yard prawie nie było wiatru, więc ich płomienie niemal się nie chygotały. Przypominały Joshowi świece, które palił w kościele, kiedy był chłopcem.

— Może spotkałaś mnie, ponieważ tak było ci przeznaczone — odparł. — No, Petty, tak bywa. Niektórzy ludzie opiszą być razem, czy tego chcą, czy nie.

— Och, rozumiem. Po prostu chciałaś sprowadzić mnie na drogę cnoty, tak? Pokazując mi twarz tego człowieka i śmiertelnie mnie przerażając... Wiedziałaś, jak on wygląda, prawda? Wiedziałaś! To dlatego przeciąłeś mu kaptur, ty draniu.

— Petty, przysięgam, że nie wiedziałem. Nigdy nie widziałem żadnego z nich bez kaptura. Przysięgam na Boga.

— Kogo to obchodzi? I tak bomby zmiotą nas z powierzchni ziemi. Jakie to ma znaczenie?

Bębnienie narastało i przybliżało się. Zakapturzeni na pewno skręcali już w Carey Street. Wiedzieli, dokąd Josh zmierzał. Wiedzieli, że próbuje uciec. Pod tymi płóciennymi kapturami kryły się istoty, które prawdopodobnie znały nawet jego myśli.

— Petty, chodź ze mną. Jeśli zaraz nie wyniesiemy się stąd w cholerę...

Dziewczyna uniosła twarz ku niebu i złożyła dłonie. Chociaż była brudna i miała podartą sukienkę, Josh uznał, że wygląda pięknie. Nie tylko pięknie, wręcz bosko. Werble warczały coraz bliżej, ale ona wciąż miała zamknięte oczy i złożone dłonie.

— Amen — powiedziała w końcu i przeżegnała się, a potem odwróciła się do Josha i zobaczył niepokój na jej twarzy. — Założę się, że to nie zadziała — mruknęła.

— Skoro uważasz, że nie zadziała, to po co się modliłaś?

— Nie za siebie. Modliłam się za tych wszystkich biednych drani, których tu zostawiamy.

— Więc spróbujesz?

— Sama nie wiem. Nie chcę umierać, to wszystko.

Josh ponownie wyrecytował wierszyk, na wszelki wypadek. Tamci byli coraz bliżej i na ścianach pobliskiego budynku dostrzegł już podskakujące i tańczące cienie, rzucane przez światła ich lamp.

— Ruszaj — powiedział do Petty. — Przeskocz przez świece, to wszystko.

— Tylko tyle? Przeskoczyć?

— Właśnie.

— Przecież tam nic nie ma! — zawołała. — Tylko ściana!

— Daj spokój, przed chwilą powiedziałaś, że to zrobisz.

— Ale to tylko cholerny mur!

Josh chwycił w garść materiał jej sukni i ramięczko biustonosza, po czym gniewnie spojrzał jej w oczy.

— Pamiętasz jego twarz? Pamiętasz, jak wyglądała, kiedy rozciąłem mu kaptur? Teraz nadchodzi cały tłum takich jak on! Spójrz, już idą! Patrz! Dojdą tu, zanim policzysz do dziesięciu, a wtedy nie będziemy mieli żadnych szans!

— Jego twarz...

Josh, chociaż straszliwie zmęczony, ugiął kolana, podniósł ją i przerzucił nad świecami. Z urażonym piskiem wylądowała na pupie po drugiej stronie. Spojrzał w lewo i zobaczył cztery pędzące na niego psy. Biegły z wywieszonymi jęzorami, pryskając śliną. Przeskoczył przez

świecie i przetoczył się po śmieciach. Podniósł się z ziemi i złapał Petty za ramię.

- Chodź, musimy jak najszybciej stąd odejść. Nie dziwiłbym się, gdyby poszli za nami.
- Hej... tutaj jest przejście! — wykrzyknęła Petty. — Wcześniej go nie widziałam!
- Trzeba tylko uważnie patrzeć, to wszystko.
- Co? Chcesz powiedzieć, że jestem nie tylko głupia, ale i ślepa?
- Nie. Po prostu musisz dobrze patrzeć.

Pospieszyli ciemnym, wilgotnym przejściem między budynkami. Wysoko nad ich głowami gołębie z trzepotem podrywały się z parapetów. Od czasu do czasu Josh niespokojnie oglądał się za siebie, ale wyglądało na to, że Zakapturzeni woleli ich nie ścigać. Przynajmniej nie teraz. Nie miał jednak złudzeń. Będą go tropić, dopóki go nie znajdą.

— Zwolnij — wysapał. Zęby bolały go tak bardzo, że ledwie mógł myśleć, a każda rana po Świętej Harfie kłuła i piekła. Petty przystanąła i oparła się o mur, usiłując złapać oddech.

— Nie gonia nas, prawda?

Josh przecząco pokręcił głową.

— Może później. Może jutro. Ale teraz jesteśmy wolni.

Skręcili za następną narożnik.

— Wróciliśmy tam, skąd wyruszyliśmy — powiedziała z niedowierzaniem Petty.

— Zgadza się. Tak działają drzwi. Nie przechodzisz z jednego miejsca do drugiego, tylko z jednej rzeczywistości do innej.

Wyszli na Star Yard. Padał deszczyk, tak drobny, że ledwie go czuli. W oddali słyszeli muzykę i śpiewy. W powietrzu unosił się dziwny zapach, jakby przypraw. Petty obejrzała się na niszę.

— Nie mogę w to uwierzyć. Wskoczyliśmy tam i szliśmy taki kawał tym przejściem, a teraz znów jesteśmy tutaj.

Josh nic nie powiedział, tylko chwycił ją za rękę i ostrożnie poprowadził ku Carey Street. Na ulicy i chodnikach tłoczyły się tłumy ludzi ubranych w kolorowe sarongi i chusty — we wszystkich odcieniach szkarłatu, zieleni, żółci i błękitu. W zasięgu wzroku nie było chyba ani jednej białej twarzy — nie licząc grupki ludzi rozmawiających przed tylnym Wejściem do Law Courts — ale i oni mieli na sobie hinduskie Marynarki bez kołnierzyków i wąskie białe spodnie. Jeden nawet nosił turban.

— O rany — wymamrotała Petty. — Przez całe moje cholerne życie nie widziałam tylu Hindusów.

Przy wylocie Star Yard siedziało kilku żebraków z miseczkami i puszkami po fasolce. Jeden z nich, o oczach zasnutych bielmem jak u gotowanego dorsza, zwrócił pomarszczoną twarz w kierunku Josha i powiedział:

— Bądź błogosławiony, panie. Witaj w tym świecie.

— Przykro mi, ale w tej chwili nie mam ci co dać.

— Daj mi rękę, panie. To na razie wystarczy.

Josh zawahał się, a potem wyciągnął rękę. Ślepiec zaczął wodzić brudnym paznokciem po liniach na jego dłoni.

— Miałem rację, panie. Teraz nie masz nam co dać, lecz niebawem nadejdzie dzień, kiedy dasz nam wszystko, o co się modliliśmy.

Jeszcze trzymał dłoń Josha, gdy przez tłum przecisnął się elegancko ubrany mężczyzna. Był niski, najwyżej metr sześćdziesiąt wzrostu, jednak przystojny, chociaż lekko otyły — a jego marynarka z jedwabiu koloru kości słoniowej niewątpliwie była szyta na miarę.

— Czy ten człowiek ci się naprzykrza? — zapytał doskonałą angielszczyzną.



— Nie, skądże. Po prostu przepowiedział, że przyniosę mu szczęście.

— Sądząc po wyglądzie, to was spotkało jakieś nieszczęście.

Josh otrząpiał się z kurzu.

— My, hm... Cóż, mieliśmy po prostu nieszczęśliwy wypadek, to wszystko.

Mężczyzna wyciągnął rękę.

— Nazywam się Gotam Das. Sądzę, iż z ulgą dowiedcie się, że jestem w pełni świadomy, jakiego rodzaju był ten wasz nieszczęśliwy wypadek.

— Josh Winward. A to Petty.

— Miło mi was poznać — odparł Gotam Das, całując dłoń Petty.

Petty spojrzała na Josha. Miała zdziwioną minę. Gotam Das wyjął z kieszonki na piersiach trzy monety i wrzucił je do miseczki żebraka.

— Niechaj Wszystkowiedzący kieruje twymi krokami — rzekł żebrak. — Niechaj twój związek zostanie pobłogosławiony wieloma synami.

Gotam Das wziął Josha pod rękę.

— Chodźcie ze mną. Zaprowadzę was tam, gdzie będziecie mogli umyć się, odpocząć, a także coś zjeść, jeśli jesteście głodni. To niedaleko.

— Zaczekaj chwilę — powiedział Josh. — Nie zrozum mnie źle. O niczym innym nie marzymy. Myślę jednak, że powinniśmy wiedzieć, kim jesteś i dlaczego chcesz nam pomóc.

— Szanowny panie, masz prawo do podejrzeń. Ale ja jestem równie podejrzliwy jak ty. Ja także chcę się dowiedzieć, kim jesteście i co tu robicie.

— Nie uważasz nas za szpiegów lub wywrotowców?

— Nie, bynajmniej. Szpiedzy i wywrotowcy starają się nie rzucać w oczy. Pan i towarzysząca panu dama... No cóż, rzucacie się w oczy jak strusie w stadzie gęsi, jeśli można tak powiedzieć. Mimo to musimy się upewnić.

— A kim pan jest? Policjantem?

— Chyba można tak to ująć. Pracuję dla urzędu imigracyjnego.

— My właściwie nie jesteśmy emigrantami — odparł ostrożnie Josh.

— Mimo to spotkanie z wami należy do moich obowiązków. Formalnie rzecz biorąc, przybyliście tu z obcego kraju.

— Jak to się stało, że czekał pan tu na nas? Przecież nie mógł pan wiedzieć, że przybywamy.

— Tutaj zawsze ktoś jest. Oczywiście staramy się nie rzucać w oczy. Nie chcielibyśmy, aby wszyscy dowiedzieli się, co wy dwoje odkryliście.

— A co z Zakapturzonymi? — zapytał Josh.

Gotam Das skrzywił się i zamrugał oczami, ale nic nie powiedział.

— Czy oni tu przychodzą? — naciskał Josh. — Chcę wiedzieć, czy będziemy tutaj bezpieczni.

— Sądzę, że najlepiej zrobicie, idąc ze mną — odparł Gotam Das. — Chyba że chcecie wrócić tam, skąd przyszlście.

— Nie mogę tego zrobić. Oddaliłbym się jeszcze bardziej od miejsca, z którego wyruszyłem.

— W takim razie, drogi panie, musi mi pan zaufać.

Josh kiwnął głową. Wziął Petty za rękę i ruszyli za Gotamem Dasem przez ruchliwy, rozgadany tłum.

— Ci wszyscy ludzie przyszli tu przedstawić swoje sprawy przed sądem — wyjaśnił Gotam Das. — Widzicie, tutejszy system prawny jest bardzo ociężały i wymaga, aby każda sprawa była przedstawiona osobiście. Czasem człowiek musi czekać wiele dni, zanim wyczytają jego nazwisko.

Po drugiej stronie ulicy, przy balustradzie, stał młody człowiek. Gotam Das podszedł do niego i szepnął mu coś do ucha.

— Powiedziałem mu, że zabieram was ze sobą i powinien dalej obserwować to miejsce — oświadczył, kiedy do nich wrócił.

— A jeśli przyjdą tu Zakapturzeni? Jak powstrzyma ich w pojedynkę?

— Cierpliwości, proszę. Mamy wiele spraw do omówienia.

Poprowadził ich po Chancery Lane. Chodniki po obu stronach ulicy były zastawione straganami, przykrytymi daszkami z kolorowego brezentu. Sprzedawano na nich egzotyczne owoce i warzywa, wielkie melony, papaje i mango, bransoletki z brązu i srebra, drewniane rzeźby i figurki z kości słoniowej, jedwabne chusty i sarongi. Na innych straganach brodaci mężczyźni sprzedawali porcje kurczaka z ryżem lub ostro przyprawionej ryby. Były tam też wózki ze stosami kardamonu, nasionami kurkumy i asafetydy. I prowizoryczna zagroda z meczącymi kozami.

Panował tu ogłuszający hałas, w dodatku niemal na każdym straganie stało tranzystorowe radjko, z którego płynęła orientalna muzyka. Na środku ulicy kłębił się taki tłum, że samochody musiały poruszać się w ślimaczym tempie, rycząc klaksonami. Pojazdy były ogromne, niczym ruchome pałace, z wielkimi reflektorami, przymocowanymi z tyłu skórzanymi kuframi i firankami w bocznych oknach.

Zmysły Josha atakował przede wszystkim zapach. Aromat kolendry i czarnego pieprzu. Woń marynowanych kurczaków, pieczonych w jogurcie z kozieradką. Mdły, migdałowy zapach hinduskich słodczy. Wszechobecny zapach paczuli i piżma, rozchodzący się od przechodzących obok kobiet, odzianych w powiewne szaty.

Na Fleet Street było mniej straganów, ale znacznie więcej samochodów i setki czarnych, staromodnych rowerów. Przy każdym z nich był dzwonek i wszyscy rowerzyści nieustannie Jsię nimi posługiwali, więc hałas był wprost ogłuszający.

— To już niedaleko! — krzyknął Gotam Das. — Po drugiej stronie ulicy, w tym zaułku!

W końcu wyszli na spory, wybrukowany plac, otoczony ciemnymi wiktoriańskimi budynkami.

— Większość lokali w tych budynkach zajmują kancelarie prawnicze — wyjaśnił Gotam Das.

— Z jednym czy dwoma wyjątkami... takimi jak moje biuro.

Przeprowadził ich przez plac, a potem weszli przez szepcie drzwi z ciemnozielonego szkła do jednego z domów i ruszyli do góry po dudniących echem, wyszorowanych do białości schodach. Na piętrze Gotam Das otworzył następne drzwi i wprowadził ich do rozległego, wysokiego apartamentu.

— Wejdźcie — powiedział.

Znaleźli się w biurze, które wyglądało, jakby umeblowano je w 1880 roku. W pokoju stało ogromne mahoniowe biurko, ze srebrnym kałamarzem i lampą z kryształowym kloszem. Ścianę za biurkiem zdobiły dwie flagi — czerwono-biało-niebieski sztandar Unii i drugi, czerwono-biało-zielony. Między tymi flagami wisiał portret jakiegoś hinduskiego arystokraty i jego żony. Oboje mieli na głowach wysadzane klejnotami korony.

— Siadajcie, proszę — rzekł Gotam Das, wskazując im dwa wielkie, pokryte skórą fotele. — Na pewno jesteście bardzo zmęczeni i zdezorientowani. Może chcecie się czegoś napić?

— Chętnie wypiłabym filiżankę herbaty — odparła Petty.

— Assam? Darjeeling?

— Bez znaczenia. Proszę z mlekiem i trzema łyżeczkami cukru.

Gotam Das wydał wargi.

— Oczywiście. Jak pani sobie życzy. A pan, panie Winward?

— Tylko szklanek wody, jeśli można. Mam w ustach tyle pyłu, że dałoby się z niego zrobić cegłę.

Gotam Das podniósł słuchawkę stojącego na biurku telefonu i powiedział coś szybko w dialekcie hindi. Niemal natychmiast pojawiły się dwie następne osoby. Mężczyzna był niski i krępy, miał okulary i bokobrody. Ubrany był w tradycyjny strój hinduski z beżowego jedwabiu, a na nim miał granatowy blezer z mosiężnymi guzikami. Kobieta miała dwadzieścia osiem lub dziewięć lat, gładką skórę, migdałowe oczy i była ubrana w sari ze szkarłatnego jedwabiu.

— Oto dwoje moich oficerów wywiadu, pan Vikram Aggarwala i panna Anjali Sharma. Mam nadzieję, iż nie macie nic przeciwko temu, że zadadzą państwu kilka pytań.

— Jeśli można, chciałbym skrócić formalności — odparł Josh. — Przybyłem tutaj, ponieważ chciałem uciec przed Zakapturzonymi, to wszystko. Nie jestem buntownikiem, wywrotowcem ani nikim takim. Proszę tylko o azyl na czterdzieści osiem godzin, dopóki nie będziemy mogli wrócić tam, skąd wyruszyłem.

— Jak może pan udowodnić, że jest tym, za kogo się podaje? — zapytał pan Aggarwala.

— Mam paszport USA. Proszę.

Panna Sharma wzięła paszport i uważnie go obejrzała.

— Wygląda na autentyczny — powiedziała w końcu, podając go panu Aggarwala.

Hindus zsunął okulary na czubek nosa i przyjrzał się dokumentowi.

— Nawet jeśli tak, to kto wie, czy ten człowiek nie został przekupiony albo jeszcze gorzej?

Josh rozpiął koszulę i rozchylił ją, pokazując wszystkie skaleczenia i sińce.

— Jeszcze gorzej? Podłączyli mnie do Świętej Harfy. Nie przychodzi mi do głowy nic gorszego. — Odciągnął palcami dolną wargę i pokazał im zęby. — Spójrzcie na to! Przewiercili zęby do nerwów! Naprawdę sądzicie, że mógłbym dla nich zrobić?

— Ból potrafi przekonać największych niedowiarków — zauważyła panna Sharma.

— Nie w przypadku Świętej Harfy. Po tym, jak podłączą i niej, myślisz tylko o zemście.

— A co z dziewczyną?

— Petty? Spotkaliśmy się przypadkiem. Próbowałem wrócić do tego Londynu, w którym żyją Zakapturzeni, ale za wcześnie przeszedłem przez drzwi.

Nieskładnie opowiedział o Julii, Franku Mordancie i ucieczce z rąk mistrza Thomasa Edridge'a. Pan Aggarwala dłuhał cierpliwie, a panna Sharma stenografowała. Gotam Das ze splecionymi rękami siedział na obrotowym krześle, spoglądając w sufit i leniwie poruszając fotelem na boki. W końcu rzekł:

— Jak sądzisz, Anjali? Będą z nim kłopoty?

— Nie sądzę, żeby był terrorystą, jeśli o to pytasz.

— A ty, Vikram, wierzysz mu?

— Raczej tak. Mój wydział ma spore akta tego Franka Mordanta. Czasem występuje jako George Graves lub Philip Stone. Nie mam tu teraz tych akt, ale jestem pewien, iż jego nazwisko wypłynęło podczas śledztwa w sprawie zniknięcia dwóch siedemnastoletnich dziewcząt, prawie trzy lata temu. Przybył tu z propozycją jakiejś umowy handlowej. Zdaje się, że chodziło o części elektryczne w zamian za ładunek opium.

— Opium? — zdziwił się Josh.

— Rozumiem pańskie zdziwienie — powiedział pan Aggarwala, podnosząc rękę. — W waszym społeczeństwie opium jest zakazane. Jednak rozsądnie stosowane ma dziabnie pobudzające i lecznicze, a tu, w tym Londynie, jest pospolitym towarem.

— Ten Londyn wygląda jak... Bombaj albo inne podobne miasto.

— Oczywiście — uśmiechnął się Gotam Das. — Zdobywcy zawsze przynoszą ze sobą swoją kulturę.

— Słucham? Chce pan powiedzieć, że Indie podbiły Anglię?

Go tam Das skinął głową i uśmiechnął się.

— Najwidoczniej było nam to przeznaczone, szanowny panie. W Indiach mieliśmy religię, filozofię, sztukę i muzykę. Jednak zawsze brakowało nam struktury administracyjnej. Tak więc to logiczne, że musieliśmy zająć kraj, który rozwinął ją w najwyższym stopniu. Brytyjczycy posiadali coś cenniejszego od rubinów. Mieli organizację. Najlepszy System prawny w cywilizowanym świecie. I byli twardzi! Oczywiście ten konflikt miał dość gwałtowny przebieg. Bitwa pod Lowfield Heath... Jednak w ostatecznym rezultacie ten mariaż okazał się szczęśliwy. Niech żyje król!

— A co z Zakapturzonymi? — zapytał Josh.

Gotam Das umknął spojrzeniem.

— Porozmawiamy o innych sprawach, kiedy już się wykąpiecie i przebierzecie.

— O Zakapturzonych pytam teraz.

— Później, drogi panie. O Zakapturzonych porozmawiamy później.

— A więc przynajmniej przyznaje pan, że oni istnieją?

— To pan o nich mówił, nie ja.

Josh chciał się dalej spierać, ale Petty chwyciła go za ramię i powiedziała:

— Proszę, Josh. Nie mogę się już doczekać kąpieli.

— W porządku — odparł Josh. — Odpocznemy przez kilka godzin. Potem jednak chciałbym porozmawiać o Zakapturzonych.

— Porozmawiamy o wielu sprawach, mój drogi panie. O szafranie, statkach i wosku do pieczętowania, jeśli tego zechcesz. O kolendrze i królach.

— Widzę, że przejęliście nie tylko brytyjską biurokrację, ale i poczucie humoru.

Dwie godziny później siedzieli w dużej jadalni o wytapetowanych na różowo i obwieszonych olejnymi obrazami ścianach. Jedli kurczaka upieczonego w jogurcie z czarnuszką oraz ryż na sypko. Ostatnie promienie słońca kładły się na grubym białym obrusie, tak oświetlając dzbanek z wodą, że rzucał tęczowe wzory na ich twarze.

— Piekielnie ostre to danie — zauważyła Petty. — Dziwię się, że wy, Hindusi, macie tyle dzieci. Założę się, że nie możecie znieść swoich oddechów.

Josh skarcił ją wzrokiem, ale Gotam Das uśmiechnął się i machnął ręką:

— To wolny świat i ludzie mogą tu mówić, co myślą.

— Nie jest pan urażony? Nie uważa pan, że to trochę niegrzeczne?

— Drogi panie, my jesteśmy tu klasą panującą. A klasa panująca nie przejmuje się tym, co ktoś o niej mówi. To spływa po nas jak woda po kacze.

Podczas posiłku panna Sharma bacznie obserwowała Josha. Zarówno on, jak i Petty byli teraz ubrani w czyste białe szaty z kapturami, wyszorowani i umyjni, a mokre włosy mieli zaczesane do tyłu, więc wyglądali, jakby odbywali nowicjat.

— Pytał pan o Zakapturzonych — powiedziała panna Sharma.

— O Strażników, tak.

— No cóż, jak najwidoczniej sam pan odkrył, sześcioro drzwi łączy ten Londyn z następnym, a tamten z kolejnym — i tak w nieskończoność.

— Odwiedziłem już dwa z nich. Nie wiedziałem, że jest ich nieskończenie wiele.

— Znacznie więcej, niż może pan sobie wyobrazić, tak samo jak Nowych Jorków i Los Angeles. Niektóre są tak podobne, że można je rozróżnić tylko po kolorach taksówek i nieco innej wymowie. Jeden z Londynów jest zalany wodą i są tam gondolierzy, jak w Wenecji. Inny jest jak ogród, pełen pagód i domków letniskowych i niemal co wieczór można tam oglądać pokazy sztucznych ogni. Zakapturzeni pilnują drzwi między tymi różnymi Londynami. Oczywiście ukrywają ich istnienie przed opinią publiczną. Jeśli ktoś twierdzi, że przeszedł przez te drzwi, Zakapturzeni po prostu uznają go za zmarłego, uchodząc z czyścica, odrzuconego przez

Boga i szatana, i nikt tego nie kwestionuje. W końcu tak przedstawiano im to w szkole.

— W elementarzu — mruknął Josh, a panna Sharma potakująco skinęła głową.

— Kilku naszych ludzi odkryło istnienie drzwi i próbowało handlować z Zakapturzonymi. Bo przecież te drzwi idealnie nadają się do przemytu. Czegokolwiek nie ma w jednym Londynie, może to dostarczyć drugi. Narkotyki, kobiety, antybiotyki, luksusowe towary. Jednak robimy wszystko, co w naszej mocy, aby zniechęcić do takiego handlu. Łamie podstawowe reguły prawa. Poza tym Zakapturzeni są niebezpieczni i gotowi przyjść tu i zamordować każdego, kto stanie im na drodze lub spróbuje ich oszukać. Właśnie dlatego pilnujemy drzwi — żeby wiedzieć, kto przez nie wchodzi i wychodzi.

— Czy nie możecie powstrzymać Zakapturzonych od wchodzenia tutaj? Dlaczego nie postawicie tam uzbrojonych straży? Przecież Zakapturzeni mają tylko miecze.

Wolał im nie mówić, że zabił jednego z nich.

— Nie wiemy, gdzie znajdują się wszystkie drzwi, drogi panie. Gdy kiedyś próbowaliśmy zagrozić drogę Zakapturzonym, przeszli innymi drzwiami i straszliwie się zemścili, zabijając trzydzieścioro dzieci i kobiet w jednej z naszych szkół. Nauczyliśmy się tolerować ich obecność, jeśli można tak rzec.

— Przecież skoro zagrażają waszemu społeczeństwu...

— Jedyne wyjście to zamknąć wszystkie drzwi, raz na zawsze.

Josh znów nabrał na widelec aromatycznego ryżu.

— Czy to się da zrobić?

— Tak uważamy — odparł Gotam Das. — Nasze biuro od wielu lat wysyłało agentów do Londynu Zakapturzonych, a także do tego, z którego wy pochodzicie. Badali historię tych drzwi oraz zasadę ich działania i wreszcie doszli do wniosku, że można je zamknąć.

— Te drzwi nie są zjawiskiem fizycznym — rzekł pan Aggarwala — lecz psychicznym. Tylko dlatego, że hinduski mistycyzm zna takie zjawiska, zdołaliśmy zrozumieć, w jaki sposób stworzono te drzwi i jak utrzymuje się je otwarte. Od wielu wieków niektórzy jogowie potrafili przywoływać materialne wizerunki ludzi i zwierząt. Nie duchy, rozumie pan, lecz prawdziwe istoty. W północnych Indiach i Tybecie nazywa się takie stworzenia *tulpa*. Czasem tworzą one wtórne obrazy, znane jako *yang-tul* i *ning-tul*. Dotychczas uważano, iż *tulpa* powstają dzięki sile koncentracji i wyobraźni jogi — i są ludźmi lub zwierzętami, które widzi on oczami swej duszy. Jednak pewien francuski podróżnik, który badał *tulpa*, odkrył, że są to prawdziwi ludzie z innego świata. Joga nie tworzy ludzi, lecz otwiera drzwi między jedną rzeczywistością a drugą i od czasu do czasu przechodzą przez nie ludzie lub zwierzęta. Jesteśmy przekonani, że londyńskie drzwi zostały stworzone przez kogoś dysponującego nadzwyczajną siłą psychiczną, a przez te wszystkie wieki utrzymywali je otwarte kolejni równie potężni następcy, z których każdy był szkolony przez swego poprzednika.

— A więc jeśli znajdziecie osobę, która utrzymuje je otwarte...

— Właśnie — rzekł Gotam Das. — Wystarczy zabić tę osobę, a drzwi znikną.

— Uważamy, że te drzwi po raz pierwszy zostały otwarte w sześćdziesiątym pierwszym roku naszej ery, w Londynie, przez królową Boadiceę.

— Jaką królową?

— — Boadiceę. Lepiej znaną jako Boudicca. Była żoną króla Prasutagasa, który władał plemieniem Icenów we wschodniej Anglii, w czasach inwazji Rzymian. Umierający Prasutagas podzielił swe królestwo między córki i cesarza Rzymu, Nerona. Zapewne sądził, że w ten sposób zdoła uratować chociaż część swoich dóbr. Jednak imperium rzymskie zagarnęło wszystko. Boadicea została wychłostana, a jej córki zgwałcone. Wtedy Icenowie zbuntowali się i Boadicea poprowadziła powstańczą armię przeciw legionom dowodzonym przez Swetoniusza Paulinusa.

Icenowie wycięli w pień rzymskie garnizony w St Albans i Colchester, a potem zaatakowali Londyn i zrównali go z ziemią. Boadicea miała sześciu lub siedmiu druidów–doradców. Jednym z nich był tajemniczy stary druid, którego imienia nikt nie pamięta. W sześćdziesiątym pierwszym roku Rzymianie wyłapywali i zabijali ostatnich druidów, którzy zwrócili się do Boadicei z prośbą o ochronę. Druidzi byli bardzo starannie wykształceni i wierzyli w nieśmiertelność duszy. Doradcy królowej wywróżyli z wnętrzości i lotu kruków, że ona i jej wojska zostaną pokonane. Dlatego najstarszy z nich nauczył Boadiceę, jak otwierać drzwi do innych światów.

— Skąd o tym wiadomo? — zapytał Josh.

— Ponieważ jeden z druidów opisał to. Napisał coś takiego: „Boudicca zapaliła trzy świece. Strawiła ziele lulka i przeszła do innego świata”.

— To raczej wygląda na samobójstwo.

— I tak też zawsze uważali historycy. W końcu lulek jest bardziej trujący od opium. Tymczasem w języku druidów „strawiła” może równie dobrze oznaczać „spaliła”. A wiemy, że druidzi palili ziele lulka i wdychali dym, który wprowadzał ich w narkotyczny trans. W średniowieczu medycy palili ziele lulka na uśmierzenie bólu zębów.

— Chętnie bym tego spróbował — wtrącił Josh.

— Nie polecam. To naprawdę bardzo niebezpieczne. Jednak Boadicei się udało. Wprawiała się w trans i otworzyła sześcioro drzwi, przez które wraz z druidami i niektórymi Icenami uciekła do innej rzeczywistości.

— Muszę powiedzieć, że trochę trudno mi przełknąć tę historię — mruknął Josh.

— Dlaczego? Przecież przeszedł pan przez te drzwi. Nie dotyczą ich prawa czasu i przestrzeni. One nie są miejscem, lecz pewnym stanem umysłu, który istnieje dzięki temu, że ktoś inny również może go doświadczyć.

Josh odłożył widelec i otarł usta.

— A co z Zakapturzonymi? Skąd oni się wzięli?

— To elita armii purytanów, która pokonała rojalistów. W ciągu wieków — przynajmniej w tym ich Londynie — stali się czymś więcej niż tylko policją wyznaniową. Bandą w waszej rzeczywistości zapewne nazwalibyście jak gestapowcami.

— Co zamierzacie teraz zrobić?

— Sądzimy, że zlokalizowaliśmy budynek w City, w którym ukryta jest osoba odpowiedzialna za utrzymywanie otwartych drzwi. Oczywiście to tylko domysły, lecz nasi ludzie obserwowali Zakapturzonych i jesteśmy przekonani, że odkryliśmy właściwe miejsce. Ktoś będzie musiał wejść do tamtego budynku i postarać się na zawsze zamknąć te drzwi.

— Jakiś zamachowiec?

— Właśnie. Wiem, że to moralnie naganne, ale nie ma innego wyjścia.

— Wszystko to bardzo dobrze, ale wasz zamachowiec zostanie na zawsze uwięziony w tamtym świecie, prawda? Kiedy zamkną się drzwi, już nie będzie mógł wrócić.

— Znajdziemy ochotników, nie ma obawy. Tego, któremu uda się tego dokonać, kimkolwiek będzie, czeka wieczna chwała!

Petty podniosła głowę znad talerza.

— No, na mnie nie liczcie!

## ROZDZIAŁ 25

Otworzyła oczy i natychmiast uświadomiła sobie, że wokół panuje cisza. Kompletna, głęboka cisza. Leżała na żelaznym łóżku w szpitalnym pokoju o pomalowanych na kremowo ścianach, z jasnozieloną lamperią. Wiedziała, że jest w szpitalu, bo śmierdziało szpitalem: środkami odkażającymi i gotowanymi jarzynami. Oprócz łóżka, umeblowanie pokoju składało się z dębowego nocnego stolika ze stojącą na nim szklanką wody, szafy i zielonego fotela. Z jakiegoś niewiadomego powodu czuła, że niedawno ktoś na nim siedział, obserwując ją.

Głowa ciążyła jej, jakby wypila za dużo wina. Spróbowała ją unieść, ale pokój zawirował nagle i poczuła mdłości, więc opadła z powrotem na poduszkę. Poduszka była ogromna, z wykrochmaloną powłóczką, co przypomniało jej pobyt w szpitalu w dzieciństwie. Tęsknota za domem i samotność.

Obróciła się do okna. Na zewnątrz widziała górne konary paru wysokich wiaźów, kilka stromych dachów i kominy. Nawet gdyby bardzo dobrze знаła Londyn, nie zdołałyby poznać, gdzie się znajduje. Niebo było jasnoniebieskie i płynęło po nim tylko kilka obłoków, przesuających się jak kłaczki białej waty. I było cicho. Nie słyszała ulicznego ruchu.

Spróbowała przypomnieć sobie, co się z nią stało. Ostatnim wspomnieniem było to, że Frank Mordant ją uderzył. Później pamiętała tylko niewyraźny gwar głosów i jakieś oderwane obrazy.

Minęła godzina. Słońce przesunęło się za oknem. Wciąż panowała cisza. Nancy usiłowała nie zasnąć, ale nie zdołała, jej się, że spaceruje wzdłuż odludnego morskiego i zaczyna się przyplýw. Była mgła i Nancy czuła, że robi się późno i powinna już wracać. Jednak w oddali dostrzegła jakąś zakapturzoną postać i wiedziała, że jeśli tam dojdzie, będzie mogła zapytać, gdzie jest Josh. Idąca w rozwianej szacie przez mgłę postać budziła w niej głęboki lęk, ale wiedziała, że nie ma innego wyjścia. Pospieszyła po twardym, pofałdowanym piasku, chociaż woda zaczęła już omywać podeszwy jej butów. Postać przystanąła. Nancy zwolniła i ostrożnie obeszła ją, aż stanęła z nią twarzą w twarz.

— Wiem, czego chcesz — powiedziała postać głuchym szeptem. — Wiem, czego zawsze pragnęłaś. Sięgnęła za pazuchę i wyjęła półmetrowy pogrzebacz, którego koniec był rozżarzony do czerwoności i tryskał skrami.

— Chcesz Pięciu Świątych Kauteryzacji, prawda? Oczu, języka i uszu — aby przypieczętować twoją czystość.

Nancy chciała się odwrócić i uciec, ale nie była w stanie. Mogła tylko powoli opaść na kolana w zimną wodę, gdy postać bez pośpiechu zbliżała się do niej z podniesionym do ciosu pogrzebaczem. Już czuła zapach rozżaranego żelaza.

— Suplikant zawsze ma wybór — szepnęła postać. — Możesz wybrać, którą kauteryzacją chcesz się cieszyć najpierw, a którą na końcu. Zdziwiłabyś się, jak wielu pozostawia na koniec język, aby nawet jako głusi i ślepi, nadal Mogli przeklinać fakt, że Pan raczył ich stworzyć.

Postać stała tuż nad nią, w rozwianej na wietrze szacie. Morska woda wirowała wokół kolan Nancy. Podniosła głowę i wyzywająco spojrzała w ciemność pod kapturem.

— Do cholery, możesz sobie robić, co ci się podoba — powiedziała.

— Och, to bardzo wielkodusznie z twojej strony — rzekł głos. Otworzyła oczy. Wcale nie znajdowała się na brzegu morza, tylko leżała na szpitalnym łóżku. Niedaleko niego stał Frank Mordant, z rękami w kieszeniach i promiennym uśmiechem na twarzy. Znacznie bliżej stali dwaj inni ludzie, obaj ubrani w wykrochmalone białe koszule, czarne płaszcze i szare prążkowane spodnie, jak bankowcy. Jeden z nich miał stalowosiwe włosy i złote pince-nez tkwiące na

bulwiastym, czerwonym nosie. Drugi był młody, miał szyję jak bocian i czarne, oklapnięte wąsy.

— Co ja tu robię? — zapytała niewyraźnie Nancy. Ponownie spróbowała usiąść, ale starszy z dwóch bliżej stojących mężczyzn łagodnie przytrzymał ją na łóżku.

— Powinnaś odpoczywać — rzekł z dobrodusznym uśmiechem. — Oszczędzać siły.

— Chcę stąd wyjść, nic więcej. Chcę wrócić tam, skąd przybyłam.

— Przecież wróciłaś tam, skąd przyszłaś — odparł Frank Mordant. — Potem jednak postanowiłaś tu wrócić i sprawiać kłopoty. To twój wybór, kochanie. Nie możesz mnie za to winić. Każdy z nas musi pilnować swojego tyłka, jak mówią Jankesi, prawda?

— I co chcesz zrobić? Zamordować mnie tak, jak zamordowałaś Julię? — Zwróciła się do dwóch mężczyzn w czarnych płaszczach. — Wiedzieliście? Wiedzieliście, że on jest mordercą? Przyznał się. Sam mi powiedział.

Frank Mordant zrobił krok naprzód i położył ręce na ramionach obu mężczyzn.

— Może powinienem dokonać prezentacji, pani Andersen. To jest pan Brindsley Leggett, starszy chirurg Puritan Martyrs Hospital, a to jego młodszy kolega, pan Andrew Crane.

— Przyznał się — ciągnęła Nancy. — Powiedział, że wieszał kobiety i nagrywał ich śmierć na kasetach wideo!

— Spokojnie — rzekł pan Leggett. — Przeżyła pani głęboki wstrząs. Wcale mnie nie dziwi, że cierpi pani na przywidzenia. Mój Boże, gdyby mnie się to przydarzyło...

— Chce pan powiedzieć, że jestem chora? Jeśli ktoś tutaj jest chory, to Frank Mordant! To morderca, mówię wam! Mogę to udowodnić!

— Ciekawe jak.

— Jeśli pozwolicie mi go zabrać tam, skąd przybyłam, dowiodą tego badania DNA.

Pan Leggett pokręcił głową.

— Badania DNA? A cóż to takiego?

— Niezbity dowód naukowy, że Frank Mordant zabił niejaką Julię Winward.

— I gdzie ma być ten dowód? Czy ma go policja? A może Strażnicy?

— Jest w tamtym Londynie. Za drzwiami.

Leggett odwrócił się do Franka Mordanta i potrząsnął głową.

— Biedactwo. „W tamtym Londynie”. Co za nazwa dla czyścica.

— Nie jestem z żadnego czyścica, ty zabobonny dupku! — wrzasnęła na niego Nancy. — Po drugiej stronie drzwi nie ma żadnego czyścica, tylko drugi Londyn, taki jak ten, choć inny. Są w nim ludzie, domy, szpitale i samochody. To prawdziwe miejsce, a nie takie średniowieczne zadupie jak to!

Crane pobladł.

— Jeszcze nigdy nie widziałem tak agresywnego czyścicowego.

— Cóż, zdecydowanie jest najbardziej żywotna z tych, których mieliśmy — stwierdził Leggett. — Pan Mordant zwykle przysyła nam tak bliskie spotkania ze Stwórcą, że jest im wszystko jedno... a z innymi wcześniej rozmawiają Strażnicy.

— Strażnicy chcieli, żeby była w dobrej formie — rzekł Frank Mordant. — Widocznie mają swoje powody.

— Jeśli mi nie wierzycie, to wypuście mnie stąd — powiedziała Nancy.

— Och, nie możesz odejść — odparł łagodnie Leggett. — Mamy wobec ciebie pewne plany, kiedy Strażnicy już zrobią swoje. Złożysz daninę społeczeństwu, prawda, zanim ostatecznie pojednasz się z Bogiem?

— O czym ty bredzisz?

Leggett zaśmiał się.

— Ależ to interesujący przypadek! Chciałbym, żeby zawsze przysyłali mi czyścicowych w



takim stanie! Z tego, Co mówi, trudno mi osądzić, czy pójdzie tam... — wskazał palcem na sufit — czy też tam — wskazał na podłogę. Odwrócił się do Franka Mordanta i uściśnął mu dłoń. — Bardzo mi miło znowu pana spotkać, panie Mordant. Niezwykle smakowała mi ta brandy, którą wtedy od pana dostałem. Gdzie ją pan zdobył?

— Och, podczas jednej z podróży w interesach — uśmiechnął się Frank Mordant.

Leggett i Crane opuścili pokój. Nancy została na łóżku, rozczarowana i wściekła. Frank Mordant podszedł i stanął obok, ale już się nie uśmiechał.

— Powiem ci coś, kochanie, popełniłaś poważny błąd, usiłując mi zaszkodzić. Mam zbyt wiele kontaktów w różnych rzeczywistościach. Wielu wysoko i nisko postawionych przyjaciół.

— Dlaczego mnie nie wypuścicie?

— Ponieważ chcą cię mieć Zakapturzeni, dlatego. Czy wiesz, co by mi zrobili, gdybym cię wypuścił? Muszę przyznać, że miałem na to ochotę. Jesteś śliczną dziewczyną i nie chciałem, żeby przydarzyło ci się... no wiesz, coś złego. Jednak ty musiałaś się wygadać, że masz dowody przeciwko mnie. Rozumiesz więc, że teraz już nie mam na to takiej ochoty.

— Ty draniu!

— Przykro mi, kochanie. Powinnaś była zostać tam, gdzie byłaś, i zapomnieć o Julii. Wtedy nie doszłoby do tego. A tymczasem...

— Do czego jestem potrzebna Zakapturzonym?

— Nie mówili. Ale domyślam się, że chcą złapać twojego chłopaka i masz być przynętą. Dlatego chcieli, żebyś była cała i zdrowa i do tej pory nic ci nie zrobili, chociaż pewnie jeszcze zrobią.

— A czego chcą ci dwaj? Ci lekarze?

— Dowiesz się rano, tak mi powiedziano. Myślę, że możesz spokojnie założyć, że zechcą przeprowadzić na tobie jedną czy dwie operacje. Poważne operacje.

— Jakie operacje? O czym ty mówisz, do diabła?

Frank Mordant pochylił się nad nią, tak blisko, że widziała włosy w jego nozdrzach.

— Wydajesz się zapominać, że przybyłaś tu z czyścica. Ludzie, którzy przychodzą z czyścica, już są martwi. Nie mają prawa do życia ani żadnej własności. Przynajmniej tak naucza Lord Protektor.

— Nadal nie rozumiem — powiedziała Nancy. Oddychała coraz szybciej i serce biło jej coraz mocniej.

— Szanowna pani, dla przedstawicieli medycznej profesji czyścicowi już nie żyją. Są tylko żywymi trupami. Dlatego tacy dżentelmeni jak pan Leggett i pan Crane bez żadnych skrupułów pokroją cię i wezmą te organy, które są im potrzebne.

— Jesteście stuknięci, wszyscy. Kompletnie stuknięci.

Frank Mordant wstał.

— Ty wiesz, że to bzdury. Ja też wiem, że to bzdury. Jednak takich jak Leggett i Crane nauczo w nie wierzyć, tak samo jak pozostałe dziewięćdziesiąt dziewięć i dziewięćdziesiąt dziewięć setnych procent tutejszej populacji. Zaryzykowałaś i wróciłaś tu, kochanie, i teraz za to zapłacisz.

— Ty świni! Jesteś najobrzydliwszym gadem, jaki kiedykolwiek pełzał po ziemi.

Frank Mordant skrzywił się.

— Wszystko jest względne, kochanie. Cokolwiek sobie myślisz, nie jestem bez serca. Kiedyś miałem psa. I kochałem go. Naprawdę bardzo go kochałem.

Nancy jeszcze nigdy nikogo nie opluła, ale zrobiła to teraz, trafiając w policzek Franka Mordanta. Jej ślina ściekła mu do kącika ust. Gapił się na nią przez chwilę i już myślała, że ją uderzy, ale tylko wyjął z kieszeni starannie uprasowaną chusteczkę i otarł sobie twarz.

— Nie obwiniaj mnie — powiedział. — Sama tutaj wróciłaś.

W nocy znów miała koszmarne sny. Widziała czarne, podobne do krabów stwory, biegające po suficie. Słyszała, jak babka głośno woła ją po imieniu. Kiedy się zbudziła słońce znów świeciło przez okno, a pielęgniarka przyniosła tacę ze śniadaniem. Grzanka, jajecznica i smażony pomidor. Pielęgniarka była młoda, o pociągłej piegowatej twarzy, i przez cały czas spoglądała na Nancy ze źle skrywaną obawą.

— O co chodzi? — spytała Nancy. — Ja nie gryzę.

Pielęgniarka posłała jej szybki, nerwowy uśmiech.

— Jeszcze nigdy nie widziałaś czyścicowego?

— Nie takiego jak ty.

— A co jest we mnie innego?

— Jesteś przytomna. Mówisz.

— To dlatego, że jeszcze żyję. Chcesz sprawdzić mój puls?

Siostra pokręciła głową.

— Co tu się dzieje? — zapytała ją Nancy. — Co to za szpital?

Tamta nie odpowiedziała, tylko nerwowo wzruszyła ramionami.

— No, powiedz — nalegała Nancy. — Co tu robią? Operacje serca? Ortopedyczne? Pediatryczne?

— Opiekujemy się... no wiesz. Opiekujemy się nią.

— Nią? Kim ona jest?

— Po prostu ona, to wszystko.

— Czy ona nie ma imienia?

— Pewnie kiedyś miała, ale nikt go już nie wymienia.

— Chyba nie chcesz mi powiedzieć, że ona jest tu jedyną pacjentką?

— Och, nie. Ona nie jest pacjentką. Ona... no, ona...

Młodej pielęgniarce najwyraźniej zabrakło słów. Nancy usiadła i zapytała:

— Boisz się tego, co się tu dzieje?

— Oczywiście, że nie. To przywilej.

— Więc dlaczego nie możesz mi o tym opowiedzieć?

— Nie wolno. Nie tobie. Nikomu.

— Nie ufasz mi?

— Jesteś czyścicowa. Nie żyjesz.

— Jesteś pielęgniarką i myślisz, że nie żyję? Jeśli jestem martwa, to dlaczego karmisz mnie jajecznicą i smażonymi pomidorami?

— Nie wiem. Tak mi kazano.

— A gdzie pójdziesz potem z tą tacą? Na dół, do kostnicy? Zbudźcie się, chłopcy, i jedzcie, dopóki gorące!

— Nie... Nie wiem, co powiedzieć.

— Jasne. Z całą pewnością nie jestem martwa. Nigdy nie byłam martwa. I nigdy nie byłam w czyścicu. Wszystko, co wam mówią o czyścicowych, to kłamstwo. Kiedy ludzie umierają, nigdy nie wracają. Kiedy jednak przybywają z innego świata — z innej rzeczywistości — o, wtedy to zupełnie co innego.

Młoda pielęgniarka spoglądała na nią przez długą chwilę, a potem odgarnęła kosmyk włosów z twarzy.

— Jak masz na imię? — zapytała ją Nancy.

— Sophie.

— Cóż, Sophie, dzięki za śniadanie. Mogę ci jeszcze tylko powiedzieć, żebyś nie wierzyła w to, co wypisują w książkach. Szczególnie w elementarzu.

Sophie, nadal nie odrywając od niej oczu, otworzyła drzwi i wyszła. Nancy położyła głowę na poduszce. Nie miała pojęcia, co o tym wszystkim myśleć. Wiedziała tylko, że ma bardzo mało czasu. Josh pewnie zaczeka dwadzieścia cztery godziny na jej powrót, a potem... Nie miała wątpliwości, że przyjdzie tu po nią. W każdej chwili mógł zjawić się w tej rzeczywistości. Może trochę potrwać, zanim odnajdzie ją w tym szpitalu, ale wiedziała, jaki jest przedsiębiorczy.

Zamknęła oczy i pomodliła się do przodków, aby ją chronili. Tutaj jednak, w tej rzeczywistości, wcale nie była pewna, czy nadal czuje ich bliskość.

Wczesnym popołudniem, zawieszona między jawą a snem, usłyszała skrzyknięcie otwieranych drzwi i odgłos kroków na pokrytej linoleum podłodze. Otworzyła oczy i ujrzała dwóch Zakapturzonych, stojących po obu stronach łóżka w tych swoich wysokich purytańskich kapeluszach, czarnych opończach i groteskowych płóciennych maskach. Usiadła na łóżku i podciągnęła koc pod brodę. Była zbyt przestraszona, żeby coś powiedzieć.

— Sądysz, że twój przyjaciel przyjdzie cię szukać?— zapytał jeden z nich cichym, zgrzytliwym głosem.

Nancy nadal nie mogła wydobyć z siebie głosu.

— Chyba nie sądzisz, że cię zostawi, prawda? Zwłaszcza kiedy się dowie, co cię czeka.

— Nie wiem, co zrobi.

— Och, przyjdzie tu. Prawdę mówiąc, nawet damy mu przewodnika, żeby wiedział, gdzie jesteś i jak cię znaleźć.

— Rany boskie, on nie jest głupi. Myślicie, że wpadnie w waszą pułapkę?

— Myślę, że on cię kocha — odparł Zakapturzony i odniósł wrażenie, że powiedział to z uśmiechem.

— Dlaczego mnie po prostu nie puścicie? Przybyliśmy tu tylko po to, żeby dowiedzieć się, kto zabił siostrę Josha.

— Tak twierdzicie. Tymczasem urządziliście tu straszne jatki razem z waszymi przyjaciółmi wywrotowcami. A dziś rano dowiedzieliśmy się, że twój wspaniały Josh zabił jednego z nas. Obciął mu głowę. Chyba nie myślicie, że przymkniemy oko na morderstwo?

— Kłamiesz! Josh nikogo by nie zabił!

— Zapewniam, że mamy wystarczająco wielu świadków.

— Gdzie to się stało? Był tutaj? Czy Josh jest w tym Londynie?

— To zdarzyło się w innym Londynie. Wydaje nam się, że wiemy, gdzie w tej chwili przebywa twój partner, ale nie mamy pewności. Może ukrywać się w jednym z milionów Londynów i nigdy go nie znajdziemy. Dlatego jesteś dla nas taka cenna. Kiedy odkryje, gdzie jesteś i co zamierzamy z tobą zrobić, nie martw się, wróci tu tak szybko, jak tylko pozwoli mu na to ruch obrotowy Ziemi. Damy mu trzy lub cztery dni. Nam się nie spieszy.

— Będziecie potępieni — warknęła Nancy. — I wy uważacie się za wierzących? Będziecie się za to smażyć w piekle.

Zakapturzony pochylił się. Nancy zauważyła, że coś porusza się w otworach jego maski. Poczula dziwny zapach, który przypominał jej coś, co zdarzyło się dawno temu, kiedy była dzieckiem. Jakieś nieprzyjemne przeżycie. Coś, o czym próbowała zapomnieć.

— Kobieto — wychrypiał Zakapturzony. — Ty nie wiesz, oznacza słowo „piekło”.

## ROZDZIAŁ 26

Gotam Das poszedł z nimi na Star Yard i klęknął przed niszą w ścianie, żeby osobiście zapalić świece. Był szary londyński dzień i siąpił deszcz, lecz Gotam Das miał na sobie płaszcz z jasnożółtego jedwabiu, jakby postanowił rozjaśnić świat, zastępując słońce.

— Mam nadzieję, iż zdoła pan odnaleźć swoją przyjaciółkę — rzekł, obiema rękami ściskając dłoń Josha. — Nie ma gorszego nieszczęścia niż utrata ukochanej osoby.

— Dziękuję — odparł Josh. — Nie zapomnę o tym, co dla nas zrobiliście. Może pewnego dnia wrócę tu i udowodnię, jak bardzo jestem wam wdzięczny.

— Hm, mam nadzieję, że nie — rzekł Gotam Das. — Im szybciej na zawsze zamkniemy te drzwi, tym będę szczęśliwszy. Po prostu pamiętajmy o sobie wzajemnie i o najważniejszym bożym przykazaniu, że wszyscy ludzie są braćmi.

Ujął również dłoń Petty i ucałował ją w oba policzki.

— Modłę się o to, by droga twego życia była usłana płatkami róż — powiedział jej.

Nieoczekiwanie oczy Petty wypełniły się łzami.

— To lepsze niż psie gówna, no nie? — mruknęła.

Josh wyrecytował wierszyk i przeskoczyli nad świecami do niszy. Petty nie oglądając się poszła przed siebie, lecz Gotam Das zawołał „panie Winward!” — więc Josh przystanął i odwrócił się.

— O nic nie mogę pana prosić — rzekł Gotam Das niewyraźnym, zniekształconym głosem. — Gdybyś jednak znalazł sposób, aby zamknąć te drzwi, drogi panie, na zawsze zmieniłbyś losy tego świata i wszystkich innych. Tylko nieliczni zrozumieliby, czego dokonałeś, ale byłbyś największym bohaterem, jakiego znamy.

Josh milczał. Wiedział, czego oczekuje od niego Gotam Das, ale nie miał pojęcia, czy znajdzie sposób i odwagę, żeby tego dokonać. Zanim poddano go torturom Świętej Harfy i zanim zabił Zakapturzonego, powiedziałby, że nie. Teraz jednak odkrył w sobie siłę, której istnienia nigdy nie podejrzewał, nawet podczas szkolenia *marines*. Miał wrażenie, że jej zasoby są niewyczerpane. Było to po prostu poczucie własnego człowieczeństwa i gotowość do walki na Śmierć i życie o to, czego pragnął.

Stał jeszcze chwilę, patrząc na Hindusa, a potem przeszedł za Petty przez drzwi.

Następny dzień spędzili w opuszczonym sklepie papierniczym na Fleet Street. Frontową szybę wybił podmuch wybuchającej bomby, więc całe pomieszczenie było zasłane potłuczonym szkłem i papierami, ale usiedli za ladą i przeczekali kolejny obrót Ziemi, rozmawiając, śpiąc i jedząc kebab oraz inne przysmaki, które dała im na drogę Sharma.

Miasto wyglądało na opuszczone. Jediną żywą istotą był kulawy bezpański pies, który przywędrował z Ludgate Circus. Za kopułą katedry St Paul's gęsty szary dym jak brudny kalafior wyrastał pod niebo i co jakiś czas słyszeli głuchoe tapnięcia wysadzanych niewypałów. Wydawało się, że bombardowania złamały ducha mieszkańców, którzy teraz czekali tylko na okupantów.

— Nie mogę się doczekać normalnego żarcia — mruknęła Petty. — Od tych hinduskich potraw dostaję zgagi.

— Co zrobisz? — zapytał Josh. Jak to, co zrobię?

— Co będziesz robiła, kiedy wrócimy do mojej rzeczywistości?

Petty pociągnęła nosem i otarła go wierzchem ręki.

— Nie wiem. Nie myślałam o tym. Pewnie dalej będę się puszczać, dopóki nie znajdę jakiejś pracy.

— Czy to cię nie martwi?

— Martwi? A czemu miałoby mnie martwić? To klienci są godni pożałowania.

Josh bardzo ostrożnie wkroczył do Londynu Zakapturzonych, lecz kiedy wyszedł z niszy na Star Yard, deszcz padał tak mocno, że wokół nie było żywej duszy. Zaprowadził Petty do opuszczonego budynku, w którym po raz pierwszy uciekli psiarczykom. Ukryli się w narożnym biurze, po czym przez cały dzień i noc słuchali bębnienia deszczu, który przesączał się przez sufit i spływał kaskadą po schodach.

W końcu Petty zasnęła z głową opartą na ramieniu Josha, poświęcając przez jedną zatkaną dziurkę od nosa. Josh był wyczerpany i oszołomiony po przejściu do innej rzeczywistości, lecz mimo to nie mógł zasnąć. Wciąż myślał o twarzy Zakapturzonego, któremu rozciął kaptur. Ten widok odebrał mu spokój. Jakby pod jego nogami otworzyła się kłapa zapadni. Nie miał już pewności, w co wierzyć, a w co nie.

Mógł zrozumieć, że świat składa się z nieskończonej liczby rzeczywistości. Einstein wykazał, iż czas i przestrzeń są realne tylko w takim stopniu, w jakim je odbierasz. A on był tutaj i siedział w zalewanym deszczem budynku. Kiedy jednak zabił Zakapturzonego, zobaczył coś, czego po prostu nie mógł ogarnąć rozumem. Jakby ojciec i matka nagle zdjęli gumowe maski i pokazali swoje prawdziwe twarze — twarze odrażających obcych istot.

Petty poruszyła się i dotknęła jego ramienia.

— Która godzina? — zapytała, nie otwierając oczu.

— Jeszcze siedem i pół godziny. Nie martw się. Śpij dalej. Godzinę później usłyszał warkot werbli. Patrol Zakapturzonych. Przeszli po Chancery Lane ku Holborn, ale nie zatrzymali się. Josh był przekonany, że w taką pogodę psy nie będą za nimi węszyć. Z pewnością myślały tylko o suchej budzie i pełnej misce.

Deszcz przestał padać. Josh w końcu zasnął, z odchyłoną do tyłu głową. Obudził się o piątej rano, z obolałym gardłem i zdrętwiałym karkiem.

— Zostało nam jeszcze jakieś hinduskie żarcie? — spytała Petty.

Z Chancery Lane pojechali do West Kensington taksówką. Petty była zdumiona, widząc tłumy ludzi i ożywiony ruch na ulicach.

— Nie wierzę własnym oczom! — powtarzała. — Spójrz na sukienkę tej dziewczyny! Popatrz na to! Niesamowite, no nie?

Taksówkarz obserwował ich w lusterku. Oboje byli brudni, posiniaczeni i śmierdzielni. Ubrania mieli pokryte kurzem, a włosy w strąkach. Josh ujrzał swoje odbicie w bocznej szybie i zobaczył, że ma szare policzki i przekrwione oczy, jak zombie.

Kiedy dojechali do hotelu, dał taksówkarzowi dziesięć funtów napiwku.

— To za to, że nas pan zabrał i za czyszczenie siedzeń, jeśli będzie pan musiał to zrobić. Powiem tylko, że zazwyczaj tak nie wyglądamy.

— Nie ma sprawy, kolego — rzekł taksówkarz. — Przynajmniej nie zarzygaliście mi wozu.

Weszli do recepcji i ruszyli do windy. Petty rozglądała się wokół z niedowierzaniem.

, — Nigdy nie widziałam niczego takiego. To niewiarygodne. I spójrz, co to? Telewizor? Jaki wielki! I kolorowy, jak film!

— Pan Winward? — zapytała niepewnie jedna z recepcjonistek.

— To ja.

— Jest dla pana wiadomość.

Sięgnęła do jednej z przegródek i wyjęła złożony kawałek żółtego papieru. Josh rozwinął kartkę i przeczytał:

„Panie Joshua Winward, pańska przyjaciółka jezd shwytana przez Kaptórów ja wiem gdzie ją tzymają wruć na St Yd jak najszybciej wybacz pismo ale nie mam prawej renki. Twuj przyjaciel Simon Cutter”.

— Josh, uwielbiam to miejsce — powiedziała Petty, chwytając go za rękę. Jej oczy błyszczały z radości. — Jest *de luxe*, prawda? Naprawdę *de luxe*.

Josh wziął ją pod rękę i pociągnął w kierunku wind.

— Hej, powoli — zaprotestowała. — Po co ten pośpiech?

— Muszę wyjść. Mam coś do zrobienia.

— Przecież dopiero tu przyszliśmy!

— Wiem, ale to pilne. Wezmę prysznic, przebiorę się, a potem wyjdę. Może nie wrócę do jutra.

— A co ja mam robić?

— Możesz tu zostać. Zamawiać posiłki do pokoju. Oglądać kolorową telewizję. Robić, co chcesz. Dam ci trochę pieniędzy, żebyś mogła kupić sobie papierosy, czekoladki, rajstopy czy cokolwiek chcesz. Jakoś przeżyjesz.

Wciągnął ją do windy i nacisnął przycisk trzeciego piętra.

— Przecież nikogo tu nie znam! — protestowała. — Skąd mam wiedzieć, że wrócisz? A jeśli nie wrócisz?

Chwytał ją za rękę i uściskał.

— Wrócę, obiecuję ci.

— Nie zostawisz mnie tu samej?

— A nie podoba ci się tutaj? Mówiłaś, że jest *de luxe*.

— Jest. Jednak to nie dom, prawda? Nie chcę już być sama. Nigdy.

Josh otworzył drzwi pokoju.

— Wejdz i zobacz. Całkiem niezłe, prawda? — Pokazał jej, jak włączyć telewizor, skorzystać z łazienki i wezwać obsługę. — Może to nie dom, ale to nadal Londyn i przynajmniej bez bombardowań.

Petty niepewnie usiadła na łóżku i wypróbowała je. Josh poszedł do łazienki, rozebrał się i wziął prysznic. Był wyczerpany, ale wiadomość od Simona Cuttera sprawiła, że natychmiast poczuł przypływ nowych sił. Musisz być silny, powtarzał sobie. Nancy potrzebuje cię i musisz być silny. Miał nadzieję, że nie będzie musiał znów stawić czoła Zakapturzonemu, a stojąc pod strumieniem wody tryskającej mu w twarz, miał też nadzieję, że w ten sposób zmyje obraz głowy tego, którego zabił. Jednak im mocniej zamykał oczy, tym wyraźniej ją widział, więc w końcu znów je otworzył. Przychodzą w życiu takie chwile, kiedy człowiek myśli: „O Jezu, co ja zrobiłem?”. To była jedna z nich.

Kiedy wyszedł spod prysznic, zobaczył, że drzwi łazienki są szeroko otwarte, a w przejściu stoi naga Petty. Mocno owinął się w pasie ręcznikiem i próbował ostrożnie minąć ją w drodze do sypialni.

— Wiesz co, wcale nie musisz iść — powiedziała, ocierając się o niego. — Przynajmniej nie od razu.

— Przykro mi, ale mam coś do zrobienia.

— Nie moglibyśmy najpierw odpocząć? Razem? To łóżko jest takie wygodne.

Josh włożył czystą koszulę w niebieską kratę.

— Petty... Lubię cię. Wierz mi, naprawdę bardzo cię lubię. Jednak to sprawa życia i śmierci.

— Dokąd idziesz?

— Bezpieczniej dla ciebie, jeśli nie będziesz wiedziała. Naprawdę.

— Ci faceci w kapturach nie przyjdą tu za tobą, co?

— Nie wiem. Cokolwiek się stanie, nie widziałas mnie i nie wiesz, dokąd poszedłem.

Wyciągnęła się na łóżku, nawijając kosmyk włosów na palec, i obrzuciła go kokietyrnyim spojrzeniem, jak gwiazda filmowa z lat czterdziestych.

— Na pewno nie dasz się skusić?

Dojście do mieszkania Elli nie zajęło mu nawet dziesięciu minut. Porywisty wiatr niósł gazety po ulicach Earls Court. Josh ponownie nacisnął guzik dzwonka, lecz nadal nikt nie odpowiadał. Zaciśnął pięść i gniewnie załomotał w drzwi.

Teraz naprawdę potrzebował wsparcia. Co więcej, rozpaczliwie potrzebował informacji o poczynaniach Zakapturzonych. Zadzwoił jeszcze raz, na wypadek gdyby Ella wypłała jeden ze swoich usypiających naparów. Trzymał kciuk na przycisku, gdy zza rogu wyszedł utykający Abraxas.

— Abraxas! Co ty tu robisz, mały? Gdzie twoja pani?

Pies podszedł do niego, a Josh kucnął na chodniku, chwycił go za uszy i podrapał. Abraxas miał sierść lepka od brudu i mętne spojrzenie. Poza tym wyraźnie schudł. Josh domyślił się, że od dwóch lub trzech dni nie jadł.

— Gdzie twoja pani, Abraxasie? Gdzie Ella? Przecież nie porzuciła cię, prawda? Nie zrobiłaby tego.

W tym momencie frontowe drzwi budynku otworzyły się i wyszła z nich wysoka kobieta w średnim wieku, niosąca w rękę torbę od Harrodsa.

— Och, ten biedny piesek! — wykrzyknęła. — Kręci się tu od trzech dni. Już dwa razy dzwoniłam po ambulans weterynaryjny, ale kiedy przyjechali, nie było go tu. Tak mi go żal.

— Gdzie jego pani?

— No, przecież nie żyje. Nie czytał pan o tym w gazetach?

— Nie żyje? — Josh miał wrażenie, że pod stopami rozwarła mu się przepaść. — Kiedy? Co się stało?

— To było okropne. Wypadła z okna mieszkania i wylądowała na ogrodzeniu. Tak się cieszę, że nie było mnie tu, kiedy to się stało. A jej przyjaciel został zakłuty w korytarzu. Prawie zdecydowałam się wyprowadzić. I zrobię to, jeśli tylko znajdę w pobliżu dobre mieszkanie za te same pieniądze.

Josh głaskał Abraxasa i spoglądał mu w oczy.

— Na pewno ci bardzo smutno, mały. Z pewnością ją oplakujesz.

Abraxas przysunął się do niego, położył mu łeb na kolanach i spojrzał na niego wilgotnymi bursztynowymi ślepiami.

— Widzę, że ma pan podejście do zwierząt — zauważyła kobieta.

— Zabiorę go i wykapię — rzekł Josh. — On potrzebuje wsparcia emocjonalnego. Jest zupełnie wytracony z równowagi niespodziewanym zniknięciem Elli.

— Jeśli pan chce, mogę panu dać numer telefonu schroniska dla zwierząt.

— Nie, dziękuję. W tym momencie ostatnią rzeczą, jakiej mu potrzeba, jest psiarnia pełna innych przygnębionych psów. Potrzebuje spokoju. Moralnego wsparcia.

Poszedł z powrotem do hotelu, a Abraxas dzielnie pokuszykał za nim. Kobieta odprowadziła ich wzrokiem.

Petty patrzyła, jak Abraxas pochłania miskę mleka i psich biszkoptów, a potem potrzęsła głową.

— Wygląda na to, że zbierasz z ulic wszystkie bezpańskie stworzenia, co?

— Nie mogłem zostawić go własnemu losowi.

— I co zamierzasz z nim zrobić? Przecież nie możesz go tu trzymać, prawda? A jeśli jutro odejdziesz, nie spodziewaj się, że się nim zaopiekuję. Nie lubię psów.

— Wezmę go ze sobą, jeśli będę musiał.

— No to w porządku. — Zapaliła papierosa i wypuściła długie pasmo dymu. — Więc jednak zostaniesz tu na noc?

— Będę musiał, skoro moja znajoma została zabita.

— Tylko nie spodziewaj się żadnego bara–bara. Nie w obecności psa.

Josh mimo woli się uśmiechnął. Był wykończony i nie potrafił myśleć o niczym innym oprócz Nancy, schwytanej przez Zakapturzonych. Pomimo to rozbawiło go niezłomne przekonanie Petty, że mężczyźni myślą tylko o jednym. „Bara–bara”? Akurat.

Zbudził się w środku nocy i znalazł Abraxasa leżącego na łóżku między nimi. Pies mocno spał, ale we śnie warczał i kopał tylnymi łapami. Josh próbował go przenieść, jednak terier był za ciężki. Petty też mocno spała. Gdy Josh usiłował zdjąć Abraxasa z łóżka, objęła jedną ręką grzbiet psa i mruknęła:

— Nic nie szkodzi, kochanie. Życzę szczęścia następnym razem.

Był kolejny wietrzny dzień i Josh z trudem zapalił świece. Abraxas stał obok niego, spokojnie posapując. Josh zrobił prowizoryczną smycz z paska od walizki. Jeden czy dwaj przechodnie przystanęli, przyglądając mu się, a jakaś staruszka zapytała, czy robi tu kapliczkę.

Odpowiedział, że tak, i w pewnym sensie tak było. Ta nisza w ścianie była kapliczką Julii, Elli oraz wszystkich zabitych i torturowanych przez Kaptury.

W końcu świece zapłonęły równym płomieniem. Josh wziął Abraxasa na ręce i wyrecytował dzieciinną rymowankę. Wokół nie było nikogo prócz idącej po Carey Street dziewczynki z koszem kanapek. Josh przeskoczył przez świece do niszy. Abraxas warknął kilkakrotnie, gdy skręcali za róg, odchodząc od Star Yard i kierując się do drugiego Londynu.

Tamten Star Yard też był prawie pusty. Josh ostrożnie wyjrzał zza rogu, upewniając się, że nie czekają na niego Kaptury ani ich obserwatorzy. Potem pociągnął za smycz Abraxasa i mruknął:

— Chodź, mały. Poszukajmy Nancy.

Prawie doszli do Carey Street, kiedy ktoś położył dłoń na jego lewym ramieniu.

— Hej! Nie pędź tak! Czekam tu na ciebie już od paru dni!

Był to Simon Cutter, chociaż Josh ledwie go poznał. Miał spuchniętą i podrapaną twarz, podbite oczy i brakowało mu dwóch przednich zębów. Prawą rękę miał owiniętą brudnym bandażem i zawieszoną na temblaku. Jego długi płaszcz był ubłocony i kawałek oddartej podszewki włókł się po bruku.

— Wielki Boże, co ci się stało? — zawołał Josh.

— Kaptury dali mi wycisk, no nie? Chcieli wiedzieć wszystko o Johnie Farbelowie i jego wywrotowcach. Chcieli wiedzieć wszystko o tobie.

— I co im powiedziałaś?

— Nic im nie powiedziałem. A co mogłem powiedzieć, przecież nic nie wiem. Chcieli mnie zatłuc albo wsadzić do pierdła, ale w końcu prokurator orzekł, że wystarczającą karą jest dla mnie utrata graby.

— Gdzie jest Nancy?

Simon chwycił go za rękę i pociągnął z powrotem na Star Yard.

— Słyszałem od jednego z moich kapusiów, że zabrali ją do Puritan Martyrs Hospital w City.

— Była ranna?

— Nie sędzę. Podobno jest zdrowa i cała.



— Po co więc zabrali ją do szpitala?

— Puritan Martyrs to nie jest zwyczajny szpital, szefie. Mówią, że kiedyś trzymali tam zakaźnie chorych, jednak teraz jest zamknięty. W nocy w oknach zawsze palą się światła, ludzie wchodzą i wychodzą, ale nikt nie wie, co się tam dzieje.

— Posłuchaj, jesteś pewny, że Nancy tam jest?

Simon postukał się palcem w bok nosa.

— Wierz mi, wiem o tym z najlepszego źródła.

— Jak sądzisz, moglibyśmy się tam dostać?

— A jak myślisz, dlaczego przesłałem ci tę wiadomość? Tak się składa, że znam chłopaka, który pracuje tam w kuchni. Kiedyś robiliśmy razem interesy. W branży skórzanej. — Zawahał się, a potem dodał: — Portfele, torebki, takie rzeczy.

— Jak daleko do tego szpitala?

— Nie więcej niż kilometr. Musimy jednak poczekać, aż się ściemni. Mój znajomy pracuje na nocnej zmianie, jako pomywacz. Może wpuścić nas przez kuchnię, dokładnie o dziesiątej.

— Dobrze... Znasz jakieś miejsce, gdzie moglibyśmy poczekać do tego czasu?

— Sam nie wiem. Nie sądziłem, że przyprowadzisz tu kundla.

— Abraxas jest spokojny. Nie sprawi kłopotów.

Jakby potwierdzając jego słowa, Abraxas wywiesił jęzor i pomachał ogonem.

— W porządku — mruknął Simon. — Nad „Old Cat & Ninepence” jest pusty pokój. Możemy z niego skorzystać.

„Old Cat & Ninepence” był siedemnastowiecznym pubem na rogu Gough Square, wciśniętym między dwa biurowce ze szkła i cementu. Miał dach kryty dachówką i krzywy komin. Wewnątrz były ciemne boazerie i poźółkły od nikotyny tynk, a belki sufitu znajdowały się tak nisko, że Josh musiał pochylać głowę.

— Postaraj się, żeby właściciel nie zobaczył psa — ostrzegł go Simon, gdy mijali wejście do baru. Było tam jednak tyle dymu i ludzi, że właściciel z pewnością nie widział dalej niż na metr od czubka swego nosa. Simon poprowadził Josha na górę po wąskich i stromych schodach, a potem na tyły budynku, do saloniku, w którym stała pokryta perkalem sofa i dwa fotele, duże radio i stojak z gazetami, wypchany poźółkłymi egzemplarzami „Radio Times” i „The People’s Friend”.

— Tutaj będziemy bezpieczni — powiedział Simon, opadając na fotel. — Kaptury mogą wyczuć, że ktoś wszedł do knajpy, ale nie wpadną na to, żeby szukać na górze.

Josh podszedł do okna. Było zrobione z małych ośmiokątów żółtawego szkła, zawierającego pęcherzyki powietrza i inkluzje i w padającym przez nie słońcu twarz Josha wyglądała jak twarz trędowatego. Abraxas przysiadł obok niego i ziewnął.

— Na pewno nie wiesz, dlaczego Kaptury zabrały Nancy do szpitala?

— Pytaj mnie, szefie.

— Widzisz, niepokoi mnie to, że ciało Julii zostało okaleczone. Kiedy wyłowili ją z Tamizy, była dosłownie wypatroszona. Ktoś wyjął jej wszystkie organy wewnętrzne. I była to fachowa robota. Być może Frank Mordant powiesił ją, ale co zdarzyło się potem?

Simon zakaszłał, przyciskając rękę do piersi.

— Kiepsko wyglądasz — rzekł Josh.

— To przez ten kikut. Zakażenie. Wkładałem go do miski ze słoną wodą, ale to nie zapobiegło gniciu.

— Czy lekarz nie mógł zapisać ci antybiotyków? — zapytał Josh, ale natychmiast przypomniał sobie, że medycyna tego świata znajduje się na poziomie z lat trzydziestych, kiedy

jeszcze nie znano penicyliny.

Simon ponownie zakaszał i tym razem splunął krwią.

— Cholera, chyba umieram — wychrypiał. — Nie masz pojęcia, co te przekłete Kaptury mi zrobiły.

Josh nie odpowiedział. Nie wiedział dlaczego, ale czuł niepokój. Dlaczego Zakapturzeni wypuścili Simona? Przecież zabili wszystkich ludzi Johna Farbelowa w odwecie za śmierć Thomasa Edridge'a. A jeśli trzymają Nancy, to na pewno domyślają się, że po nią przyjdzie, więc dlaczego nie pilnowali drzwi?

Być może chcą mieć całkowitą pewność, że wpadnie w pułapkę, z której w żaden sposób nie będzie mógł się wydostać.

— Bili mnie żelaznymi prętami — mówił Simon. — Trzymali mi głowę w misce z wodą i byłem pewien, że się utopię. Wepchnęli we mnie świeczkę i zapalili. Myślałem, że smażę się w piekle. Jeszcze mam pęcherze.

— Co chcesz mi powiedzieć? — zapytał Josh. — Czyżbyś szukał usprawiedliwienia? Chyba mnie nie wystawiasz, co?

Simon spojrzał na niego przekrwionymi oczami.

— Możesz mi zaufać, szefie. Przecież wiesz.

Josh usiadł przed nim i wycelował w niego wskazujący palec.

— Jeśli to pułapka, przysięgam — Bogu, że zginiesz pierwszy.

## ROZDZIAŁ 27

Weszli na tył Puritan Martyrs Hospital wąskim zaułkiem, wiodącym od rzędu sklepów przy Bunhill Row. Był gęsto obwieszony pajęczynami i śmierdział kocimi szczynami. Musieli precyzyjnie się przesuwać przez wąską szczelinę w drewnianym ogrodzeniu, a potem przejść przez spory ogródek. Po drugiej stronie wznosił się wysoki płot z zardzewiałej żelaznej blachy, zwieńczony zębatymi ostrzami. Była w nim furtka, ale zamknięta.

— Jak przejdziemy? — zapytał Josh.

Simon spojrzął na zegarek i w tej samej chwili dzwon pobliskiego kościoła wybił dziesiątą.

— Whippy zaraz powinien tu być. Na nim zawsze można polegać.

Kiedy Abraxas obwąchiwał chwasty, usłyszeli szcęk kłódki i zgrzyt odsuwanej zasuwki. Furtka otwarła się i stanął w niej niski, krępy młodzieniec o czarnych kręconych włosach, rzymskim nosie i bystrych borsuczyczych oczach. Miał na sobie długi biały fartuch i trzymał miskę z obierkami.

— Simon! Chryste panie! Jak ty wyglądasz!

— Nic mi nie będzie, Whippy. Nie rób zamieszania. Mam szczęście, że jeszcze żyję. To jest pan Winward.

Whippy otarł dłoń o fartuch i wyciągnął ją do Josha.

— Miło mi poznać — rzekł z silnym manchesterskim akcentem. — Każdy kumpel Simona jest moim kumplem. Zabrał pan psa na spacer?

— Nie sprawi kłopotów, nie ma obawy.

— Mam nadzieję. Jeśli zwęszą go psy Kapturów, zeżrą go na śniadanie.

Whippy rzucił obierki na stertę kompostu, a potem skinieniem kazał im iść za sobą. Przeszli przez furtkę na teren szpitala. Josh krótko trzymał Abraxasa, idąc tuż za Simonem, po jego lewej ręce. Cutter co chwila nerwowo się oglądał, ale Josh trzymał się za jego plecami. Gdyby zaatakowali go Zakapturzeni, chciał, by Simon znalazł się między nim a napastnikami.

Szpital wznosił się wśród rozległych, dobrze utrzymanych trawników i był oświetlony reflektorami nadającymi mu nierealny wygląd, jakby zrobiono go z materiału równie nietrwałego jak tektura. Był to duży wiktoriański budynek o czterech skrzydłach, z czterema gotyckimi wieżyczkami nad każdym z nich. Prawie we wszystkich oknach paliło się światło, lecz na podjeździe nie było karettek ani nikogo z personelu. Zza ogrodzenia dobiegał szum autobusów i stukot kopyt na Bunhill Row, a z oddali żalosalne zawodzenie lecącego na lotnisko sterowca, tutaj jednak było dziwnie cicho i spokojnie, jakby cały świat wstrzymał oddech.

Whippy poprowadził ich żwirową ścieżką do kuchennego wejścia. Szedł z głośnym chrzęstem.

— Właśnie sprzątam i nie ma nikogo oprócz mnie — poinformował ich.

Kuchnia była przestronna i jasna, ze stołami o emaliowanych blatach i ścianami wyłożonymi zielonymi kafelkami. W powietrzu czuć było woń zapiekanki z cynaderek i znacznie silniejszy odór środka dezynfekcyjnego o sosnowym zapachu.

— Czy wiesz, gdzie trzymają Nancy? — zapytał Josh.

— Och, tak. Wieczorem kazali mi zaparzyć dla niej herbatę. Pokój trzysta trzynaście na trzecim piętrze.

— Pilnują jej?

— Nie muszą. Pokój jest zamknięty.

— Widziałeś ją? Nie jest ranna?

Whippy wyjął ze zlewu brytfankę, opłukał ją pod kranem i wytarł ścierką.

— Ja jej nie widziałem, tylko Sophie. To pielęgniarka, która nosi jej jedzenie. Mówi, że to niezwykła pacjentka, jak na czyścicową. Mówi i je. Nigdy byście nie pomyśleli, że martwy może mówić i jeść. Pewnie jednak tak czasem bywa, no nie? Jeśli Bóg cię nie chce i diabeł też nie, co możesz zrobić?

— Co jadła?

— Jajecznice na bekonie, omlet z serem, zapiekankę z cynaderek i kisiel agrestowy.

— Nie przyszło ci do głowy, że ktoś, kto tak je, nie może być martwy?

Whippy ze szczękiem przestawił garnki.

— Jestem kucharzem, kolego, a nie jakimś pieprzonym filozofem.

— Ona żyje i muszę ją stąd wyciągnąć.

— No, Whippy — rzekł Simon. — Powiedziałeś, że to załatwisz. Jesteś mi to winien po tym wszystkim, co dla ciebie zrobiłem. Gdyby nie ja, twój młodszy brat wachałby już korzenie.

Whippy bez słowa sięgnął do kieszeni i wyjął klucz do patentowego zamka.

— Pożyczyłem go od Sophie. Cokolwiek się stanie — jeśli was złapią — nie mówcie, skąd go macie. Inaczej polecą nasze głowy.

— Kto pilnuje szpitala? — zapytał Josh. — Kaptury? Są tu strażę?

— Tylko kilku wartowników. Jeśli się pospieszycie, nie macie powodu do obaw.

— Dobrze więc. Chodźmy.

Simon usiadł przy kuchennym stole.

— Przykro mi, szefie. Ja dalej nie idę — oświadczył.

— Co to ma znaczyć?

— To, że wprowadziłem cię do szpitala i załatwiłem ci klucz. Nic więcej nie zrobię. Nie zamierzam ryzykować.

— Simonie, zacznym mieć brzydkie podejrzenia.

— Straciłem dłoń. Mam trzy złamane żebra. I poparzone jaja. Nie chcę stracić łba, to wszystko.

Josh patrzył na niego zmrużonymi oczami.

— Chyba mnie nie okłamujesz, co?

Simon wruszył ramionami i wbił wzrok w podłogę.

— Mówisz prawdę, co? Na trzecim piętrze nie czekają na mnie Kaptury? Nancy jest cała i zdrowa?

— Przyprowaździłem cię tutaj, czego jeszcze chcesz? Przez ciebie o mało nie zginąłem!

Josh podszedł do niego i położył dłoń na jego ramieniu. Pod płaszczem było cienkie jak skrzydełko kureczaka.

— To prawda. Przykro mi z tego powodu.

Wziął Abraxasa i wyszedł z kuchni na korytarz.

Bez trudu dotarł na trzecie piętro. Korytarz doprowadził go do wielkiego, wysokiego przedsionka z lśniącą podłogą z białego i żółtego marmuru. Kręte schody z balaskami przedstawiającymi nagie, trzymające pochodnie postacie z brązu wiodły na pierwsze piętro. Abraxas z trudem przeszedł przez hol, bo łapy ślizgały mu się na śliskiej posadzce. Głośno skrobiąc pazurami, w końcu dotarł do schodów.

— Powinieneś nosić adidas — poradził mu Josh, a pies cicho zaskomlał.

Weszli na pierwsze piętro, gdzie wisiały wielkie, ciemne olejne portrety darczyńców i słynnych lekarzy. Abraxas znów zaczął dyszeć. Ella całymi dniami trzymała go w mieszkaniu, więc był w kiepskiej formie. Josh niemal musiał go wciągnąć na następne schody, a przed

trzecimi pies odmówił współpracy i skamłając, przysiadł na zadzie.

— No, Abraxasie, nie możesz tu zostać. Musimy znaleźć Nancy.

Usłyszał głosy w korytarzu na dole. Odgłos kroków i śmiech.

— Chodź, Abraxasie, rany boskie! Musimy znaleźć Nancy!

Ktoś zaczął wchodzić po schodach i znów rozległy się śmiechy. Abraxas nadal nie chciał się ruszyć. Josh ciągnął za smycz, lecz pies przycisnął się do podłogi i spoglądał na niego niechętnie, nie pozwalając wciągnąć się na schody. Kroki zbliżały się i głosy brzmiały coraz wyraźniej.

— ...mnóstwo nowych dostaw, bez żadnego ryzyka...

— ...nie ma co wybrzydzać...

— ...a kto tu wybrzydza...?

Josh zszedł ze schodów i usiadł przy Abraxasie. Wiedział, że psy obronne i strażnicze można motywować metodą Montenotte'a, ale jeszcze nigdy jej nie próbował. Polegała ona na rozbudzaniu wrodzonej agresji psa, aż zwierzę zapominało o strachu i było gotowe skoczyć w ogień, jeśli dostało taki rozkaz. Przydatna rzecz, jeśli człowiek był uwięziony w płonącym pojeździe i w żaden inny sposób nie można go było z niego wyciągnąć. Josh jeszcze nigdy nie próbował metody Montenotte'a, bo pies po przejściu pełnego szkolenia stawał się samobójczo agresywny i w końcu trzeba go było uśpić. Pomimo to niższe poziomy szkolenia metodą Montenotte'a podobno znakomicie motywowały zwierzę, na przykład żeby ruszyło tyłek i weszło po schodach — a Abraxas właśnie tego w tej chwili potrzebował, dobrej motywacji.

Josh bez ostrzeżenia zacisnął dłoń na gardle Abraxasa, a drugą ręką przewrócił go na grzbiet. Pies szamotał się, wściekle wymachując łapami, ale Josh trzymał go tak, że nie mógł się wyrwać. Abraxas usiłował złapać oddech, szarpiąc się na boki, jednak Josh tak mocno zacisnął mu krtań, że po chwili pies przestał walczyć i leżał nieruchomo ze sztywno wyciągniętymi łapami, jak pieczony indyk. Wybałuszył ślepią i dygotał.

— Wejdiesz ze mną na te schody i będziesz posłusznie robił to, co ci powiem. Rozumiesz?

Abraxas pozostał sztywny, oporny. Josh jeszcze mocniej ścisnął go za gardło i tym razem nacisnął również jego pierś. Pod palcami czuł walące jak młotem serce. Po chwili poczuł, że Abraxas robi wszystko, co mu każe. Nie potrafiłby powiedzieć, skąd o tym wie, ale poczuł to, może nie jako sygnał myślowy, a empatyczny.

— Chodź — powiedział i ruszył schodami do góry, a Abraxas za nim.

Szedł korytarzem trzeciego piętra, szukając sali numer 313. Ściany korytarza były wyłożone pasiastą tapetą w stylu Regencji, różowo-kremową. Wokół unosił się zapach dusznego, podrzędnego hoteliku. Na ścianach w regularnych odstępach były umieszczone kinkiety, lecz część z nich była zepsuta lub wymagała wymiany żarówek, więc w niektórych miejscach na korytarzu zalegał gęsty mrok.

Pokój 309, pokój 311... Minał zakręt i dopiero wtedy pojął, jakim okazał się głupcem. Tuż przed nim, w kręgu światła rzucanego przez następny kinkiet, stali trzej Zakapturzeni i dwaj psiarczykowie. Za nimi, tuż pod lampą, stał jeszcze jeden mężczyzna, o bladej twarzy i tłustych włosach, w granatowym blezerze z mosiężnymi guzikami. Na widok Josha roześmiał się.

— Spójrzcie tylko! A nie mówiłem? Jest! Czyż Jankesi nie są najgłupszym narodem na ziemi? Zaufał Simonowi Cutterowi! Uwierzył mu! I jest!

Psy Zakapturzonych szarpały smycze i z histeryczną wściekłością ujadły na Abraxasa. Ten odpowiedział gniewnym szczekaniem, ciągnąc Josha naprzód. Jednak Josh zdołał go powstrzymać, złapał za obrozę i pociągnął z powrotem.

— Spuszczę cię ze smyczy — powiedział. — Uciekniesz i uratujesz się. Biegnij!

W tym momencie usłyszał za plecami świst wyciąganego z pochwy miecza i ostra stal

dotknęła jego szyi.

— Jesteś aresztowany — rzekł jeden z Zakapturzonych. — Jesteś oskarżony o herezję, zdradę, morderstwo, działalność spiskową i wywrotową oraz bunt.

Josh odpiął smycz i zanim Zakapturzeni zdążyli zareagować, Abraxas śmignął korytarzem, skrobiąc pazurami o chodnik.

— Posłać za nim psy? — zapytał jeden z psiarczyków którego pies szarpał się tak, że aż stanął na tylnych łapach i rzęził jak astmatyk.

— Daj spokój — odparł Zakapturzony. — Mamy go. Prawda, panie Winward?

— Pieprz się — warknął Josh. — Nie macie żadnego prawa sądzić mnie ani nikogo innego, kto nie żyje w tym waszym popieprzonym Londynie. Chcę zobaczyć Nancy. Chcę zobaczyć ją teraz. Jeśli zrobiliście jej krzywdę... jeżeli chociaż tknęliście ją, przysięgam na Boga, że pozabijam was wszystkich, jednego po drugim.

— To chyba nadmierny optymizm — powiedział Zakapturzony. — Nas jest wielu, a pan tylko jeden. Poza tym to nasz świat, nie pana. Nie ma pan dokąd uciec. Żadnych przyjaciół, żadnych kryjówek. Ella Tibibnia nie żyje, zabiliśmy ją. John Farbelow nie żyje — jego też zabiliśmy. Tego samego dnia wyeliminowaliśmy jeszcze piętnastu innych wywrotowców. A także matkę pani Marmion, Ranjita Singha i wielu, wielu innych. To my rządymy wszystkimi rzeczywistościami, panie Winward, i zamierzamy utrzymać w nich porządek.

— Chcę zobaczyć Nancy — upierał się Josh. Był zrozpaczony, wyczerpany i potwornie bolały go zęby, ale po czterech dniach i nocach spędzonych w czterech różnych Londynach nie zamierzał rezygnować z zobaczenia Nancy. Nawet jeśli już nie żyła.

Mężczyzna w granatowym blezerze podszedł i wyciągnął do niego rękę.

— Pan pozwoli, że się przedstawię. Frank Mordant. Może ubijemy interes.

— Co? — prychnął Josh. — Masz tupet, gnojku. Zamordowałeś moją siostrę. To ty ją zamordowałeś!

— Och, daj pan spokój, panie Winward, to wcale nie tak. Trochę się zabawialiśmy. No wie pan, jak to jest, szef i sekretarka... Powiedziała, że chce spróbować orgazmu z podduszaniem.

— Nie wierzę w ani jedno twoje cholerne słowo. Zamordowałeś ją.

— Przykro mi. Wiem, że nie chce pan w to uwierzyć, ale to prawda. W jednej chwili było nam wspaniale, a w następnej cała zsiniała i musiałem wezwać karetkę. Obawiam się, że umarła, zanim przyjechali.

— Jesteś stuknięty. Julia nigdy nie zrobiłaby czegoś takiego.

— Wiem, że była pana siostrą i znał ją pan znacznie lepiej niż ja. Jednak bracia i siostry nie zawsze wszystko sobie mówią, prawda?

— A kto ją okaleczył? Kto usunął jej wnętrzności?

— Wszystko w dobrej sprawie — rzekł Frank Mordant, ujmując go za rękę. Josh natychmiast wyrwał mu ją. — Dzięki ciału pana siostry ktoś inny mógł nadal żyć.

— Bez pozwolenia usunąłeś jej wszystkie organy wewnętrzne, a potem wrzuciłeś jej ciało do rzeki.

— Prawdę mówiąc, żadne zezwolenie nie było potrzebne. Żyjąc tu, w tym Londynie, podlegała naszym prawom. A tutaj narządy mogą być pobierane z ciał zmarłych według uznania lekarza. To bardzo humanitarne, jeśli się nad tym zastanowić. I niech mi pan nie mówi, że w pańskim świecie to się nie zdarza.

— Wrzucenie jej do Tamizy uważa pan za humanitarne?

— Przyznaję, że nie. Jednak chcieliśmy, żeby zobaczył pan jej ciało. Nie ma nic gorszego, niż stracić kogoś i nigdy się nie dowiedzieć, co się z nim stało.

Szli dusznym korytarzem, a tuż za nimi podążali Zakapturzeni i psiarczykowie z psami. Jeden

ze Strażników zrównał się z Joshem i powiedział:

— Chcę, żeby przywołał pan tego pańskiego kundla.

— Nie mogę. On nie jest mój.

— Jeśli pan go nie zawoła, pošlę za nim nasze psy, a potem każę im go rozszarpać i pożreć na pana oczach.

— Nie mogę go zawołać. Nie usłucha. Poza tym pewnie jest już daleko.

Zakapturzony odwrócił się do psiarczyków i powiedział:

— Spuście psy. Chcę, by znalazły i zabiły to zwierzę.

— Tak, panie — odparli i spuścili psy ze smyczy, żeby poszły tropem Abraxasa.

Psy natychmiast rzuciły się korytarzem, ale przebiegły tylko kilka kroków. Gdy Josh zawołał „hej!” i gwizdnął przenikliwie, oba psy stanęły jak wryte, odwróciły się i spojrzały na niego wyczekująco.

— Na co czekacie? — wrzasnął na nie jeden z psiarczyków. — Ruszajcie i wytroście tego przekłętego psa! Bierz go!

— Nie ma sensu na nie wrzeszczeć — rzekł Josh. — Powinniście odwołać się do ich lepszej natury.

Psiarczyk miał wygoloną czaszkę i twarz poznaczoną siatką blizn.

— Żaden z moich psów nie ma lepszej natury.

— Owszem, ma — odparł Josh. Wyciągnął ręce i psy przybiegły do niego. Pogłaskał je po łbach i podrapał za uszami. Psiarczyk był wściekły i zdumiony. — Słyszałeś o metodzie Montenotte’a? — zapytał go Josh.

— Nie.

— Według metody Montenotte’a można nauczyć psa agresji, odwołując się do jego poczucia lojalności.

— Ten pies jest agresywny, ponieważ inaczej udusiłbym go.

Josh poklepał psy. Niepewnie ruszyły w kierunku schodów, ale po chwili przystały i ze zdumieniem spojrzały na swoich właścicieli.

— Biegiem! — wrzasnął łysy. — Bierz go albo rzucę wasze jaja kotom!

Psy zbiegły po schodach, znikając im z oczu.

— Widzę, że ma pan szczególny dar, panie Winward — powiedział Frank Mordant.

— Każdy, kto lubi zwierzęta, może to zrobić — rzekł mu Josh. — A ja lubię Abraxasa i dlatego zapewnilem mu więcej czasu na ucieczkę.

Frank Mordant uśmiechnął się, a potem rzekł:

— Chciał pan widzieć się z Nancy Andersen? Proszę za mną, zaprowadzę pana.

Stał przy łóżku Nancy i nie wiedział, co powiedzieć. Była blada i odurzona, miała podpuchnięte oczy, ale widział, że nic jej nie zrobili.

— Josh... — szepnęła, wyciągając do niego rękę. — Tak mi przykro. Myślałam, że odnajdę dla ciebie Franka Mordanta... Naprawdę sądziłam, że mogę to zrobić.

Zrobił krok w kierunku łóżka, ale Zakapturzony warknął:

— Wystarczy.

— Jak pan widzi — powiedział Frank Mordant — jest trochę senna, ale staramy się jak najlepiej dbać o jej zdrowie.

— Co pan chce z nami zrobić? — zapytał Josh.

— Ja? Nic. Obawiam się, że jestem tylko pionkiem. Sprowadziłem tu Nancy, ponieważ Strażnicy mieli nakaz jej aresztowania i pana też, a poza tym nie miałem wyboru. Gdyby to zależało ode mnie, wypuściłbym ją. Zapewniam, że mam czyste sumienie co do Julii. To był

wypadek. Jednak panna Andersen wytropiła mnie, a pan przyszedł za nią, więc co miałem robić?

— Jutro w południe usłyszycie wyrok Strażników Czystości Wiary — rzekł Zakapturzony. — Wtedy dowiedziecie się, jaka czeka was kara.

— Nie wolno wam tego robić. Nie macie prawa.

— Nie przejmowałbym się tym, stary — wtrącił Frank Mordant. — Prawdopodobnie postanowią was wygnąć, pod groźbą uwięzienia, jeśli kiedykolwiek spróbujecie wrócić.

— Jeśli tak, to czemu nie wypuszczą nas teraz?

— To kwestia procedury. No wie pan, trzeba zachować pozory.

— Za mną — rozkazał Zakapturzony i wyprowadzili Josha z pokoju.

Obejrzał się przez ramię i zdążył zauważyć, że Nancy uniesioną ręką daje mu znak, który w języku migowym Modoków oznaczał nadzieję.



## ROZDZIAŁ 28

Zamknęli go w pustym pomieszczeniu z widokiem na szpitalny trawnik. W oddali widział migoczące światła Londynu oraz roje przelatujących nad dachami sterowców. Nie zdejmując ubrania, położył się na żelaznym łóżku i usiłował odpocząć, ale dręczyły go ponure i straszne myśli. O jedenastej krępy pielęgniarz otworzył drzwi jego pokoju i zaprowadził go do toalety.

— A gdybym spróbował uciec? — zapytał Josh, stojąc przy pisuarze.

Pielęgniarz zaśmiał się krótko, warkliwie. Potem pozwolił mu napełnić wodą bakelitowy kubek i odprowadził go z powrotem do pokoju.

— Śniadanie o siódmej — oznajmił. — Nie daj się zjeść pchłom.

Josh usiadł na skraju łóżka i ukrył twarz w dłoniach. Miał wrażenie, że gdyby dostatecznie mocno zacisnął powieki, po ponownym ich otwarciu znalazłby się z powrotem w Mill Valley, w swojej sypialni, z pobrzękującymi na werandzie dzwoneczkami poruszanymi przez wiatr. Usiłował siłą woli sprawić, by ten świat znikł. Jeśli ktoś właśnie w ten sposób powołał do istnienia te wszystkie drzwi, może mógłby je zlikwidować, po prostu mocno pragnąc, aby nigdy ich nie było.

Siedząc tak, poczuł nagle, że coś dotyka jego nogi. Coś żywego. Zaskoczony, szeroko otworzył oczy. To był Abraxas, wesóło tłukący ogonem o nogę łóżka.

— Abraxas! Do licha, jak się tu dostałeś?

Przypomniał sobie, że pielęgniarz zostawił otwarte drzwi do pokoju, kiedy poszli do ubikacji. W końcu po co miałyby je zamykać? Trudno sobie wyobrazić, żeby ktoś chciał dostać się do środka.

— Jak się masz, mały? Przykro mi, ale nie mam nic do jedzenia. Masz, napij się wody.

Abraxas łapczywie chleptał z kubka, a potem otrząsnął się i usiadł, jakby czekając na dalsze polecenia.

— Jesteś grzecznym pieskiem, wiesz? Musisz mieć najczulszy nos, jaki kiedykolwiek spotkałem. Istny Stradivarius wśród nosów. Nie pozwoliłeś, by te nędzne kundły cię znalazły, no nie?

W odpowiedzi Abraxas zaskowyczał cicho.

— Powiem ci, co teraz zrobię. Nauczę cię metody Montenotte'a. Nauczysz się być nieustraszony, dzielny i trochę szalony. Nauczę cię, jak masz się stąd wydostać. Będziesz najgroźniejszym psem na świecie. Przynajmniej tyle mogę zrobić dla Elli.

Zaczął głaskać łeb psa.

— Posłuchaj mnie — zaczął. — Teraz głaszczę cię po raz ostatni, ponieważ ty i ja jesteśmy sobie równi. — Przyłożył dłoń do piersi, następnie w ten sam sposób dotknął klatki piersiowej Abraxasa. — Patrzymy takimi samymi oczami — rzekł, wskazując najpierw na swoje oczy, a potem na jego ślepie. — Słyszemy takimi samymi uszami i czujemy takim samym sercem. Poczekaj tylko. Do rana ty i ja będziemy się tak dobrze rozumieć, że zaczniesz się zastanawiać, dlaczego ja noszę spodnie, a ty nie. Będziemy symbiontami, kapujesz? No i oczywiście przyjaciółmi.

Przez całą noc, aż do chwili, gdy szary świt odłonił drzewa, trawniki i szpitalne budynki, a światła ulicznych lamp zaczęły gasnąć, Josh przemawiał do Abraxasa, dotykał go i uczył rozumieć wszystkie polecenia i życzenia. To było niesamowite doświadczenie, niczym ze szkoły zen. Przekonał się, że Abraxas reaguje na polecenia, jakich jeszcze nigdy nie wydawał żadnemu

psu, na przykład warczy na rozkaz lub obchodzi siedem razy pokój albo skacze w przeciwną stronę niż on. Nauczył go jeszcze innych sztuczek. Nauczył go czytać w oczach. Czasem musiał popierać to mrugnięciem oka lub prawie niedostrzegalnym skinieniem głowy, ale do rana pies siadał i warował, ilekroć Josh przesłał mu w myślach taki rozkaz.

Pięć po siódmej pielęgniarz wszedł z tacą do pokoju. Postawił ją na stoliku, po czym dał Joshowi bakelitowy nóż i widelec.

— Masz. Lepiej zjedz, ile możesz.

Josh podniósł aluminiową pokrywkę miski. Znalazł cztery kawałki tłustego bekonu, dwie parówki, dwa sadzone jajka i dwie nasiąknięte tłuszczem kromki smażonego chleba.

— Czy to kara? — zapytał. — Śmierć przez otrucie cholesterolem?

— Bardzo zabawne — prychnął pielęgniarz. — Wróć za piętnaście dwunasta. Wtedy chcą cię zobaczyć na dole.

Josh zaczął czekać, aż tamten zamknie drzwi. Potem postawił talerz na podłodze.

— Abraxasie! Chodź tu i jedz.

Pies wygramolił się spod łóżka i w niecałe dwadzieścia sekund pożarł całą zawartość talerza.

— Teraz wróć pod łóżko i utnij sobie drzemkę — powiedział mu Josh. — Nie mogę wyprowadzić cię na spacer, jeszcze nie, więc będziesz musiał wytrzymać.

Zaledwie Abraxas znikł pod łóżkiem, drzwi otworzyły się ponownie i stanął w nich pielęgniarz, trzymający w ręku dzbanek.

— Zapomniałem... — zaczął. Spojrzał na Josha, a potem na pusty talerz. Zapadła długa cisza. Potem pielęgniarz wziął tacę i rzekł: — Smakowało, co?

Josh kiwnął głową, udając, że ma pełne usta. Pielęgniarz powoli, ze zmarszczonymi brwiami wyszedł z pokoju i bardzo cicho zamknął za sobą drzwi.

Zakapturzeni przyszedli po niego pięć po dwunastej. Było ich pięciu, z trzema psiarczykami i dwoma doboszami. Gdy eskortowali go korytarzem, dobosze miarowo tłukli w bębny — bum! bum! bum! — aż Joshowi omal nie popękały bębni w uszach. Zeszli po głównych schodach i przez hol. Stanęli przed wielkimi podwójnymi drzwiami, obitymi polerowaną miedzianą blachą. Dwaj Zakapturzeni wyjęli klucze i otworzyli drzwi.

— Wejdz. Nadszedł twój czas — rzekł jeden z nich, popychając Josha.

Pomaszerowali długim korytarzem, oświetlonym tylko mętnym światłem wpadającym przez zielonkawę szyby świetlików. Josh poczuł słaby przeciąg. Powiew niósł ostry zapach kamfory, zmieszany z aromatem suszonych ziół. Ten zapach przypominał mu, że kiedyś, jako chłopczyk, lubił chować się w babcinej szafie i raz, przypadkowo zamknięty, przeplakał w niej całe popołudnie, daremnie wzywając pomocy.

Dotarli do następnych podwójnych drzwi i Zakapturzeni otworzyli je. Wewnątrz było jeszcze ciemniej i minęło pół minuty, zanim oczy Josha oswoiły się z ciemnością. Rozejrzał się wokół i zobaczył, że stoją u wejścia do wiktoriańskiej sali operacyjnej, z sześciokątną podłogą i rzędami wznoszących się z trzech stron balkonów. Na samej górze było sześć dużych okien z szybami z ciemnoniebieskiego szkła, przez które dc środka wpadała tylko odrobina światła.

Kiedy zaczął lepiej widzieć, zobaczył, że na balkonach stoją Zakapturzeni w wysokich kapeluszach i czarnych opończach oraz inni ludzie w staromodnych strojach. Ich blade twarze jaśniały jak lampiony w mroku. Słyszał gwar rozmów i szelest odzieży, a także pobrzękiwanie mieczy.

Sala najwidoczniej był kiepsko wentylowana. Oprócz zapachu kamfory i ziół wszędzie unosił się zaduch potu i nikotyny. Josh poczuł, że się dusi, i odruchowo podniósł rękę do nosa.

Z cienia wyłonił się Frank Mordant, ubrany w czarny dwurzędowy garnitur obsypany łupieżem.

— Oto chwila prawdy — powiedział, uśmiechając się. — Nie wiem, czy to się panu spodoba, ale niewątpliwie będzie to niezapomniane przeżycie, obiecuję.

— Gdzie Nancy, ty draniu?

— Och, będzie tu za chwilę, niech się pan o to nie martwi. No właśnie, już jest.

Drzwi na końcu sali otworzyły się i dwaj pielęgniarze wtoczyli przez nie szpitalny wózek. Leżała na nim jakaś postać, owinięta białym prześcieradłem, spod którego zwisała jedna ręka. Kiedy pielęgniarze podtoczyli wózek bliżej, Josh zobaczył, że to Nancy, bardzo blada, z włosami upiętymi z tyłu i schowanymi pod szpitalnym czepkiem. Wyglądała jak święta Joanna w drodze na miejsce kaźni. Josh zrobił krok w jej kierunku, ale jeden z Zakapturzonych złapał go za ramię dłonią, która w dotyku przypominała worek luźnych kości.

— Stój i patrz — syknął. — Wkrótce przyjdzie twoja kolej.

Teraz na salę weszli dwaj lekarze, Leggett i Crane, obaj w białych chirurgicznych fartuchach. Rozległy się krótkie brawa, jednak chirurdzy stanęli z boku. Jeden z Zakapturzonych podniósł rękę i zawołał:

— Cisza na cześć mistrza Gordona Spire'a!

W sali nagle zrobiło się cicho. Chudy mężczyzna w stroju purytanina zszedł ze swego miejsca na balkonie i na sztywnych nogach wyszedł na środek. Miał szczurzą twarz z owłosioną brodawką koło nosa, a kiedy zdjął kapelusz, ukazał grzywę stalowosiwych włosów, zaczesanych do tyłu.

— To, po co dziś tu przyszliśmy, przejdzie do historii — rzekł ostrym, przenikliwym głosem. — Przybyliśmy tu sądzić, tak. Przybyliśmy karać, tak. Przybyliśmy tu egzekwować prawo. Jednak przyszliśmy tu również po to, aby przedłużyć byt, który pozwala nam rządzić i dominować nad każdym tworem Boga. Człowiek, który przed wami stoi, Joshua Winward, jest oskarżony o herezję, działalność spiskową i wywrotową oraz morderstwo. Rozważyliśmy to i uznaliśmy go za winnego. Ta kobieta, która tam leży, Nancy Andersen, również jest oskarżona o herezję, spiskowanie, zdradę Republiki i oszustwo. Rozważyliśmy to i uznaliśmy ją za winną postawionych zarzutów.

— Na jakiej podstawie?! — krzyknął Josh. — Gdzie świadkowie? Gdzie dowody? Nawet nie daliście nam okazji powiedzieć słowa na naszą obronę!

Zakapturzony jeszcze silniej ścisnął jego ramię.

— Cicho — syknął. — Stoisz przed sądem.

— Jakim sądem? Gdzie obrońca? Gdzie ława przysięgłych? To parodia sprawiedliwości i dobrze o tym wiecie!

— Cicho — powtórzył Zakapturzony i jeszcze mocniej zacisnął chwyt.

Teraz wystąpił Leggett. Odczekał chwilę dla zwiększenia efektu, po czym oświadczył:

— Dzisiaj zobaczycie cud nowoczesnej chirurgii. Sprawiedliwość zaowocuje również przedłużeniem bytu. Ta kobieta, która leży na wózku, została skazana za najcięższe zbrodnie, teraz jednak będzie miała okazję złożyć największą ofiarę dla dobra i przetrwania Republiki.

— O czym on mówi? — zapytał Josh. — Co on bredzi, do diabła?

— Cii — powiedział Frank Mordant, przykładając palec do ust.

Leggett ciągnął:

— Sześcioro drzwi, których wszyscy przysięgliśmy bronić na wieki, zostało stworzonych przez jedną kobietę. To z jej umysłu i jej świadomości powstał płomień, który był podtrzymywany przez dwa tysiące lat. Przeżyła królów i imperia, powstania i bunty, inwazje i podboje. Przetrwała tak długo dzięki farmakologicznym talentom druidów oraz mistycznym siłom, których w pełni nie rozumiemy nawet dziś, pomimo ogromnych postępów nauki. Przez wiele wieków opiekowali się nią najlepsi lekarze, chirurdzy oraz zielarze, dzięki którym

pozostała żywa aż do dziś, gdy utrzymują ją przy życiu najnowsze osiągnięcia chirurgii. To, panowie, zagwarantuje jej przetrwanie przez kolejne tysiąclecie, a potem następne i być może jeszcze następne. Drzwi nigdy się nie zamkną!

Josh próbował się wyrwać, lecz inny Zakapturzony chwycił go za drugą rękę, więc mógł tylko szarpać się i kopać. Leggett zwrócił się do Crane'a i zapytał:

— Zaczynamy? — Potem powiódł spojrzeniem po audytorium i zawołał: — To, co zobaczycie teraz, to cud! Chwała Panu!

Drzwi na końcu sali ponownie się otworzyły i całe pomieszczenie zalało bładniebieskie światło.

— Panowie — rzekł drżącym z emocji głosem Leggett. — Oto królowa nad królowe. Oto Boadicea.

Sześciu pielęgniarzy powoli wtoczyło wózek na środek sali operacyjnej. Wyglądał jak ruchomy namiot, ponieważ był zupełnie nakryty, tak że widać było tylko dolne połowy kół. Za wózkiem toczono stolik z nierdzewnej stali, z dziesiątkami narzędzi chirurgicznych: pił, kleszczyków, skalpeli i innych niezwykłych przyrządów, jakich Josh jeszcze nigdy nie widział na oczy i których przeznaczenia nawet się nie domyślał.

W sali zapadła głucha cisza, gdy jeden z pielęgniarzy przysunął wózek z Nancy bliżej namiotu. Potem, jak kelner zdejmujący obrus, zerwał z niej prześcieradło. Josh szarpnął się ponownie, lecz Zakapturzeni trzymali go zbyt mocno, żeby mógł się wyrwać. Nancy była zupełnie naga, jej jasna skóra lśniła niebieskawo w ostrym świetle. Pielęgniarski zacisnął skórzane jarzma na jej rękach i nogach. Potem — na sygnał Leggetta — inny pielęgniarz pociągnął za sznurek z boku czarnego namiotu. Materiał opierał się przez moment, po czym nagle opadł na podłogę. Josh spojrzął na to, co leżało na wózku, i poczuł dreszcz przerażenia, jakby po plecach przebiegło mu stado stonóg.

Wózek był wymyślną konstrukcją, zaopatrzoną w liczne dźwignie i uchwyty. Pośród nich spoczywało coś, co wyglądało jak warstwy szorstkiego materiału barwy zgniłego lnu. Wystawały z nich setki poskręcanych patyków, niczym odnóża martwych pajaków, zgniecionych między kartami księgi.

Z początku Josh nie mógł pojąć, na co właściwie patrzy ale po chwili uświadomił sobie, że warstwy materiału układają się w regularny wzór, podobny do wielkiej zasuszonej chryzantemy. Bliżej środka warstwy wydawały się grubsze, bledsze, a patyki znacznie mniej poskręcane. Josh przyjrzał im się uważniej i spostrzegł, że wcale nie są to patyki, lecz wyschnięte ludzkie ręce, pokryte suchą jak pergamin skórą. Między nimi spoczywał zniekształcony, zapadnięty tors, pokryty wstęgami blizn, oraz połączony z nim drugi i trzeci tors.

Ten potworny kwiat był z mumifikowanymi ciałami setek ludzi, pozszywanych w jedną istotę. Ale najbardziej przerażająca była twarz znajdująca się w środku. Kobięca twarz, tak blada, jakby posypano ją mąką, z przekrwionymi oczami, spoglądającymi z tego splotu ramion, nóg i torsów. Nagle zamrugała, co jeszcze bardziej przeraziło Josha, gdyż świadczyło o tym, że była żywa. Naprawdę żyła, pośród tych wszystkich warstw obumarłej skóry i wysuszonych przez czas kości. Nie roztaczała smrodu rozkładu, tylko woń stęchlizny. Prawdopodobnie wykorzystywała krew i tkanki każdego przeszczepianego jej narządu, zupełnie go wysuszając. A więc dlatego usunięto Julii organy i dlatego wszystkie zabite wcześniej przez Franka Mordanta dziewczyny były w różny sposób okaleczone. Rodzaj okaleczeń zależał jedynie od specyficznych zapotrzebowań istoty na wózku. Nowe serce, nowe płuca, nowy żołądek — wszystko, co przestawało funkcjonować i wymagało odnowienia. Twarz tej istoty była przerażająca i niezwykła zarazem. Nie była obliczem współczesnej kobiety. Szeroka, z głęboko osadzonymi oczami i ledwie

widocznymi piegami na małym, prostym nosie. Czoło miała owinięte szeroką czarną opaską, spod której wystawały kosmyki rudawosiwych włosów.

Leggett wystąpił naprzód i podniósł rękę, prosząc o uwagę.

— Dzisiaj zobaczycie operację przeszczepienia nóg, ramion i głowy oraz tułowia dawcy. W tym momencie królowa oddycha tylko jednym płucem, gdyż drugie nie podjęło pracy po poprzedniej operacji. Dzisiejszy zabieg poprawi czynności oddechowe i trawienne oraz coś jeszcze. Od ponad roku zamierzaliśmy obdarzyć ją zdolnościami rozrodczymi. Macią i jajnikami. Dziś spróbujemy umożliwić jej posiadanie dziecka. Bardzo możliwe, że — jeśli zabieg się uda — dziecko królowej odziedziczy jej zdolności. Innymi słowy, jej potomek będzie mógł utrzymywać otwarte drzwi.

— Jesteście szaleni! — wrzasnął Josh. — Wszyscy! Jesteście zupełnie popieprzeni! Jak możecie zabijać ludzi, żeby utrzymywać to przy życiu? Jak możecie? I wy nazywacie siebie chrześcijanami?!

Jeden z Zakapturzonych zakrył mu urękawiczoną dłonią usta. Josh próbował go ugryźć, ale rękawica była za gruba i smakowała kwaśną, niegarbowaną skórą.

— Zaczniemy od usunięcia nóg dawczyni — rzekł Leggett. — Pamiętajcie, iż jest to nie tylko zabieg chirurgiczny, ale i kara, tak więc prawo wymaga, aby ta młoda dama cierpiała jak największy ból. Kiedy zacznie krzyczeć i błagać Boga o łaskę, będziecie wiedzieli, że wyrok mistrza Spire'a był słuszny.

Crane podał mu czarny chirurgiczny ołówek i Leggett nakreślił linie na udach Nancy, jak najbliżej miednicy. Josh szarpał się, niemal oślepy z wściekłości i przerażenia, ledwie mogąc oddychać zaciśniętymi rękawicą ustami. To był koszmar. To musiał być koszmarny sen. Miał wrażenie, że zwariował i zwiduje mu się, że jest w tej sali operacyjnej pełnej anonimowych ludzi, z tą groteskową istotą leżącą tuż przed nim i spoglądającą w pustkę.

Osunął się na kolana, jednak Zakapturzeni podnieśli go. Usiłował odwrócić głowę, żeby nie widzieć tego, co robi Leggett, ale złapali go za włosy i zmusili, by patrzył wprost na wózek.

Nancy nie odzywała się — leżała na łóżku, nie próbując się szamotać. Josh odgadł, że wprawiła się w trans, jakim ciężko ranni Modokowie łagodzili ból. Nie miał pojęcia, czy będzie to wystarczające znieczulenie, kiedy Leggett zacznie odcinać jej nogi. Boże, pomóż jej — modlił się w duchu ze łzami w oczach. Boże, pomóż jej, proszę ‘

Leggett wyciągnął rękę, a Crane podał mu skalpel

— Teraz — rzekł Leggett — powinniście obserwować uważnie. Zawsze fascynuje mnie, jak szybko ludzkie ciało regeneruje się po amputacji... jak gwałtownie samoistnie ustaje krwotok.

Pochylił się nad Nancy i przyłożył skalpel. Po udzie popłynęła cienka strużka krwi. W niebieskim świetle wyglądała na prawie czarną. Nancy zadrżała, ale nie krzyknęła.

Josh powiódł wzrokiem po rzędach widzów otaczających salę. Nie będzie na to patrzył, mimo że Zakapturzeni trzymają go za włosy. Ujrzał szeregi Strażników Czystości Wiary i chociaż twarze mieli pozasłaniane płóciennymi maskami, wyczuł ich upiorne zaciekawienie, graniczące z podnieceniem seksualnym. Przeniósł spojrzenie na ostatni, pusty rząd. Starał się przypomnieć sobie modlitwę, której matka nauczyła Julię i jego, kiedy byli dziećmi — pomodlić się o to, abyśmy wszyscy pewnego dnia odnaleźli Jezusa, który przyjmie nas w swe objęcia i ukoji na wieki.

Nagle ujrzał Abraxasa.

Pies stał na środku pustego rzędu, patrząc na niego zza poręczy. Josh nie wierzył własnym oczom. Widocznie Abraxasowi nudziło się w pokoju i postanowił sprawdzić, co się dzieje.

W sali było ciemnawo i Josh nawet nie był pewny, czy pies go widzi. Mimo to spojrzął na niego, całą siłą woli usiłując przekazać mu, żeby skoczył na środek sali. Skacz, Abraxasie! Rany

boskie, skacz!

Abraxas odwrócił się i zaczął odchodzić. W przypiływie rozpaczy Josh energicznie szarpnął głową w prawo i lewo, uwalniając usta od zasłaniającej je rękawicy Zakapturzonego.

— Abraxasie! — wrzasnął i gwizdnał donośnie. — Tutaj, mały! Tu! Skacz!

Zakapturzony usiłował ponownie zamknąć mu usta, lecz Josh zdołał obrócić głowę na bok i krzyknąć:

— Bierz go!

Abraxas zbiegł po kolejnych balkonach i ze skrobaniem pazurów wylądował na środku sali operacyjnej. Wszędzie wokół rozległy się krzyki zdumienia. Kilku Strażników zaczęło się śmiać.

— Niech ktoś zabierze tego psa! — krzyknął Crane, a zaskoczony Leggett podniósł głowę.

Abraxas bez wahania rzucił się na Zakapturzonego, trzymającego prawą rękę Josha. Zatopił kły w jego łydce i zaczął wściekle tarmosić. Zakapturzony runął na podłogę, obalając stojącego obok kompana. Chwytał przednie łapy psa i usiłował go oderwać, lecz w żyłach Abraxasa płynęła krew bulteriera i kiedy raz zacisnął szczęki, już nie puścił.

— Weźcie go ode mnie! — ryknął Zakapturzony, tłukąc psa pięścią po łbie. — Zabierzcie ode mnie tego piekielnego kundla!

Drugi Zakapturzony puścił ramię Josha i wydobył miecz. Jednak Josh — czując gwałtowny przyływ adrenaliny — okazał się szybszy. Chwytał go za rękę i gwałtownie szarpnął w tył, aż trzasnęły kości. Zakapturzony upuścił miecz, a Josh błyskawicznie podniósł broń. Oszalały z wściekłości, oburącz chwycił rękojeść miecza i ciął, trafiając Zakapturzonego w pierś. Ostrze przecięło ubranie, skórę i kości. Gdy Zakapturzony osuwał się na kolana, Josh pchnął prosto w twarz drugiego. Ostrze przeszło na wylot, wychodząc potylicą. Abraxas spoglądał na to, nie puszczając nogi przeciwnika.

— Dobrze, mały, zabij go! — zachęcił psa Josh.

— Złapać tego człowieka! — wrzasnął mistrz Spire. — Złapać go natychmiast!

— Aaaaa! — wrzasnął Josh i wywijając mieczem, skoczył na środek sali. Nikt nie mógł go powstrzymać — nawet Zakapturzeni. Leggett upuścił skalpel i czmychnął do tylnych drzwi. Crane pospieszył za nim, przewracając wózek z narzędziami.

Josh wolną ręką odpiął jarzma na przegubach i kostkach Nancy. Rana na jej udzie krwawiła, ale Leggett dopiero zaczął nacinać.

— Chodź — powiedział Josh i pomógł jej zejść z łóżka. Pochylił się, podniósł leżące na ziemi prześcieradło i podał jej. — Masz, okryj się.

Dwaj Zakapturzeni chwycili miecze i próbowali zejść z galerii, ale Abraxas skoczył na nich, więc zatrzymali się, usiłując go dźgnąć. Josh doskoczył do wózka, na którym spoczywała Boadicea. Obserwowała go ze środka wysuszonych warstw ludzkich tkanek, gdy uniósł miecz i przyłożył do jej szyi.

— Co robisz?! — wrzasnął mistrz Spire. — Jeśli zabijesz Boadiceę, wszystkie drzwi zamkną się na zawsze!

— Powiem ci, co robię — odparł Josh. — Upewniam się, że panna Andersen odejdzie stąd wolna i dotrze do najbliższych drzwi. Jeśli nie, utnę głowę waszej Boadicei. I nie myśl, że żartuję.

Frank Mordant zrobił krok naprzód.

— Jest pan idiotą, panie Winward. Zawsze mówiłem, że Jankesi to idioci. Jeżeli zabije pan Boadiceę, zostanie pan uwięziony w tym świecie do końca życia — które zapewne nie potrwa długo, kiedy zabiorą się do pana Strażnicy.

— Gotów jestem podjąć takie ryzyko.

— Co za poświęcenie! Tylko że ja nie zamierzam pozwolić panu nawet tknąć naszej

wspaniałej Boadicei, ponieważ wtedy nie tylko pan zostałby tu uwięziony, ale ja także. A bez drzwi byłbym zaledwie nieważnym dyrektorem działu sprzedaży elektrycznej firmy z Great West Road. Dlatego nie mogę na to pozwolić, rozumie pan?

— Josh, nie pójde bez ciebie — oświadczyła Nancy. — Nie ma mowy.

Na prześcieradle, którym się owinęła, powiększała się plama krwi.

— Kochanie, to jedyny sposób. Chcę, aby jeden z nich zaprowadził cię na Star Yard. Kiedy tam będziesz i zapalisz świece, chcę, żebyś zadzwoniła do mnie z budki na rogu. Powiesz mi, że Kaptury trzymają się w odległości co najmniej pięćdziesięciu metrów i jesteś gotowa. Potem pobiegiesz, skoczysz i wrócisz do realnego świata.

— Nie mogę żyć bez ciebie, Josh.

— Będziesz musiała. Nie mamy wyboru. Teraz idź.

Nancy wciągnęła się wahała.

— Proszę, Nance. Nie utrudniaj mi tego — błagał Josh. Wyciągnął do niej lewą rękę. W tym momencie Frank Mordant doskoczył do niego i wyrwał mu broń. Stęknął z wysiłku, podniósł miecz jak sztylet i wymierzył go prosto w serce Josha.

Jednak Abraxas był szybszy. Odbił się od podłogi i wylądował na plecach Franka Mordanta. Ten wrzasnął „o kurwa!” — i zatoczył się, zaczepiając nogą o kółko wózka Boadicei.

Josh zobaczył to jak na zwolnionym filmie. Szeroko otwarte, przerażone oczy Franka Mordanta. Upiorne oblicze Boadicei, spoglądające na niego ze strachem i ulgą. I miecz przecinający warstwy suchej skóry, łamiącej się i pękającej, wbijający się głęboko w brzuch królowej.

W sali zapadła przytłaczająca cisza. Oczy Boadicei przywarły do miecza, który prawie po rękojeść wbił się w jej liczne ciała. Wydała cichy, drżący skowyt i strużka wodnistej krwi pociekła jej po brodzie.

— Zabiłeś ją — wymamrotał mistrz Spire, zdrętwiała ze zgrozy. — Zabiłeś Boadiceę.

Frank Mordant cofnął się, oblizując wargi. Piers Boadicei unosiła się i opadała. Jedna z jej wyschniętych rąk drgnęła, palce podkurczyły się jak jesienny liść. Nikt się nie poruszył. Chyba nikt nie wiedział, co robić.

— Ona jeszcze żyje — zawołał Frank Mordant. Odwrócił się i popatrzył na Josha. — Ona jeszcze żyje!

Josh nagle zrozumiał, co to oznacza. Dopóki Boadicea żyła, drzwi nadal były otwarte. Złapał Franka Mordanta za rękaw i syknął:

— Wyprowadź nas stąd! Jak najszybciej!

— Co? Żebyście kazali mnie aresztować?

— Jeśli przeprowadzisz nas z powrotem, zapomnę, że kiedykolwiek cię widziałem.

Dwaj Zakapturzeni szli na nich z podniesionymi mieczami. Josh bez wahania złapał miecz upuszczony przez pierwszego zabitego i ruszył ku nim, unosząc go nad głowę. Abraxas również rzucił się na nich, warcząc i szczekając. Cofnęli się stropieni i nie próbowali ruszyć w pościg, gdy Nancy z Frankiem Mordantem i Joshem wycofywali się z sali.

— Nawet nas nie gonią — zdziwił się Josh.

— Uważają, że nie muszą. W chwili gdy Boadicea umrze, zostaniemy uwięzieni tutaj i będą mogli na nas polować do woli. I możesz sobie wyobrazić, co z nami wtedy zrobią.

Dobiegli do stojącego na szpitalnym parkingu samochodu Franka Mordanta. Przez moment nie mógł trafić kluczem w zamek, ale jakoś zdołał otworzyć drzwi i zapuścić silnik. Josh usiadł z przodu, a Nancy z Abraxasem na tylnym siedzeniu. Pies trząsał się z podniecenia i Nancy musiała go uspokajać. Abraxas najwyraźniej nie mógł zrozumieć, dlaczego nie pozwalają mu rozszarpać

Franka Mordanta, który pocił się jak mysz, ze zgrzytem przerzucając biegi.

— Świece — powiedział Josh. — Masz jakieś świeczki?

— W schowku na rękawiczki — odparł Frank Mordant.

Josh otworzył skrytkę i wyjął opakowanie z sześcioma świecami. Pomknęli przez miasto, manewrując wśród innych pojazdów, przejeżdżając na czerwonych światłach. Nie zatrzymując się, z prędkością osiemdziesięciu kilometrów na godzinę przejechali przez Ludgate Circus. Piętrowy autobus musiał gwałtownie skręcić, żeby uniknąć zderzenia, a dwa inne pojazdy wpadły w poślizg i wylądowały na chodniku.

— Już może być za późno — powiedział Frank Mordant, gdy jego armstrong-siddeley z piskiem minął róg Carey Street. Wjechał na chodnik, zgasił silnik i zaciągnął ręczny hamulec. Wygramolili się z wozu i co sił pobiegli Star Yard, klucząc między przechodniami. Frank Mordant uklęknął przed niszą i drżącymi rękami zapalił trzy świece. — O Boże, nie pozwól, żeby już umarła. Boże, nie daj jej jeszcze umrzeć.

Razem z Joshem wyrecytowali wierszyk.

— Ruszaj! — ponaglił Josh Nancy.

Nancy niezgrabnie przeskoczyła przez świece i poszła w głąb niszy. Abraxas skoczył za nią.

— Proszę, Boże, niech te drzwi będą otwarte — modlił się Frank Mordant.

Nancy dokuśtykała do końca niszy i przystanęła, po czym odwróciła się i zawołała:

— W porządku! Jeszcze tu są! Przechodzę!

Zniknęła im z oczu. Frank Mordant cofnął się, szykując się do skoku. W tym momencie Josh rąbnął go pięścią w twarz, a potem w brzuch. Frank Mordant z jękiem opadł na kolana.

— Dotrzymam obietnicy — powiedział Josh. — Nie oddam cię w ręce policji. Jednak zasługujesz na karę, ty draniu. Zamordowałeś moją siostrę i Bóg wie ile innych dziewcząt. Dzisiaj też stałbyś tam i cieszył się, patrząc, jak umieramy. Cóż, to twoja kara. Zostaniesz tu z Kapturami. Mam nadzieję, że będziesz żył długo i nieszczęśliwie — mówiąc to, ponownie uderzył go w szczękę.

Frank Mordant runął na chodnik.

Josh ostatni raz rzucił okiem na świat Strażników, po czym przeskoczył przez świece i ruszył ciemnym przejściem między ceglanyymi murami budynków.

Dopiero minawszy drugi zakręt zdał sobie sprawę z tego, że przejście jest znacznie węższe niż poprzednio. Zanim dotarł do następnego zakrętu, musiał obrócić się bokiem, i nawet wtedy z trudem przeciskał się naprzód. Z przerażeniem uświadomił sobie, co się dzieje. Boadicea umierała i drzwi się zamykały. A on był w środku.

Coraz szybciej przeciskał się przez przesmyk, ocierając knykcie o ściany. Zdołał minąć ostatni zakręt i ujrzał przed sobą blask dnia, Star Yard oraz czekającą na niego Nancy, nadal owiniętą prześcieradłem.

Przystanął, próbując opanować atak klaustrofobii, i wypuścił powietrze z płuc. Nie panikuj, cokolwiek robisz. Spokojnie, zaraz stąd wyjdiesz.

Centymetr po centymetrze przeciskał się do wyjścia. Słyszał już uliczny ruch i głos Nancy:

— Josh! Szybko! Jest coraz ciaśniej!

Był już prawie przy wyjściu, gdy lewy but uwiązał mu w szparze między ceglami. Chociaż szarpał nogą, nie mógł jej uwolnić. Ściany były już tak blisko siebie, że trzeszczały mu żebra i ledwie mógł oddychać.

— Josh! — wrzasnęła Nancy i złapała go za rękę. Zaczęła ciągnąć z całych sił i powoli wyciągnęła go z otworu. But został w szczeliny, a Josh upadł bokiem na chodnik, spazmatycznie łapiąc powietrze. Nancy osunęła się na niego, nie zważając na zdumione spojrzenia przechodniów, płacząc i śmiejąc się jednocześnie.



— Udało się! Udało! Nie chce mi się wierzyć, że uciekliśmy. A co się stało z Frankiem Mordantem?

Josh pokazał jej otarte knykcie.

— Zniechęciłem go do towarzyszenia nam. Myślę, że czeka go kara za zabicie Boadicei.

Podnieśli się powoli i wtedy Abraxas zaczął oszczeniwać szczelinę w murze.

— Co jest, Abraxasie? Co się stało, mały?

Josh próbował go odciągnąć, ale pies nie dał się ruszyć z miejsca i wciąż warczał.

— Chodź, Abraxasie. Chcę wynieść się stąd w diabły. Nancy potrzebuje lekarza.

W tym momencie usłyszał sapanie. Osłonił dłonią oczy i zajął do szczeliny.

— Nie pozwól im się zamknąć! — przypląnął z niej zduszony głos. — Rany boskie, tylko nie pozwólcie im się zamknąć!

— Mój Boże — powiedział Josh. — Tam jest Frank Mordant.

Zobaczyli go, jak usiłuje minąć ostatni zakręt przejścia. Był chudszy i znacznie mniej muskularny od Josha, lecz i tak wydawało się niemożliwe, aby jakkolwiek człowiek zdołał przecisnąć się przez taką wąską szparę.

— Wypuść powietrze z płuc! — zawołał Josh. — Spróbuj wić się jak wąż, może się przecisniesz!

— Myślisz, że się nie wiję, cholera? — wydyszał Frank Mordant.

Nie mogli nic zrobić. Ze zgrozą patrzyli, jak Frank Mordant z najwyższym trudem przeciska się do wyjścia. Przejście było już tak wąskie, że tarł twarzą o cegły. Nagle zatrzymał się i jęknął z bólu. Kilka sekund później usłyszeli trzask pękających żeber. Jakoś jednak zdołał dotrzeć do wyjścia i chwycić krawędź muru otartymi, krwawiącymi palcami.

— Przepraszam — wydyszał. — Przepraszam za to, co zrobiłem. Tylko wyciągnijcie mnie stąd.

Josh chwycił go za rękaw i spróbował wyciągnąć. Rękaw oddarł się, więc chwycił nagie ramię. Zaparł się nogą o mur i odchylił do tyłu, centymetr po centymetrze uwalniając Franka Mordanta ze szczeliny. Wyciągnął już głowę i pół klatki piersiowej.

— No — zachęcał go Josh. — Jeszcze jedno pociągnięcie i wyjdiesz stamtąd.

Jednak w tym momencie Frank Mordant spojrzał na niego ze smutkiem. Cegły zwały się z cichym, stłumionym chrzęstem i górna połowa jego ciała wpadła do niszy, między liście, opakowania po cukierkach i puste pudełka po papierosach. Spoglądał na Josha przez trzy lub cztery sekundy, przez które jeszcze żył.

— Przepraszam, stary — wykrztusił i krew popłynęła mu z ust.

Detektyw sierżant Paul siedziała i nie przerywała im, kiedy wyjaśniali okoliczności śmierci Franka Mordanta. Gdy skończyli, zamknęła leżącą przed nią teczkę i powiedziała:

— Dzisiaj ogłosimy komunikat dla prasy.

— Jakiej treści? — zapytał Josh. — Chyba nie chcecie postawić nam zarzutów?

— Stwierdzimy, iż dwoje amerykańskich turystów znalazło na Star Yard okaleczone ciało mężczyzny. Uważa się, iż padł ofiarą wojny narkotykowej w południowo-wschodnim Londynie.

— To wszystko?

— Wszystko, co powinna wiedzieć opinia publiczna.

— Nie rozumiem — mruknął Josh. — Chce pani powiedzieć, że nam wierzycie?

— Powiedzmy, że dla wielu ludzi jest pan jednym z największych bohaterów na świecie.

— Gotam Das — przypomniał sobie Josh. — Tak mówił mi Gotam Das.

Detektyw sierżant Paul uśmiechnęła się lekko, ale nic nie powiedziała. Wrzuciła teczkę do szuflady biurka, zamknęła ją i wstała.

— Mam nadzieję, że znalazł pan w Londynie sprawiedliwość, panie Winward. Zasluguje pan na to.

— Myślę, że znalazłem tu znacznie więcej, niż chciałem. Detektyw sierżant Paul uściśniła im dłonie i odprowadziła do drzwi.

— Ta pańska znajoma, Petty... To miła dziewczyna, chociaż trochę... hm, ekscentryczna. Przekazaliśmy ją pod skrzydła opieki społecznej dzielnicy Kensington i Chelsea. Znaleźli jej pracę w Burger Kingu.

— Dziękuję — odparł Josh.

— Życzę spokojnej podróży do domu — powiedziała detektyw Paul i zamknęła za nimi drzwi.

Tydzień później Josh obudził się o drugiej w nocy, drżący i zlany zimnym potem. Wygramolił się z łóżka i po omacku poszedł korytarzem do łazienki. Nie zapalił światła, żeby nie zbudzić Nancy, tylko szedł, wodząc dłonią do ścianie.

Gdy mijał drzwi do salonu, wydało mu się, że zauważył jakiś ciemny kształt na kanapie. Przystanął i wyteżył wzrok. W mroku dojrzał brązowy skórzany worek na kulę do kręgli. Co ona tu robiła, do licha?

Wszedł do pokoju i podszedł do kanapy. Mętnie przypominał sobie, że schował tę torbę do szafy przy frontowych drzwiach. Nancy nie ruszałaby jej przecież, bo po co?

Już miał podnieść worek, kiedy usłyszał ciche brzęczenie. Pochylił się i nadstawił ucha. Nie było wątpliwości. Z wnętrza worka dochodziło ciche, wyraźne bzyczenie. A przecież w środku mogła być tylko jego ulubiona kula.

Chwycił za rączkę i odciągnął ekler. W środku było coś okrągłego i ciężkiego, ale nie wyglądało na kulę do kręgli. Zacerpnął tchu i rozpiął zamek do końca.

W pokoju było za ciemno, aby zobaczyć, co jest w torbie, jednak Josh był pewny, że coś się tam rusza. Sięgnął ręką do stojącej obok kanapy nocnej lampki i zapalił ją.

— O kurwa — zaklął i cofnął się ze zgrozą.

W worku znajdowała się odcięta głowa Zakapturzonego. Płócienny kaptur był rozpruty, więc Josh mógł zobaczyć jego twarz. Oczy spoglądały z niemą urazą, a szeroko otwarte usta zdawały się krzyczeć w milczącym proteście. Wszystko pokrywała warstwa lśniących, zielonych much. Wchodziły do ust i wychodziły z nich, oblepiały nieruchome gałki oczne. Zakapturzony był żywym trupem.

Josh otworzył oczy. Nadal był w łóżku, a Nancy leżała obok niego, oddychając cicho i miarowo. Pot sływał mu po piersi, więc ściągnął z siebie prześcieradło, żeby się ochłodzić. Przez prawie pięć minut leżał nieruchomo na plecach, gapiąc się w sufit.

W końcu wstał z łóżka. Przeszedł nad Abraxasem, który spał na podłodze, na swoim ulubionym indiańskim kocu. Potem powlókł się korytarzem do łazienki. Mijając drzwi salonu zajrzał do środka, upewniając się, że miał tylko koszmarne sen.

Jednak worek na kulę do kręgli nadal tam był. Leżał na kanapie.

Josh stał w ciemności, spoglądając na torbę. Potem powoli podszedł do niej. Cokolwiek zawierała, zamierzał ją otworzyć i stawić temu czoło. Pochylił się, nasłuchując. Nie słyszał żadnego bzyczenia. Zacerpnął tchu i rozpiął zamek błyskawiczny do samego końca.

GRAHAM MASTERTON, popularny pisarz angielski, urodził się w 1946 roku w Edynburgu. Po ukończeniu studiów pracował jako redaktor w miesięcznikach — m.in. *Mayfair* i angielskim oddziale *Penthouse'a*. Jest autorem licznych horrorów, romansów, powieści obyczajowych, thrillerów, poradników seksuologicznych.

Swój pierwszy utwór z gatunku horroru zatytułowany „Manitou” wydał na początku lat siedemdziesiątych. Łącznie napisał ponad 30 powieści o łącznym nakładzie przekraczającym 20 milionów egzemplarzy; ponad dwa miliony książek mistrza horroru kupili polscy czytelnicy. Wielką popularność pisarza w Polsce ugruntował cykl poradników seksuologicznych — przede wszystkim „Magia seksu” i „Potęga seksu”. „Tengu” i „Kostnica” otrzymały wyróżnienia literackie w USA i Europie, zaś „Manitou” została zekranizowana. Najnowsze bestsellery pisarza to powieści grozy „Bonnie Winter” (2001) (w USA przygotowywana jest wersja filmowa książki) i „Anioł Jessiki” (2002). Wkrótce ukążą się *Unspeakable* („Koszmar”) i *Holy Terror* („Święty terror”).

Graham Masterton mieszka w Cork w Irlandii.